

„Genialny, zapierający dech w piersiach thriller. Jeśli podobał się  
wam film *Siedem*, będziecie zachwyceni tą powieścią!”

M.J. Arlidge



POLICJANTKA, KTÓRA NIKOMU NIE MOŻE ZAUFAC.  
MORDERCA, KTÓRY NIE MA NIC DO STRACENIA.

# PRZYZNĘTA

DANIEL COLE



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

DANIEL COLE  
**PRZYNEŃA**

Z języka angielskiego przełożył  
Radosław Madejski



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału:

*Hangman*

Copyright © Daniel Cole 2018

Copyright © 2018 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2018 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Marcin Słociński / Szara Sowa

Zdjęcie autora na okładce: © Ellis Parrinder

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk

Korekta: Iwona Wyrwisz, Marta Chmarzyńska

ISBN: 978-83-8110-758-7

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

*Polska Izba Książki*

Więcej o prawie autorskim na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: [info@soniadruga.pl](mailto:info@soniadruga.pl)

[www.soniadruga.pl](http://www.soniadruga.pl)

[www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga](https://www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga)

E-wydanie 2018

Skład wersji elektronicznej:

**virtualo**  
[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

# Spis treści

Prolog

Pięć tygodni wcześniej...

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

SESJA PIERWSZA

Rozdział 22

Rozdział 23

INICJACJA

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

SESJA SZÓSTA

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

SESJA DZIEWIĄTA

SESJA JEDENASTA

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Epilog

Podziękowania

Wywiad z autorem

A jeżeli nie ma Boga?

Jeżeli nie ma nieba?

Jeżeli nie ma piekła?

I jeżeli... tylko jeżeli... wszyscy już tam jesteśmy?



# Prolog

ŚRODA, 6 STYCZNIA 2016

9.52

– Nie ma Boga, to prawda.

Inspektor Emily Baxter wyteńczyła słuch, próbując złowić jakąś reakcję na ten niewygodny fakt, jednak nikt się nie odezwał.

Przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrzanej ścianie pokoju przesłuchań. Wyglądała okropnie, jakby miała pięćdziesiąt, a nie trzydzieści pięć lat. W jej górnej wardze czerniały grube szwy, które napinały się z każdym wypowiedzianym słowem, przypominając o rzeczach, o których wolałaby zapomnieć. Otarcie na czole nie chciało się goić, połamane palce miała oklejone taśmą, a inne obrażenia kryły się pod ubraniem.

Z ostentacyjnie znudzoną miną obróciła twarz w stronę dwóch mężczyzn, którzy siedzieli naprzeciwko niej. Obaj milczeli. Ziewnęła i zaczęła obracać w zdrowych palcach kosmyk swoich długich ciemnych włosów, posklejanych po trzech dniach używania suchego szamponu. Ani trochę nie przejmowała się tym, że jej ostatnia wypowiedź wyraźnie dotknęła do żywego agenta specjalnego Sinclaira, dystyngowanego Amerykanina o łysej czaszce, który notował coś na kartce opatrzonej wymyślnym nagłówkiem.

Atkins, oficer łącznikowy z Policji Metropolitalnej, wyglądał niepozornie przy wystrojonym cudzoziemcu. Przez ostatni kwadrans Baxter zastanawiała się, jaki kolor miała jego beżowa koszula, kiedy włożył ją pierwszy raz. Na zwisającym luźno krawacie, który wyglądał jak stryczek zawiązany ręką miłosiernego kata, miał świeżą plamę keczupu.

W końcu Atkins potraktował milczenie jako zachętę i zabrał głos.

– To musiało być przedmiotem całkiem interesującej rozmowy z agentem specjalnym Rouche'em – powiedział.

Po jego ogolonej do skóry głowie ściekały strużki potu. Lampy nad stołem

wydzielały sporo ciepła, a stojący w kącie grzejnik buchał gorącym powietrzem, które zamieniło cztery pary śladów z naniesionego śniegu w brudną kałużę.

– To znaczy? – zapytała Baxter.

– To znaczy, że według jego akt...

– Pieprzyć jego akta! – wtrącił Sinclair. – Pracowałem z Rouche'em i wiem ponad wszelką wątpliwość, że jest gorliwym chrześcijaninem.

Amerykanin zajrzał do leżącej przed nim teczki i spośród równo ułożonych kartek wyjął dokument, na którym widniało pismo Baxter.

– I pani również, jak wynika z wniosku o obecny przydział – dodał i wbił wzrok w jej oczy.

Wytknął tej konfliktowej kobiecie sprzeczność w rozumowaniu i wyraźnie się tym rozkoszował, jak gdyby przywrócił porządek wszechświata, udowadniając jej, że tak naprawdę podziela jego poglądy i tylko próbowała go sprowokować. Jednak Baxter wciąż wyglądała na znudzoną.

– Uświadomiłam sobie, że na ogół ludzie są idiotami – odezwała się. – Wielu z nich wyznaje mylny pogląd, że bezmyślna naiwność i twarde zasady moralne jakoś się ze sobą łączą. W zasadzie chciałam tylko dostać podwyżkę.

Sinclair pokręcił głową z niesmakiem, jakby nie wierzył własnym uszom.

– A więc skłamała pani? To nie za bardzo pasuje do wzmianki o twardych zasadach moralnych, prawda?

Wykrzywił twarz w kąśliwym uśmiechu i dopisał kilka słów na kartce.

Baxter wzruszyła ramionami.

– Za to mówi bardzo wiele o bezmyślnej naiwności – odparła. – Czy pan aby nie próbuje mnie nawrócić?

Nie mogła się powstrzymać od tego docinka. Jej słowa zgasiły uśmiech na twarzy Amerykanina, który wstał gwałtownie i pochylił się nad nią, opierając ręce na blacie.

– Zginął człowiek, pani inspektor! – wrzasnął.

Baxter ani drgnęła.

– Wielu ludzi straciło życie... przez to, co się stało – wymamrotała obojętnie, a potem dodała z przekąsem: – Więc nie rozumiem, dlaczego z takim uporem marnujecie innym czas, przejmując się jedyną osobą, która waszym zdaniem jest tego warta.

– Drażymy sprawę – wtrącił Atkins, próbując rozładować sytuację – ponieważ przy zwłokach znaleziono przedmiot... o charakterze religijnym.

– Który mógł tam podrzucić ktokolwiek – powiedziała Baxter.

Obaj mężczyźni wymienili spojrzenia, z czego wywnioskowała, że nie powiedzieli jej wszystkiego.

– Czy posiada pani jakieś informacje na temat obecnego miejsca pobytu agenta Rouche'a? – zapytał Sinclair.

– Z tego, co mi wiadomo, agent Rouche nie żyje.

– Naprawdę chce pani tak pogrywać?

– Z tego, co mi wiadomo, agent Rouche nie żyje – powtórzyła Baxter.

– A więc widziała pani jego cia...

Doktor Preston-Hall, konsultantka policyjna w dziedzinie psychiatrii, która zajmowała czwarte krzesło przy małym metalowym stoliku, chrząknęła głośno. Sinclair przerwał w pół słowa, zrozumiałwszy to wymowne ostrzeżenie. Usiadł z powrotem i skinął ręką w stronę lustra weneckiego. Tymczasem Atkins zapisał coś w swoim sfatygowanym notatniku i podsunął go lekarce.

Preston-Hall była zadbaną kobietą po sześćdziesiątce. Zapach jej drogich perfum, zdegradowany teraz do roli kwiatowego odświeżacza powietrza, bezskutecznie zmagał się z przytłaczającym odorem przemoczonych butów. Roztaczała niewymuszoną aurę stanowczości i na początku dała jasno do zrozumienia, że w dowolnym momencie może przerwać przesłuchanie, jeśli uzna je za szkodliwe dla zdrowia swojej pacjentki. Powoli wzięła do ręki poplamioną kawą notatnik i przeczytała wiadomość z miną nauczycielki, która przechwyciła sekretny liścik.

Nie odzywała się prawie od godziny i najwyraźniej teraz też uznała, że nie ma potrzeby przerywać milczenia. Odpowiedziała Atkinsowi zwykłym skinieniem głowy.

– Co on tam napisał? – zapytała Baxter, ale Preston-Hall ją zignorowała. – Co on napisał? – powtórzyła, a potem zwróciła się do Sinclaira: – Jak brzmi pańskie pytanie?

Amerikanin wyglądał na rozdartego.

– Proszę pytać.

– Emily! – krzyknęła lekarka. – Ani słowa, panie Sinclair.

– No śmiało, niech pan pyta – nalegała Baxter, a jej głos zdawał się wypełniać cały pokój. – Chodzi o stację metra? O to chciał mnie pan zapytać?

– Koniec przesłuchania – oznajmiła lekarka i wstała z krzesła.

Przeczuwając, że ostatnia szansa na uzyskanie odpowiedzi wymyka mu się z rąk, Amerykanin postanowił iść na całość, a potem martwić się konsekwencjami.

– Jak wynika z zeznań, jest pani przekonana, że agent specjalny Rouche był jedną z ofiar.

Doktor Preston-Hall uniosła ręce w geście irytacji.

– To nie było pytanie – zwróciła się do niej Baxter.

– Widziała pani jego ciało?

Sinclair po raz pierwszy zauważył, że Baxter się zawahała, ale zamiast satysfakcji poczuł wyrzuty sumienia. Jej oczy zrobiły się szkliste, kiedy wróciła wspomnieniami do tamtych przeżyć i na chwilę utknęła w przeszłości.

– Nawet gdybym je widziała, nie miałabym o tym pojęcia, prawda? – odezwała się wreszcie drżącym szeptem.

W pełnej napięcia ciszy, która znów zapanowała w ciasnym wnętrzu, do wszystkich dotarło, jak zatrważająco brzmi to proste zdanie.

– Jakie zrobił na tobie wrażenie? – wyrzucił z siebie Atkins na w pół nieoficjalne pytanie, kiedy cisza stała się już nie do zniesienia.

– Kto?

– Rouche.

– W jakim sensie? – zapytała Baxter.

– Stanu emocjonalnego.

– Kiedy?

– Kiedy widziałas go po raz ostatni.

Policjantka zastanawiała się przez chwilę nad odpowiedzią, a potem jej twarz rozjaśnił szczery uśmiech.

– Był rozluźniony.

– Rozluźniony? – powtórzył Atkins. – Widzę, że darzyłaś go sympatią.

– Niezupełnie. Był inteligentny, znał się na rzeczy i dobrze mi się z nim współpracowało... mimo jego niezaprzeczalnych wad – odparła Baxter.

Jej wielkie brązowe oczy okolone ciemnym makijażem wpatrywały się wyczekująco w Sinclaira, który przygryzł wargę i znów zerknął w stronę lustrzanej

ściany, jakby przeklinał kogoś, kto siedział po drugiej stronie, za obarczenie go tym uciążliwym zadaniem.

Atkins postanowił sam doprowadzić przesłuchanie do końca. Nie zauważył, że obie kobiety odsunęły się nieznacznie od stolika, uciekając przed nieprzyjemną wonią potu, który rozlewał się ciemnymi plamami na jego koszuli.

– Zarządziłaś przeszukanie domu agenta Rouche’a – powiedział.

– Zgadza się.

– A więc nie miałaś do niego zaufania?

– Nie.

– I teraz nie poczuwasz się do lojalności wobec niego?

– Ani trochę.

– A przypominasz sobie waszą ostatnią rozmowę? Co ci wtedy powiedział?

Na twarzy Baxter pojawił się wyraz zniecierpliwienia.

– Skończyliśmy już?

– Prawie. – Atkins zastygł w bezruchu, trzymając w palcach długopis nad otwartym notatnikiem. – Odpowiedz, proszę.

– Czy mogłabym stąd wyjść? – zwróciła się Baxter do lekarki.

– Oczywiście – odparła Preston-Hall ostrym tonem.

– Ale dlaczego nie może pani najpierw odpowiedzieć na to proste pytanie?

Słowa Sinclaira przecięły powietrze jak oskarżenie.

– W porządku, odpowiem. – Baxter nachyliła się nad stolikiem i wbiła pełne furii spojrzenie w oczy Amerykanina. – Nie... ma... Boga – wycedziła z ironicznym uśmiechem.

Długopis Atkinsa z brzękiem spadł na metalowy blat, kiedy Sinclair zerwał się, przewracając krzesło, i wybiegł z pokoju.

– Świetna robota – odezwał się Atkins znużonym tonem. – Dziękuję za współpracę, pani inspektor. Koniec przesłuchania.

**Pięć tygodni wcześniej...**

# Rozdział 1

ŚRODA, 2 GRUDNIA 2015 ROKU

6.56

Zamarznięta rzeka poskrzypywała i trzaskała, jakby budziła się z niespokojnego snu u boku lśniącej od świateł metropolii. Kadłuby łodzi i barek, zapomnianych i uwięzionych w lodzie, tonęły pod warstwą śniegu, który tymczasowo połączył w jedną całość stały ląd z położonym na wyspie centrum miasta.

Kiedy zza postrzępionego horyzontu wypełzło słońce, pod skąpanym w pomarańczowym blasku mostem pojawił się wyraźny cień – na tle białego puchu odcinała się rozpięta wewnątrz majestatycznego ostrołuku gęsta sieć, przywodząca na myśl pajęczynę, w której tkwiła schwyтана w nocy ofiara.

Zwisające bezwładnie i wygięte pod nienaturalnym kątem, niczym mucha, która w desperackiej szamotaninie rozerwała się na pół, zdeformowane ciało Williama Fawkesa przysłoniło tarczę słońca.

# Rozdział 2

WTOREK, 8 GRUDNIA 2015 ROKU

18.39

Wieczór napierał na okna gmachu przy Victoria Street, rozmazując na wilgotnych szybach kolorową mozaikę świateł. Nie licząc dwóch krótkich wizyt w toalecie i wyprawy do magazynu z artykułami papierniczymi, Baxter od rana nie opuszczała swojego ciasnego biura w Wydziale Kryminalnym. Patrzyła na stertę dokumentów, które piętrzyły się na skraju biurka, i musiała zмагаć się ze sobą, żeby nie zepchnąć całej tej papierkowej roboty do stojącego tuż obok kosza na śmieci.

W wieku trzydziestu czterech lat stała się jedną z najmłodszych funkcjonariuszek Policji Metropolitalnej w stopniu inspektora, chociaż jej błyskawiczny awans był równie nieoczekiwany, co niezbyt mile widziany. Zarówno wakat na stanowisku swojego zwierzchnika, jak i przeniesienie na jego miejsce mogła zawdzięczać wyłącznie sprawie seryjnego mordercy, którego aresztowała latem ubiegłego roku.

Poprzedni szef wydziału, Terrence Simmons, był zmuszony do odejścia na emeryturę z powodu złego stanu zdrowia, który uległ pogorszeniu, jak wszyscy podejrzewali, za sprawą ultimatum komisarza. Komisarz zagroził mu, że i tak go zwolni, jeśli nie odejdzie dobrowolnie, w zwyczajowym geście dla udobruchania rozczarowanej opinii publicznej, która niczym wiecznie rozgniewane bóstwo domagała się niewinnej krwi.

Baxter podzielała nastroje swoich kolegów i sposób, w jaki potraktowano jej poprzednika, przyprawiał ją o niesmak, ale koniec końców odetchnęła z ulgą, że to nie jej przypadła w udziale rola kozła ofiarnego. Nawet nie przyszło jej do głowy, żeby się ubiegać o świeżo zwolnione stanowisko, dopóki komisarz nie oznajmił jej, że może je objąć, jeśli ma ochotę.

Rozejrzała się po swoim gabinecie. Co ja, do cholery, sobie wyobrażałam, pomyślała, omiatając wzrokiem ściany z płyty wiórowej, brudną wykładzinę dywanową i poobijaną szafę na akta (nikt nie wiedział, jak ważne dokumenty



mogły się kryć w dolnej szufladzie, której nigdy nie zdołała otworzyć).

W sąsiednim pomieszczeniu rozległy się radosne okrzyki, ale nawet nie zwróciła na nie uwagi, zajęta rozpatrywaniem skargi na jednego z detektywów, niejakiego Saundersa, któremu zarzucano użycie wulgaryzmu na służbie. Jej wątpliwości budził jedynie fakt, że był to stosunkowo łagodny wulgaryzm. Zaczęła wystukiwać oficjalną odpowiedź, ale w połowie opuściła ją ochota do życia, więc zmięła skargę i cisnęła ją w kierunku kosza.

Rozległo się nieśmiałe pukanie i do pokoju szybkim krokiem weszła funkcjonariuszka o wyglądzie szarej myszki. Zebrała rozsiane po podłodze kule papieru i wrzuciła je do kosza, po czym z wprawą mistrzyni jengi położyła na szczycie chybotliwej sterty kolejny dokument.

– Przepraszam, że przeszkadzam – odezwała się – ale detektyw Shaw zaraz będzie wygłaszał mowę. Pomyślałam, że może chciałabyś do nas dołączyć.

Baxter zakłęta głośno i położyła głowę na biurku.

– Prezent! – jęknęła, kiedy dotarło do niej, o czym zapomniała.

Nieśmiała młoda policjantka stała przed nią, czekając na dalsze polecenia, ale kiedy zaczęła nabierać podejrzeń, że jej przełożona zasnęła, po cichu wymknęła się z gabinetu.

Baxter ociężałym ruchem podniosła się z krzesła i weszła do sali, gdzie wszyscy tłoczyli się wokół biurka sierżanta Finlaya Shawa. „Będziemy tęsknić!” – głosił napis na przyklejonym do ściany bannerze, który tak naprawdę kupił dwadzieścia lat temu sam Finlay na pożegnanie dawno zapomnianego kolegi.

Blat biurka pokrywał szeroki wybór czerstwych pączków z supermarketu, a naklejki na pudełkach informujące o przecenie sugerowały, że ich zawartość jest od trzech dni jeszcze bardziej niejadalna.

Przy wtórze dobrotliwego śmiechu sierżant odgrażał się zachrypłym głosem, że przed odejściem na emeryturę musi jeszcze raz dać Saundersowi po gębie. Teraz ich to bawiło, ale ostatni taki incydent skończył się nastawianiem złamanego nosa i postępowaniem dyscyplinarnym, co dla Baxter oznaczało długie godziny papierkowej roboty.

Nie cierpiała takich sytuacji, niezręcznych i obłudnych, jak to rozczarowujące pożegnanie po dziesiątkach lat służby, z której człowiek zabierał na pamiątkę bagaż makabrycznych wspomnień. Stała pod ścianą i uśmiechała się, z rozczuleniem

patrząc na Finlaya. Był dla niej ostatnim prawdziwym sprzymierzeńcem w tej pracy, jedyną przyjazną duszą, a ona nie kupiła mu nawet okolicznościowej kartki.

Telefon na jej biurku zaczął dzwonić.

Zignorowała go, przyglądając się, jak Finlay nieporadnie udaje, że whisky, którą mu kupili za pieniądze ze zrzutki, to jego ulubiona marka.

Wiedziała, że najbardziej lubił Jamesona – tak samo jak Wolf.

Pograżyła się w myślach. Przypomniała sobie, jak postawiła Finlawowi drinka, kiedy ostatni raz spotkali się na stopie towarzyskiej. Minął prawie rok od tamtego czasu. Powiedział jej wtedy, że nigdy nie robił sobie wyrzutów z powodu swojego braku wyższych aspiracji. Ostrzegał ją, że stanowisko kierownicze nie jest dla niej, że będzie znudzona i sfrustrowana. Nie dyskutowała z nim, bo i tak nie potrafiłyby zrozumieć, że zależało jej nie tyle na awansie, ile na jakiejś odmianie, na ucieczce.

Spojrzała ze złością w stronę swojego biurka, kiedy znów rozległ się dzwonek telefonu. Finlay odczytywał na głos kolejną wersję „Szkoda, że odchodzisz”, nagryzmołoną na odwrocie kartki z Minionkami, za których fana uchodził w czymś błędnym mniemaniu.

Baxter zerknęła na zegarek. Przynajmniej raz chciała skończyć pracę o przyzwoitej porze. Stary sierżant ze śmiechem odłożył kartkę, żeby wygłosić swoją szczerą mowę pożegnalną. Nigdy nie przepadał za wystąpieniami publicznymi i zamierzał się streszczać.

– Naprawdę bardzo wam dziękuję. Obijałem się tutaj już w czasach, gdy ten budynek lśnił nowością. – Zawiesił głos w nadziei, że chociaż jedna osoba się roześmieje. Przemawiał fatalnie i właśnie spalił swój najlepszy dowcip, mimo to ciągnął dalej, wiedząc, że teraz będzie miał już z górki. – To miejsce i ludzie, którzy tu przychodzą, to dla mnie coś więcej niż tylko praca. Staliście się moją drugą rodziną.

Jakaś kobieta stojąca w pierwszym rzędzie zatrzepotała rękami, kiedy w jej oczach wezbrały łzy. Finlay uśmiechnął się do niej w sposób, który miał sugerować, że podziela jej nastrój i kojarzy skądś jej twarz. Potem omiół wzrokiem zebranych, wypatrując jedynej osoby, do której tak naprawdę kierował swoje słowa.

– Miałem przyjemność patrzeć, jak niektórzy z was dorastali na moich oczach, zamieniając się z zarozumiałych żółtodziobów... – zająknął się, kiedy teraz sam

poczuł pieczenie pod powiekami – w silne, niezależne i dzielne młode kobiety... i mężczyzn – dodał w obawie, że mógłby się „zdradzić”. – Brak mi słów, żeby powiedzieć, jaką przyjemnością było z wami pracować i jaki dumny z was jestem.

Odchrząknął i kiedy uśmiechał się do wiwatujących kolegów, wreszcie zauważył Baxter. Stała w swoim gabinecie za zamkniętymi drzwiami i gestykulowała żywo, rozmawiając z kimś przez telefon. Uśmiechnął się ponownie, smutno tym razem, kiedy ludzie zaczęli się rozchodzić, pozostawiając go samego przy biurku, z którego musiał zabrać wszystkie rzeczy, żeby zwolnić je dla swojego następcy.

Lawina wspomnień zatrzymała się na chwilę, kiedy sięgnął po zdjęcia, które od lat zdobiły jego miejsce pracy. Zwłaszcza jedno przykuło jego uwagę – pogięte i odbarwione przez upływ czasu, zrobione podczas firmowej imprezy gwiazdkowej. W koronie z bibuły, którą nosił na łysiej głowie ku rozbawieniu swojego przyjaciela Benjamina Chambersa, obejmował Baxter ramieniem. Uświadomił sobie, że musi to być jedyna fotografia, na której widać jej szczery uśmiech. Obok stał Will, który wtedy założył się, że zdoła oderwać go od ziemi i przegrał sromotnie. Finlay ostrożnie wsunął zdjęcie do kieszeni marynarki i wrócił do pakowania.

Zawahał się, wychodząc z biura. Nie uważał, że zapomniany list, który znalazł na dnie szuflady, należy do niego. Zastanawiał się, czy go zostawić, czy podrzeć i wyrzucić, ale w końcu wepchnął zmiętą kopertę na dno pudełka ze swoimi gratami i ruszył w stronę windy. Doszedł do wniosku, że jest to jeszcze jedna tajemnica, której musi dochować.

O 19.49 Baxter wciąż siedziała przy biurku. Co dwadzieścia minut wysyłała SMS-y, przepaszając za opóźnienie i obiecując, że wyrwie się, gdy tylko będzie mogła. Nieoczekiwany telefon sprawił, że nie tylko nie wysłuchała do końca pożegnalnej mowy Finlaya, ale była zmuszona przełożyć pierwsze od wielu miesięcy spotkanie towarzyskie. Zgodnie z poleceniem swojej zwierzchniczki została w biurze i czekała na jej przybycie.

Obie kobiety nie pały do siebie sympatią. Vanita, medialna twarz Policji Metropolitalnej, otwarcie sprzeciwiała się jej awansowi. Ostrzegała komisarza, że Baxter jest kłótniwa, uparcie obstaje przy swoim i nie liczy się z przełożonymi, a poza tym obarczała ją odpowiedzialnością za śmierć jednej z ofiar mordercy, nad

którego sprawą wspólnie pracowały. Za to Baxter uważała Vanitę za pozbawioną skrupułów żmiję, która dla utrzymania wizerunku bez wahania poświęciła Simmonsa, gdy tylko pojawiły się problemy.

Na domiar złego Baxter odebrała właśnie automatycznego mejla z archiwum, zawierającego któreś już z kolei przypomnienie, że Wolf nie zwrócił wypożyczonych akt. Przeglądając długą listę, rozpoznała kilka nierozwiązanych spraw.

Sarah Bennett – kobieta, która utopiła swojego męża w przydomowym basenie. Baxter była święcie przekonana, że dokumentacja tego śledztwa wpadła za grzejnik w sali konferencyjnej, na którym ją kiedyś zostawiła, i wciąż tam leży.

Leo Dubois – ofiara pospolitego na pozór morderstwa przez zasztyletowanie. Jednak z czasem okazało się, że to jedna z najbardziej skomplikowanych spraw na przestrzeni ostatnich lat, w którą zaangażowało się kilka różnych agencji i która zahaczała o przemyt narkotyków, czarny rynek broni i handel żywym towarem. Mieli wtedy z Wolfem pełne ręce roboty.

Jej nadzieje na wyjście z pracy przed ósmą rozwiął widok Vanity, która wkroczyła do biura, prowadząc za sobą dwoje ludzi. Baxter nie zadała sobie nawet trudu, żeby wstać, gdy szefowa powitała ją z tak dobrze wyćwiczoną uprzejmością, że omal nie wzbudziła jej zaufania.

– Detektyw inspektor Emily Baxter – rozpoczęła prezentację Vanita. – A to agentka specjalna Elliot Curtis z FBI.

– Bardzo mi miło, proszę pani – odezwała się wysoka ciemnoskóra kobieta, wyciągając rękę na powitanie.

Nosiła garnitur o męskim kroju, jej makijaż był ledwie zauważalny, a ciasno spięte włosy sprawiały wrażenie, jakby miała ogoloną głowę. Chociaż wyglądała na trzydzieści kilka lat, Baxter podejrzewała, że jest młodsza. Podniosła się z fotela, żeby uścisnąć jej dłoń, tymczasem Vanita wskazała na drugiego z gości, który wydawał się bardziej zainteresowany zdezelowaną szafą na akta niż zapoznawczym rytuałem.

– A to jest agent specjalny...

– Skoro oni są tacy specjaliści – przerwała jej Baxter – to zastanawiam się, dlaczego przyjmujemy ich w tej żalösnej klitce.

Vanita zignorowała jej przytyk.

– Jak już powiedziałam, to jest agent specjalny Damien Rouche z CIA.

Baxter nie kryła zmieszania, gdy roztargniony mężczyzna uśmiechnął się uprzejmie i uniósł pięść, żeby przybić z nią żółwika, po czym bez słowa usadowił się na jednym z krzeseł. Oceniała na oko, że dobiega czterdziestki. Był gładko ogolony, miał ziemistą cerę, a nad czołem sterczała mu zaczesana do góry przyprószona siwizną i nieco przydługa grzywka. Spojrzał na stertę dokumentów, która piętrzyła się tuż nad czekającym w pogotowiu koszem, i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Dwa górne guziki białej koszuli miał rozpięte, a jego granatowy garnitur wyglądał na sfatygowany, ale dobrze na nim leżał.

– Agenci Curtis i Rouche przylecieli dziś wieczorem z Ameryki – wyjaśniła Vanita.

– Już zaczynam rozumieć – odparła Baxter bardziej cierpliwym tonem, niż zamierzała. – Byłam dziś trochę zagoniona, więc...

– Oczywiście słyszała pani o zwłokach, które znaleźliśmy blisko tydzień temu...

– zwróciła się do niej Curtis, ale zamilkła na widok jej obojętnej miny. – Nowy Jork? Most Brookliński? Wiszące ciało? Nie ogląda pani wiadomości?

Baxter stłumiła ziewnięcie.

Rouche zanurzył rękę w kieszeni marynarki. Curtis znieruchomiała, spodziewając się, że sięgnął po coś przydatnego, ale gdy w jego dłoni pojawiła się duża paczka Jelly Babies, zgromiła go wzrokiem. Agent rozerwał folię i widząc gniewne spojrzenie partnerki, wyciągnął żelki w jej stronę.

Curtis zignorowała jego gest. Ze swojej aktówki wyjęła teczkę z dokumentami, otworzyła ją i wybrała kilka zdjęć dużego formatu, które położyła na biurku.

Nagle do Baxter dotarło, dlaczego ci ludzie przebyli taki kawał drogi, żeby się z nią zobaczyć. Pierwsza fotografia, wykonana z poziomu jezdni, przedstawiała ludzką sylwetkę, która wisiała między linami mostu na wysokości około trzydziestu metrów. Na tle jasnego nieba odcinały się powykręcane pod nienaturalnymi kątami kończyny.

– Jeszcze nie ogłosiliśmy tego publicznie, ale ofiara nazywa się William Fawkes.

Baxter na chwilę wstrzymała oddech. I tak była już osłabiona, bo cały dzień prawie nic nie jadła, ale teraz poczuła się, jakby za chwilę miała zemdleć. Wyciągnęła drżącą dłoń w stronę zdeformowanej postaci na zdjęciu. Czuła na sobie badawcze spojrzenia; obserwowali ją i być może odżywały w nich wątpliwości co

do mglistej wersji wydarzeń, jaką przedstawiła w swoich zeznaniach dotyczących zakończenia sprawy „Szmacianej Lalki”.

– Ale to nie *ten* Fawkes – odezwała się Curtis i zabrała leżącą na wierzchu fotografię, odsłaniając kolejną, która przedstawiała nagie ciało jakiegoś nieznanego mężczyzny z nadwagą.

Baxter zasłoniła usta dłońmi. Wciąż była zbyt wstrząśnięta, żeby cokolwiek powiedzieć.

– Pracował w banku inwestycyjnym P.J. Henderson. Żona, dwójka dzieci... Ale ktoś najwyraźniej przesyła nam wiadomość.

Baxter zdążyła już na tyle ochłonąć, że zaczęła przeglądać pozostałe fotografie. Widniały na nich ujęcia zwłok pod różnymi kątami. Jedno ciało w całości, żadnych szwów. Mężczyzna po pięćdziesiątce, rozebrany do naga. Zwisająca luźno lewa ręka, słowo „Przynęta” wycięte głęboko w skórze na klatce piersiowej. Przejrzała resztę zdjęć i oddała je Curtis.

– Przynęta? – zapytała, spoglądając na dwójkę agentów.

– Teraz to chyba zrozumiałe, dlaczego uznaliśmy, że powinna się pani o tym dowiedzieć – wyjaśniła Amerykanka.

– Niezupełnie.

Curtis z wyrazem osłupienia na twarzy zwróciła się do Vanity.

– Spodziewałam się, że kto jak kto, ale przede wszystkim to pani ludzie wykażą...

– Masz pojęcie, ilu naśladowców wypłynęło u nas w ciągu ostatniego roku? – przerwała jej Baxter. – Wiem o siedmiu zabójstwach, a robię wszystko, żeby unikać takich wiadomości.

– I w ogóle to pani nie martwi? – zapytała Curtis.

Baxter nie potrafiła pojąć, czemu miałyby poświęcić tej makabrycznej sprawie więcej czasu niż pięciu innym, które trafiły tego ranka na jej biurko. Wzruszyła ramionami.

– Świry zawsze będą świrować – powiedziała, a Rouche omal się nie udławił pomarańczowym żelkiem. – Lethaniel Masse był niezwykle inteligentnym i przedsiębiorczym seryjnym mordercą o bujnej wyobraźni. Cała reszta to zwykli popaprańcy, którzy bezczeszczą zwłoki ofiar i łatwo dają się złapać.

Baxter wyłączyła komputer i zaczęła pakować swoje rzeczy, szykując się do

wyjścia.

– Półtora miesiąca temu, żeby uniknąć psikusa, dałam paczkę czekoladowych drażetek sześciolletniemu wcieleniu Szmacianej Lalki, które zapukało do moich drzwi w Halloween – ciągnęła. – A jakiś natchniony pedzio w berecie wpadł na pomysł, żeby pozszywać szczątki martwych zwierząt. To wariactwo stało się teraz przebojem sztuki nowoczesnej, którym podniecają się masy równie natchnionych i pedałowatych bereciarzy.

Rouche parsknął śmiechem.

– Jeden chory skurwiel zrobił nawet o tym serial. Ta sprawa wciąż odbija się echem, a nam nie pozostaje nic innego, jak nauczyć się z tym żyć – skwitowała, zerkając na Rouche'a, który wlepił wzrok w paczkę żelków. – Czy on umie mówić? – zwróciła się do Curtis.

– Woli słuchać – odparła agentka z przekąsem, jakby już od dawna była znużona ekscentrycznym zachowaniem kolegi.

– Zmienili coś? – wybełkotał wreszcie Amerykanin ustami pełnymi kolorowej żelatyny, kiedy zdał sobie sprawę, że wszystkie trzy kobiety oczekują, żeby włączył się do rozmowy.

Ku swemu zdumieniu Baxter zauważyła, że agent CIA mówi z nienagannym brytyjskim akcentem. Wyteżyła słuch, żeby się upewnić, czy jej nie przedrzeźnia.

– Co zmienili? – zapytała.

– Recepturę Jelly Babies. Już nie smakują tak jak dawniej.

Curtis potarła czoło w geście zakłopotania i frustracji.

– Jestem z kimś umówiona – rzuciła Baxter i spojrzała ze zniecierpliwieniem na Vanitę.

– Mamy powody, aby sądzić, że to nie jest robota kolejnego naśladowcy – oznajmiła stanowczo Curtis i wskazała na zdjęcia, usiłując skierować rozmowę z powrotem na właściwy tor.

– Racja. To nawet nie jest naśladowca. Niczego nie przyszył.

– Dwa dni temu doszło do kolejnego morderstwa. Tym razem w miejscu... bardziej dogodnym, jeśli chodzi o nasze szanse na powstrzymanie przecieków do mediów, przynajmniej do czasu. Ale w przypadku sprawy o takim... – Curtis zerknęła w stronę Rouche'a, oczekując wsparcia, ale na próżno – ...charakterze, nie ma co się łudzić, że będziemy w stanie ukrywać ją przed światem dłużej niż do

jutra.

– Przed światem? – powtórzyła Baxter sceptycznym tonem.

– Mamy do pani małą prośbę.

– I dużą też – dodał Rouche, który mówił jeszcze wyraźniej, kiedy przełknął garść żelków.

Baxter zgromiła go wzrokiem, ale zanim zdążyła się odezwać, napotkała piorunujące spojrzenie Vanity.

– Chcielibyśmy przesłuchać Lethaniela Masse’a – zwróciła się do niej Curtis.

– A więc dlatego wzięły się do tego FBI i CIA. Trup w Nowym Jorku, podejrzany za oceanem. – Baxter wzruszyła ramionami. – Nie widzę przeszkód.

– Oczywiście w pani obecności.

– Wykluczone. Nie ma najmniejszego powodu, dla którego byłabym wam do tego potrzebna. Sami potraficie odczytać pytania z kartki. Wierzę w was.

Jej sarkastyczna uwaga wywołała uśmiech na twarzy Rouche’a.

– Oczywiście z wielką przyjemnością udzielimy wam wszelkiej możliwej pomocy, prawda, pani inspektor? – wtrąciła Vanita gniewnym tonem. – Tak bardzo zależy nam na przyjaznych stosunkach z FBI i CIA, że...

– Dobra – warknęła Baxter. – Pójdę tam, żeby potrzymać was za rączkę. A ta mała prośba?

Agenci wymienili ukradkowe spojrzenia i nawet Vanita zaczęła się niespokojnie wiercić na krześle, ale nikt nie zdobył się na odwagę, żeby zabrać głos.

– To... była ta mała prośba – odezwała się wreszcie Curtis. – Chcielibyśmy, żeby obejrzała pani osobiście miejsce zbrodni.

Baxter sprawiała wrażenie, jakby za chwilę miała eksplodować.

– A zdjęć nie macie? – zapytała zduszonym szeptem.

Rouche wyduł dolną wargę i pokręcił głową.

– Uzgodniłam już z komisarzem kwestię delegacji – oświadczyła Vanita. – Zajmę twoje miejsce, kiedy cię nie będzie.

– To niezbyt wygodne miejsce.

Ta kąśliwa uwaga sprawiła, że szefowa wydziału na krótką chwilę straciła swój profesjonalny fason.

– Poradzę sobie... jakoś.

– To niedorzeczne! Jak, do cholery, miałabym wam pomóc w zupełnie



niezwiązanej ze mną sprawie na drugim końcu świata?

– Nijak – odparł Rouche rozbijająco szczerym tonem. – To całkowita strata naszego czasu... i waszego.

– Mój kolega chciał chyba powiedzieć, że amerykańska opinia publiczna postrzeża to nieco inaczej niż my – wtrąciła Curtis. – Ludzie skojarzą te morderstwa ze stylem Masse'a i musimy im pokazać, że osoba, która go schwyciła, poluje teraz na nowe potwory.

– Potwory?

Tym razem to Rouche przewrócił oczami, patrząc na koleżankę, która najwyraźniej powiedziała więcej, niż powinna na tym etapie. Agentka zamilkła, co świadczyło jednoznacznie o tym, że znów zaczęła się pilnować.

– A więc to jest tylko na pokaz? – zapytała Baxter.

– Tak jak wszystko, co robimy – odezwał się Rouche z uśmiechem. – Prawda, pani inspektor?

# Rozdział 3

WTOREK, 8 GRUDNIA 2015 ROKU

20.53

– Jestem! – zawołała Baxter. – Przepraszam, że tak późno.

Zatrzymała się w przedpokoju, żeby zdjąć buty, i weszła do salonu. Chłodny powiew od strony kuchni unosił mieszaninę smakowitych zapachów, a z ustawionego w kącie głośnika sączyła się jakaś łagodna piosenka ze składanki Starbucksa.

Stół był nakryty na cztery osoby, a migocące płomienie świec napełniały wnętrze pomarańczowym blaskiem, w którym zwichrzone włosy Alexa Edmunda wydawały się jeszcze bardziej rude. Jej były podwładny podszedł do niej powoli z butelką po piwie w ręku. Chociaż była wysoka, musiała stanąć na palcach, żeby go objąć.

– Gdzie jest Tia? – zapytała.

– Dzwoni do niańki... znowu.

– Em, to ty? – odezwał się w kuchni męski głos.

Baxter nie odpowiedziała. Była zbyt zmęczona, żeby dać się zaciągnąć do pomocy przy gotowaniu.

– Mam tu wino – dodał figlarnie głos.

Te słowa zwabiły ją do idealnie urządzonej kuchni, która wyglądała jak obrazek z katalogu. Pod przykrywkami kilku luksusowych garnków coś bulgotało, a mężczyzna w długim fartuchu założonym na elegancką koszulę od czasu do czasu mieszał ich zawartość albo podkręcał ogień. Podeszła do niego i cmoknęła go w usta.

– Tęskniłem za tobą – odezwał się Thomas.

– Mówiłeś coś o winie?

Roześmiał się i sięgnął po otwartą butelkę.

– Dzięki – powiedziała, kiedy podał jej kieliszek. – Tego mi było trzeba.

– Nie mnie dziękuj. To od Alexa i Tii.

Obydwoje unieśli kieliszki w stronę Edmunda, który stał oparty o framugę, a potem Baxter usiadła na blacie kuchennym, skąd mogła się przyglądać, jak Thomas gotuje.

Poznali się osiem miesięcy wcześniej, w godzinach szczytu, podczas jednego z powtarzających się często, ale niezmiennie uciążliwych strajków londyńskiego metra. Kiedy rozwścieczona Baxter wbrew zdrowemu rozsądkowi usiłowała aresztować pikietującego mężczyznę, który domagał się wyższego wynagrodzenia i bezpieczniejszych warunków pracy, Thomas stanął w jego obronie. Powiedział jej, że jeśli zakuje tego człowieka w kajdanki i zmusi go groźbami, żeby wbrew swej woli szedł z nią dziesięć kilometrów na posterunek w Wimbledonie, teoretycznie będzie winna uprowadzenia. Wtedy aresztowała jego.

Thomas był łagodnym i uczciwym mężczyzną. Starszy od niej o przeszło dziesięć lat, miał prezencję równie pospolitą, jak jego gust muzyczny. Był pewny siebie. Znał swoją wartość i wiedział, czego chce – uporządkowanego, kojąco spokojnego i wygodnego życia. A do tego był prawnikiem. Baxter nieraz uśmiechała się na myśl o tym, jak bardzo działałby na nerwy Wolfowi. Zastanawiała się często, czy to właśnie dlatego tak się jej spodobał.

W ciągu ostatnich dwóch miesięcy namawiał ją kilka razy, żeby wprowadziła się do jego domu. Chociaż przewiozła do niego trochę swoich rzeczy, a nawet wspólnie przemeblowali sypialnię, oświadczyła bez ogródek, że nie chce porzucić mieszkania przy Wimbledon High Street, gdzie trzymała swojego kota Echo, żeby zawsze móc usprawiedliwić powrót do domu.

Czwórka przyjaciół zasiadła do kolacji. Wymieniali się historyjkami, które z upływem czasu straciły na dokładności, ale za to stały się zabawniejsze, i wyrażali głębokie zainteresowanie odpowiedziami na najbardziej przyziemne pytania o pracę, sposób przyrządzania łososia i wychowanie dzieci. Trzymając Cię za rękę, Edmunds opowiadał z ożywieniem o swoim awansie w wydziale gospodarczym i powtórzył kilka razy, o ile więcej czasu może teraz poświęcić swojej powiększonej rodzinie. Baxter nie wspomniała o wizycie agentów zza oceanu i zadaniu nie do pozazdroszczenia, które czekało ją rano.

Minęła dwudziesta druga, kiedy Tia zasnęła na kanapie, a Thomas zajął się sprzątaniami w kuchni. Edmunds, który przerzucił się na wino, napełnił kieliszki

stojące przed nim i jego dawną przełożoną.

– No to jak ci idzie w gospodarczym? – zapytała Baxter półgłosem i zerknęła w stronę kanapy, żeby się upewnić, czy Tia nadal śpi.

– Już mówiłem... świetnie – odparł Edmunds i nie doczekawszy się żadnej reakcji, skrzyżował ręce na piersi w obronnym geście. – No co? Dobrze sobie radzę, ludzie są w porządku... A co byś chciała usłyszeć?

W końcu zrozumiał, że jego odpowiedź nie wypadła zadowolająco i się uśmiechnął. Zbyt dobrze go znała.

– Strasznie się nudzę – dodał. – Ale to nie tak... Nie żałuję, że odszedłem z kryminalnego.

– Odnoszę wrażenie, że jest wręcz przeciwnie – zasugerowała Baxter, która próbowała namówić go do powrotu za każdym razem, kiedy się spotykali.

– Teraz wiodę normalne życie, mam czas dla mojej córeczki...

– Marnujesz się, i tyle – odparła Baxter.

W jej słowach nie było przesady. Oficjalnie to ona aresztowała otoczonego złą sławą seryjnego mordercę, ale nieoficjalnie przełom w śledztwie był zasługą Edmundsa. On jeden potrafił znaleźć wyjście z labiryntu kłamstw i podstępów, w którym błądziła cała grupa dochodzeniowa.

– Jeśli znajdziesz mi posadę detektywa od dziewiątej do siedemnastej, jeszcze dziś podpiszę umowę – powiedział Edmunds z uśmiechem.

Wiedział, że rozmowa jest skończona. Baxter dała za wygraną. Wypiła łyk wina i przez chwilę wsłuchiwała się w dobiegające z kuchni odgłosy.

– Wybieram się jutro do Masse'a – rzuciła od niechcienia, jakby codziennie odwiedzała seryjnych morderców w więzieniu.

– Co? – Jej były podwładny omal nie zachłysnął się łykiem przecenionego sauvignon blanc. – Po co?

Oprócz niej był jedyną osobą, która wiedziała, co tak naprawdę wydarzyło się podczas aresztowania Lethaniela Masse'a. Żadne z nich nie miało pojęcia, ile zapamiętał z tamtego dnia sam morderca, który padł wtedy ofiarą ciężkiego pobicia i omal nie umarł. Jednak Baxter wciąż nie czuła się pewnie i zdawała sobie sprawę, jak łatwo mógłby ją zniszczyć, gdyby jego psychopatyczny mózg dostarczył mu atutów.

Opowiedziała Edmundsowi o rozmowie z Vanitą i dwójką amerykańskich

agentów, którym miała teraz pomagać w śledztwie toczącym się za oceanem. Edmunds słuchał jej w milczeniu, a jego twarz z każdą chwilą wyrażała coraz większe zaniepokojenie.

– Myślałem, że jest już po wszystkim – odezwał się, kiedy skończyła mówić.

– Bo jest. To tylko kolejny naśladowca, tak jak tamci – odparła, ale zauważyła, że jej zapewnienie nie wypadło przekonująco. – No co tak patrzysz?

– Powiedziałaś, że ofiara miała na piersi wycięte słowo „Przynęta”.

– Zgadza się.

– Zastanawiam się, na kogo ta przynęta.

– Myślisz, że chodzi o mnie?

– Facet nazywa się tak samo jak Wolf i proszę bardzo, teraz ty jesteś w to zamieszana.

Baxter z rozczeniem spojrzała na przyjaciela.

– To jeszcze jeden naśladowca – powtórzyła. – Nie musisz się o mnie martwić.

– I tak zawsze się martwię.

– Kawy? – zapytał Thomas, zaskakując ich obydwój.

Stał w drzwiach kuchni i wycierał dłonie w ręcznik.

– Tak, poproszę czarną – odparł Edmunds.

Baxter podziękowała, i Thomas znikł z powrotem w kuchni.

– Masz coś dla mnie? – zapytała szeptem.

Edmunds zrobił zakłopotaną minę. Zerkając w stronę otwartych drzwi kuchni, z ociąganiem sięgnął do kieszeni kurtki, która wisiała na oparciu krzesła. Wyjął z niej białą kopertę, którą położył przed sobą na stole, i po raz któryś z kolei spróbował przemówić do rozsądku swojej byłej przełożonej.

– To nie jest ci potrzebne – powiedział, przyciągając kopertę do siebie, kiedy Baxter po nią sięgnęła. – Thomas jest dobrym człowiekiem. Możesz mu zaufać.

– Ufam tylko tobie.

– Nigdy nie ułożysz sobie z nim życia, jeśli będziesz tak postępować.

Z kuchni dobiegło pbrzękiwanie porcelany i obydwój odwrócili wzrok w tamtą stronę. Baxter szybko wstała, wyrwała Edmundsowi kopertę i wróciła na swoje krzesło, kiedy Thomas wszedł do salonu, niosąc kawę.

– Dla własnego dobra nie zaglądam do środka – szepnęła Edmunds, obejmując swoją byłą szefową na pożegnanie.

Uściskała go, ale nic nie odpowiedziała.

Kiedy goście wyszli, dopiła wino i sięgnęła po płaszcz.

– Już idziesz? – zapytał Thomas. – Nie pobyliśmy długo ze sobą.

– Echo będzie głodny – odparła, wkładając buty.

– Nie mogę cię odwieźć. Za dużo wypilem.

– Złapię taksówkę.

– Zostań.

Stojąc w zabłoconych butach na wycieracze, nachyliła się do niego przez próg. Thomas pocałował ją i uśmiechnął się z rozczarowaniem.

– Dobranoc.

Dochodziła północ, kiedy Baxter otworzyła drzwi swojego mieszkania. Nie czuła ani odrobiny zmęczenia. Rozsiadła się na sofie z butelką czerwonego wina, włączyła telewizor i zaczęła chaotycznie przełączać kanały, a gdy nie natrafiła na nic godnego uwagi, postanowiła wybrać któryś z gwiazdkowych filmów, które kolekcjonowała.

Ostatecznie zdecydowała się na *Kevina samego w Nowym Jorku*, ponieważ tak naprawdę było jej obojętne, czy zaśnie podczas oglądania. Pierwszą część uważała skrycie za najlepszą komedię wszech czasów, ale druga była dla niej pozbawioną polotu imitacją, której twórcy wpadli w starą jak świat pułapkę, łudząc się, że jeśli pokażą te same gagi w innej scenerii, powstanie doskonalszy sequel.

Napełniła kieliszek resztką wina, jednym okiem zerkając na ekran, gdzie Macaulay Culkin beztrąsko usiłował pozbawić życia ścigających go opryszków. Przypomniała sobie o kopercie i wyjęła ją z kieszeni płaszcza. W jej głowie bez przerwy odbijały się echem usilne prośby Edmunda, który od ośmiu miesięcy narażał się dla niej, nadużywając swoich uprawnień w wydziale gospodarczym. Mniej więcej co tydzień dostarczał jej szczegółowy raport o finansach Thomasa.

Wiedziała, że żąda od niego zbyt wiele. Wiedziała, że Edmunds uważa Thomasa za przyjaciela i czuje się jak zdrajca, kiedy prześwietla jego rachunki bankowe, stosując standardowe procedury, jak w przypadku podejrzeń o malwersacje. Ale wiedziała również, dlaczego to robi i wciąż nie zamierza jej odmawiać – bo chce, żeby była szczęśliwa. Zdawał sobie sprawę, że odkąd Wolf znikł z jej życia, zaufanie stało się dla niej bolesnym problemem i nie widzi dla siebie przyszłości u boku nowego partnera, jeśli nie będzie mogła regularnie sprawdzać jego

uczciwości.

Baxter położyła zamkniętą kopertę na stoliku i próbowała skupić uwagę na filmie, w którym głowa jednego z włamywaczy staje w płomieniach, podpalona lampą lutowniczą. Wydało się jej, że czuje swąd palonego ciała. Przypomniała sobie, jak szybko obumierają zwęglone tkanki, jak przeraźliwie krzyczy człowiek, gdy ogień trawi jego zakończenia nerwowe...

Na ekranie Joe Pesci wyjął przypaloną głowę z umywalki i dalej robił swoje, jak gdyby nic się nie stało. Kłamstwo na każdym kroku, pomyślała, nikomu nie można ufać.

Trzema łykami opróżniła kieliszek i rozdarła kopertę.

# Rozdział 4

ŚRODA, 9 GRUDNIA 2015 ROKU

8.19

W nocy zaatakowała zima. Blade grudniowe słońce wydawało się obce i odległe, a jego światło było zbyt anemiczne, żeby ocieplić ten mroźny poranek. Stojąc na chodniku przy Wimbledon High Street, Baxter czuła, jak kostnieją jej palce. Spojrzała na zegarek. Dwadzieścia minut spóźnienia. Dwadzieścia minut, które mogła spędzić z kubkiem gorącej kawy w przytulnym wnętrzu swojego mieszkania.

Podsłoczyła kilka razy w miejscu, żeby się rozgrzać, kiedy lodowate powietrze zaczęło ją szczypać w policzki. Przed wyjściem zmusiła się nawet do założenia śmiesznej czapki z pomponem, którą kupił jej Thomas w komplecie z wełnianymi rękawiczkami.

Mijający ją przechodnie dreptali ostrożnie po lśniącej srebrzyście ślizgawce, jakby zdawali sobie sprawę, że złośliwy los czyha na jeden nieostrożny krok, żeby połamać im nogi. Przyglądała się, jak stojący po przeciwnych stronach ruchliwej ulicy dwaj mężczyźni wołają coś do siebie, a wydychane przez nich obłoczki pary unoszą się w powietrzu niczym komiksowe dymki.

Kiedy piętrowy autobus zatrzymał się na światłach, zobaczyła swoje odbicie w szybie. Zawstydzona, szybkim ruchem zerwała z głowy pomarańczową czapkę i wepchnęła ją do kieszeni. Nad swoją niezadowoloną twarzą zobaczyła dobrze znaną reklamę, która ciągnęła się wzdłuż burty pojazdu.

*„Andrea Hall, Występ brzuchomówcy. Oto przemawia morderca”.*

Najwyraźniej nie do końca usatysfakcjonowana sławą i fortuną, którą zbiła na ludzkim nieszczęściu, relacjonując przed kamerami kolejne zbrodnie Masse'a, była żona Wolfa okazała się na tyle arogancka, aby opublikować osobiste wspomnienia z tamtych wydarzeń.

Reporterka uśmiechała się do Baxter z ogromnego zdjęcia na tylnej ścianie



odjeżdżającego autobusu. Wyglądała na młodszą i bardziej atrakcyjną niż kiedykolwiek, a ogniście rude włosy miała obcięte krótko, w modnym stylu. Baxter pomyślała, że nigdy nie odważyłaby się na taką fryzurę. Zanim irytujący portret zdążył się oddalić poza zasięg celnego rzutu, sięgnęła do torby i wyjęła z pudełka śniadaniowego podstawowy składnik kanapki z pomidorem, który rozbryztał się na środku pełnej próżnego samozadowolenia twarzy.

– Inspektor Baxter...

Policjantka się wzdygnęła. Nie zauważyła wielkiej czarnej furgonetki, która zatrzymała się na przystanku za jej plecami. Schowała pudełko śniadaniowe do torby i odwróciła się w stronę Curtis, która przyglądała się jej z konsternacją.

– Co robisz? – zapytała agentka.

– Och, ja tylko... – Baxter zawiesiła głos w nadziei, że ta profesjonalistka o nienagannej prezencji zadowolili się tak obszernym wyjaśnieniem jej nietypowego zachowania.

– Rozumiem, że lubisz obrzucać autobusy jedzeniem.

– Coś w tym rodzaju.

Curtis odsunęła boczne drzwi, odsłaniając przestronne wnętrze samochodu kryjące się za przyciemnionymi szybami.

– Ech, ci Amerykanie – mruknęła Baxter z lekceważeniem.

– No i jak się czujemy dziś rano? – zagadnęła uprzejmie agentka.

– Nie wiem jak my, ale ja cholernie zmarzłam.

– Wiem, przepraszam za spóźnienie. Nie spodziewaliśmy się, że ruch będzie tak duży.

– To jest Londyn.

– Wskakuj.

– Na pewno się zmieszczę? – zapytała Baxter z ironią, gramoląc się niezgrabnie do środka.

Rozległ się krępujący odgłos, kiedy usiadła w skórzanym fotelu, i nie była pewna, czy nie powinna wyjaśnić, że to wina tapicerki, nie jej. W końcu jednak doszła do wniosku, że to samo musiało spotykać każdego pasażera, który zajmował to miejsce. Uśmiechnęła się do Curtis.

– Nic się nie stało – powiedziała Amerykanka, zasuważąc drzwi i dała znak kierowcy, który włączył się do ruchu.

– Nie ma Rouche’a?

Odmarzając w nagrzanym wnętrzu furgonetki, Baxter zastanawiała się przez chwilę, dlaczego goście zza oceanu nie wpadli na pomysł, żeby zatrzymać się w tym samym hotelu.

– Obawiam się, że będziesz musiała do tego przywyknąć. W Nowym Jorku właśnie spadło pół metra śniegu. – Curtis zanurzyła rękę w swojej aktówce i wyjęła z niej czarną wełnianą czapkę podobną do swojej.

Podążyła ją Baxter, która rozpogodziła się trochę, dopóki nie zauważyła wyhaftowanych jaskrawożółtą nicią liter „FBI”. Idealny cel dla snajpera, gdyby się jakiś napatoczył, pomyślała.

– Dzięki, ale mam swoją.

Wyjęła z kieszeni oślepiająco pomarańczowe nakrycie głowy i je założyła. Curtis wzruszyła ramionami i zajęła się obserwowaniem widoków za oknem.

– Widziałas się z nim od tamtego czasu? – odezwała się po chwili. – To znaczy z Masse’em?

– Tylko w sądzie.

– Trochę się denerwuję – wyznała Curtis i się uśmiechnęła.

Baxter przez chwilę patrzyła jak urzeczona na idealny uśmiech młodej agentki, który upodabniał ją do gwiazdy filmowej. Potem zwróciła uwagę na jej nieskazitelną ciemną cerę. Nie potrafiła dociec, czy jest to efekt dyskretnego makijażu. Trochę skrępowana zaczęła obracać w palcach kosmyk włosów i wbiła wzrok w okno.

– Chodzi o to, że Masse jest żywą legendą – ciągnęła Amerykanka. – Słyszałam, że już uczą o nim w akademii policyjnej. Jestem pewna, że kiedyś będą stawiać go na równi z Tedem Bundym i Johnem Wayne’em Gacym. To naprawdę... zaszczyt, nie? Z braku lepszego słowa.

Baxter posłała jej gniewne spojrzenie.

– Wolałabym, żebyś znalazła jakieś lepsze słowo – warknęła. – Ten chory sukinsyn zamordował i poćwiartował jednego z moich przyjaciół. Myślisz, że to takie przyjemne? Liczysz na autograf?

– Nie chciałam cię urazić...

– Marnujesz swój czas. Mój też. Marnujesz nawet czas kierowcy. Z Masse’em nie porozmawiasz. Słyszałam, że wciąż nie może ruszać zuchwą.

Curtis odchrząknęła i wyprostowała się na siedzeniu.

– Bardzo mi przykro z powodu mojej...

– Jeśli ci przykro, to najlepiej nic już nie mów.

Resztę podróży obie kobiety spędziły w milczeniu. Baxter obserwowała odbicie agentki w szybie. Nie wyglądała na rozgniewaną ani oburzoną, co najwyżej była zła na siebie za swoją nieprzemyślaną wypowiedź. Jej usta poruszały się bezgłośnie, jakby ćwiczyła przeprosiny albo rozważała argumenty, których zamierzała użyć w kolejnej nieuniknionej konfrontacji.

Baxter zaczęła odczuwać lekkie wyrzuty sumienia z powodu zbyt ostrej reakcji. Przypomniała sobie, jak sama z trudem panowała nad podnieceniem półtora roku temu, kiedy po raz pierwszy zobaczyła osławionego mordercę i uświadomiła sobie, że uczestniczy w czymś doniosłym, co może całkowicie zmienić bieg jej kariery. Już miała się odezwać, gdy zauważyła, że furgonetka skręca i zatrzymuje się przed dużym domem w bogatej podmiejskiej dzielnicy.

Ze zdumieniem patrzyła na rezydencję wzorowaną na stylu Tudorów, której ktoś zdołał nadać przytulny i zarazem niechlujny wygląd. Wybujałe chwasty sterczały z głębokich pęknięć na stromym podjeździe, kolorowy sznur wyłączonych lampek choinkowych przywierał kurczowo do odrapanych ram okiennych, a z komina przykrytego ptasim gniazdem sączyła się leniwie smużka dymu.

– Dziwnie wygląda ten hotel – powiedziała.

– Rodzina Rouche'a nadal tu mieszka – wyjaśniła Curtis. – Myślę, że odwiedzają go od czasu do czasu, a on wpada do domu, kiedy tylko może. Wyznał mi, że w Stanach ciągle pomieszkuje w hotelach. Ale taka chyba jest natura tej pracy. Człowiek nigdzie nie zagrzeje miejsca na dłużej.

Z budynku wyszedł Rouche, w biegu dojadając grzanekę. Wydawał się dobrze wkomponowany w scenerię zimowego poranka – jego biała koszula i granatowy garnitur harmonizowały z ciemnymi chmurami, które zasnuwały niebo, a srebrzyste nitki włosów połyskiwały jak oblodzony beton.

Ślizgając się na podjeździe, wpadł na Curtis, która wysiadła, żeby się z nim przywitać, ale najpierw przywitała się z jego śniadaniem.

– Uważaj, Rouche! – ofuknęła go.

– Większych nie było? – odparł agent z ironią, wskazując na samochód.

Zajął miejsce przy oknie naprzeciwko Baxter, której zaproponował kęs swojej

grzanki, i wyszczerzył zęby w uśmiechu na widok jej czapki. Kiedy ruszyli w dalszą drogę, Curtis zajęła się przeglądaniem jakichś dokumentów, podczas gdy Baxter i Rouche obserwowali przemykające za szybą budynki, które zlewały się w bezkształtną masę przy wtórze warkotu silnika.

– Boże, jakie to miasto jest obrzydliwe – mruknął agent, patrząc na imponującą panoramę, kiedy przejeżdżali na drugą stronę rzeki. – Ruchliwe, hałaśliwe i zaśmiecone. Każde miejsce, którego da się dosięgnąć, jest usmarowane graffiti. A te zatłoczone ulice są jak tętnice zawałowca.

Curtis uśmiechnęła się przepaszająco do Baxter.

– To mi trochę przypomina czasy szkolne – ciągnął Rouche. – Imprezę w domu bogatego dzieciaka, wiesz? Rodzice wyjeżdżają, a pod ich nieobecność cały artystyczny i architektoniczny splendor ulega degradacji i profanacji, żeby zaspokoić płytkie potrzeby tych, którzy nigdy go nie doceniali.

Przez chwilę wszyscy siedzieli w pełnym napięcia milczeniu, podczas gdy samochód powoli zbliżał się do skrzyżowania.

– No cóż, a mnie bardzo się tu podoba – oznajmiła z entuzjazmem Curtis. – Wszędzie jest tyle zabytków.

– W zasadzie zgadzam się z Rouche'em – odparła Baxter. – Jak powiedziałas, wszędzie są zabytki. Ty widzisz Trafalgar Square, a ja widzę zaułek naprzeciwko, gdzie w kontenerze na śmieci znaleźliśmy zwłoki prostytutki. Ty widzisz gmach parlamentu, a ja widzę pościg za motorówką, przez który straciłam... coś, czego nie powinnam była stracić. Właśnie tak to wygląda, ale mieszkamy tutaj.

Po raz pierwszy od rozpoczęcia podróży Rouche oderwał wzrok od okna i omiół Baxter badawczym spojrzeniem.

– A więc kiedy wyprowadziłeś się z Londynu? – zwróciła się do niego Curtis, która znosiła milczenie gorzej niż pozostali.

– W dwa tysiące piątym.

– Pewnie nie jest ci lekko żyć cały czas z dala od rodziny.

Agent nie sprawiał wrażenia skorego do rozmowy na ten temat, ale zdołał się przemóc.

– Racja, nie jest lekko – odparł niechętnie. – Ale dopóki codziennie słyszę ich głosy, nie jesteśmy aż tak daleko od siebie.

Baxter poruszyła się w fotelu, skrępowana tym płynącym z głębi serca

wyznaniem, które Curtis skwitowała zbytecznym i nieszczerym „Ojej!”.

Wysiedli z furgonetki na parkingu dla odwiedzających przed więzieniem Belmarsh i ruszyli w stronę głównego wejścia. Agenci oddali broń do depozytu, a potem od całej trójki pobrano odciski palców. W sąsiednim pomieszczeniu, do którego przeszli przez hermetyczne drzwi, poddano ich prześwietleniu rentgenowskiemu, badaniu wykrywaczem metalu i kontroli osobistej. Gdy po zakończeniu tych formalności czekali na naczelnika więzienia, Curtis oznajmiła, że musi iść do toalety. Baxter została z Rouche'em, który cały czas rozglądał się po wnętrzu z wyrazem napięcia malującym się na twarzy. Przez chwilę próbowała udawać, że nie słyszy, jak agent nuci półgłosem piosenkę Gwen Stefani *Hollaback Girl*.

– Dobrze się czujesz? – zagadnęła go w końcu.

– Co proszę? – Rouche się otrząsnął i dopiero po chwili zauważył jej podejrzliwe spojrzenie. – Zawsze śpiewam, kiedy jestem zdenerwowany.

– A jesteś?

– Nie lubię przebywać w zamknięciu.

– A kto lubi? No cóż, tak samo średnią przyjemnością jest mieć palec w oku, oczywista sprawa. Nie ma potrzeby nawet o tym mówić, bo nikomu się nie uśmiecha tkwić w pułapce.

– Dzięki za zrozumienie. A skoro już mowa o zdenerwowaniu, to jak twoje samopoczucie? – zapytał agent z uśmiechem. – Bądź co bądź Masse działał z wyraźnym zamiarem...

– Pozbawienia mnie życia? – dokończyła Baxter, zaskoczona, że jej niepokój dał się zauważyć. – Tak, pamiętam, ale nie chodzi o Masse'a. Modłę się, żeby naczelnik Davies już tu nie pracował. Facet nie przepada za mną zbytnio.

– Za tobą? – powiedział Rouche, próbując nieudolnie nadać swojemu głosowi ton bezbrzeżnego zdumienia.

– Owszem, za mną – odparła policjantka, odrobinę urażona.

Oczywiście skłamała. Faktycznie obawiała się kolejnego spotkania z Masse'em, jednak nie chodziło jej o niego samego, tylko o to, co mógł zapamiętać i powiedzieć.

Tylko cztery osoby wiedziały, co naprawdę zaszło tamtego dnia w sali sądowej Old Bailey. Baxter spodziewała się, że morderca podważy jej skleconą naprędce

wersję wydarzeń, ale nic takiego nie nastąpiło. Z biegiem czasu zaczęła się łudzić, że Masse stracił wtedy przytomność, że był zbyt oszołomiony po walce z Wolfem, żeby dostrzec jej wstydlivy sekret. Codziennie zastanawiała się, czy dopadnie ją przeszłość, a teraz miała wrażenie, jakby rzucała wyzwanie losowi, idąc na spotkanie z jedynym człowiekiem, który może ją zniszczyć w mgnieniu oka.

Z zamyślenia wyrwał ją odgłos kroków i zobaczyła naczelnika Daviesa, któremu na jej widok zrzędała mina.

– Pójdę po Curtis – szepnęła do Rouche’a.

Zastygła z dłonią na klamce, kiedy usłyszała dobiegający z wnętrza toalety głos agentki. Zdziwiło ją to, ponieważ wszyscy musieli zostawić komórki w depozycie. Oparta o ciężkie drzwi nasłuchiwała przez chwilę, dopóki nie dotarło do niej, że młoda Amerykanka mówi do siebie.

– Żadnych głupich tekstów. Pomyśl, zanim coś powiesz. Tutaj nie możesz sobie pozwolić na taką wpadkę. Pewność siebie opiera się na zaufaniu innych.

Baxter zapukała energicznie i pchnęła drzwi, zaskakując Curtis, która podskoczyła wystraszona.

– Naczelnik na nas czeka – oznajmiła.

Naczelnik poprowadził trójkę gości w kierunku oddziału o zaostrzonym rygorze.

– Na pewno wiecie, że Lethaniel Masse doznał trwałego uszczerbku na zdrowiu, zanim został aresztowany przez obecną tutaj sierżant Baxter – powiedział, nie siląc się na uprzejmość.

– Teraz już inspektor – poprawiła go policjantka.

– Przeszedł szereg operacji mających na celu rekonstrukcję żuchwy, ale nadal nie może nią poruszać.

– Czy będzie mógł odpowiedzieć na nasze pytania? – odezwała się Curtis.

– Niezupełnie. Dlatego sprowadziłem tłumaczkę, która będzie obecna podczas przesłuchania.

– Specjalistkę od bełkotu? – Baxter nie mogła sobie odmówić złośliwego komentarza.

– Języka migowego – wyjaśnił Davies. – Masse opanował go w ciągu kilku tygodni.

Przez kolejne pancerne drzwi cała grupa wyszła na zewnątrz, gdzie znajdował się opustoszały teren rekreacyjny. Nagle z umieszczonego na ścianie głośnika

dobiegł zaszyfrowany komunikat.

– Jak on się sprawuje? – dopytywała się Curtis z wyraźnym zaciekawieniem w głosie.

– Wzorowo. Chciałbym, żeby wszyscy osadzeni byli tacy jak on – odparł naczelnik i odwrócił się w stronę strażnika, który stał na przeciwległym końcu boiska. – Rosenthal! Co się dzieje?

Młody mężczyzna omal się nie przewrócił, biegnąc w ich stronę po oblodzonej nawierzchni. Miał rozwiązaną sznurówkę w jednym z butów i włókł ją za sobą.

– Znowu bójka w bloku trzecim – wysapał.

Davies westchnął ciężko.

– Obawiam się, że będę musiał was opuścić – zwrócił się do gości. – W tym tygodniu przybyło nam kilku nowych, a zawsze dochodzi do tarć, kiedy urządzają pokazy siły i ustalają hierarchię. Rosenthal zaprowadzi was do Masse’a.

– Do Masse’a? – powtórzył strażnik, niezbyt zachwycony poleceniem. – Oczywiście, szefie.

Naczelnik oddalił się pospiesznie, a Rosenthal ruszył w stronę więzienia w więzieniu – otoczonego osobnym murem oddziału o zaostrzonym rygorze. Kiedy cała czwórka zatrzymała się przed bramą, gorączkowo obmacał wszystkie swoje kieszenie i zawrócił. Przystanął, kiedy Rouche poklepał go po ramieniu i podał mu identyfikator.

– Wypadł ci – powiedział łagodnym tonem.

– Dzięki. Szef by mnie zabił, gdybym go zgubił... znowu.

– Może by nie zdążył, gdyby jeden ze zbiegłych morderców, których pilnujesz, dopadł cię pierwszy – wtrąciła Baxter, wywołując rumieniec na twarzy młodego strażnika.

– Przepraszam – wymamrotał Rosenthal i wpuścił gości do środka, gdzie znów musieli się poddać kontroli bezpieczeństwa.

Wyjaśnił im, że blok jest podzielony na „odnogi”, z których każda mieści dwanaście cel, a strażnicy mogą tu pracować tylko przez trzy lata, a następnie są przenoszeni z powrotem do głównego więzienia.

Otoczające ich ściany i drzwi były pomalowane na beżowo, kraty zaś, poręcze i balustrady miały rdzawoczerwony kolor. Stąpali po terakotowej posadzce, a nad ich głowami wisiała ogromna siatka, która ugięła się nieco na samym środku,

obciążona śmieciami i innymi bardziej aerodynamicznymi przedmiotami. Ponieważ więźniowie przebywali jeszcze w celach, w budynku panowała zdumiewająca cisza. Jeden ze strażników zaprowadził ich do pomieszczenia na parterze, gdzie czekała tłumaczka języka migowego, zaniedbana kobieta w średnim wieku. Strażnik przypomniał im oczywiste do bólu zasady i przekręcił klucz w zamku.

– Pamiętajcie, gdybyście czegoś potrzebowali, czekam na zewnątrz – oznajmił, po czym pchnął drzwi pokoju przesłuchań i oczom przybyłych ukazała się imponująca sylwetka mężczyzny, który siedział przy stole zwrócony do nich plecami.

Baxter wyczuła, że strażnik jest spięty w obecności najbardziej osławionego z więźniów.

Masse miał na rękach kajdanki połączone z okowami na kostkach długim łańcuchem, który był przewleczony przez metalowy pierścień na środku blatu i przytwierdzony do betonowej podłogi. Kiedy weszli do pokoju, wciąż siedział nieruchomo, tylko odchylił lekko do tyłu naznaczoną głębokimi bliznami głowę i wciągnął powietrze nosem, wdychając ich zapachy. Chociaż był skuty i nie miał szans na ucieczkę, Baxter poczuła się uwięziona, kiedy ciężkie drzwi zatrzasnęły się za jej plecami. Usiadła naprzeciwko mężczyzny, który pomimo swojego położenia wciąż jej zagrażał.

Masse przyglądał jej się przez chwilę, gdy wodziła wzrokiem po ścianach, byle tylko nie spojrzeć mu w oczy, i na jego okaleczonej twarzy wykwitł krzywy uśmiech.



# Rozdział 5

ŚRODA, 9 GRUDNIA 2015 ROKU

11.22

– No cóż, to była kompletna strata czasu – westchnęła Baxter, wychodząc z korytarza do głównego holu.

Morderca nawet nie zadał sobie trudu, żeby odpowiedzieć na choćby jedno pytanie podczas trwającego pół godziny monologu Curtis. Całe przesłuchanie przypominało wizytę w klatce niemego drapieżnika uwięzionego w zoo. Obecny jedynie ciałem, był pokonanym i ujarzmionym cieniem sadystycznego potwora, który wciąż nawiedzał Baxter w nocnych koszmarach, żywiąc się oparami swojej sławy.

Wolf pogruchotał nie tylko jego kości, ale również psychikę.

Baxter nie była pewna, czemu ma zawdzięczać zainteresowanie Masse'a, który wciąż na nią zerkał. Czy wiedział, co zrobiła, czy po prostu był przekonany, że to ona go aresztowała? Tak czy inaczej, poczuła ulgę, że jest już po wszystkim.

Rosenthal czekał na nich w „Bańce”, kantorku dla służby więziennej z pancernego szkła na końcu korytarza, i już zbierał się do wyjścia.

– Będziemy musieli przeprowadzić rewizję w celi Masse'a – poinformowała go Curtis.

Niedoświadczony strażnik spojrzał na nią z wahaniem.

– Ja... hm... a naczelnik o tym wie?

– Chyba nie mówisz poważnie? – z irytacją spytała Baxter agentkę.

– Jestem zmuszony wziąć stronę pani inspektor – odezwał się Rouche – ale oczywiście w bardziej uprzejmy sposób. Masse nie ma z tym nic wspólnego. Niepotrzebnie angażujemy naszą energię w ten wątek.

– W oparciu o to, co dotychczas widzieliśmy, jestem skłonna się zgodzić – zaczęła dyplomatycznie Curtis – ale musimy się trzymać procedur i nie mogą opuścić tego miejsca, dopóki nie wykluczemy ponad wszelką wątpliwość

jakichkolwiek powiązań Masse'a z tą sprawą. – Zawiesiła głos i obróciła się z powrotem do Rosenthala. – Do celi Masse'a... proszę.

Dominic Burrell, czyli „Bramkarz”, bo pod takim pseudonimem był lepiej znany zarówno innym osadzonym, jak i strażnikom, trafił do więzienia, ponieważ zatłukł na śmierć nieznanego, który popełnił błąd i „nieodpowiednio” na niego popatrzył. Większą część wyroku odsiedział w bloku pierwszym, ale niedawno przeniesiono go na oddział o zaostrzonym rygorze po tym, jak dwa razy bez powodu zaatakował strażnika. Mierzył niespełna metr siedemdziesiąt, ale miał obsesję na punkcie ćwiczeń siłowych i cieszył się ponurą sławą, dlatego na ogół wszyscy go unikali, jak tylko się dało.

Siedząc na pryczy, obserwował, jak grupa gości idzie do pustej celi Masse'a mieszczącej się po przeciwnej stronie korytarza. Kiedy przystąpili do chaotycznego przeszukania, przestał się nimi interesować i znów zajął się rozdieraniem powłoki materaca na długie paski, pomagając sobie ostrym jak brzytwa plastikowym nożem zrobionym z tacki na jedzenie.

Usłyszawszy, że strażnicy otwierają drzwi pierwszej celi, żeby ustawić osadzonych w szeregu i zaprowadzić ich na lunch, przewrócił materac i ukrył pod mankietem owinięty wokół nadgarstka długi pasek materiału. Wyszedłszy na korytarz, zauważył, że od Masse'a oddziela go tylko jeden więzień. Kiedy strażnik się oddalił, odepchnął stojącego między nimi mężczyznę, który najwyraźniej wiedział, z kim ma do czynienia, i przepuścił go bez protestu.

– Lethaniel Masse? – zapytał szeptem, wspinając się na palce.

Morderca pokiwał głową. Wciąż patrzył przed siebie, żeby nikt się nie zorientował, że rozmawiają.

– Mam dla ciebie wiadomość.

– Ja-aką? – wybełkotał z bolesnym wysiłkiem Masse.

Bramkarz rozejrzał się, po czym położył dłoń na jego ramieniu i delikatnie przyciągnął go do siebie. Kiedy Masse obrócił głowę, potężna ręka oplotła jego szyję i pociągnęła go w stronę jednej z pustych cel. Zgodnie z więziennymi zasadami mężczyźni stojący obok zajęli ich miejsca w kolejce, nie wtrącając się ani nie alarmując strażników. Jeden z więźniów przyglądał się obojętnie zajściu przez otwarte drzwi celi. Dusząc się, Masse spojrział mu w oczy. Próbował krzyknąć, ale nieartykułowany bełkot, jaki zdołał z siebie wydobyć, nie przyciągnął uwagi

nikogo, kto mógłby mu przyjść z pomocą. Przez chwilę myślał, że krępy mężczyzna, który rozdarł mu bluzę, chce go zgwałcić, ale kiedy poczuł, jak w jego klatce piersiowej zatapia się ostrze, zdał sobie sprawę, że to już koniec.

Wcześniej tylko raz doświadczył czegoś takiego – tego nieznanego uczucia lęku zaprawionego chorą fascynacją, kiedy w końcu uświadomił sobie, co przeżywała każda z jego niezliczonych ofiar w ostatnich chwilach swojego życia, kiedy pojął ogrom ich bezradności.

Rosenthal oznajmił, że Curtis, Baxter i Rouche powinni zakończyć bezowocną rewizję, zanim skazańcy wyjdą na lunch. Kiedy drzwi cel na pierwszym piętrze zaczęły się otwierać, sprowadził ich na dół. Właśnie dochodzili do wyjścia, gdy ciszę rozdarł dobiegający z góry jazgot gwizdka.

Trudno było odgadnąć, co się dzieje. Zobaczyli, jak trzech strażnicy usiłują gdzieś się dostać i przedzierają się przez grupę hałaśliwych więźniów, którzy blokują im przejście. Coraz bardziej nerwowe wołanie o wsparcie przeplatało się z piskliwym odgłosem gwizdków i odbijając się echem od ścian, napełniało przestronne wnętrza ogłuszającą kakofonią, do której dołączyły krzyki osadzonych z cel na parterze.

– Wynosimy się stąd – powiedział Rosenthal, siląc się na odważny ton, i wsunął swoją kartę identyfikacyjną do czytnika umieszczonego na ścianie obok stalowych drzwi. Kiedy zapaliła się czerwona dioda, spróbował jeszcze raz. – O cholera!

– Jakiś problem? – zapytała Baxter, która nie odrywała wzroku od kotłowniny na piętrze.

– W razie alarmu blokują się wszystkie zamki. Jesteśmy tu uwięzieni – wyjaśnił młody strażnik, a w jego głosie dało się wyczuć panikę.

– Rozumiem – odparł spokojnie Rouche. – Jakie macie procedury w takich okolicznościach?

– Ja... nie...

Gwizdki zdawały się brzmieć jeszcze bardziej rozpaczliwie, a krzyki przybierały na sile.

– Może do kantorka? – zaproponowała Baxter.

Rosenthal zwrócił w jej stronę wielkie od przerażenia oczy i pokiwał głową.

Wrzawa na górze osiągnęła apogeum, kiedy ktoś zawisł nad balustradą, która oddzielała galerię pierwszego piętra od pustej przestrzeni nad atrium, i zwałił się w dół. Odciągi przy jednej ze ścian nie wytrzymały uderzenia i półnagie ciało zsunęło

się po zerwanej siatce, upadając na posadzkę zaledwie kilka metrów od grupy gości.

Curtis wydała okrzyk przerażenia, który przyciągnął uwagę kotłującego się nad nimi tłumu.

– Musimy uciekać, i to już! – ponagliła towarzyszy Baxter, ale zastygła w miejscu, kiedy leżący twarzą do podłogi człowiek wykonał gwałtowny i nienaturalny ruch.

Dopiero po chwili zauważyła połączone węzłami cienkie pasy materiału, które zwieszały się z zerwanej siatki. Na jednym końcu znajdował się stryczek zaciśnięty na szyi ofiary. Nagle ten prowizoryczny sznur naprężył się, podrywając w powietrze bezwładne ciało, a obok niego zawisł jak przeciwwaga drugi, bardziej muskularny mężczyzna.

– On jeszcze żyje – wyjąkał ogarnięty zgrozą Rosenthal.

Drugi wisielec miotał się w przedśmiertnych konwulsjach, kiedy pas wystrzępionej tkaniny zaciskał się coraz mocniej na jego szyi.

– Szybko, szybko! – krzyknęła Baxter, popychając przed sobą Curtis i młodego strażnika.

Rouche już dobiegał do drzwi „Bańki”.

– Otwierać! – zawołał.

Odgłosy gwizdków milkły jeden po drugim, w miarę jak zamieszki nabierały rozmachu. Gdzieś na piętrze rozległ się mrozący krew w żyłach krzyk, a na posadzkę atrium spadł płonący materac. Rozjuszeni chaosem więźniowie zachowywali się jak rekiny, które poczuły świeżą krew. Pierwszy z nich zsunął się na dół po zerwanej siatce, kiedy reszta grupy dobiegła do Bańki.

– Otwierać! – Rouche walił gorączkowo w pancerne drzwi.

– Gdzie twoja karta? – zwróciła się Baxter do Rosenthala.

– Nie zadziała. Muszą nam otworzyć od środka.

Kolejni skazańcy przedostawali się na parter, a ten, który zeskoczył pierwszy, zaczął wspaniałomyślnie otwierać cele za pomocą zakrwawionej karty magnetycznej.

Rouche podbiegł do frontowej ściany kantorka, gdzie za pancerną szybą siedział strażnik.

– Jesteśmy policjantami! – krzyknął, zbliżając twarz do dźwiękoszczelnego

okna. – Wpuść nas!

Przerażony mężczyzna bezgłośnie poruszył ustami, z których dało się odczytać słowa: „Nie mogę. Przykro mi”, i wskazał na nadciągającą horde najniebezpieczniejszych przestępców w kraju.

– Otwieraj! – powtórzył agent.

Baxter podbiegła do niego.

– Co teraz? – zapytała najspokojniej, jak umiała.

Nie mieli gdzie się schronić.

Z zerwanej siatki zeskoczył potężnie zbudowany więzień. Miał na sobie zdarty ze strażnika mundur, który na jego zwalistym cielsku wydawał się śmiesznie mały. Nogawki sięgały mu do połowy łydki, a spod przykrótkiej koszuli wystawał brzuch. Gdyby nie świeże ślady zadrapań na jego twarzy, wyglądałby niemal komicznie w tym stroju.

Curtis łomotała pięściami w stalowe drzwi, wykrzykując rozpaczliwe prośby.

– On nie otworzy – powiedział Rosenthal i z rezygnacją siadł na posadzce. – Nie może zaryzykować, że wtargną do środka.

Rozwścieczony tłum pędził w ich stronę, dziesiątki par oczu patrzyły z dziką nienawiścią na Rouche’a i strażnika, a na kobiety z wygłodniałym pożądaniem. Agent złapał Baxter za rękę i nie zważając na jej protesty, wciągnął ją do kąta za swoimi plecami.

– Trzymajcie się za nami! – krzyknął do niej i do swojej partnerki.

Rosenthal nie do końca pojmował, co miało znaczyć „za nami”, dopóki Rouche nie podniósł go z podłogi.

– Wal po oczach! – doradził osłupiałemu z przerażenia strażnikowi.

Kilka sekund później dopadli ich szarżujący więźniowie. Baxter w amoku wymierzała kopniaki we wszystkie strony. Zewsząd otaczała ją kotłowanina rąk i wykrzywionych pogardą twarzy. Ktoś złapał ją za włosy i przeciągnął kilka metrów po podłodze, ale zdołała się uwolnić, kiedy między dwoma napastnikami wywiązała się bójka. Popelzła na czworakach w stronę ściany, wypatrując Curtis, lecz znów dopadła ją ta sama muskularna dłoń. Wtedy jakby znikąd pojawił się Rosenthal, który skoczył na plecy więźnia i wbił palce w jego wytatuowane oko.

Nagle zgasło światło. W upiornym blasku płomieni trawiących materac ciemne sylwetki dwóch wisielców przywodziły na myśl scenę z jakiegoś mrocznego

horroru.

Rozległ się głośny huk i wewnątrz wypełniły kłęby dymu. Tuż po eksplozji drugiego granatu otworzyły się zakratowane drzwi po przeciwnej stronie holu i do środka wpadł oddział strażników w maskach przeciwgazowych i pełnym rynsztunku bojowym. Więźniowie, zasłaniając twarze, rozbiegli się na wszystkie strony niczym hieny odpędzone od zdobyczy.

Baxter dostrzegła Curtis leżącą nieruchomo kilka metrów dalej i podpełzła do niej. Okryła jej nagą pierś połami rozdartej bluzki i obejrzała dokładnie nieprzytomną agentkę, ale oprócz wielkiego guza na głowie nie dostrzegła żadnych obrażeń.

Poczuła pieczenie w nosie i w ustach, kiedy chmura gazu łzawiącego dotarła w pobliże Bańki. Załzawionymi oczami obserwowała widmowe sylwetki znikające w kłębach dymu, które unosiły się nad płonącym materacem. Każdy oddech sprawiał jej ból, ale cieszyła się, bo to oznaczało, że wciąż żyje.

Po czterdziestu minutach przemywania oczu w ambulatorium pozwolono jej wreszcie zobaczyć się z Rouche'em i naczelnikiem Daviesem. Rouche, który doszedł do siebie szybciej niż jego towarzyszki, przekazał jej najnowsze wiadomości, kiedy bez entuzjazmu poddawała się dalszym zabiegom.

Jeden z zabitych więźniów nazywał się Dominic Burrell, jednak bardziej niepokojący był fakt, że drugą ofiarą okazał się Masse. Na podstawie nagrań z kamer monitoringu ustalono, że Burrell zabił Masse'a, a następnie odebrał sobie życie.

Curtis odzyskała przytomność, ale wciąż nie mogła się otrząsnąć po szokujących przeżyciach, za to Rosenthal mimo złamanego obojczyka był w świetnym humorze. Kiedy Baxter w pełni odzyskała wzrok, nabrała podejrzeń, że Rouche jest bardziej poturbowany, niż daje po sobie poznać. Agent utykał, oddychał płytko, a kiedy był przekonany, że nikt na niego nie patrzy, z grymasem bólu chwycił się za klatkę piersiową.

Naczelnik poinformował ich, że kiedy osadzeni wrócili do swoich cel, miejsce zajścia zostało zabezpieczone. Potem wyjaśnił, najuprzejmiej jak potrafił, że nie ma dokąd przenieść pensjonariuszy oddziału o zaostrzonym rygorze, który nadal funkcjonuje tak jak zwykle, jeśli nie liczyć dwóch trupów zwisających z balustrady. Dlatego im szybciej jego goście zrobią to, co do nich należy, tym lepiej.

– Jeśli o mnie chodzi, jestem gotowa – oznajmiła Baxter, która wyglądała jak półprzytomna z przekrwionymi oczami i spuchniętymi powiekami. – Czekamy na Curtis?

– Powiedziała, żebyśmy szli bez niej – odparł Rouche.

Baxter była trochę zaskoczona, że agentka dobrowolnie rezygnuje z oględzin, ale postanowiła nie naciskać.

– No to chodźmy.

Wpatrywali się w dwa martwe ciała, które wisiały dwa metry nad ich głowami. Zdołali przekonać policjanta kierującego ekipą dochodzeniową, żeby pozwolił im obejrzeć miejsce zbrodni, zanim jego ludzie przystąpią do pracy.

Zrozumiały w takim miejscu brak otwieranych okien i pancerne drzwi wykluczały jakiegokolwiek przeciagi, więc ciała zastygły w groteskowym bezruchu. Łączyła je prowizoryczna lina z powiązanych ze sobą pasków tkaniny, którą Burrell przerzucił przez balustradę na piętrze. Baxter była zbyt wstrząśnięta makabrycznym widokiem, by poczuć ulgę – cokolwiek wiedział o niej Masse, teraz nie miało już znaczenia. Mogła spać spokojnie.

– Obydwoje przekonujemy Curtis, że wasze śledztwo nie ma absolutnie nic wspólnego z moją sprawą, no i proszę. Okazuje się, że jest wręcz przeciwnie – odezwała się Baxter, przyglądając się koślawym literom na piersi Masse'a, które poczerniały od zakrzepłej krwi. – Przynęta. Tak jak u tamtego.

Obróciła się, żeby spojrzeć na wiszącego obok Dominica Burrella. Na jego muskularnym ciele, również obnażonym do pasa, też widniała wycięta w skórze wiadomość.

– „Marionetka” – przeczytała na głos. – To coś nowego, prawda?

Rouche wymijająco wzruszył ramionami.

– Prawda? – powtórzyła Baxter.

– Myślę, że powinniśmy porozmawiać z Curtis.

Po powrocie do ambulatorium zastali Curtis w dużo lepszej formie. Właśnie przesłuchiwała ubranego po cywilnemu przystojnego szatyna przed czterdziestką, którego fryzura wydawała się trochę zbyt młodzieżowa, jak na jego wiek. Nie chcąc im przeszkadzać, Rouche poszedł zaparzyć kawę. Baxter nie miała takich oporów.

– Dobrze się czujesz? – zwróciła się do Curtis, przerywając jej w pół zdania.

Agentka wydawała się odrobinę poirytowana.

– Tak, dziękuję ci – odparła, próbując w miarę uprzejmie ją spławić.

Baxter poczuła się jak w towarzystwie dwójki supermodeli. Wbiła pytające spojrzenie w przystojniaka, chociaż stojąc na korytarzu trzy metry od niego, nie mogła w pełni nacieszyć wzroku jego aparycją.

– To jest... – zaczęła niechętnie Amerykanka.

– Alexei Green – odezwał się z uśmiechem mężczyzna, po czym wstał i uścisnął dłoń policjantki. – A pani jest zapewne tą słynną Emily Baxter. Czuję się zaszczycony.

– Ja również – wybąkała bez zastanowienia Baxter, zbita z tropu kształtem jego kości policzkowych.

Rumieniąc się, szybko zakończyła powitanie i oddaliła się pospiesznie w ślad za Rouche'em. Kiedy obydwoje wrócili do ambulatorium pięć minut później, Curtis nadal była pochłonięta rozmową. Baxter odniosła nawet wrażenie, że zasadnicza agentka flirtuje z panem Greenem.

– Wiesz co? – odezwał się agent. – Pieprzyć to. Musimy cię wdrożyć w sprawę, zwłaszcza teraz. Porozmawiajmy na zewnątrz.

Wyszli przed budynek. Chociaż popołudnie było słoneczne, mróz nadal trzymał, więc policjantka naciągnęła na głowę swoją pomarańczową czapkę z pomponem.

– Od czego by tu zacząć? – powiedział Rouche niepewnym tonem. – Otóż William Fawkes, ten bankowiec, który wisiał na moście Brooklińskim...

– Czy moglibyśmy odtąd nazywać go po prostu „Bankowcem”? – przerwała mu Baxter.

– Oczywiście... Sądźmy, że jego ręka zwisała luźno, ponieważ sprawca nie dokończył swojego dzieła. Taką wersję potwierdza zeznanie świadka, który widział, jak ktoś albo coś spada do East River.

– Czy jest możliwe, żeby ktoś przeżył taki upadek?

– Nie – odparł zdecydowanie agent. – Mówimy o wysokości ponad czterdziestu metrów. Poza tym tamtej nocy w Nowym Jorku było minus dziewięć stopni. Rzeka zamarzała. A co najważniejsze, rankiem następnego dnia wyłowiono zwłoki mężczyzny. I nie zgadniesz, jakie słowo miał wycięte na piersi...

– Marionetka – odpowiedziała Baxter od razu. – A więc mamy dwa morderstwa



po obu stronach Atlantyku, dwie ofiary z tym samym słowem wyciętym w skórze i dwóch martwych zabójców naznaczonych innym słowem?

– Niezupełnie. – Rouche ukrył zmarznięte dłonie pod pachami. – Pamiętasz, jak Curtis zagalopowała się wczoraj? Dotąd trzymaliśmy tę sprawę w tajemnicy, ale to właśnie z jej powodu postanowiliśmy skorzystać z twojej pomocy.

– Czyli morderstwo numer trzy.

– Zakończone samobójstwem, tak jak to dzisiejsze.

Baxter nie kryła zaskoczenia.

– Macie już jakieś teorie?

– Tylko taką, że może być jeszcze gorzej, zanim uda się nam zapanować nad sytuacją. – Agent wylał na śnieg reszkę pozbawionej smaku kawy, która zaskwierczała na mrozie i buchnęła parą niczym kwas. Zamknął oczy i odchylił głowę, obracając twarz do słońca. – No bo jak aresztować mordercę, który już nie żyje?

# Rozdział 6

ŚRODA, 9 GRUDNIA 2015 ROKU

19.34

Baxter w jednej ręce trzymała transporter z kotem, a w drugiej torbę pełną zakupów, więc musiała pomóc sobie podbródkiem, żeby otworzyć drzwi domu Thomasa.

– To ja! – zawołała, wchodząc do holu, ale nie doczekała się odpowiedzi.

Wiedziała, że Thomas jest w domu, bo zauważyła światło w oknach na piętrze. W pustym salonie telewizor rozmawiał cicho sam ze sobą, kiedy weszła do kuchni, zostawiając na posadzce błotniste ślady. Postawiła na stole zakupy i transporter, a potem nalała czerwonego wina do kieliszka.

Rozsiadła się w fotelu, zsunęła buty i patrząc przez okno na pogrążony w ciemności ogród, zaczęła masować obolałe stopy. W domu panowała kojąca cisza, którą mącił jedynie senny pomruk instalacji grzewczej i dobiegający z góry stłumiony szum prysznic.

Kiedy wyjmowała z torby na zakupy chrupki i czekoladki, zwróciła uwagę na swoje odbicie w ciemnej szybie. Zdała sobie sprawę, że od starcia z więźniami nie miała okazji przejrzeć się w lustrze, i teraz policzyła wszystkie zadrapania na twarzy i szyi. Najgorzej wyglądało biegnące w poprzek czoła długie rozcięcie, z którego wciąż sączyła się krew. Wzdrygnęła się na wspomnienie brutalnych rąk, które zaciskały się na jej ciele i wlokły ją po podłodze. Czuła się taka bezradna, gdy kopniakami odpychała od siebie złowrogie twarze tylko po to, by na ich miejscu pojawiły się kolejne. Dwa razy brała prysznic, zanim wyszła ze swojego mieszkania, ale nadal czuła się zbrukana. Potarła dłońmi twarz i przeczesła wilgotne włosy, a potem duszkiem opróżniła kieliszek.

Dziesięć minut później z góry zszedł Thomas ubrany w szlafrok.

– Cześć. Nie spodziewałem się, że dzisiaj przyj... – Zaniemówił na widok jej pokancerowanej twarzy. Podbiegł do niej i usiadł obok. – Nic ci nie jest?

Chwycił jej lepką od chrupek dłoń i ścisnął delikatnie. Baxter zmusiła się do uśmiechu i uwolniła rękę, żeby sięgnąć po butelkę wina, chociaż był to tylko pretekst – nie miała ochoty być dotykana.

– Co się stało? – zapytał Thomas.

Był zrównoważonym mężczyzną, chyba że chodziło o bezpieczeństwo jego życiowej partnerki. Gdy pewnego razu wróciła z pracy z rozciętą wargą, użył swoich wpływów w środowisku prawniczym, żeby zapewnić sprawcy gehennę w areszcie i wyrok najsurowszy z możliwych.

Baxter zastanawiała się przez chwilę, czy nie powiedzieć mu prawdy.

– Nic wielkiego – odparła z lekkim uśmiechem. – Wmieszałam się w bójkę na posterunku. Powinnam była pozwolić, żeby załatwili to między sobą.

Thomas rozluźnił się trochę, usatysfakcjonowany wiadomością, że nikt nie próbował celowo jej skrzywdzić. Z niecierpliwością czekał na szczegółową relację, ale nie naciskał, kiedy wyczuł jej niechęć do dalszej rozmowy na ten temat.

– Starter, danie główne czy deser? – zapytał, sięgając po chrupka.

Baxter wskazała na otwartą butelkę wina.

– Starter – powiedziała, a potem skierowała palec w stronę wielkiej paczki chrupek. – Danie główne. A to deser – dodała, podnosząc opakowanie czekoladek.

Thomas uśmiechnął się do niej czule i wstał z krzesła.

– Zrobię ci coś do jedzenia.

– Nie trzeba. Tak naprawdę nie jestem głodna.

– Tylko omlet. To potrwa pięć minut – odparł, przystępując już do przyrządzania improwizowanej kolacji. Wskazał głową stojący na stole transporter. – Co jest w środku?

– Kot – odpowiedziała Baxter odruchowo.

Miała nadzieję, że się nie myli. Odkąd weszła do domu, Echo był podejrzanie spokojny, co niezbyt pasowało do jego charakteru. Nagle uzmysłowiła sobie, że wypadałoby wcześniej zapytać Thomasa, czy zechce się zaopiekować zwierzakiem pod jej nieobecność. Potem dotarło do niej, że przecież nie uprzedzała go o swoim wyjeździe. Tak naprawdę nie chciała wdawać się z nim w sprzeczkę.

– Oczywiście Echo zawsze jest tu mile widziany – zaczął Thomas, a jego głos przybierał już inny ton – ale co go skłoniło do wyprawy na drugi koniec miasta w taką pogodę?

Baxter doszła do wniosku, że najlepiej mieć to już za sobą.

– Oddelegowano mnie na czas nieokreślony do współpracy z FBI i CIA w sprawie morderstwa. Rano wylatuję do Nowego Jorku i nie mam pojęcia, kiedy wrócę.

Zamilkła na chwilę, pozwalając, żeby jej słowa wybrzmiały. Thomas był dziwnie spokojny.

– Coś jeszcze? – zapytał.

– Tak. Zapomniałam o kociej karmie, więc będziesz musiał coś kupić. Aha, i pamiętaj o jego lekarstwach. – Po krótkich poszukiwaniach wyjęła z torebki dwie fiołki. – Te do pyszczka – powiedziała, potrząsając jedną z nich, a potem potrząsnęła drugą i dodała: – A te pod ogon.

Zauważyła, że Thomas zaciska zęby i z trzaskiem odkłada patelnię na metalową płytę. Zaskwierczały krople rozchlapanego oleju, które oderwały się od nieprzywierającego wynalazku Jamiego Olivera.

Baxter wstała z krzesła.

– Muszę zadzwonić.

– Robię ci kolację! – krzyknął Thomas, rzucając na patelnię tarty ser.

– Nie chcę twojego cholernego omleta! – odpowiedziała podniesionym głosem i pobiegła na górę, żeby porozmawiać z Edmundsem na osobności.

Edmunds właśnie został trafiony strumieniem niemowlęcego moczu. Tia zastąpiła go przy przewijaniu, żeby mógł się przebrać. Akurat wkładał obsikaną koszulę do pralki, kiedy zadzwoniła jego komórka.

– Cześć – powitała go swobodnym tonem Baxter. – Masz chwilę?

– Jasne – odparł, myjąc ręce.

– To był dzień pełen wrażeń...

Edmunds słuchał uważnie, kiedy jego dawna przełożona opowiadała mu ze szczegółami, co wydarzyło się w więzieniu. Podzieliła się z nim również tajną informacją, którą przekazał jej Rouche.

– Jakaś sekta? – odezwał się, kiedy skończyła mówić.

– Taka teoria wydaje się najbardziej prawdopodobna, ale podobno Amerykanie powołali specjalną grupę, która zajmuje się sektami. Okazuje się, że te morderstwa nie pasują do żadnej z organizacji, które monitorują.

– Nie podoba mi się ten motyw przynęty. Zamordowanie faceta, który nazywał

się tak samo jak Wolf, to jedno, ale teraz udało im się dopaść również Masse'a. To wygląda jak wiadomość przeznaczona dla ciebie, a jeżeli tak jest, to właśnie zaangażowałaś się w śledztwo. Dostali to, czego chcieli.

– Zgadzam się, że to możliwe, ale co mogę zrobić?

– Alex! – zawołała Tia z sypialni.

– Chwileczkę! – odkrzyknął Edmunds, na co zirytowany sąsiad zareagował waleniem w ścianę.

– Mnie też obsikała!

– Już idę!

Tym razem sąsiad zabębnił w ścianę tak mocno, że z półki spadła ramka ze zdjęciem rodzinnym.

– Przepraszam cię – powiedział sfrustrowany Edmunds do telefonu.

– Mogłabym do ciebie zadzwonić, kiedy dowiem się czegoś więcej? – spytała Baxter.

– Oczywiście. Uważaj tam na siebie.

– Bez obaw, przez całą dobę będę wypatrywała Marionetki.

– Myślę, że powinniśmy raczej zainteresować się tym, kto pociąga za sznurki.

Kiedy Baxter wróciła na dół, wiedziała już, że kłótnia z Thomasem jest nieunikniona. Na ekranie zatrzymanego na kanale wiadomości telewizora widniała nieruchoma twarz Andrei, a napis na pasku pod spodem głosił: „Śmierć Lethaniela Masse'a podczas wizyty pani inspektor”.

Serdecznie nienawidziła tej kobiety.

– Byłaś dzisiaj w Belmarsh? – zapytał Thomas.

Siedział na fotelu w salonie i dopijał resztę wina.

– Yhm – przytaknęła Baxter, jakby to nie było nic ważnego.

– Nie powiedziałaś mi o tym.

– Nie widziałam powodu – odparła, wzruszając ramionami.

– Jasne! Bo i po co?! – Thomas zerwał się z fotela. – Po co miałabyś mi mówić, że wybuchły tam dzisiaj zamieszki?

– Nie miałam z tym nic wspólnego.

– Gówny prawda!

Baxter była lekko zszokowana. Thomas nigdy nie przeklinał.

– Zjawiasz się poturbowana i zakrwawiona...

- To tylko parę zadrapań.
- ...bo narażałaś swoje życie podczas buntu więźniów, żeby odwiedzić najbardziej niebezpiecznego skazańca w kraju!
- Nie mam czasu na takie rozmowy. – Baxter sięgnęła po płaszcz.
- Oczywiście, że nie masz! – krzyczał Thomas, idąc za nią do kuchni. – Rano masz samolot do Nowego Jorku, o czym też nie raczyłaś mnie poinformować. – Zawiesił głos i po chwili dodał łagodniejszym tonem: – Emily, nie rozumiem, dlaczego uznałaś, że nie możesz dzielić się ze mną takimi rzeczami.
- Porozmawiamy o tym, kiedy wrócę, dobrze? – odparła i zaczęła wkładać buty.
- Opiekuj się moim kotem.

Thomas przyglądał się jej przez chwilę, aż w końcu pokiwał głową na znak kapitulacji. Uśmiechnął się, kiedy założyła czapkę i rękawiczki, które kupił jej dla żartu. Było dla niego zdumiewające, że ta kobieta, która właśnie próbowała odgarnąć z oczu niesforne kosmyki włosów, a na jej głowie kołysał się pomarańczowy pompon, zyskała tak wielką reputację wśród swoich współpracowników.

– Co to jest za sprawa, że nie potrafisz sobie z nią poradzić bez ciebie? – zapytał, kiedy położyła dłoń na klamce.

Obydwoje wiedzieli, że to nie jest zwyczajne pytanie – że z jego strony to prośba, żeby otworzyła się przed nim, zanim się pożegnają, ale dla niej była to szansa na udowodnienie, że od tej pory wszystko się zmieni. Tak naprawdę zapytał ją, czy widzi dla nich wspólną przyszłość.

Baxter cmoknęła go w policzek. Chwilę później zatrzasnęły się za nią drzwi.

*Air Hostess* grupy Busted wyrwała Rouche'a ze snu. Agent natychmiast odebrał połączenie, żeby jak najszybciej uciszyć irytujący sygnał komórki. Dzwoniła Curtis.

- Wszystko w porządku? – spytał zaniepokojony.
- Tak. Mam nadzieję, że nie postawiłam na nogi całej twojej rodziny.
- Bez obaw. – Rouche ziewnął i skierował kroki w stronę schodów. – Mają twarde sen. Co się stało?
- Zapomniałam, czy mamy po ciebie przyjechać o wpół do siódmej czy o siódmej.
- O siódmej – odparł agent uprzejmie, zerkając na zegarek. Dochodziła trzecia.

– W porządku. Nie byłam pewna.

Kiedy na linii zapadła cisza, Rouche nabrał pewności, że tak naprawdę to nie z tego powodu Curtis obudziła go w środku nocy. Wszedł do kuchni i rozsiadł się wygodnie na zimnej posadzce.

– To był ciężki dzień – powiedział. – Miło wrócić do domu i z kimś o tym pogadać.

Czekał w milczeniu, dając swojej koleżance czas na wykorzystanie aluzji, którą jej podsunął.

– Ja... hm... właściwie nie mam z kim – odezwała się w końcu.

Mówiła tak cicho, że ledwie ją słyszał.

– Jesteś daleko od domu.

– Tak naprawdę nie w tym rzecz... I tak nie miałabym z kim – wyznała i umilkła na dłuższą chwilę. – Ta praca wypełnia całe moje życie. Nie znalazłabym czasu na angażowanie się w związek. Straciłam kontakt prawie ze wszystkimi przyjaciółmi.

– A co na to twoi rodzice? – zapytał Rouche.

Miał nadzieję, że nie pcha się z butami w jej życie prywatne, i skrzywił się, gdy w odpowiedzi usłyszał ciężkie westchnienie.

– Mówią, że mam właściwe podejście do etyki zawodowej, tylko wybrałam niewłaściwy zawód.

Rouche zmienił pozycję, kiedy zaczął mu dokuczać chłód, i przewrócił oderwane drzwi szafki na stertę kafelków, które rozsypały się po zakurzonej podłodze.

– Co to było?

– Przepraszam. Remontujemy kuchnię i mamy tu trochę bałaganu – wyjaśnił. – Więc opowiedz mi o swojej rodzinie.

Rozmawiali, nie poruszając żadnej poważniejszej kwestii, dopóki wypowiedziane ospałym szeptem odpowiedzi Curtis nie zaczęły się urywać w pół zdania. Rouche przez chwilę wsłuchiwał się w jej płytki oddech, któremu towarzyszyło ciche pochrapywanie, i odgłosy te wydały mu się ironicznie spokojne jak na podsumowanie tak burzliwego dnia. W końcu przerwał połączenie.

Zbyt wycieńczony, by wspinać się z powrotem na górę, oparł głowę o szafkę, zamknął oczy i zasnął na gołym betonie wśród pogruchotanych mebli w sercu swojego domu.

# Rozdział 7

CZWARTEK, 10 GRUDNIA 2015 ROKU

14.16

14:15 10-12-2015 -5°C/23°F

Z tylnego siedzenia samochodu FBI Baxter przyglądała się cyfrom na wyświetlaczu umieszczonym pośrodku deski rozdzielczej. Zerknęła na własny zegarek, który wciąż pokazywał 17.16, i uświadomiła sobie, że zapomniała go przestawić. Musiała przegapić komunikat w samolocie. Wszyscy troje spali podczas trwającej siedem i pół godziny podróży, nadrabiając braki z ostatniej nocy.

Jazda z lotniska na Manhattan dłużyła się niemiłosiernie. Zalegająca na ulicach od tygodnia warstwa lodu i zamarzniętego błota sprawiała, że samochody posuwały się w ślimaczym tempie.

Baxter dwukrotnie odwiedziła Nowy Jork jako nastolatka. Zaliczyła wszystkie pułapki czyhające na turystów, zachwycała się panoramą miasta otoczonego wodą i poczuła, jak to jest znaleźć się w samym centrum wszechświata, gdzie kotłują się ludzie z każdego zakątka globu, walcząc o swoje miejsce na niewielkiej wyspie. Teraz czuła tylko zmęczenie i tęskniła za domem.

Rouche siedział w milczeniu obok niej. Zasugerował kierowcy, żeby przejechali przez most Brookliński. Kiedy zbliżali się do drugiego z monumentalnych pylonów, wskazał palcem miejsce, w którym znaleziono ciało Bankowca.

– Wisiał przywiązany za ręce i nogi między tymi grubymi linami po obu stronach jezdni, zwrócony twarzą do przejeżdżających na dole ludzi. To było jak przestroga dla całego świata, zapowiedź okropieństw, jakie zobaczy każdy, kto ośmieli się przekroczyć bramę tego miasta.

Samochód przemknął przez smugę cienia, przejeżdżając pod ogromnym łukiem.

– Czy moglibyśmy się trzymać faktów, których jesteśmy pewni? – odezwała się Curtis siedząca obok kierowcy. – Przerazają mnie twoje wywody.



– W każdym razie, jak już wiesz, sprawca nie dokończył dzieła. Właśnie przymocowywał lewą rękę ofiary, kiedy stracił równowagę, wpadł do rzeki i utonął. Co z pewnością nie było dla niego przyjemne.

Lekceważenie, z jakim Rouche opisał śmiertelny w skutkach upadek zabójcy, zabrzmiało tak niecodziennie, że Baxter mimo podłego nastroju uśmiechnęła się ironicznie.

– Co takiego? – zapytał agent, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

– Nic – odparła i odwróciła wzrok w stronę okna, za którym przesuwano się zamrożone miasto. – Przypomniałeś mi o kimś, i tyle.

Warunki na drodze pogarszały się, w miarę jak oddalali się od środkowego Manhattanu. Kiedy dojechali do Washington Heights, samochód toczył się między wysokimi zaspami, które wznosiły się po obu stronach drogi niczym bandy na torze w kręgielni.

Baxter nigdy wcześniej nie zapuszczała się na północ od Central Parku. Tutaj też identyczne szerokie ulice przecinały się w równych odstępach, ale stojące przy nich rzędy kilkupiętrowych budynków dopuszczały na dół więcej promieni bladego zimowego słońca niż drapacze chmur. Przypomniła jej park miniatur, do którego zabrali ją rodzice, kiedy była dzieckiem – zabawkowa wersja Nowego Jorku. Chwilę po tym, jak kierowca zatrzymał się przy krawężniku, zawadzając delikatnie o parkometr, jej nostalgiczne wspomnienie przysło.

Główne wejście na Trzydziesty Trzeci Komisariat osłaniał wielki biały namiot. Przed nim stał siwowłosy policjant, pełniący podwójną funkcję strażnika i kierującego ruchem. Kiedy wysiadali, właśnie dawał znaki kierowcom, którzy ledwie panowali nad swoimi pojazdami, każąc im omijać policyjną barierkę zagrządzającą połowę jezdni na jednym z nielicznych w tym mieście łukowatych odcinków drogi.

– Jak już wspomniałam podczas naszego pierwszego spotkania, ze względu na miejsce tę sprawę udało nam się zachować w tajemnicy – wyjaśniła Curtis, kiedy weszli do namiotu.

Płócienne zadaszenie przylegało do ściany niczym markiza tuż nad niebieskim godłem nowojorskiej policji, które zdobiło fasadę budynku. Kilka metrów na prawo od podwójnych drzwi wystawała ze ściany tylna połowa terenowego dodge'a. Tuż za nim, niczym pieniek ułamanego zęba, sterczała kilkunastocentymetrowa reszka

betonowego słupka. Baxter nie musiała podchodzić do samochodu, żeby zauważyć ciemne plamy zaschniętej krwi na kremowej tapicerce.

Z komisariatu wyszli dwaj policjanci, minęli wrak, jakby to był niechciany element dekoracji, którym ktoś przyozdobił ich miejsce pracy bez konsultacji z nimi, i zniknęli w szczelinie namiotu.

– Powiem ci, co ustaliliśmy – zaczęła Curtis, podnosząc żółtą taśmę, którą otoczony był dodge.

– Nie będzie wam przeszkadzało, jeśli zadzwonię? – zapytał Rouche i widząc zaskoczoną minę koleżanki, dodał: – Ja to wszystko już wiem.

Odszedł na bok, kiedy agentka odprawiła go lekceważącym machnięciem ręki.

– Zanim zaczniemy, chciałam cię zapytać, czy dobrze się czujesz.

– Czy dobrze się czuję? – powtórzyła Baxter podejrzliwie.

– Tak. Po wczorajszym.

– Nic mi nie jest. – Policjantka wzruszyła ramionami, jakby w ogóle nie pamiętała, o co chodzi. – A więc mamy samochód wbity w ścianę... – powiedziała, kierując rozmowę na służbowe tory.

– Ofiara nazywa się Robert Kennedy, trzydzieści dwa lata, żonaty. Od dziewięciu lat w policji, w wydziale kryminalnym od czterech.

– A zabójca?

– To Eduardo Medina, imigrant z Meksyku. Pracował w kuchni hotelu Park-Stamford w Upper East Side. I zanim zapytasz, odpowiedź brzmi „nie”. Nie znaleźliśmy nic, co łączyłoby go z Kennedym, jak również z pozostałymi mordercami czy ofiarami – wyjaśniła agentka i uprzedzając kolejne pytanie Baxter, dodała: – Ani ze sprawą „Szmacianej Lalki”... przynajmniej na razie.

Rouche schował telefon do kieszeni kurtki i dołączył do swoich towarzyszek, które wyszły na środek ogrodzonego skrawka jezdnii.

– Mamy nagranie z monitoringu... – ciągnęła Curtis.

– Z kamery na budynku szkoły – dorzucił Rouche, wchodząc jej w słowo. – Przepraszam, kontynuuj.

– A więc mamy nagranie, na którym Medina parkuje przy Sto Sześćdziesiątej Ósmej Zachodniej i wyciąga z tylnego siedzenia nieprzytomnego Kennedy’ego. Kąt ujęcia nie był najlepszy, ale widać wyraźnie, jak go przenosi, kładzie na masce samochodu, okrywa prześcieradłem i przywiązuje. Za ręce i nogi, taka sama

technika jak w przypadku tamtego ciała na moście.

Baxter zerknęła w stronę wraku i zauważyła kawałek grubej liny, który wylał się z ceglanego rumowiska i sięgał aż do tylnego koła.

– Medina się rozbiera, na piersi ma już wycięte słowo „Marionetka”, a potem odsłania Kennedy’ego, który też jest naznaczony. Skręca w Jumel Place, wciska gaz do dechy i w tym przypadku nie powinniśmy narzekać na śliskie drogi – Curtis stanęła w miejscu, w którym samochód wjechał na chodnik – bo traci panowanie nad kierownicą, za ostro wchodząc w zakręt, i zamiast uderzyć w główne wejście, wbija się w ścianę. Obaj giną na miejscu.

– Oprócz nich nie było żadnych ofiar – dodał Rouche.

Wszyscy troje weszli do wnętrza budynku, przeciskając się przez szczelinę między zrujnowaną ścianą a bokiem dodge’a. Zmiażdżone arkusze blachy, które kiedyś były maską samochodu, kłębiły się pod spękaną przednią szybą. W promieniu dziesięciu metrów od wyrwy podłogę pokrywał gruz i ceglany pył, ale reszta pomieszczenia wydawała się nietknięta.

Baxter wbiła wzrok w zaznaczony białą taśmą samoprzylepną kontur ciała.

– To jakaś kpina? – wyszeptła z niedowierzaniem. – W ten sposób zanieczyszcza się miejsce zbrodni. Nie jesteśmy na planie *Nagiej broni*.

Zarys nóg i tułowia rozciągał się na podłodze, za to rozpostarte ramiona i głowa przywierały do spłaszczonej osłony chłodnicy.

– Nie bądź dla nich zbyt surowa – odparł Rouche. – Zrobili to w nadzwyczajnych okolicznościach.

– Chyba nie powinniśmy przywiązywać zbyt wielkiej wagi do ułożenia ciała – odezwała się Curtis. – Jak zapewne się domyślasz, kiedy rozpoznali jednego ze swoich, natychmiast go uwolnili i zaczęli reanimować. W tym czasie jakiś nadgorliwy żółtodziób narobił trochę bałaganu.

– I jesteśmy pewni, że ani Medina, ani żaden z jego bliskich nie miał porachunków z policją? – zapytała Baxter sceptycznie.

– Niczego takiego nie odkryliśmy – potwierdziła Curtis. – Wiem, to nie ma sensu, skoro facet wypowiedział otwartą wojnę stróżom prawa. Powszechnie wiadomo, że jeśli ktoś zabije jednego z nich, pozostali będą go ścigać do upadłego. Czy jest to jakaś sekta, fanklub Masse’a, czy szukający rozgłosu szaleńcy, którzy skrzykują się w Internecie, nie mogli zrobić nic głupszego, niż wziąć na cel

gliniarza. Cokolwiek chcieli osiągnąć, teraz będzie im dziesięć razy trudniej.

Baxter przypomniała sobie, co powiedział jej zeszłej nocy Edmunds.

– Ktoś musi pociągać za sznurki – stwierdziła. – Ktoś aranżuje te morderstwa, posługując się Marionetkami. Wiemy, że nie wybiera ofiar przypadkowo, ponieważ pierwsze dwie miały związek ze sprawą „Szmacianej Lalki”. Jak dotąd zaatakował trzykrotnie. Nie mamy pojęcia, kim jest, gdzie się ukrywa, ani nawet czego chce. Pewni możemy być jedynie tego, że nie jest głupi.

– Więc dlaczego zadarł z policją? – zapytał Rouche.

– No właśnie, dlaczego?

Na zewnątrz pod namiotem dało się słyszeć gwar podniesionych głosów.

– Jest tu agentka specjalna Curtis? – zawołał ktoś.

Cała trójka wygramoliła się z powrotem na chodnik przez dziurę w ścianie. Ich oczom ukazała się ekipa telewizyjna, która rozstawiała swój sprzęt, co chwilę zerkając pożądliwie w stronę wraku. Curtis podeszła do kilku ubranych na czarno osób.

– Wygląda na to, że wystąpisz w telewizji – mruknął Rouche, po czym wyjął z kieszeni krawat i zarzucił go sobie na szyję. – Jakie to uczucie być oficjalną twarzą kampanii propagandowej?

– Daruj sobie – warknęła Baxter. – Mogą mnie filmować przy pracy, ale wkurzę się, jeśli...

– Rouche?

Jakiś grubas odłączył się od grupy ludzi, z którymi rozmawiała Curtis. Miał na sobie obszerną zimową kurtkę, w której jego sylwetka wydawała się jeszcze bardziej zwalista.

– Damien Rouche? – powiedział i uśmiechnął się szeroko, wyciągając pulchną dłoń na powitanie.

Rouche w pośpiechu zaciągnął nieporządny węzeł krawata, w którym prezentował się niezwykle porządnie, i odwrócił się w jego stronę.

– George McFarlen – odparł z uśmiechem i zerknął oskarżycielsko na odznakę FBI wiszącą na szyi mężczyzny. – Ty cholerny renegacie.

– Powiedział Brytyjczyk w służbie CIA. Słyszałem, że spotkała cię ostatnio niemiała przygoda podczas wycieczki do więzienia.

– Tak się złożyło. Ale ktoś tam na górze wciąż nade mną czuwa.

– Bez dwóch zdań – przytaknął grubas. – Nadal strzelasz?

– Właściwie już nie.

– No nie! Co za strata. – McFarlen, który sprawiał wrażenie szczerze zawiedzionego, zwrócił się do Baxter. – Do dziś nikt w agencji nie pobił jego rekordu na pięćdziesiąt metrów.

Policjantka pokiwała głową i skwitowała jego słowa niezobowiązującym pomrukiem. Widząc brak zainteresowania z jej strony, McFarlen znów skierował uwagę na Rouche'a.

– Twoja rodzina wciąż w Anglii? – zapytał, ale nawet nie czekał na odpowiedź.

– Ile lat ma teraz twoja córka? Szesnaście, jak moja Clara?

Rouche otworzył usta, ale nie zdążył wydobyć z siebie głosu.

– Okropny wiek. Cały świat kręci się wokół chłopców i ploteczek. Lepiej przeczekać to tutaj i wróć do domu, kiedy skończy dwadzieścia lat.

Nieprzyzwoicie tubalny śmiech wypełnił wnętrze namiotu, kiedy grubas jakimś cudem zdołał odkryć coś zabawnego we własnych słowach. Rouche uśmiechnął się uprzejmie, ale gdy jego znajomy dobrodusznie klepnął go w plecy na pożegnanie, oczy zaszyły mu łzami. Baxter skrzywiła się, widząc, jak agent chwytą się za obolałe żebra.

– Na pewno da się to podciągnąć pod naruszenie nietykalności – zażartowała.

Po chwili przyszła po nią Curtis, żeby przedstawić ją swojej przełożonej, Rose-Marie Lennox. Była to wątła kobieta, która wyglądała jak odpowiednik Vanity z FBI – biurokratka przebrana za agentkę specjalną, a nawet wyposażona w broń na wypadek, gdyby ktoś próbował ukraść papiery z jej biurka.

– Wszyscy jesteśmy pani bardzo wdzięczni za pomoc – zwróciła się do Baxter pochlebczym tonem.

– Gotowi? – odezwała się reporterka i stanęła przed kamerą. – Wchodzimy za trzy, dwa, jeden...

– Co?

Baxter chciała wyjść z kadru, ale Lennox delikatnie przytrzymała ją za rękę. Reporterka przedstawiła wygładzoną na potrzeby mediów wersję wydarzeń, a potem zwróciła się do agentki kierującej śledztwem, która zaczęła recytować wyćwiczoną odpowiedź.

– ...odrażający i okrutny atak na jednego z naszych ludzi. Niewątpliwie mówię

w imieniu wszystkich moich współpracowników, zapewniając, że nie spoczniemy, dopóki... Mogę potwierdzić, że badamy powiązania między tym morderstwem, ciałem znalezionym tydzień temu na moście Brooklińskim i śmiercią Lethaniela Masse'a, który zginął wczoraj... Będziemy współpracowali z angielską Policją Metropolitalną i dzięki jej wspaniałomyślności możemy korzystać z doświadczenia inspektor Emily Baxter, która schwytała...

Baxter przestała jej słuchać i spojrzała w stronę wraku, gdzie Curtis przyglądała się badawczo drzwiom po stronie kierowcy i kiwała ręką na Rouche'a, żeby mu coś pokazać. Poniewczasie zorientowała się, że reporterka do niej mówi.

– Co proszę?

– Pani inspektor – powtórzyła kobieta, przywołując na twarz najbardziej nieszczerzy uśmiech, jaki Baxter miała nieprzyjemność oglądać – co może nam pani powiedzieć o miejscu zdarzenia, które widzimy? Nad czym teraz pracujecie?

Ze smutną miną, jeszcze bardziej nienaturalną niż grymas imitujący uśmiech, wskazała widoczny w tle obraz zniszczeń.

– No cóż – westchnęła policjantka, nawet nie próbując ukrywać lekceważenia, kiedy operator skierował obiektyw w jej stronę. – Badałam miejsce popełnienia przestępstwa, ale teraz z niewiadomego powodu stoję tutaj i rozmawiam z panią.

Zapadło krępujące milczenie.

Obcesowa odpowiedź najwyraźniej zbiła z tropu reporterkę, która ewidentnie nie miała czasu na sformułowanie kolejnego pytania. Lennox z trudem tłumiała wściekłość.

– W takim razie nie odrywamy pani dłużej od pracy, pani inspektor – zwróciła się z pokrzepiającym uśmiechem do Baxter, która wzruszyła ramionami i odeszła. – Jak widać, wszyscy wzięliśmy sobie do serca tę tragedię i dokładamy starań, żeby doprowadzić do ujęcia sprawców.

Lennox pożegnała ekipę dziennikarzy i stojąc przy wyjściu z namiotu, zawołała Curtis. Przeszły razem na drugą stronę ulicy i oparły się o ogrodzenie parku Highbridge, w miejscu, gdzie pokrywający chodnik zbity lód ustępował miejsca warstwie puszystego śniegu. Lennox zapaliła papierosa.

– Słyszałam o zajściu w więzieniu – powiedziała. – Jak się czujesz? Twój ojciec urwałby mi głowę, gdyby coś ci się stało.

– Dziękuję za troskę, ale nic mi nie jest – skłamała Curtis.

Drażniło ją, że pomimo tego wszystkiego, co zrobiła, żeby dowieść swojej samodzielności, wciąż była traktowana w sposób uprzywilejowany ze względu na koneksje rodzinne. Lennox najwyraźniej wyczuła to w jej głosie, bo przeszła do kolejnej kwestii.

– Upierdliwa jędba z tej Baxter, nie?

– Po prostu nie przepada za głupkami – wypaliła bez zastanowienia młoda agentka, zanim zdała sobie sprawę, że właśnie obraziła swoją przełożoną. – Nie zebym mówiła o pani. Chodziło mi tylko o to... – Zawiesiła głos, gdy szefowa zbyła ją machnięciem ręki, zostawiając w powietrzu smużkę dymu. – Jest twarda i bystra.

– Racja... I właśnie to mnie martwi.

Curtis nie była pewna, jak ma to rozumieć. Chociaż nigdy w życiu nie miała w ustach papierosa, unoszący się w mroźnym powietrzu aromat palonego tytoniu wydał się jej bardziej kuszący niż kiedykolwiek.

Lennox obróciła się i spojrzała w stronę boiska do bejsbola, położonego na szczycie ośnieżonego pagórka.

– Ona jest dla nas turystką, nikim więcej – oznajmiła. – Jeszcze kilka razy postawimy ją przed kamerami, zrobimy sobie z nią kilka zdjęć, żeby zadowolić opinię publiczną, a potem wsadzimy do samolotu i odeślemy z powrotem do domu.

– Myślę, że naprawdę mogłaby nam pomóc.

– Wiem, że tak myślisz, ale sytuacja zawsze jest bardziej skomplikowana, niż się wydaje. Tak jak śmierć Kennedy’ego jest policzkiem dla nowojorskiej policji, jawną zniewagą, która ma na celu skłonić ludzi do podważenia naszych kompetencji, obecność Baxter stanowi dla nas podobne zagrożenie.

– Przykro mi, ale nie rozumiem – odparła Curtis.

– Policja, FBI i CIA pracują nad tą sprawą i wciąż drepczą w miejscu. Potrzebujemy Baxter, żeby pokazać, że robimy wszystko, co w naszej mocy, ale musimy jej się pozbyć, zanim Brytyjczycy będą mogli przypisać sobie sukces w śledztwie. Kiedy jesteśmy celem ataku, musimy pokazać swoją siłę. Musimy pokazać światu, że potrafimy sobie poradzić z własnymi problemami. Zrozumiały?

– Tak jest.

– To dobrze.

Do parku weszła grupka dzieciaków, które odciskały głębokie ślady, brnąc przez

biały puch. Kilku chłopców zaczęło się obrzucać śnieżkami na tyle blisko ogrodzenia, że obie kobiety poczuły lekki dyskomfort.

– Zachowuj się, jak gdyby nigdy nic – pouczyła Lennox swoją podwładną. – Baxter może ci towarzyszyć na każdym kroku, ale jeśli natrafisz na jakiś poważny trop, trzymaj ją od tego z daleka.

– To może być trudne.

– Tak czasem bywa z poleceniami służbowymi. Ale to tylko kilka dni. Po weekendzie odeślemy ją z powrotem.

– Dopadnięcie skurwiela, który to zrobił.

Obydwoje przytakiwali mu, kiwając głowami, aż w końcu wzburzony gliniarz uznał temat za wyczerpany i zostawił ich w spokoju. Chociaż powłoka namiotu chroniła ich przed podmuchami lodowatego wiatru, w środku i tak panował mróz, który zaczynał dawać się im we znaki.

– Jeśli znajdziemy chwilę dziś wieczorem, wybierzesz się na kolację ze mną i z Curtis? – zapytał agent.

– Hm... nie wiem... Powinna zadzwonić do paru osób.

– Znam świetną małą pizzerię w West Village. Zawsze tam wstępuję, kiedy jestem w Nowym Jorku. To już się stało tradycją.

– Ja...

– Nie daj się prosić. Do wieczora wszyscy troje będziemy wycieńczeni i głodni. Trzeba coś jeść. – Rouche się uśmiechnął.

– No dobra.

– Świetnie. Zarezerwuję stolik.

Wyjął telefon i zaczął przewijać listę kontaktów.

– Aha, zapomniałam spytać – odezwała się Baxter. – Co znaleźliście na drzwiach dodge'a?

– Co?

– Kiedy rozmawiałam z tą dziennikarką, wydawało mi się, że coś odkryliście.

– Ach, to... Nic takiego.

Ktoś w pizzerii odebrał telefon i Rouche oddalił się z komórką przy uchu.



# Rozdział 8

CZWARTEK, 10 GRUDNIA 2015 ROKU

23.13

Curtis znalazła się w pułapce.

Omiotła wzrokiem obskurny pokój hotelowy, trzymając uniesioną broń. Chciała wezwać Rouche'a na pomoc, ale wiedziała, że i tak nie usłyszy jej krzyku, a poza tym wołała nie zdradzać intruzowi swojego położenia. Serce waliło jej jak młotem i czuła rytmiczne pulsowanie w uszach, kiedy spojrzała w stronę drzwi. Znajdowały się zaledwie parę metrów od niej, a mimo to wydawały się tak odległe.

Wiedziała, że nie może czekać w nieskończoność.

Miała na sobie strój do spania – koszulkę z My Little Pony, seledynowe szorty i grube wełniane skarpety. Bardzo wolno przeczołgała się na drugą stronę łóżka i sięgnęła po żakiet zawieszony na oparciu krzesła.

Wziąwszy głęboki oddech, zeskoczyła na podłogę, rzucając za siebie jeden ze swoich kłapek, który ścisnęła w rękę. Po krótkiej szamotaninie z zamkiem wyskoczyła na korytarz i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Kiedy ochłonęła, podeszła do drzwi sąsiedniego pokoju i zapukała delikatnie. Na progu stanął Rouche w trochę niedbałym stroju – miał białe stopy i koszulkę wyciągniętą ze spodni. Rozchwianie wywołane zmianą strefy czasowej i zbyt dużo kieliszków wina przy kolacji dało im się wszystkim we znaki. Przypatrywał się jej przez chwilę i potarł zmęczone oczy, próbując skupić wzrok.

– Nosisz moją koszulkę?

– Tak – szepnęła.

Pokiwał głową.

– No dobra. Chcesz wejść?

– Nie, dzięki. Przyszłam, żeby cię zapytać, czy nie boisz się pajaków.

– Pajaków? – Rouche wzruszył ramionami. – Niespecjalnie.

– Tylko nie baw się w jakieś łapanie na kartkę i wypuszczanie na zewnątrz, bo to

ohydztwo może wrócić. Ma zginąć... zniknąć – poinstruowała go.

– Rozumiem – odparł, sięgając po buta i klucz do swojego pokoju.

– Jest zbyt duży, żeby się z nim patyczkować – dodała Curtis, zadowolona, że jej posłuchał.

Rouche spojrział na nią z wahaniem.

– To znaczy jak duży?

Baxter włożyła bluzę kraciastej pizamy na lewą stronę. Udało się jej uniknąć podobnej omyłki ze spodniami, które włożyła tyłem do przodu. Wychyliła kolejną szklankę kranówki o gorzkim smaku, nasłuchując odgłosów z korytarza, gdzie jacyś niesforni goście trzaskali drzwiami. Opadła na łóżko i popatrzyła na sufit, który zdawał się lekko falować, przyprawiając ją o mdłości. Zza okna dobiegały stłumione odgłosy miasta. Wymacała telefon i wybrała z listy numer.

– Co jest? – Edmunds usiadł gwałtownie na łóżku.

Ze stojącego w kącie pokoju łóżeczka dobiegł płacz Leili.

– Która jest godzina? – warknęła jego żona, która przed chwilą ułożyła córeczkę do snu.

Po chwili uprzytomnił sobie, że sygnał komórki dobiega z dołu, i zbiegł po schodach, żeby odebrać.

– Baxter? Wszystko w porządku?

– Taa, w porządku... – rozległ się bełkotliwy głos w słuchawce. – Jak najlepszym.

– Czy to Emily? – zawołała z góry Tia. Wtórowało jej zawodzenie niemowlęcia.

– Tak – odpowiedział Edmunds, zniżając głos do scenicznego szeptu, żeby nie prowokować nerwowego sąsiada.

– Wydaje mi się, że wasze dziecko płacze.

– Tak, zdążyliśmy zauważyć, ale dzięki za informację. Telefon ją obudził. Tak jak nas wszystkich.

– Dwadzieścia po szóstej? – spytała i nagle zamilkła. – Wiesz, co ja najlepszego zrobiłam?

– Odjęłaś zamiast dodać? – zasugerował.

– Odjęłam zamiast dodać.

– No właśnie.

– To znaczy godziny.

– Wiem! Baxter, czy ty jesteś pijana?

– Ja? Absolutnie nie. Było tylko trochę za dużo alkoholu.

Tia zeszła na palcach ze schodów. W objęciach trzymała Leilę, która w końcu zasnęła.

– Wracaj do łóżka – zwróciła się do męża, poruszając bezgłośnie ustami.

– Za chwilę – odparł szeptem Edmunds.

– Tak mi przykro – powiedziała Baxter ze skrucą. – Chciałam ci tylko opowiedzieć o miejscu zbrodni, które dzisiaj oglądałam.

– Jakiej zbrodni?

– Ktoś przywiązał nieprzytomnego policjanta do maski samochodu, a potem na pełnym gazie wjechał w ścianę komisariatu. Ale zadzwonię do ciebie rano. Znaczy, jak u ciebie będzie rano... Nie! U mnie... czekaj...

Edmunds czuł się rozdarty. Spojrzał na żonę, która wyglądała na poważnie zdenerwowaną, i uśmiechnął się przepaszająco.

– Nie, w porządku – powiedział do telefonu. – Opowiedz mi teraz.

– Gdzie widziałś go ostatnio? – zapytał Rouche, świadomy, że używając buta jako broni, naraża swoje bosc stopy na atak.

– Tam, jak wskakiwał pod szafę – odparła Curtis, która zdążyła już przezornie wpakować się na łóżko.

– Wskakiwał?

– No, tak jakby się odbijał.

– Odbijał się?

Rouche poczuł się trochę mniej pewnie.

– Nie, to bardziej przypominało... Czy pająki mogą galopować?

– Pewnie, tylko nie słycać tętentu – odpowiedział.

W miarę jak zbliżał się do szafy, mówił coraz głośniejsz, czujnie obserwując podłogę dookoła.

– Może powinniśmy zawołać Baxter? – zasugerowała Curtis.

– Dam sobie radę bez jej pomocy. Muszę się tylko dobrze na niego zasadzić.

Agentka wzruszyła ramionami.

– Nie miałam dzisiaj okazji, żeby ci podziękować – powiedziała z lekkim zakłopotaniem.

– Podziękować?

– Za zeszłą noc.

– Nie ma za co – odparł szczerze i obrócił głowę, żeby się do niej uśmiechnąć, ale zobaczył, że patrzy na niego okrągłymi z przerażenia oczami.

Wolno powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem i zobaczył stojącego na środku pokoju wielkiego jak spodek od filizanki pająka.

Zastygł w bezruchu.

– Wezwij tu Baxter – wyszeptał.

– Co?

Nagle pająk zaczął szarżować prosto na niego. Rouche wrzasnął, upuścił buta i rzucił się pędem do drzwi.

– Biegnij po Baxter! – krzyknął, kiedy obydwoje wypadli na korytarz.

Żeby Tia i Leila mogły spokojnie zasnąć, Edmunds zebrał się na odwagę i przebiegł bosy w zimnym deszczu przez błotnisty skrawek ogródka do szopy. Włączył słabe światło i wytarł zachlapany laptop.

Sygnal wi-fi był na tyle mocny, że zdołał otworzyć stronę serwisu informacyjnego i plan Manhattanu, kiedy Baxter bełkotliwie, ale szczegółowo opowiadała mu, co się wydarzyło.

– Nie pojmuję tego – westchnął. – Nadal uważam, że to robota jakiejś sekty.

Baxter była zawiedziona. Przyzwyczała się już do tego, że może oczekiwać od swojego przyjaciela rzeczy niemożliwych. Nagle usłyszała pukanie do drzwi.

– Przepraszam – mruknęła do telefonu. – Nie rozłączaj się.

Edmunds przysłuchiwał się stłumionym głosom na linii, próbując wygospodarować wokół siebie trochę więcej wolnej przestrzeni. Po chwili znów odezwała się jego dawna szefowa.

– O, rozmawiasz przez telefon?

– No.

– Mamy mały problem w pokoju Curtis, ale w sumie nic pilnego... Wiesz co? Na pewno jakoś sobie poradzimy.

– Podejdę tam, ale chciałabym najpierw dokończyć rozmowę.

– Nie ma sprawy. Dzięki.

– Będę za kilka minut.

Szczęknięły zamykane drzwi i dał się słyszeć jakiś łoskot, a potem znów

odezwała się Baxter, głosem donośniejszym niż zwykle.

– Przepraszam cię... A więc jedyny trop, jaki dotąd znaleźliśmy, ogranicza się do tego, że dwie ofiary są powiązane ze sprawą „Szmacianej Lalki”.

– Nawet trudno to nazwać tropem – skomentował Edmunds. – Jedna z ofiar to facet, który nazywał się tak samo jak Wolf, a druga to sam Masse. To się w ogóle nie trzyma kupy.

– W takim razie pozostaje nam skupić się na zabójcach. Wiemy, że coś musi ich łączyć.

– Marionetki, masz rację. Nie jesteśmy w stanie przewidzieć, kogo zaatakują, ponieważ nie wiemy, co chcą osiągnąć, a to pozostanie dla nas tajemnicą, dopóki nie odkryjemy, co ich łączy.

– Po co robić całe to zamieszanie, wzbudzać zainteresowanie całego świata, żeby potem milczeć?

– Przypuszczam, że samo zainteresowanie to dla nich za mało. Im zależy na niepodzielnej uwadze. To znaczy, że dopiero się rozkręcają.

– Być może się mylę, ale odnoszę wrażenie, że nie jesteś tym szczególnie rozczarowany – zauważyła Baxter, słysząc podekscytowany ton swojego byłego podwładnego.

– Przyślij mi rano wszystko, co masz na temat tych zabójców. I proszę cię, uważaj na siebie. Nie zapominaj, że to przynęta.

– Dobrze, będę ostrożna.

– Dzwoniłaś do Thomasa?

– Nie.

– Dlaczego?

– Pokłóciliśmy się przed wyjazdem.

– O co?

– Spór o pryncypia.

– Nie zepsuj tego swoim uporem.

– Dzięki za radę – odparła Baxter. – Byłbyś świetnym specjalistą od problemów małżeńskich.

Edmunds nie był pewien, czy Tia zgodziłaby się z tą opinią.

Kiedy skończyli rozmowę, dochodziło wpół do piątej, ale już nie chciało mu się spać i dygotał z zimna. Rozejrzał się po zagraconym wnętrzu szopy i zaczął

porządkować swoje narzędzia, wiedziony przeczuciem, że przed zakończeniem śledztwa będzie jeszcze potrzebował tego miejsca.

Baxter szybko zasnęła w łóżku Curtis, oflankowana z obu stron przez dwoje amerykańskich agentów, którzy czuwali na siedząco, w każdej chwili gotowi odeprzeć atak za pomocą zaimprovizowanej naprędce broni. Rouche nie zgodził się, żeby jego koleżanka wykorzystwała jako pocisk masywną Biblię wchodzącą w skład wyposażenia pokoju, ale byli uzbrojeni w dwie pary butów, jednego klapka, lakier do włosów i dwa służbowe pistolety (wyłącznie do rzucania w przeciwnika, gdyby sytuacja naprawdę wymknęła się spod kontroli).

Z Baxter nie mieli żadnego pożytku. Wkroczyła zniecierpliwiona do pokoju i gdy tylko przedstawili jej obraz sytuacji, dała nura w „strefę bezpieczeństwa”. Zsunęła buty i parę minut później spała jak zabita.

– Jeszcze po jednej? – zapytał Rouche, dokładając kolejną pustą buteleczkę do leżącej na łóżku sterty.

– Czemu nie? – Cutris opróżniła swoją.

Agent oparł się na krzesło i sięgnął do minibaru.

– Na zdrowie – powiedział.

Stuknęli się buteleczkami i wypili po łyku.

– Nie czujesz się tym zmęczony? – zapytała po chwili Curtis.

– Tym? – Rouche uniósł rękę, w której trzymał buta.

– Nie tym konkretnie, ale w ogóle tym wszystkim. Podłymi hotelami, wygniecionymi koszulami... samotnością.

– Spędzamy noc we troje w jednym łóżku – odparł, wywołując smutny uśmiech na jej twarzy. – Nie, ale gdyby zaczęło mnie to męczyć, chyba nie wytrzymałbym długo.

– Musi być ci ciężko z daleka od żony i córki.

– Mimo to wciąż daję sobie radę. Jeśli nie masz rodziny, a już cię to przytłacza...

– Nic mnie nie przytłacza! – uniosła się Curtis.

– Wybacz, źle to ująłem.

– Ja po prostu... Czy moje życie już zawsze będzie tak wyglądać?

– Będzie, jeżeli go nie zmienisz.

Agentka rzuciła butem, który przeleciał tuż obok głowy Rouche'a i pozostawił

wgniecenie w kruchej ścianie.

– To tylko jakiś cień... Przepraszam – szepnęła, wzruszając ramionami.

– Właściwie to nie moja sprawa, więc drugim możesz rzucić we mnie, jeśli mówię coś nie po twojej myśli, ale rujnując sobie życie tylko po to, żeby udowodnić, że podjęłaś słuszną decyzję, tak naprawdę niczego nie udowadniasz.

Curtis w zadumie pokiwała głową.

– Baxter włożyła spodnie od piżamy tyłem do przodu – odezwała się po chwili.

– Rzeczywiście – potwierdził Rouche, nie spojrzawszy nawet w jej stronę.

Baxter zaczęła cicho pochrapywać. Curtis przyglądała się jej przez chwilę.

– Moja szefowa powiedziała mi, że nie powinniśmy jej ujawniać żadnych istotnych informacji – powiedziała szeptem.

– Dlaczego?

– Bo i tak zabawi tu tylko parę dni.

– Szkoda. Polubiłem ją.

– Ja też.

– Prześpij się trochę – rzekł Rouche. – Będę trzymał wartę.

– Jesteś pewien?

Agent pokiwał głową. Pięć minut później Curtis już spała. Po kolejnych pięciu minutach jego również zmorzył sen.

Budzik zadzwonił o szóstej. Po wspólnej nocy w jednym łóżku wszyscy troje patrzyli na siebie lekko zmieszani. Baxter nie miała pojęcia, co się dzieje. Curtis usiadła i zaczęła się przeciągać.

– Dzień dobry – powiedziała.

– Dzień dobry – wychrypiał Rouche w odpowiedzi. – Pójdę wziąć prysznic.

Wstał i ruszył w stronę drzwi, ale w połowie drogi zatrzymał się gwałtownie i jęknął, spoglądając pod nogi.

– Co się stało?

Podeszła do niego i jej oczom ukazało się to, co zostało z pająka wdeptanego w wykładzinę dywanową.

– Baxter musiała na nim stanąć, kiedy tu weszła – stwierdził agent.

Śmiejąc się nerwowo, oderwał długi pasek papieru toaletowego i zebrał z podłogi efekt pierwszej udanej operacji ich zespołu.

Współpraca zapowiadała się pomyślnie.

# Rozdział 9

PIĄTEK, 11 GRUDNIA 2015 ROKU

9.07

Lennox postukała palcem w jedną z trzech karteczek, które rozłożyła przed Baxter, kiedy zajęły miejsce za stołem.

„Nie mogę snuć domysłów w tej kwestii”.

„Mogę to potwierdzić”.

„Nic na to nie wskazuje”.

Policjantka nachyliła się do małego mikrofonu stojącego na czarnym suknie, którym ktoś nakrył kilka ustawionych w rzędzie biurek, żeby nadać im bardziej oficjalny wygląd.

– Obawiam się, że nie mogę snuć domysłów w tej kwestii.

Odchylając się z powrotem na oparcie krzesła, usłyszała, jak Lennox cicho cmoka z irytacją. Gdy kolejny reporter zwrócił się do siedzącego obok niej mężczyzny, Lennox szybko skreśliła kilka słów na kartce, ani na chwilę nie przestając udawać całkowicie pochłoniętej pytaniem dziennikarza i odpowiedzią zastępcy dyrektora agencji.

Minęło kilka sekund, zanim Baxter zdołała odszyfrować treść nagryzmołonej notatki:

*Nigdy nie mów: „Obawiam się...”.*

W normalnych okolicznościach to by wystarczyło, żeby wyszła i trzasnęła drzwiami, nie zważając na tłum dziennikarzy i kamery, które rejestrowały każdy jej ruch, ale teraz zacisnęła zęby i pozostała na miejscu.

Zwołano konferencję prasową, żeby ujawnić tożsamość ostatniej ofiary i żeby w odpowiedzi na internetowe spekulacje i teorie konspiracyjne oficjalnie potwierdzić, że morderstwa, których ofiarami padli William Fawkes, Lethaniel Masse i Robert Kennedy, są ze sobą powiązane.

Baxter była rozkojarzona. Nadal wpatrywała się w pokrytą niewyraźnym



pismem kartkę i postanowiła zmiąć ją ostentacyjnie na oczach Lennox, która właśnie zbliżała się do końca swojej zawilej wypowiedzi.

– ...i nasi europejscy współpracownicy, jak obecna tu inspektor Baxter.

Kiedy skończyła, dała znak ubranemu w tani garnitur młodemu mężczyźnie, który uniósł rękę jako pierwszy.

– A więc, pani inspektor, jakie są pani zdaniem motywy sprawców? – zapytał.

Zebrani w milczeniu czekali na odpowiedź. Lennox położyła palec na pierwszej odpowiedzi, choć nawet nie musiała tego robić.

– Nie mogę snuć domysłów w tej kwestii – wyrecytowała Baxter.

– Nasz informator w więzieniu ujawnił, że na ciałach obu denatów były wycięte słowa „Marionetka” i „Przynęta” – kontynuował reporter, który najwyraźniej nie był usatysfakcjonowany krótką i wymijającą odpowiedzią. – Na zdjęciach z mostu Brooklińskiego widać, że zwłoki były okaleczone w podobny sposób. Czy potwierdza pani, że dotyczy to wszystkich dotychczasowych ofiar?

Lennox zawahała się przez chwilę, a potem jej palec spoczął na innej kartce. Baxter była zaskoczona, ale wypełniła to nieme polecenie.

– Mogę to potwierdzić – odpowiedziała jak automat.

Rozległ się szmer stłumionych rozmów. Baxter zauważyła swoich towarzyszy stojących pod ścianą w głębi sali i ich obecność dodała jej otuchy. Uśmiechnęła się, kiedy Rouche z wesołą miną pokazał jej uniesione kciuki. Curtis okazała się bardziej powściągliwa i tylko skinęła do niej głową.

– Pani inspektor! Pani inspektor! – zawołał reporter, starając się przekrzyczeć gwar i wykorzystać szansę na trzecie pytanie. – Zabity funkcjonariusz, mężczyzna nazwiskiem Fawkes i sam Lethaniel Masse, wszyscy trzej mieli wycięte na skórze słowo „Przynęta”. Czy w związku z tym bierzecie pod uwagę, że w gruncie rzeczy jest to wiadomość przeznaczona specjalnie dla pani?

Z całą uczciwością należało przyznać, że było to doskonałe pytanie. W sali zapadło grobowe milczenie, gdy grupa niecierpliwych dziennikarzy czekała w napięciu na odpowiedź.

Lennox wskazała kartkę ze zdaniem „Nie mogę snuć domysłów w tej kwestii”. To było do przewidzenia, pomyślała z goryczą Baxter. Przecież się nie przyzna, że ściągnęła mnie tu z drugiego końca świata, żebym się narażała.

– To tylko jedna z możliwości, które obecnie badamy – odparła, ale używając

liczby mnogiej, miała oczywiście na myśli siebie i Edmunda.

Nie trzymała się ściśle scenariusza, przyprawiając Lennox o lekką irytację, jednak ostatecznie agentka wydawała się zadowolona z jej profesjonalnej i konkretnej odpowiedzi.

– Pani inspektor! – zawołała jakaś kobieta z pierwszego rzędu.

Baxter odruchowo spojrzała w jej stronę, co reporterka wzięła za przyzwolenie i wstała, żeby zadać rozbijająco bezpośrednie pytanie:

– Czy będą kolejne morderstwa?

Palec agentki spoczął na tej samej odpowiedzi co poprzednio. Baxter przypomniała sobie, o czym rozmawiała z Edmundem ostatniej nocy.

– Ja... – zaczęła z wahaniem.

Kątem oka zauważyła, że Lennox jeszcze bardziej nagłym gestem pokazuje jej kartkę. Na drugim końcu sali Curtis z zatroskaną miną kręciła głową. Rouche nie potrzebował scenariusza, żeby poruszając bezgłośnie ustami, podpowiedzieć jej: „Nie mogę snuć domysłów...”.

– Pani inspektor, czy będą kolejne morderstwa? – powtórzyła dziennikarka.

Baxter przypomniała sobie oficjalny komunikat prasowy po aresztowaniu Masse’a – wersję wydarzeń, którą musiała przedstawić, żeby ratować własną skórę, i okrojone wyjaśnienie udziału Wolfa.

Ciągnął się za nią ślad trupów i niekończących się kłamstw.

– Uważam, że to dopiero początek... Tak, będą kolejne morderstwa.

Kiedy wszyscy dziennikarze zerwali się krzesel i zaczęli wykrzykiwać pytania przy wtórze błyskających fleszy, Baxter poczuła na sobie wzrok siedzących po obu jej stronach osób. Najwyraźniej popełniła błąd, łudząc się, że opinia publiczna przynajmniej ten jeden raz chciałaby poznać prawdę. Z przygnębieniem uzmysłowiła sobie, że społeczeństwo woli się sycić obietnicami bez pokrycia i nieszczerymi zapewnieniami. W tym względzie chyba mieli rację przewrotni spece od wizerunku, którzy twierdzili, że ludzie prędzej dadzą się zadźgać, niż zauważą nadciągające zagrożenie.

– A więc tyle ustaliliśmy do tej pory. – Agent specjalny Kyle Hoppus wskazał im jedną z wiszących na ścianie tablic. – Oto nasi zabójcy.

Marcus Townsend  
Most Brookliński

Eduardo Medina

Dominic Burrell ps. Bramkarz

39 lat, biały, Amerykanin		Więzienie Belmarsh
Inwestował na giełdzie	33. Komisariat	28 lat, biały, Brytyjczyk
Zbankrutował podczas kryzysu w 2008	46 lat, Latynos Kucharz w hotelu Park Stamford	Aresztowany w 2011 za zabójstwo, w więzieniu od 4 lat.
Przez pewien czas bezdomny	Problemy imigracyjne – połowa jego rodziny nadal mieszka w Meksyku	Jakie powiązania ze sprawą „Szmacianej Lalki” oprócz wspólnej odsiadki z Masse’em?
Powiązania finansowe z ofiarą?	Zemsta na władzach?	Z rejestrów wynika, że raz w tygodniu widywał się z psychiatrą i odwiedzali go krewni.
W 2007 podejrzewany o nielegalne transakcje giełdowe		Oczywiste podstawy do zemsty na policji.
Zemsta na policji?		

Nowojorski oddział terenowy FBI mieścił się na dwudziestym drugim piętrze rozczarowująco prozaicznego budynku przy Broadwayu. Gdyby nie typowe dla nowojorskiej architektury odsłonięte ceglane ściany, Baxter pomyślałaby, że jakimś cudem wróciła do siedziby Scotland Yardu, kiedy zobaczyła pobielane wysokie stropy, takie samo bladoniebieskie obicie na przegrodach między biurkami i niemal identyczną, choć nie tak bardzo niezniszczalną wykładzinę podłogową.

Hoppus dał im chwilę, żeby mogli zapoznać się dokładnie ze strzępkami informacji, których nie starto z tablicy. Zważywszy na jego wysokie stanowisko, wydawał się podejrzanie uprzejmy.

– Jak się prawdopodobnie domyślicie, kiedy już wykluczyliśmy wszelkie możliwe powiązania między zabójcami, ofiarami i sprawą „Szmacianej Lalki”, teraz możemy skupić się na fakcie, że każdy ze sprawców miał podstawy, aby żywić niechęć do policji – wyjaśnił. – Jeden z naszych zespołów wciąż śledzi historię ich operacji finansowych, drugi bada kontakty zapisane w ich komputerach i telefonach... bardzo skrupulatnie, ma się rozumieć, ale prawdę mówiąc, stoimy w miejscu. Żadnych dominujących przekonań religijnych czy politycznych, może z wyjątkiem Mediny, który był katolikiem i popierał demokratów, jak większość imigrantów z Meksyku. Żadnych kolizji z prawem, oczywiście z wyjątkiem Burrella. O ile nam wiadomo, ci ludzie się nie znali i nigdy nie mieli ze sobą styczności.

– A jednak w odstępie kilku dni popełnili trzy morderstwa, które niewątpliwie

coś łączy – odezwał się Rouche. – Włos się na głowie jeży.

Hoppus nic nie odpowiedział, spojrział tylko na Curtis, jakby chciał ją zapytać, po co przyprowadziła ze sobą tego dziwnego człowieka.

– Czy mogłabym dostać kopie ich akt? – zapytała Baxter.

Postanowiła nie wspominać, że zamierza je przesłać na drugą stronę Atlantyku pewnemu funkcjonariuszowi wydziału gospodarczego, całkowicie niezwiązanemu ze śledztwem.

– Oczywiście – odparł Hoppus nieco oschle.

Przypuszczalnie czuł się urażony, że miała nadzieję znaleźć coś, co przeoczyli wszyscy jego ludzie.

Rouche zrobił krok w stronę tablicy, żeby przyjrzeć się dokładnie trzem małym fotografiom przyklejonym nad nazwiskami. Omiótł wzrokiem wykonane podczas aresztowania zdjęcia Burrella, za to na podkoszulku dostrzegł znajome logo.

– Czy Townsend uczestniczył w programie „Pomocna Dłoń”? – zapytał.

– Owszem.

– Nie zrezygnował ani nie został skreślony?

Hoppus, który musiał przerwać rozmowę z Curtis i Baxter, spojrział na niego zdezorientowany.

– Przecież on nie żyje.

– Chodzi mi o to, czy był zarejestrowany w dniu śmierci.

– Tak, do samego końca – odparł agent, nie kryjąc irytacji.

– Hmm...

Rouche obrócił się z powrotem w stronę tablicy. Z „Pomocną Dłonią” zetknął się podczas poprzedniego śledztwa. Był to program utworzony z myślą o rosnącej liczbie bezdomnych, którym pomagał w odzyskaniu aktywności zawodowej i względnej samodzielności. Zapewniał tym zepchniętym poza margines ludziom zakwaterowanie, doradztwo, szkolenia i oferty pracy. Inicjatywa godna podziwu, jednak trudno było sobie wyobrazić, aby ten wyniszczony i zaniedbany mężczyzna z fotografii kiedykolwiek odnalazł się na nowo w społeczeństwie. Rouche widział dostatecznie wielu narkomanów, żeby rozpoznać człowieka, któremu bardziej zależy na prochach niż na życiu.

Przeniósł wzrok na zdjęcie Mediny. Było przycięte i w dolnym rogu widniał czubek czyjejś głowy. Z jego pozycji dało się wywnioskować, że obejmował tę

osobę. Wyglądał na szczęśliwego.

– Co teraz będzie z jego rodziną? – zapytał Rouche, znów odrywając Hoppusa od rozmowy.

– Czyją?

– Mediny.

– Cóż, zważywszy na fakt, że ten skurwiel z zimną krwią zabił gliniarza, byłbym zaskoczony, gdyby nie deportowali jego syna, który tutaj z nim mieszkał, i nie zadbali, żeby reszta jego rodziny nigdy nie przekroczyła naszej granicy.

– A więc w zasadzie wystawił ich do wiatru – skonstatował Rouche.

– Delikatnie powiedziane.

– Ale wcześniej dawał z siebie wszystko, żeby im pomagać.

Hoppus, który właśnie odwracał się w stronę Curtis, zadrzał z irytacji i spojrzał na Rouche'a.

– Tak sądzę – odparł. – Brał nadgodziny w hotelu i wysyłał pieniądze swojej rodzinie. Zamierzał tu sprowadzić córkę.

– Dosyć nietypowe jak na czarny charakter.

Uprzejmy dotąd agent poczerwieniał ze złości.

– Czarny charakter? – warknął podniesionym głosem. – Ten facet przywiązał funkcjonariusza policji do samochodu i wjechał w ścianę!

– Pan mnie źle zrozumiał – powiedział uprzejmie Rouche. – Nie bagatelizuję tego, co zrobił. Po prostu nie jestem przekonany, że był złym człowiekiem.

W biurze zapadło złowrogie milczenie, gdy inni agenci przerwali rozmowy, zaskoczeni niespodziewanym wybuchem swojego szefa.

– Rouche ma rację – odezwała się Baxter, ignorując karcące spojrzenie Curtis. – Jeśli chcecie odkryć, co się dzieje, Medina to dla was najlepszy trop. Burrell i tak był gównem wart, a Townsend się stoczył i Bóg jeden wie, kogo mógł spotkać na ulicy. Medina ciężko pracował i starał się zapewnić lepszy byt swojej rodzinie. Taka gwałtowna zmiana w jego zachowaniu o wiele bardziej rzuca się w oczy niż w przypadku pozostałych.

– Właśnie o to mi chodziło – mruknął Rouche.

– Wszystko jasne – odparł z ociąganiem Hoppus, ale nie wyglądał na szczególnie zadowolonego.

– Agent Hoppus właśnie zapoznawał nas z innym wątkiem śledztwa – wtrąciła

Curtis, próbując sprowadzić rozmowę na mniej kontrowersyjny temat.

Rouche odszedł od tablicy i przyłączył się do nich.

– Mówiłem właśnie, że nasi informatycy zbadali aktywność w sieci pod kątem wyszukiwania takich słów jak „Marionetka”, „Masse”, „Szmaciana Lalka” i „Przynęta” przed dzisiejszą konferencją prasową, kiedy panował największy ruch. Natrafili również na fora i strony internetowe, na których już zgłaszają się ochotnicy, jakby to była jakaś gra.

– Chorzy popaprańcy – mruknęła Baxter.

– Trafniej nie można tego ująć – przytaknął agent. – Namierzamy adresy IP wszystkich, którzy się tam logują, i będziemy ich obserwować na wypadek, gdyby odezwał się do nich ktoś, kto rzeczywiście jest w to zamieszany.

– Może to zabrzmieć strasznie – odezwała się Curtis – ale w zasadzie czekamy na kolejną ofiarę, prawda?

– Raczej nie powinniśmy ogłaszać tego publicznie... ale tak, w tej chwili błądzimy po omacku – przyznał jej rację Hoppus i odwrócił się w stronę jednego ze swoich podwładnych, który do nich podszedł.

– Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, szefie. Agentka Lennox czeka na dole z grupą dziennikarzy i życzy sobie, żeby inspektor Baxter do niej dołączyła.

– Zostawcie mnie w spokoju – westchnęła z rezygnacją policjantka.

Młody agent zrobił zaniepokojoną minę, obawiając się, że będzie musiał przekazać swojej przełożonej taką właśnie wiadomość.

– Spójrz na to z innej strony – powiedział wesoło Rouche. – W porównaniu z wcześniejszym wystąpieniem możesz wypaść tylko lepiej.

Curtis zachęcająco pokiwała głową.

– Jak powiedziałaś? „W zasadzie czekamy na kolejną ofiarę”? – zapytała Baxter i zwróciła się do agenta: – Dobra, idziemy.

– Ona żartowała... prawda? – zapytał niepewnie Hoppus, kiedy wyszła z biura.

Baxter poczuła wibrowanie schowanej w kieszeni komórki, kiedy udzielała takich samych ogólnikowych odpowiedzi na takie same ogólnikowe pytania, jak podczas porannej konferencji prasowej. Chociaż nie przepadała za byłą żoną Wolfa, nie miała wątpliwości, że bezbarwni i pozbawieni wyobraźni dziennikarze, z którymi dotąd miała styczność podczas swojej podróży, mogliby się wiele nauczyć od tej specjalistki w dziedzinie bezwstydnego wzniesienia paniki.

Była poirytowana udziałem w kolejnej medialnej szopce, ale uświadomiła sobie, że nie może się doczekać, aż znów dołączy do Curtis i Rouche'a. Śledztwo w sprawie „Szmacianej Lalki” trwało zaledwie około dwóch tygodni, a mimo to wolała nawet nie myśleć, z jak wielu powodów czuła się po jego zakończeniu pusta i niespełniona. Ta niespodziewana kontynuacja sprawy sprzed roku przywróciła jej zawodową energię. Znów czuła się potrzebna i działała w zespole. Ale przede wszystkim dotarło do niej, jak bardzo żałuje przyjęcia awansu na stanowisko inspektora.

Zauważyła, że ten sam młody mężczyzna, który sprowadził ją na dół, usiłuje teraz przyciągnąć uwagę Lennox, zwracając się do niej nerwowym szeptem. Wyglądał na zagubionego i nie wiedział, jak wybrnąć z tej sytuacji, podczas gdy jego przełożona wciąż brylowała przed kamerami.

– Lennox! – warknęła do niej Baxter. – Myślę, że ten facet musi pilnie z panią porozmawiać.

– I z panią również – dodał agent, spoglądając na nią z wdzięcznością.

– Obowiązki wzywają – oznajmiła Lennox z uśmiechem.

We trójkę oddalili się od dziennikarzy, którzy obserwowali ich uważnie.

– Co jest aż tak ważne, że nie mogło poczekać, aż skończę? – zapytała jadawitym szeptem Lennox.

– Pomyślałem, że to by nie wyglądało dobrze, gdyby dowiedziała się pani o tym później niż reszta świata – wyjaśnił młody mężczyzna.

– O czym?

– Znalaziono kolejną ofiarę... znowu gliniarz.

# Rozdział 10

PIĄTEK, 11 GRUDNIA 2015 ROKU

17.34

Posterunkowy Aaron Blake w zamieszaniu stracił z oczu swojego partnera. We dwójkę sparaliżowali pół Londynu, organizując doraźny objazd na sześciopasmowej The Mall, jakby liczyli, że wszystkie pojazdy jakimś cudem zdołają się pomieścić w znacznie węższej Marlborough Road. Sytuację pogarszał jeszcze bardziej całun przenikliwie zimnej mgły, która spowiła miasto. Kiedy przyjechali na miejsce, widać było przynajmniej światła pałacu Buckingham odcinające się na tle nocnego nieba. Teraz widoczność ograniczała się do paru metrów, a mętny tuman zabarwiony przez koguty radiowozów i karetek pulsował upiorną niebieską poświatą.

Ciemne włosy Blake'a nasiąkły wilgocią, która przenikała przez cztery warstwy ubrania. Ruszył po omacku ku miejscu przestępstwa, kierując się w stronę blasku reflektora umieszczonego z tyłu wozu strażackiego.

– Blake! – zawołał Saunders, kiedy jego partner wyłonił się z mleczych oparów niczym marny iluzjonista.

Też był przemoczony, a podświetlone jasne włosy tworzyły nienaturalną pomarańczową aureolę wokół jego szyderczej twarzy. Kiedy Baxter zaczęła kierować wydziałem, od razu połączyła w parę tych dwóch detektywów, z którymi nikt nie chciał pracować. Żaden z nich nie był zachwycony jej decyzją. Saunders uchodził za najbardziej wyszczekanego i wulgarnego szowinistę, jaki zdołał się jeszcze uchować w wydziale kryminalnym, natomiast Blake miał opinię pozbawionego charakteru podstępного intryganta.

– A więc nie natknąłeś się na techników? – zapytał Saunders.

– Chyba sobie kpisz. Ledwie sam tu z powrotem trafiłem.

– Totalna kaszana.

Uwagę Blake'a odwrócił wielki, połyskujący złociście kształt, który przemknął



kilka metrów od głowy jego partnera przy wtórze tętentu kopyt.

– A teraz co? – Saunders wyjął z kieszeni dzwoniący telefon i spojrzał na wyświetlacz. – Szefowa?

Wracając na górę do oddziału terenowego FBI, Baxter zadzwoniła do Vanity. Była zaskoczona spokojnym i stanowczym głosem swojej przełożonej, która właśnie jechała na miejsce przestępstwa, żeby opanować sytuację, zamiast ukrywać się za biurkiem. Vanita podzieliła się z nią kilkoma wrywkowymi szczegółami, które zdążyła już poznać, i ani trochę nie rozproszyła jej obaw, wymieniając nazwiska obecnych już na miejscu funkcjonariuszy.

– Saunders, możesz zdać mi raport sytuacyjny? – zwróciła się Baxter do swojego podwładnego po drugiej stronie Atlantyku.

Usiadła przy jednym z wolnych biurek, znalazła czystą kartkę i przygotowała długopis.

– Rozpierducha na całego – odparł zwięźle posterunkowy. – Pewnie wiesz, jaką tu mamy pogodę. Masakra. Taka mgła, że własnej ręki nie widzę, i chyba zaraz mnie strątuje jakiś patrol gwardii konnej. Sceneria jak z horroru.

– Zabezpieczyliście miejsce zbrodni?

W słuchawce rozległo się przeszywające zawodzenie syreny.

– Przepraszam, zostań na linii... – powiedział Saunders i jego głos nieco przycichł. – No świetnie! Jeszcze jeden radiowóz! Dwadzieścia załóg nie dało rady, a wy co chcecie zwojować? Jasne, ja ciebie też.

– Saunders!

– Tak, już jestem.

– Zabezpieczyliście miejsce zbrodni?

– Cóż, pierwsi dojechali tu strażacy i zrobili swoje. Ale owszem, rozwiesiliśmy taśmę, której nikt nie widzi.

– Kto tam jest oprócz was?

– A kogo nie ma? Cała hałastra. Dwa wozy straży pożarnej, co najmniej trzy ambulanse, a radiowozy przestałem już liczyć. Rozmawiałem z jakimś facetem z MI5 i ludźmi z kawalerii królewskiej, a przez chwilę kręcił się tu nawet ktoś z inspektoratu ochrony zwierząt. Technicy kryminalistyczni podobno gdzieś tu są, ale jeszcze ich nie znaleźliśmy.

– Nie ruszajcie się z miejsca. Zaraz tam będzie Vanita – poinformowała go

Baxter. – Czy Blake jest gdzieś koło ciebie?

Nie znosiła ich obu jednakowo, ale na ogół Blake wykazywał się większym rozsądkiem.

– Tak, zaczekaj chwilę... Blake! Szefowa chce z tobą mówić... Tak, z tobą. Po co się przyczęsujesz? I tak cię nie zobaczy. Nawet ja cię nie widzę.

W słuchawce rozległ się szmer, kiedy Saunders przekazał telefon koledze.

– Słucham? – odezwał się Blake.

Przyciskając aparat do ucha, poczuł na policzku zimny dotyk wilgotnego wyświetlacza. Kiedy uniósł wzrok i spojrzął w czyste nocne niebo, ogarnęło go absurdałne wrażenie, jakby wzleciał nad całym tym chaosem, który panował dookoła, i wystawił głowę z chmury.

– Chciałabym, żebyś podszedł na miejsce zbrodni i opowiedział mi dokładnie, co widzisz.

Iluzja prysła, kiedy Blake wykonał polecenie i schylił się, żeby przejść pod taśmą, która otaczała zwęglone szczątki samochodu. Włączył latarkę i rozproszony snop światła omiótł smugi czarnego dymu, który wciąż wydobywał się z wraku i ulatywał ku niebu, splatając się z mlecznymi tumanami.

– No dobra, jestem na Mall od strony pałacu. Mamy tu całkowicie spalony radiowóz, który stoi na środku drogi – zaczął relację, a kawałki stłuczonej szyby i odłamki plastiku zachręściły pod jego podszewkami, kiedy podchodził bliżej. – W środku dwa zwęglone ciała, za kierownicą i na miejscu pasażera. Świadcówie widzieli dym, który wydostawał się z wnętrza, kiedy samochód jechał od strony Trafalgar Square. Kilka sekund później rozpętało się piekło.

Na tym etapie Blake zazwyczaj wtrącał jakiś niesmaczny żart albo niestosowną uwagę, jednak tym razem złowroga atmosfera, czwarte z serii tajemniczych morderstw i makabryczny widok, jaki miał przed sobą, skłoniły go do nietypowo profesjonalnego zachowania. Po prostu chciał jak najlepiej wykonać swoją robotę.

– Jak bardzo zbliżyli się do pałacu? – zapytała Baxter.

– Nie za bardzo. Przejechali mniej więcej dwie trzecie drogi, ale to jest długa ulica. Chyba musimy przyjąć, że taki mieli cel, tylko ogień rozprzestrzenił się zbyt szybko.

– Opowiedz mi o ciałach.

Posterunkowy wiedział, że tego nie uniknie. Zasłonił nos i przyklęknął obok

poczerniałych zwłok. Wszystkie drzwi samochodu były otwarte, ponieważ strażacy sprawdzali, czy w środku nie ma kogoś więcej.

– Są, hm... są w fatalnym stanie – powiedział. Poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła, ale nie wydał żadnego odgłosu. – Ten swąd...

Przerwał, żeby zapanować nad odruchem wymiotnym.

– Wiem – odparła Baxter wyrozumiale. – Powiedz mi, co widzisz.

Czarna od sadzy woda wciąż ściekała z odsłoniętego podwozia, tworząc kałuże podobne do zastygłej smoły.

– Na pewno czuję benzynę, dużo benzyny. To mogła być zawartość baku, ale z tego, co mówił świadek, wyglądało to tak, jakby nasączono nią całe wnętrze. Na miejscu kierowcy ciało mężczyzny. Boże, nawet nie sposób rozpoznać, jaki miał kolor skóry.

Blake oświetlił latarką zwłoki. Drżący snop światła zatrzymał się na klatce piersiowej, a potem powędrował w stronę tego, co zostało z twarzy.

– Wzrost około metra osiemdziesięciu, szczupły, rozebrany od pasa w górę. Całe ciało jest zwęglone oprócz kawałka skóry na piersi, który wygląda na prawie nienaruszony.

– Marionetka? – zapytała Baxter, chociaż знаła już odpowiedź.

– Musiał użyć opóźniacza spalania albo czegoś w tym rodzaju, którym pokrył nacięcia – rzekł Blake i skierował światło w stronę drugich zwłok. – W podobnym stanie jest kobieta w fotelu pasażera. Naga od pasa w górę, słowo „Przynęta” całkiem nieźle zachowane. Ma na sobie pas taktyczny i policyjne buty, więc jesteśmy przekonani, że to posterunkowa Kerry Coleman. To jej radiowóz, a dyspozytor zgłosił, że od ponad godziny nie odpowiadała na wezwania.

Blake usłyszał chrzęst za plecami. Obejrzał się i zobaczył Saundersa, który unosił taśmę, żeby przepuścić ekipę techników kryminalistycznych.

– Technicy wreszcie dotarli – powiedział do telefonu, po czym podniósł się z klęczek i odszedł na bok. – Chcesz, żebym ci przekazał, co odkryją?

– Nie. Vanita będzie tam lada chwila, więc zdasz jej raport. Ja wracam jutro.

– W porządku.

– Aha, Blake...

– No?

– Dobra robota.

Posterunkowy postanowił skupić się na pochwale i nie zwracać uwagi na zdumiony ton, jakim została wypowiedziana.

Baxter wyrwała z notesu zapisaną kartkę i udała się do biura Lennox, gdzie czekała na nią reszta zespołu. Przekazała agentom wszystko, co usłyszała od Blake'a, i wspólnie zaczęli dyskutować o schemacie, który stawał się coraz wyraźniejszy. Morderstwa w Wielkiej Brytanii były odzwierciedleniem tych popełnionych w Stanach, tylko dochodziło do nich z opóźnieniem. Dwie ofiary po obu stronach Atlantyku dało się powiązać ze sprawą „Szmacianej Lalki”, a teraz dopełnieniem symetrycznego bilansu stało się dwoje martwych policjantów.

– Muszę wracać – oznajmiła Baxter. – Nie mogę tu tkwić, kiedy ktoś morduje gliniarzy na moim podwórku.

– Całkowicie to rozumiem – odparła uprzejmie Lennox, zadowolona, że ma dobry pretekst, żeby pozbyć się jeszcze wcześniej niewygodnego gościa.

– Niezależnie od tego, gdzie jesteś, i tak pracujesz nad tą samą sprawą – zauważył Rouche.

– Nie mogę tu zostać.

– Każę komuś zarezerwować bilet – wtrąciła pospiesznie Lennox, jakby obawiała się, że ktoś spróbuje odwieść Baxter od jej zamiaru.

– Na dziś wieczór?

– Postaram się.

– Dziękuję.

– Nie, pani inspektor – powiedziała agentka i wyciągnęła rękę na pożegnanie. – To ja pani dziękuję.

Baxter miała zarezerwowany bilet do Londynu na poranny lot następnego dnia. Kilka razy w ciągu popołudnia rozmawiała z Vanitą i dwa razy z Edmundsem. Zostawiła nawet Thomasowi wiadomość na poczcie głosowej, żeby go poinformować o swoim powrocie, przez co poczuła się jak niezwykle szczerą i troskliwą partnerką.

Pomimo trudności z identyfikacją zwęglonych zwłok śledczy w Londynie szybko ustalili tożsamość zabójcy posterunkowej Coleman – nazywał się Patrick Peter Fergus i okazał się właścicielem telefonu komórkowego, który znaleziono w porzuconym plecaku.

System bieżącej lokalizacji satelitarnej, za pomocą którego dyspozytorzy określają pozycję patroli w terenie, przydzielając im interwencje, odnotował niezaplanowany postój radiowozu Coleman na Spring Gardens. Dokładne dane dotyczące czasu i miejsca pozwoliły na skorzystanie z sieci miejskiego monitoringu, często krytykowanego jako „oko Wielkiego Brata”. Dziewięć różnych kamer zarejestrowało urywki wydarzeń poprzedzających tę ponurą zbrodnię.

Od strony Whitehall nadszedł siwowłosy mężczyzna z torbą w rękę, ubrany w dżinsy i koszulkę polo. Kiedy czekał przed skrzyżowaniem, na światłach zatrzymał się radiowóz posterunkowej Coleman. Zamiast przejść na drugą stronę, mężczyzna zbliżył się do samochodu, zapukał w szybę i uśmiechając się uprzejmie, wyciągnął rękę w stronę bocznej uliczki.

Prace remontowe w budynkach po obu stronach zaułka uniemożliwiały ruch pieszych, więc nikt nie zauważył, jak Fergus schyla się spokojnie i podnosi cegłę. Właśnie tą cegłą uderzył Coleman w czoło, kiedy wysiadła z samochodu, a potem nieprzytomną posadził w fotelu pasażera. Na nagraniach z kamer śledczy mogli zobaczyć, co wydarzyło się wewnątrz radiowozu – widzieli nóż, opóźniacz spalania i butelkę z benzyną, wszystko to było ukryte w torbie, z którą morderca chodził spokojnie po zatłoczonej ulicy.

Baxter czuła dreszcze, kiedy skończyła rozmawiać przez telefon z detektywem z nocnej zmiany. Vanita zaplanowała konferencję prasową, żeby ujawnić tożsamość zamordowanej policjantki, ale poza tą informacją nie miała nic do powiedzenia dziennikarzom. Technicy nie znaleźli żadnych istotnych śladów w zabezpieczonym telefonie. Morderstwo miało całkowicie przypadkowy charakter, czego dowodziły nagrania z kamer, więc szukanie tropów wskazujących na uwikłanie ofiary nie miało sensu. Po prostu Coleman znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie, stając na drodze człowieka, który postanowił zamordować funkcjonariusza policji i wykorzystał nadarzącą się okazję.

Baxter stała przed wejściem do Reade Street Pub w Tribecce. Ten przytulny, staromodny bar uchodził za ulubione miejsce spotkań agentów FBI i z tego powodu należał do najspokojniejszych lokali w mieście. Curtis, która dała się zaprosić swoim kolegom na drinka po pracy, namówiła Baxter i Rouche’a, żeby się do niej przyłączyli.

Baxter pomyślała, że powinna już wracać do środka, ale zapadający nad miastem

wieczór i widok świateł, które zapalały się kolejno w oknach, działał na nią dziwnie uspokajająco. Jej westchnienie zamieniło się obłoczek pary w lodowatym powietrzu, kiedy ruszyła w stronę ciepłego, wypełnionego muzyką i śmiechami wnętrza.

Rouche i Curtis stali przy barze w towarzystwie dużej grupy agentów. Jeden z nich wspominał jakiś incydent z udziałem jego służbowej partnerki, a Curtis słuchała opowieści, uśmiechając się ze skrepowaniem.

– No i wtedy ona wychodzi z tego meliniarskiego bloku, pokryta dosłownie od stóp do głów białym proszkiem. Jedną ręką prowadzi dilera, wlokąc go za frak, a w drugiej niesie tego pieska. – Mężczyzna przerwał, żeby pociągnąć łyk z butelki przy akompaniamencie salwy śmiechu. – A całą akcję filmują ekipy telewizyjne, nie mówiąc o tłumie gapiów z komórkami. Nawet helikopter tam był. A ona co robi?

Agent spojrział na Rouche'a, jakby się spodziewał, że ten odgadnie, którą z niezliczonych możliwości oferowanych jej przez wolną wolę wybrała Curtis.

Rouche wzruszył ramionami.

– Podchodzi do naszego obecnego zastępcy dyrektora, podaje mu to biedne zwierzę, obsypując je proszkiem, i mówi: „Rekwiruję tego psa!”.

Wszyscy koledzy Curtis zanieśli się hałaśliwym śmiechem. Rouche zawtórował im z grzeczności, ale miał speszoną minę.

– Widzicie, gnojek próbował wmusić w tego psa całe dwa kilo prochów, kiedy usłyszał syreny. Potem szef siedział całą noc u weterynarza i czekał, aż zwierzak wysra dowody! A wiesz, jak mu dała na imię?

Agent znów zwrócił się do Rouche'a, który miał ochotę wyjaśnić, że nie ma zielonego pojęcia i nie jest jasnowidzem, bo gdyby był, oznaczałoby to, że mógłby uniknąć tej żenującej rozmowy.

– Hmm... Koka?

– Śnieżka – odezwał się mężczyzna po chwili niezręcznego milczenia, jakby ta nieudolna zgadywanka dotknęła go do żywego. – Nazwała go Śnieżką.

Zauważywszy Baxter, Rouche przeprosił towarzystwo i ruszył jej na spotkanie.

– Napij się czegoś? – zagadnął, kierując ją w stronę przeciwnego końca baru. – Ja stawiam.

Nie zamierzała odmawiać i poprosiła o duży kieliszek czerwonego wina.

– Wiesz, te nagrania z Londynu naprawdę mnie poruszyły – wyznał jej Rouche, kiedy czekali na powrót barmana. – Wydało mi się wręcz szokujące, że wszystko odbyło się prawie bez przemocy... Nie żeby mi przeszkadzało, że ofiara nie cierpiała. To po prostu...

– Poszło zbyt gładko – dokończyła za niego Baxter. Odniosła takie samo wrażenie. – Wystarczyło wybrać kogoś na ulicy, kogokolwiek, uderzyć mocno w głowę czymś, co było pod ręką, i odjechać.

– Racja. Ta policjantka nie miała szans, prawda? To było zbyt przypadkowe... facet wykorzystał okazję – powiedział. – Jutro rano odwieziemy cię razem z Curtis na lotnisko.

– Nie ma takiej potrzeby.

– Mimo wszystko nam zależy.

– No cóż, skoro nalegacie...

– Na zdrowie. – Rouche uniósł swój kieliszek.

– Na zdrowie – odpowiedziała Baxter i poczuła, jak cierpki smak w ustach uwalnia ją od napięcia.

Dopiero po kilku próbach udało jej się włożyć kartę do czytnika. Kiedy znalazła się w pokoju, zsunęła buty, rzuciła torebkę na łóżko, zapaliła lampkę nocną i chwiejnym krokiem poczłapała w stronę małego okna, żeby je otworzyć.

Chciała jak najszybciej uwolnić się od oficjalnego stroju i w drodze do łazienki zdjęła spodnie. Właśnie rozpiniała guziki bluzki, kiedy usłyszała sygnał telefonu. Wdrapała się na łóżko, żeby wyjąć go z torebki, i znieruchomiała na widok wiadomości od Thomasa.

– Dlaczego, do cholery, jeszcze nie śpisz o tej porze? – zaczęła się głośno zastanawiać, zanim zdała sobie sprawę, jak jest późno i że sama powinna już spać od paru godzin.

„Nie mogę się Ciebie doczekać. Echo chyba ma pchły”.

– Sam masz pchły – mruknęła z irytacją.

Nawet nie pomyślała, że Thomas byłby jej wdzięczny za jakąś odpowiedź, za to przypomniała sobie o informacjach na temat zabójców, które dostała od Hoppusa i które powinna przekazać Edmundsowi. Napisała do niego niezbyt spójny mejl,

robiąc jedenaście literówek w zaledwie szesnastu słowach, załączyła dokumenty, po czym kliknęła „wyślij”.

Odrzuciła telefon i jej wzrok spoczął na bliźnie, która zdobiła wewnętrzną część jej prawego uda – trwałej pamiątce po sprawie „Szmacianej Lalki”, Massie i... Wolfie. Jej widok zawsze ją zaskakiwał.

Zadygotała, kiedy w roztargnieniu przesunęła palcami po zgrubiałej skórze. Nagle przypomniała sobie tamto uczucie chłodu i całe jej ciało pokryło się gęsią skórką. To nie był rześki zimowy powiew wpadający przez okno, ale prawdziwy mróz, który przenikał ją do szpiku kości. Nigdy wcześniej nie doświadczyła czegoś takiego. Wyobraziła sobie, jak uchodzi z niej krew, a jej ciało stygnie.

Zamknąwszy okno, w pośpiechu naciągnęła spodnie od pizamy w nadziei, że zapomni o tej nieodłącznej części siebie, którą tak pogardzała.



# Rozdział 11

SOBOTA, 12 GRUDNIA 2015 ROKU

7.02

Baxter pięć razy naciskała „drzemkę”, zanim w końcu zwlokła się z łóżka. Zrezygnowała z prysznic na rzecz szorowania zębów, upchnęła swoje rzeczy do walizki i lekko się umalowała. Wyglądała w miarę przyzwoicie, kiedy wyszła na korytarz dwie minuty po umówionej porze, żeby odkryć, że nikt na nią nie czeka.

Niespełna minutę później z sąsiedniego pokoju dobiegł stłumiony jęk. Zamek szczęknął głośno i w drzwiach stanął Rouche, który sprawiał wrażenie mocno sponiewieranego. Garnitur miał tak wymięty, jakby w nim spał, a jego włosy, które najwyraźniej próbował doprowadzić do porządku, nie dały się okiełznać. Chociaż nosił okulary przeciwsłoneczne, musiał osłaniać oczy dłonią przed światłem lamp.

– Dzień dobry – wychrypiał, obwąchując swoją marynarkę w okolicy pachy. Sądząc po minie, jaką zrobił, nie miał co liczyć na pożegnalny uścisk. – Jak to możliwe, że wyglądasz tak... – Zawiesił głos, żeby nie powiedzieć nic, co mogłoby zabrzmieć niestosownie.

– Jak? – wyszeptwała Baxter, świadoma że ludzie w innych pokojach mogą jeszcze spać.

Nie widziała jego oczu ukrytych za ciemnymi szklami i zastanawiała się przez chwilę, czy nie zasnął na stojąco.

– ...dobrze – dokończył wreszcie Rouche.

Liczne seminaria poświęcone molestowaniu seksualnemu, w których musiał uczestniczyć cały jego wydział, mimo wszystko nie były całkowitą stratą czasu.

– Trening czyni mistrza – odparła. – Jestem zdecydowanie przetrenowana. Ale te okulary to miły akcent... taki subtelny.

– Tak pomyślałem.

Pokiwał głową i szybko zdał sobie sprawę, że powinien tego unikać przez resztę dnia.

- Czemu w ogóle je ze sobą nosisz? Na zewnątrz jest minus pięć.
- Przydają się, kiedy prowadzę – wyjaśnił agent. – Chronią przed oślepiającym światłem.

W tym momencie dał się słyszeć odgłos otwieranych drzwi i na korytarz wyszła Curtis z komórką przy uchu. Prezentowała się nieskazitelnie. Jak na profesjonalistkę przystało, poprzedniego wieczoru wypła tylko jedno piwo i wyszła z baru o dziewiątej. Kiedy pożegnała się z kolegami, znalazła Baxter i Rouche'a, którzy zaszyli się przy małym stoliku pod oknem. Właśnie pili trzecią kolejkę, zamówili jedzenie i nie spieszyło im się do hotelu.

Curtis pozdrowiła Baxter skinieniem głowy i omiotła zaniechanego kolegę długim, gniewnym spojrzeniem. Potem pokręciła głową z dezaprobatą i odeszła w stronę windy.

- Przed oślepiającym wzrokiem też chronią? – zapytała Baxter z przekąsem i ciągnąc za sobą walizkę, minęła Rouche'a.

Zdecydowali, że najlepiej będzie, jeśli Curtis usiądzie za kierownicą. Baxter zajęła miejsce z tyłu, a Rouche opuścił szybę po stronie pasażera i skierował na siebie wszystkie wyloty ciepłego nawiewu. Gdy tylko wyjechali z hotelu, ich czarny suburban utknął w morzu taksówek, które posuwały się w żółtym tempie niczym strumień krzepnącej żółtej farby.

W tle słyhać było rozmowy dobiegające z policyjnej krótkofalówki, a każdy z komunikatów, które wymieniała dyspozytorka z funkcjonariuszami w terenie, poprzedzał wesoły sygnał. Miasto, które nigdy nie śpi, miało za sobą wyjątkowo niespokojną noc, jak zauważyła Baxter, chociaż wielu rzeczy musiała się domyślać, bo nie znała kodów stosowanych przez nowojorską policję. Za to Curtis była z nimi na tyle dobrze obeznana, że tłumaczyła jej co ciekawsze zgłoszenia.

Po drugiej stronie Atlantyku była już pora lunchu i londyńscy detektywi od rana nie próżnowali. Baxter dostała mejla z nowymi szczegółami na temat ostatniego zabójcy, Patricka Petera Fergusa, i zaczęła czytać go na głos.

- Sześćdziesiąt jeden lat. Przez ostatnie dwa i pół roku pracował jako sprzątac w firmie, która zajmowała się rozpatrywaniem reklamacji. Jeśli chodzi o kolizje z prawem, tylko jakaś burda w pubie trzydzieści kilka lat temu. Jedyne rodzina to matka z demencją w domu opieki na przedmieściach... O Jezus!

- Co się stało?

– Wieczorami dorabiał sobie jako Święty Mikołaj. Właśnie był w drodze do tej pracy, kiedy nagle pod wpływem jakiegoś impulsu postanowił zamordować Bogu ducha winną policjantkę.

Rouche obrócił się gwałtownie w fotelu, jakby w jednej chwili otrzeźwiał.

– Mówisz poważnie? – zapytał.

– Żeby tylko Andrea się o tym nie dowiedziała – jęknęła Baxter. – Już widzę te nagłówki. „Mikołajkowe zbrodnie”.

Wyjrzała przez okno. Z nieba zasnutego ciemnoszarymi chmurami zaczynał prószyć śnieg. Byli w pobliżu City Hall Park i posuwali się po parę metrów do przodu, a zielona tablica obwieszczała, że zbliżają się do mostu Brooklińskiego.

– Co znowu? – mruknęła pod nosem, otwierając wiadomość od Thomasa.

„O której będziesz? Zrobiłem zakupy na powitalną kolację”.

Zastanawiała się nad odpowiedzią, kiedy z zamyślenia wyrwała ją rozmowa na policyjnej częstotliwości. Jej uwagę przyciągnęła nie tyle treść komunikatów – to całkiem jej umknęło – ile ton głosu dyspozytorki. W ciągu ostatnich trzydziestu minut słyszała chłodną profesjonalistkę, która wysyłała patrole na interwencję do jakiejś burzliwej awantury domowej, na miejsce znalezienia zwłok narkomana i na ratunek mężczyźnie grożącemu popełnieniem samobójstwa. Cały czas była skupiona i opanowana... aż do tej pory.

– Więc co zamierzasz zrobić, kiedy... – zaczął Rouche, który jeszcze nie zauważył, że coś się dzieje.

– Ciii – syknęła Curtis i pogłosiła radio, skręcając w drogę prowadzącą na most.

– Dziesięć, pięć – odezwał się lekko zniekształcony męski głos.

– Prosi ją, żeby powtórzyła – wyjaśniła agentka, zwracając się do Baxter.

Znów rozległ się ten sam wesoły sygnał, który teraz kontrastował z nieudolnie skrywanym niepokojem dyspozytorki.

– Charlie Czterdzieści Dwa. Dziesięć, dziesięć F.

– Napastnik prawdopodobnie ma broń palną – szepnęła Curtis.

– ...główna hala dworca Grand Central. Prawdopodobnie ktoś strzelał... Dziesięć, sześć.

– Każe mu czekać w pogotowiu.

Właśnie zbliżali się do pierwszego ceglanego pylonu, tego samego, na którym

znaleziono ciało zawieszona nad wjazdem na Manhattan.

Z krótkofalówki dobiegł szybki i naglący komunikat dyspozytorki.

– Charlie Czterdzieści Dwa, Boy Trzydzieści Cztery, David Trzydzieści Cztery. Dziesięć, trzydzieści dziewięć Q.

– A to co? – zapytała Baxter.

– To kod „inne przestępstwa”. Kobieta chyba nie potrafi dokładnie określić, co tam się dzieje, ale już wzywa wsparcie.

– ...główna hala dworca Grand Central. Jeden uzbrojony napastnik, ma zakładnika... który przypuszczalnie nie żyje.

– Co jest, do cholery? – odezwał się Rouche.

– Dziesięć, pięć – odpowiedział jeden z policjantów, wyrażając takie samo nastawienie, tylko w zakodowanej formie.

– Martwy zakładnik nie jest zakładnikiem. To tylko ofiara.

Dyspozytorka nie odpowiadała. Było jasne, że chce przekazać funkcjonariuszom więcej szczegółów, ale nie wolno jej tego zrobić na otwartym kanale, który może podsłuchiwać każdy, kto ma skaner za trzydzieści dolarów.

– Dziesięć, sześć... dworzec Grand Central. Dziesięć, trzydzieści dziewięć Q... dziesięć, trzynaście Z... dziesięć, jedenaście C...

– Teraz włączają się alarmy – wyjaśniła Curtis. – Do akcji wkracza funkcjonariusz w cywilu.

– Jeden uzbrojony napastnik. Padły strzały! – dodała dyspozytorka. Jej mikrofon wychwycił ostre trzaski dobiegające ze słuchawek, kiedy odbierała meldunki. – Potwierdzam, dziesięć, dziesięć S. Sprawca jest przytwierdzony do martwej ofiary.

– Przytwierdzony? Czyżby to był kolejny... – zaczął Rouche, ale Curtis już włączyła syrenę. – Przykro mi, Baxter, wygląda na to, że zabawisz u nas trochę dłużej – dodał, a potem zwrócił się do agentki za kierownicą: – Musimy przejechać przez most i... Co robisz?

Curtis zawróciła w miejscu i ruszyła pod prąd, klucząc między samochodami stłoczonymi na trzech pasach ruchu. Kiedy wjechała na pieszą alejkę przed wejściem do parku City Hall, uliczni handlarze i turyści w popłochu odskakiwali na boki. Z piskiem opon skręciła ostro w lewo, a zaraz potem w prawo i zostawiając za sobą swąd przypalonej gumy, wypadła na Broadway.

Baxter upewniła się, czy ma zapięty pas. Zamknęła wiadomość od Thomasa i

odłożyła telefon. Patrząc na poszarzałe miasto, które przemykało za przyciemnianymi szybami, postanowiła zawiadomić go później, że jednak nie wraca do domu.

Musieli zaparkować dwieście metrów od celu, ponieważ z dworca wylewał się nieprzerwany strumień ludzi. Ruszyli biegiem między samochodami uwięzionymi w korku na Czterdziestej Drugiej Alei w stronę budynku, z którego dochodziły automatyczne komunikaty o ewakuacji. Po drodze minęli trzy radiowozy porzucone w różnych odstępach i wpadli do wnętrza od strony Vanderbilt Avenue.

Rouche prowadził, torując całej trójce drogę w morzu przerażonych twarzy. Ogarnął go niepokój, kiedy zorientował się, że nikt nic nie mówi. Zauważył umundurowanego funkcjonariusza, który pilnował przeszkłonych drzwi, i przedarł się do niego przez milczący tłum.

– Agent Rouche z CIA – przedstawił się, pokazując legitymację.

Młody policjant przyłożył palec do ust i spojrzał w stronę łukowato sklepionego przejścia, które prowadziło do głównego holu.

– On tam jest – wyszeptał.

Rouche pokiwał głową.

– Kto tu dowodzi? – zapytał, również zniżając głos.

– Plant – odparł gliniarz, pokazując na korytarz. – Jest na galerii po wschodniej stronie.

We troje okrążyli hol i natknęli się na gliniarza, który ze skołowaną miną rozmawiał przez radio z centrum dowodzenia. Jego szpakowate wąsy podrygiwały w rytm wypowiedzanych półgłosem słów.

– Informujcie mnie na bieżąco – powiedział, kończąc rozmowę, i spojrzał w stronę przybyłych.

– Plant? – zapytał Rouche, a kiedy mężczyzna przytaknął, przedstawił się, po czym wskazał na swoje towarzyszki. – Curtis z FBI i Baxter... nie ma czasu na wyjaśnienia. Co tu się dzieje?

Baxter omiotła szybkim spojrzeniem okazały hol dworcowy, od sztucznego nieba zdobiącego błękitne sklepienie po opustoszałą marmurową posadzkę. Skupiła wzrok na podeście schodów prowadzących na zachodnią galerię, nad którą górowały trzy ogromne okna. Jej uwagę przykuł na chwilę słynny mosiężny zegar na szczycie kiosku ze stanowiskami informacyjnymi pośrodku holu. W jednym z

okien mignął jej zniekształcony przez szybę fragment ludzkiego ciała, który znikł równie szybko, jak się pojawił. Serce zaczęło jej kołatać, kiedy otworzyła szeroko oczy, odruchowo cofając się pod ścianę, przerażona tym, co zobaczyła.

– Padły cztery strzały, ale wszystkie w sufit, nikogo nie ranił. On... – Plant umilkł na chwilę i odwrócił wzrok. – Ktoś tam z nim jest, jakiś mężczyzna, którego... On go do siebie przyszył.

Znów zapadło milczenie.

– Jakież szczegóły? – zapytał Rouche beznamiętnym tonem, jakby słuchał zwyczajnego raportu.

– Podejrzany ma przyszyte do pleców zwłoki białego mężczyzny.

– Z wyciętym na piersi słowem „Przynęta”?

Plant przytaknął.

– Mówił coś? – drążył agent, nieświadomie zerkając w stronę Baxter.

– Kiedy przyjechałem na miejsce, był wzburzony, coś krzyczał i bełkotał, ale musieliśmy się wycofać, kiedy zaczął strzelać.

– A wiadomo, jak tu się dostał w takim... stanie?

– Świadkowie widzieli, jak wysiadał z furgonetki zaparkowanej przed głównym wejściem. Przekazałem szczegóły centrali.

– Gdzie są twoi ludzie?

– Jeden przy zachodnim wejściu, drugi na galerii, a dwaj zawracają podróżnych na peronach.

– No dobra – powiedział Rouche stanowczym tonem po chwili namysłu. Zdjął pogniecioną marynarkę i odpiął od paska kaburę z pistoletem. – Zrobimy tak: powiesz swoim ludziom, żeby pod żadnym pozorem nie strzelali do podejrzanego.

– Ale jeśli... – zaczął Plant.

– Pod żadnym pozorem, zrozumiałeś? On jest dla nas zbyt ważny.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz? – zapytała Curtis, patrząc z osłupieniem na partnera, który wyjął kajdanki i skuł sobie ręce.

Rouche nie zwracał na nią uwagi.

– Przekaż im to w tej chwili – polecił gliniarzowi.

– Nie mogę cię tam wpuścić – zaprotestował Plant.

– Posłuchaj – szepnął agent. – Zapewniam cię, że ten plan podoba mi się jeszcze mniej niż tobie, ale nie możemy zaarrestować martwego sprawcy. To może być

nasza jedyna szansa, żebyśmy się dowiedzieli, o co w tym wszystkim chodzi. Ktoś musi tam pójść. Ktoś musi z nim porozmawiać.

– Facet może cię zastrzelić, zanim w ogóle zdążysz się odezwać – zauważyła Baxter.

– Słuszna uwaga – odparł Rouche. Po chwili zastanowienia wyjął swoją komórkę i wybrał numer Curtis, a gdy agentka odebrała, ustawił tryb głośnomówiący i wsunął aparat do kieszeni koszuli. – Nie rozłączaj się.

– Przyjąłem, macie zielone światło – odpowiedział Plant na komunikat radiowy, który rozległ się w jego słuchawce, a potem zwrócił się do Rouche'a: – Wsparcie jest w drodze. Jednostka taktyczna będzie tu za trzy minuty.

– A to oznacza, że za cztery minuty nasz podejrzany będzie martwy – odparł agent. – Idę tam.

– Nie – wyszeptala Curtis i wyciągnęła rękę, żeby go zatrzymać, ale uchwyciła tylko powietrze.

Rouche zszedł po schodach do olbrzymiej hali i trzymając skute rękę nad głową, ruszył w kierunku zegara. Oprócz komunikatów o ewakuacji, które włączały się co pół minuty, jedynym wyraźnie słyszalnym dźwiękiem było echo jego kroków.

Tylko oni dwaj, sam na sam.

Nie chcąc wystraszyć człowieka, z którym desperacko pragnął porozmawiać, zaczął gwizdać pierwszą melodię, jaka przyszła mu do głowy.

Curtis trzymała uniesioną komórkę i wszyscy nasłuchiwali stukotu obcasów na marmurowej posadzce, który dobiegał z małego głośniczka. Po każdym kroku podświadomie spodziewała się usłyszeć huk wystrzału.

– Czy on gwizdże tę piosenkę Shakiry? – zapytał Plant, zaczynając wątpić w zdrowie psychiczne człowieka, którego polecenia wykonywał.

Curtis i Baxter zbyły go milczeniem.

Rouche był w połowie drogi. Ze wszystkich stron otaczał go bezkres lśniącego marmuru i miał wrażenie, jakby wypływał w morze. Zdał sobie sprawę, że odległość dzieląca go od bezpiecznej strefy nie wydawała się aż tak wielka, zanim jej nie opuścił. Zauważył jednego z mundurowych, który przyglądał mu się z przerażoną miną, co nie uspokoiło jego nerwów.

Już prawie dochodził do kiosku, ale nagle przestał gwizdać i zatrzymał się... gdy zobaczył przed sobą martwego mężczyznę. Trup stał dwadzieścia kroków przed

nim. Był całkiem nagi, z wyciętego na piersi słowa „Przynęta” wciąż sączyła się krew, a jego głowa zwisała do przodu, jakby próbował odszyfrować koślawe litery. Ukryty za jego plecami człowiek zaczął płakać, ożywiając bezwładne ciało, które podrygiwało, wstrząsane spazmatycznym szlochem.

Była to bez wątpienia najbardziej koszmarna scena, jaką Rouche kiedykolwiek oglądał.

– No... nie, dzięki – wymamrotał, gdy ogarnęło go nagłe zniechęcenie.

Wolno obrócił się w miejscu, żeby ruszyć w drogę powrotną, ale wtedy rozległ się udręczony głos.

– Kim jesteś?

Wzdrygnął się i z ciężkim westchnieniem obrócił się znowu w stronę martwego ciała.

– Mam na imię Damien – odpowiedział i zrobił kilka niepewnych kroków przed siebie.

– Jesteś z policji?

– W pewnym sensie. Ale nie jestem uzbrojony i mam skute ręce.

Nadal posuwał się do przodu krok za krokiem. Był zdziwiony, że mężczyzna nie odwrócił się, żeby potwierdzić prawdziwość jego słów, tylko stoi z zadartą głową, zapatrzony w nocne niebo czterdzieści metrów nad nimi. Powiódł wzrokiem za jego spojrzeniem w stronę wspaniałego sklepienia mieniącego się od gwiazd, wśród których widniały namalowane złotą farbą symboliczne wyobrażenia konstelacji – Oriona, Byka, Ryb... Bliźniąt.

Bliźniacy siedzieli jeden obok drugiego, tak blisko siebie, że trudno było rozróżnić, do którego z braci należą poszczególne nogi. Niemal spleceni ze sobą, stanowili jedną nierozdzieloną postać.

Nagle Rouche zorientował się, że już tylko kilka kroków dzieli go od tej groteskowej imitacji astronomicznego symbolu. Coś ścisnęło go w gardle, gdy usłyszał, że „trup” pojękuje cicho między świszczącymi oddechami.

– Jezu Chryste... zakładnik jeszcze żyje – wyszeptał, modląc się, żeby jego towarzyszki go usłyszały. – Powtarzam, zakładnik żyje!

– Potrzebujemy ratowników medycznych – zwróciła się Curtis do Planta, trzymając komórkę w drżącej ręce. – I zapoznaj z sytuacją dowódcę jednostki taktycznej, zanim wkroczy do akcji.



Policjant odszedł na stronę, żeby wykonać jej polecenia.

- Jesteśmy zbyt daleko – odezwała się Baxter, wstrząśnięta nie mniej niż Curtis.
- Jeśli coś pójdzie nie tak... Musimy podejść bliżej.

Agentka pokiwała głową.

- Chodź za mną.

Rouche dotarł w końcu do makabrycznych bliźniaków. Cienka warstwa pociemniałej krwi zdawała się spajać ich obu tak samo, jak grube czarne szwy sterczące z napiętej skóry.

Z wysiłkiem przywołał obojętną minę, zanim wreszcie spojrzął w twarz człowieka odpowiedzialnego za to okropieństwo. Nagie ciało mężczyzny było tak blade, że przypominał figurę woskową, a jego twarz mimo chłodu pokrywały kropelki potu, który mieszał się z łzami. Miał lekką nadwagę, wyglądał na co najwyżej osiemnaście lat, a zmierzwiona czupryna upodabniała go do wizerunku Bliźniąt namalowanych na sklepieniu. Litery wycięte na jego piersi wyglądały na zabliznione. Oderwał przekrwione z niewyspania oczy od sztucznego nieba i spojrzął na Rouche'a z uprzejmym uśmiechem, który kontrastował z pistoletem w jego dłoni.

- Mogę usiąść? – zapytał agent, robiąc wszystko, by sprawiać wrażenie nieszkodliwego.

Po chwili, nie doczekawszy się żadnej reakcji, powoli usiadł na zimnej posadzce i skrzyżował nogi.

- Po co zadajesz pytanie, skoro nie czekasz na odpowiedź? – zapytał mężczyzna, a Rouche spojrzął na jego rozdygotaną prawą rękę, w której ścisnął broń. – Nie mogę z tobą rozmawiać. Nie powinienem... – dodał z ożywieniem, po czym przyłożył dłoń do ucha i rozejrzał się po opustoszałym holu, jakby coś usłyszał.

- Trochę mi głupio. – Rouche uśmiechnął się przepaszająco. – Byłeś na tyle uprzejmy, żeby zapytać mnie o imię, ale ja wciąż nie wiem, z kim mam przyjemność.

Czekał cierpliwie. Młody człowiek sprawiał wrażenie rozdartego i przycisnął dłoń do czoła, jakby rozboleła go głowa.

- Glenn – powiedział i zalał się łzami. Dopiero po chwili zorientował się, że jego rozmówca czeka w milczeniu na dalszy ciąg. – Arnolds.

- Glenn Arnolds – powtórzył Rouche, który nie był pewien, czy mikrofon

komórki ukrytej w jego kieszeni jest wystarczająco czuły. – Bliźnięta... – odezwał się swobodnym tonem i uniósł wzrok ku sklepieniu.

Zdawał sobie sprawę, jak wielkie ryzyko podejmuje, nawiązując do tego tematu, ale przeczuwał, że z każdą chwilą mają coraz mniej czasu.

– Tak – odparł Glenn, uśmiechając się przez łyzy i jeszcze raz spojrzął w gwiazdy. – Dla mnie zawsze trwa noc.

– Czym są dla ciebie Bliźnięta?

– Wszystkim.

– W jakim sensie? – zapytał agent z zaciekawieniem. – Że... chciałbyś nimi być?

– Że nimi jestem. Bo on tak sprawił.

„Martwy” bliźniak zwrócony twarzą w stronę pustego holu wydał zboląły jęk. Rouche modlił się, żeby mężczyzna nie odzyskał przytomności, bo nie wyobrażał sobie, jak ktoś mógłby dojść do siebie po szoku wywołanym przebudzeniem w takim stanie.

– On? – zapytał. – Czyli kto?

Glenn zaczął gwałtownie kręcić głową, ciężko dysząc. Zazgrzytał zębami i przycisnął dłoń do czoła.

– Nie słyszysz tego?! – krzyknął do Rouche’a, który jednak milczał, nie będąc pewien, jakiej odpowiedzi oczekuje jego rozmówca. W końcu wzburzenie zaczęło mijać. – Nie... nie mogę z tobą o tym rozmawiać. Zwłaszcza o nim. Jestem taki głupi! Właśnie dlatego kazał mi po prostu tutaj wejść i to zrobić.

– Dobra, w porządku. Nie było pytania – powiedział agent. Wiedział, jak niewiele brakuje, aby poznał tożsamość człowieka pociągającego za sznurki, ale również zdawał sobie sprawę, że jedno niewłaściwe słowo może przypłacić życiem. Kątem oka dostrzegł policjantów z jednostki taktycznej, którzy zakradali się do środka i otaczali hol. – To on kazał ci tu wejść? I co miałeś zrobić?

Glenn nawet nie usłyszał pytania. Zanosząc się szlochem, unosił i opuszczał pistolet, jak gdyby robił sobie wyrzuty, że jest taki słaby.

Rouche wiedział, że zaczyna tracić z nim kontakt.

– Czy to jest twój brat? – zapytał podniesionym głosem, wskazując na nieprzytomnego mężczyznę, który jęczał coraz głośniej.

– Nie, jeszcze nie – odparł Glenn. – Ale zostanie moim bratem.

– Kiedy?

– Kiedy policjanci nas uwolnią.

– Uwolnią was? Znaczą zabijają?

Mężczyzna pokiwał głową. Na jego nagiej piersi pojawił się czerwony punkcik, który powędrował w górę i zatrzymał się na czole.

– Nikt nie chce was zabijać – skłamał Rouche.

– Ale to zrobią. On tak powiedział. Będą zmuszeni... kiedy my zabijemy jednego z was.

Rouche znów spojrzał na pistolet.

– Nie wierzę, że chcesz kogoś skrzywdzić – powiedział. – A wiesz dlaczego? Bo już dawno mogłeś to zrobić, ale nie zrobiłeś. Wystrzeliłeś w powietrze, żeby odstraszyć ludzi od siebie... żeby ich ocalić. Mam rację?

Glenn pokiwał głową i się rozplakał.

– Już dobrze. Dopilnuję, żeby nic ci się nie stało. Odłóż broń.

Mężczyzna zastanawiał się przez chwilę, a potem pochylił się, żeby opaść na kolana, ale nagle zawył z bólu, bo jedna z tkwiących głęboko grubych nici rozdarła mu skórę. Bliźniak na jego plecach, któremu ból przywrócił świadomość, wydał okrzyk przerażenia i szarpnął się gwałtownie, napinając resztę szwów. Złączone ciała zaczęły się miotać, a czerwona kropka podrygiwała w rytm ich konwulsyjnego tańca, szukając oparcia.

Rouche dostrzegł wyrzut na twarzy Glenna, który wodził wzrokiem za laserowym punkcikiem na swojej piersi.

Wiedział, co zaraz nastąpi.

– Nie strzelać! Nie strzelać! – krzyknął, podnosząc się z posadzki, i zrobił krok w stronę makabrycznych bliźniaków, a czerwona plamka pojawiła się na jego uniesionej ręce, kiedy osłonił ich przed strzałem snajpera.

Glenn zadarł głowę i po raz ostatni spojrzał w sztuczne niebo, a potem wycelował w agenta.

– Nie strzelajcie do niego! – powtórzył Rouche, któremu bardziej zależało na zdobyciu informacji niż na własnym życiu.

Kiedy Glenn stracił równowagę, pociągnięty w bok przez szamoczącego się bliźniaka, rozległ się suchy trzask i czerwona kropka na jego szyi zamieniła się w krwawą jamę. Strzelec chybił, rozległ się metaliczny szcęk zamka przeładowywanego karabinu, ale śmiertelnie ranny mężczyzna zdążył wycelować.

Rouche zamknął oczy i wstrzymał oddech, a na jego twarzy pojawił się słaby uśmiech.

Strzał był ogłuszający.

# Rozdział 12

SOBOTA, 12 GRUDNIA 2015 ROKU

11.23

Wodnista kawa z automatu była chłodna od dwudziestu minut. Z kubkiem w dłoni Curtis wpatrywała się tępo w ściszony telewizor, próbujący bez powodzenia odwrócić uwagę obecnych od cierpień i nieszczęść, które sprowadziły każdego z nich do poczekalni szpitalnej izby przyjęć. Baxter siedziała obok niej i od pół godziny próbowała ułożyć krótką wiadomość tekstową. W końcu dała za wygraną i schowała telefon.

– Chyba rzucę to wszystko – wymamrotała Curtis. – Jeśli on umrze...

Baxter czuła, że powinna coś na to odpowiedzieć, ale nie była pewna co. Nigdy nie sprawdzała się w roli powierniczki, której można się wypłakać na ramieniu. Zmusiła się do pełnego współczucia uśmiechu, który najwyraźniej zadziałał.

– Nie powinnam była dopuścić, żeby tam szedł – dodała agentka.

– Nie miałyśmy nic do gadania. To była jego decyzja. Postawił wszystko na jedną kartę.

– I grubo się przeliczył.

Baxter wzruszyła ramionami.

– Taka praca. Kiedy robi się nieciekawie, nie pozostaje nam nic innego, jak zaryzykować.

– No cóż, mnie to również nie ominęło – odparła Curtis. – Sprawiasz wrażenie, jakbyś opierała się na doświadczeniu. Podjęłaś kiedyś decyzję, której żałowałaś?

Baxter nie była przygotowana na tak wścibskie pytanie. W przeciwnym razie zmusiłaby się, żeby nie przypominać sobie zapachu pasty do drewna, nasiąkniętego krwią opatrunku, wibrującej pod uderzeniami ciężkich butów podłogi... jasnoniebieskich oczu Wolfa...

– Słyszysz mnie?

Pytanie Curtis wyrwało ją z zamyślenia. Nie wiedziała, jak długo trwała

zagubiona we wspomnieniach, wyobrażając sobie, że dokonała innego wyboru, i zadręczając się, jak to często robiła, rozważaniem hipotetycznych scenariuszy prowadzących do bardziej pomyślnych rozwiązań... do szczęśliwego zakończenia.

Rozśmieszyła ją własna naiwność. Szczęśliwe zakończenia nie istnieją.

– Nie wiem i prawdopodobnie nigdy się nie dowiem, czy decyzje, które podjęłam, były słuszne – odpowiedziała. – Po prostu trzeba z tym żyć.

– Bez względu na wszystko.

Baxter pokiwała głową.

Kobieta za kontuarem wyciągnęła rękę w ich stronę, wskazując drogę lekarzowi. Kiedy do nich podszedł, wstały i ruszyły za nim do gabinetu.

– Nie udało nam się go uratować – odezwał się zakłopotany mężczyzna.

Usłyszawszy tę druzgocącą wiadomość, Curtis wyszła. Gdy Baxter zakończyła rozmowę z lekarzem i wróciła do poczekalni, nie zastała tam swojej towarzyszki. Wyjęła telefon i uniosła go do ucha.

– Rouche? Mówi Baxter. Nie przeżył. Musimy porozmawiać.

Zgubić się na Manhattanie jest rzeczą prawie niemożliwą, mimo to Curtis, idąc bez celu Piątą Aleją, musiała długo się zastanawiać, którądy najlepiej wrócić do biura. Jej wszechstronna znajomość ulic, zaułków i charakterystycznych punktów otaczających centrum nie sięgała już tak blisko granic wyspy.

Pochmurne niebo nadal powstrzymywało się od opadów śniegu, jednak mroźny wiatr i tak wystarczająco uprzykrzał wszystkim życie. Curtis zebrała się w sobie i parła naprzód, nie zważając na to, że może się pochorować. Czuła, jak wyrzuty sumienia trawią ją od środka. Pragnęła się pozbyć tego namacalnego i toksycznego balastu, po prostu wyrzucić go z siebie i utopić w rzece, którą dostrzegała kątem oka na każdym skrzyżowaniu.

Zabiła niewinnego człowieka.

Kiedy po raz pierwszy przyznała się do tego przed sobą, żołądek podszedł jej do gardła i wbiegła do zacienionego wjazdu na parking podziemny, żeby wymiotować.

Jakby miała za mało zmartwień w tym najgorszym dniu swojego życia, zaledwie kilka minut po tym, jak nacisnęła spust, straszliwie pokłóciła się z Rouche'em, chociaż to on był wszystkiemu winien. To on postanowił stanąć oko w oko z Glennem Arnoldsem, nieuzbrojony i bez wsparcia. To on z niewiadomych

przyczyn pozostał na miejscu, zamiast się wycofać na bezpieczną odległość, kiedy sytuacja zaczęła się pogarszać. I to on postawił ją przed tragicznym wyborem – mogła albo patrzeć, jak ginie jej kolega, albo zastrzelić niewinnego człowieka.

Podjęła decyzję.

Po raz pierwszy w życiu użyła broni podczas akcji. Jak na ambitną prymuskę przystało, jednym strzałem pozbawiła życia dwie osoby, gdyż pocisk, który przebił czaszkę Glenna Arnoldda, zabijając go na miejscu, utkwiał w plecach drugiego mężczyzny.

Gdyby tylko trafiła kilka milimetrów wyżej...

A kiedy tak bardzo potrzebowała wsparcia i pokrzepienia, Rouche powiedział jej, że podjęła złą decyzję, że pogrzebała ich śledztwo i że powinna była pozwolić mu zginąć. Z jakiegoś powodu jego reakcja wytrąciła ją z równowagi bardziej niż wszystko inne.

Czuła wzbierające w oczach łzy, kiedy wyjęła komórkę i wybrała numer, który każdy opisałby jako „Dom”. Na wyświetlaczu pojawiły się słowa „Rezydencja Curtisów”.

– Błagam, żeby tylko odebrała mama – wyszeptała.

– Senator Tobias Curtis – rozległ się w słuchawce opryskliwy niski głos.

Nie odezwała się. Miała ochotę przerwać połączenie.

– Elliot? Czy to ty? – zapytał senator. – Elliot?

– Tak. Właściwie miałam nadzieję, że odbierze mama.

– Czyli ze mną nie chcesz rozmawiać?

– Nie... Chcę. Ja tylko...

– No, zdecyduj się. Chcesz albo nie?

Po policzkach Curtis pociekły łzy. Pragnęła tylko z kimś porozmawiać.

– A więc? – ponaglił ją ojciec.

– Chciałabym pomówić z mamą – oznajmiła.

– Cóż, to niemożliwe. Nie chcę jej w to mieszać. Myślisz, że nie wiem, co się stało? Lennox zadzwoniła do mnie od razu, gdy tylko jej to przekazano. Ale powinienem to usłyszeć od ciebie.

Na krótką chwilę ogarnęła ją ulga. Już wiedział. Skręciła w ulicę, którą rozpoznawała, i przyłożyła telefon do drugiego ucha, żeby chuchnąć na zmarzniętą dłoń.

– Zabiłam człowieka, tato... Przepraszam, senatorze.

– Zakładnik nie żyje?

– Zmarł w szpitalu – odpowiedziała, wybuchając płaczem.

– Na Boga, Elliot! – krzyknął senator. – Jak mogłaś być tak nieostrożna? Zdajesz sobie sprawę, ile to będzie mnie kosztowało, jeśli prasa się dowie?

– Ja... – wyjąkała.

Była zszokowana tym kompletnym brakiem poszanowania dla jej samopoczucia.

– Już widzę te nagłówki. „Głupia córka senatora zabija niewinnego człowieka”. Jestem skończony i dobrze o tym wiesz, prawda? Pogrzyłaś mnie.

Jego słowa tak bardzo wytrąciły ją z równowagi, że nie była w stanie dalej iść. Usiadła na oblodzonym stopniu i rozpłakała się do telefonu.

– Weź się w garść, na litość boską – warknął senator, a potem westchnął i przemówił do niej tak łagodnym tonem, na jaki potrafił się zdobyć. – Przepraszam cię... Elliot?

– Tak?

– Wybacz, chyba trochę przesadziłem, ale to wszystko stało się tak nagle.

– Nie szkodzi. Przykro mi, że cię rozczarowałam.

– O to już się nie martw. Teraz skupmy się na tym, co robić dalej. Lennox powie ci dokładnie, co masz mówić, żeby jak najmniej zaszkodzić FBI, mnie i temu, co zostało z twojej kariery.

– A człowiek, którego zabiłam?

– Cóż, stało się – odparł senator lekceważącym tonem, jakby skreślał kogoś z listy osób, które mają dostać kartkę na święta. – Trzymaj się ściśle instrukcji Lennox, a jeśli twój zespół poczyni jakieś postępy albo kogoś aresztuje w związku z tą idiotyczną sprawą, musisz być na pierwszym planie i wyjść na bohaterkę. Zrozumiałaś?

– Tak jest.

– To dobrze.

– Kocham cię – powiedziała, ale nie była pewna, czy to usłyszał, zanim się rozłączył.

Ktoś obchodził urodziny. Zawsze były czyjeś urodziny. Dzień, w którym ktoś stawał się na chwilę gwiazdą całego wydziału i ulegając presji obyczajów, wydawał większą część dziennych zarobków na produkty marki Krispy Kremes.



Edmunds wrócił za biurko z obowiązkowym pączkiem, którego zawartość trysnęła na klawiaturę komputera, kiedy wbił w niego zęby. Koszula opięła go ciasno, gdy schylił się po kosz. Od powrotu do wydziału przestępstw gospodarczych przybrał ponad pięć kilo. Chociaż po jego tyczkowatej sylwetce nie było widać nadwagi, przy każdym ruchu czuł balast dodatkowych kilogramów.

Wpatrywał się w monitor, na którym widniały wyciągi z zagranicznych kont bankowych, dopóki oczy nie zaczęły mu łzawić. Od godziny siedział beczynn timer, patrząc przez okno na miasto pogrążające się w wieczornym mroku. Nie mógł się skupić. Rano Baxter przysłała mu informacje o pierwszych trzech zabójcach, ale nie miał nawet okazji na nie spojrzeć z powodu ząbkującej córeczki, niewyspanej żony i nieustających obowiązków związanych z pracą na pełnym etacie. Nie mógł się doczekać chwili, w której zamknie za sobą drzwi szopy i skupi się na śledztwie.

Szybko omiół wzrokiem biuro, żeby się upewnić, czy w pobliżu nie ma szefa, i wszedł na stronę BBC, na której śledził doniesienia z dworca Grand Central. Ponownie zerknął ukradkiem na wyświetlacz komórki i zdziwił się, że wciąż nie ma żadnych wieści od Baxter. Kiedy czytał przerażające relacje świadków, musiał sobie powtarzać, jak media traktują takie wydarzenia, wyolbrzymiając wszystko i zmyślając niestworzone rzeczy. Ale nawet jeżeli było w tym tylko trochę prawdy, musiał przyznać, że w całym swoim życiu słyszał niewiele równie wstrząsających historii.

Nie miał siły dłużej się opierać, więc otworzył swoje konto pocztowe, pobrał załączniki z chaotycznego mejla od Baxter i przystąpił do pracy.

Curtis i Baxter wsiadły do karetki, żeby towarzyszyć w drodze do szpitala rannemu mężczyźnie, który wciąż był połączony szwami z martwym ciałem Glenna Arnoldsa, natomiast Rouche został na dworcu. Po tym, jak spojrział śmierci w oczy, nie miał ochoty na nic innego, jak tylko usłyszeć głos swojej żony. Wiedział, że zachował się fatalnie wobec Curtis, kiedy chciał jak najszybciej opuścić miejsce zdarzenia i zadzwonić do domu. Był jej winien coś więcej niż zwykle przeprosiny.

Dotarł do szpitala na piechotę i spotkał się z Baxter przed głównym wejściem. Kilka minut później obydwójce przeszli pod estakadą FDR Drive i usiedli na ławce, z której rozciągał się widok na East River.

– Jeśli chodzi ci o to, jak potraktowałem Curtis, to wiem – zaczął Rouche – zachowałem się jak dupek. Zamówię stół na wieczór, żeby ją przeprosić.

- Nie o tym chciałam porozmawiać.
- Więc o tym, że poszedłem tam nieuzbrojony, żeby z nim porozmawiać?
- Czy ty chcesz umrzeć? – zapytała Baxter bez ogródek.
- Co takiego?

Roześmiał się, ale wyglądał na skonsternowanego.

- Pytam poważnie.
- Nie! Słuchaj, ktoś musiał tam pójść i...
- Nie o tym mówię.

– Więc chodzi ci o to, że im powiedziałem, żeby do niego nie strzelali? Potrzebowaliśmy go żywego. Tak niewiele brakowało, a wyciągnąłbym z niego...

– Również nie w tym rzecz – przerwała mu i obydwójce milczeli przez chwilę, kiedy obok nich przeszedł jakiś bezdomny, pchając wózek sklepowy. – Rozdzieliliśmy się i podczas gdy Curtis podeszła od tyłu, ja stałam przy bocznej ścianie... naprzeciwko ciebie. Widziałam twój uśmiech.

– Uśmiech?

– Kiedy Arnolds został trafiony po raz pierwszy i wycelował do ciebie. Zamknąłeś oczy i... uśmiechnąłeś się.

– Jak dziecko puszczające wiatry?

– Wiem, co widziałam – odparła Baxter i spojrzała na niego, czekając na wyjaśnienie.

– Nie wiem, co ci powiedzieć. Nie przypominam sobie, żebym się wtedy uśmiechał. Tak naprawdę nie miałem do tego powodu. Lecz mogę cię zapewnić, że nie chcę umrzeć... Przysięgam.

– W porządku. Ale wiem z doświadczenia, że jeśli ktoś zaczyna narażać własne życie, zazwyczaj cierpią na tym wszyscy z jego otoczenia.

Milczeli przez chwilę, dopóki ciszy nie przerwał trzepot skrzydeł gołębia, który zerwał się z gałęzi bezbarwnego drzewa za ich plecami. Patrzyli, jak odlatuje w kierunku Roosevelt Island i mostu Queensboro.

– Dałem dzisiaj ciała – przyznał Rouche, nie odrywając wzroku od rzeki. – Powinienem być wcześniej się zorientować, że ten drugi facet żyje. Tych kilka sekund mogło wszystko zmienić.

– Skąd mogłeś to wiedzieć?

– Bo krwawił.

– Krwawił?

– Tak, z ran na jego piersi ciekła jasnoczerwona krew. Żaden nieboszczyk nie krwawi.

– Na pewno sobie to zapamiętam – zapewniła go Baxter.

– Chodźmy. – Rouche wstał z ławki. – Trzeba brać się do pracy.

– Jakiej pracy? Przecież Arnolds nic nam nie powiedział.

– Wręcz przeciwnie. Powiedział, że nie zrobił tego z własnej woli, że ktoś nim kierował. W związku z tym nasuwają się pytania dotyczące pozostałych zabójców, prawda? Może nie są członkami żadnej tajemnej sekty, tylko ktoś ich zmanipulował i wykonywali jego polecenia.

– On. – Baxter przypomniała sobie, co usłyszała w małym głośniczku komórki.

Rouche pokiwał głową.

– Zabieraliśmy się do tego od niewłaściwej strony. Myślę, że tych zabójców coś łączy, że każdy z nich miał jakiś słaby punkt. Coś, czym można go było zaszantażować, zagrozić mu. Jeśli odkryjemy, co to takiego, będziemy mogli się dowiedzieć, kto miał nad nimi taką władzę.

– Od czego zaczynamy?

– Podczas przeszukania w mieszkaniu Arnoldsa znaleziono kartę z terminami wizyt. Leczył się u psychiatry.

– Wyglądał na kogoś, kto miał... pewne problemy – stwierdziła Baxter taktownie.

– A kto nam powie, co to były za problemy, jak nie jego psychiatra?

# Rozdział 13

SOBOTA, 12 GRUDNIA 2015 ROKU

14.15

Kiedy Baxter i Rouche zjawili się w oddziale terenowym FBI, nie zastali tam Curtis. Nie mogli się też do niej dodzwonić. Podejrzewając, że przedłużyła sobie przerwę na lunch, żeby trochę ochłonać, albo wzięła wolne na resztę dnia, co było całkiem zrozumiałe, postanowili działać bez niej.

Pod adresem, który Rouche zapisał sobie na grzbiecie dłoni, znaleźli elegancki gmach przy Dwudziestej Wschodniej Ulicy naprzeciwko Gramercy Park. Wspięli się po schodach między kolumnami ozdobnego portyku. Baxter poczuła się trochę nieodpowiednio ubrana, kiedy weszli do imponującego holu, gdzie recepcjonistka poprosiła ich, żeby usiedli. Przytłoczona liczbą przycisków na ekspresie do kawy, nalała sobie szklankę wody i zajęła miejsce naprzeciwko Rouche'a. Z głośników sączyły się dźwięki muzyki klasycznej, które rozpraszały ciszę.

– Spotkamy się z Curtis w hotelu – zagadnął ją Rouche, kiedy zorientował się, że od pięciu minut nie wypowiedziała ani słowa. – Chyba musimy dać jej trochę czasu.

– Może będzie potrzebowała czegoś więcej – odparła Baxter, rozglądając się wymownie po pomieszczeniu, w którym się znajdowali.

– Hmm.

– No co? To mogłoby jej pomóc.

– Na pewno jej to zaproponują.

– Masz z tym jakiś problem? – zapytała trochę zaczepnym tonem.

Kiedy opadły emocje po sprawie „Szmacianej Lalki” i ochłonęła na tyle, żeby ogarnąć, co tak naprawdę się stało, kazano jej porozmawiać o tym z terapeutą. Zawsze sądziła, że takich rzeczy potrzebują tylko ludzie słabsi od niej, którzy nie potrafią dać sobie rady z trudami codziennego życia, ale się myliła. Było jej o wiele łatwiej otworzyć się przed zupełnie obcą osobą niż przed kimś, kto ją znał, kto

mógłby ją osądzić i kto spodziewał się po niej czegoś więcej. Po kilku sesjach pogodziła się w końcu ze śmiercią jednego z najbliższych przyjaciół – Benjamin Chambersa, który był dla niej nie tylko kolegą z pracy, ale także ojcowskim autorytetem.

– Nie przeszkadza mi, kiedy inni to robią – wyjaśnił Rouche – ale z pewnością nie jest to coś, z czego sam miałbym ochotę skorzystać.

– Jasne, bo jesteś zbyt silny, żeby przeżywać jakiegokolwiek problemy, prawda? – Baxter podniosła głos, zdając sobie sprawę, że jej wybuch obnażył coś bardzo osobistego. – Bo ty jesteś doskonały.

– Daleko mi do doskonałości.

– Czyżby? Żądałeś od nas, żebyśmy pozwolili ci zginąć. Wydarłeś się na swoją przyjaciółkę, która zabiła człowieka, żeby cię ocalić. Uśmiechałeś się, kiedy jakiś świr mierzył do ciebie.

– Nie zaczynaj znowu.

– Mówię tylko, że jeśli ktoś potrzebuje wyrzucić z siebie trochę swojego syfu... to właśnie ty.

– Skończyłaś?

Baxter nie odpowiedziała, podejrzewając, że prawdopodobnie posunęła się za daleko. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, dopóki recepcjonistka nie przestała zerkać na nich z niezadowoloną miną.

– Modłę się – powiedział Rouche. – To właśnie robiłem, kiedy pojechałyście do szpitala. W taki sposób codziennie wyrzucam z siebie swój syf, bo obawiam się, że mam go w sobie więcej niż ktokolwiek inny.

W tonie jego głosu było coś, co świadczyło, że mówi całkiem poważnie.

– Źle zrozumiałaś moje obiekcje – ciągnął. – Nie krytykuję nikogo, kto szuka pomocy, bo wszyscy jej potrzebujemy. Rzecz w tym, że nie mam zaufania do osoby, której płacę za to, żeby mnie wysłuchała. Przeraza mnie myśl, że istnieje ktoś, kto wie o mnie wszystko to, co tak bardzo staram się ukryć. Nikt nie powinien mieć nade mną takiej władzy.

Baxter nigdy nie myślała o tym w taki sposób, dopatrując się w medycznych autorytetach pewnego profesjonalnego dystansu. Czyżby oszukiwała samą siebie, wierząc, że w ich środowisku obowiązują prawa i normy obyczajowe bardziej rygorystyczne od tych, które sama regularnie łamała w swoim zawodzie? Czyżby

próbowała nie zwracać uwagi na fakt, że oprócz uszu jej terapeutka ma także usta?

Właśnie zaczęła analizować po kolei wszystkie rozmowy, które z nią przeprowadziła, kiedy doktor Arun zaprosił ich do siebie. Jego luksusowy gabinet był bardziej swobodną wersją holu recepcyjnego, a za oknem rozpościerała się korona drzewa. Wskazał im fotele naprzeciwko swojego biurka, a gdy zajęli miejsca, dostrzegli leżący na blacie gruby skoroszyt, na którym widniał napis „Glenn Arnolds”.

– Czy mógłbym zobaczyć jakieś dokumenty, zanim zaczniemy? – zapytał psychiatra stanowczym, lecz uprzejmym tonem. Uniósł brwi na widok legitymacji Policji Metropolitalnej, którą wręczyła mu Baxter, ale nie miał do niej zastrzeżeń. – A więc rozumiem, że chcecie dowiedzieć się czegoś na temat jednego z moich pacjentów. Chyba nie muszę zaznaczać, że większość informacji zawartych w tych dokumentach jest objęta tajemnicą lekarską.

– On nie żyje – wypaliła Baxter.

– Och, bardzo przykro mi to słyszeć – odparł Arun. – Jednak nie zmienia to faktu, że...

– Zabił człowieka – dodała policjantka.

W zasadzie mijają się z prawdą, ale było to dużo prostsze niż opowiadanie całej historii.

– Rozumiem.

– Zrobił to w najokrutniejszy i najbardziej wstrząsający sposób, jaki ktokolwiek może sobie wyobrazić.

– Jasne – powiedział terapeuta, błyskawicznie kojarząc jej słowa z makabrycznymi doniesieniami z dworca Grand Central. – Czego potrzebujecie?

Kiedy Glenn Arnolds miał dziesięć lat, zdiagnozowano u niego ostre zaburzenia schizoafektywne, których przyczyny dopatrywano się w przedwczesnej śmierci jego brata bliźniaka, zmarłego rok wcześniej z powodu udaru mózgu. Glenn spodziewał się, że w każdej chwili może go spotkać taki sam los, a sytuację pogarszała jego skłonność do silnych bólów głowy. Żył, dosłownie czekając na śmierć i oplakując brata. Z tego powodu stawał się coraz bardziej zamknięty w sobie, popadał w depresję i uważał życie za coś ulotnego i bezwartościowego.

Do Gramercy Practice trafił przed trzema laty, nie opuścił ani jednej sesji i poczynił znaczące postępy zarówno w terapii indywidualnej, jak i grupowej. Nie

licząc łagodnych epizodów depresyjnych, dzięki lekom udało się zapanować nad jego objawami psychotycznymi. Nigdy nie przejawiał najmniejszych skłonności do przemocy.

– Skąd brał pieniądze na spędzanie czasu w pańskim towarzystwie? – zapytał Rouche. – Bo wygląda na to, że to nie jest tania przyjemność.

Baxter nie była pewna, czy celowo sformułował pytanie w ten sposób, żeby psychoterapia nasuwała skojarzenie z usługami prostytutki.

– Z ubezpieczenia zdrowotnego – wyjaśnił psychiatra z ledwie dostrzegalną nutką wyrzutu w głosie. – Miał bardzo dobrą polisę. Przypuszczam, że po śmierci jego brata rodzice wykupili mu najlepszy pakiet, na jaki było ich stać. A ponieważ chorobę psychiczną wykryto później...

Lekarz wzruszył ramionami.

– A jak pan jako fachowiec może ocenić zachowanie Glenna w ciągu ostatnich dwóch tygodni? – drążył Rouche, ściągając na siebie gniewne spojrzenie swojej partnerki.

– To znaczy?

– Czy zdradzał jakieś objawy, które wskazywałyby na pogorszenie jego stanu? A może przestał zażywać leki?

– No cóż, trudno mi powiedzieć – odparł Arun z zakłopotaniem. – Nigdy go nie widziałem.

– Co? – zapytała Baxter.

– Pierwszą sesję mieliśmy zaplanowaną na przyszły tydzień. Przepraszam, myślałem, że o tym wiecie. Przejąłem pacjentów doktora Banthama, który odszedł z pracy w zeszły piątek.

Baxter i Rouche wymienili spojrzenia.

– W zeszły piątek? Czy to było zaplanowane zwolnienie?

– Och, tak. Odbyłem rozmowę kwalifikacyjną dobre dwa miesiące temu.

Baxter westchnęła, kiedy uświadomiła sobie, że właśnie znaleźli jakiś trop.

– Musimy porozmawiać z pańskim poprzednikiem – oznajmił Rouche. – Czy mógłby nam pan dostarczyć jego dane kontaktowe?

Pod żadnym z numerów, które podała im wystraszona recepcjonistka, nikt się nie zgłaszał. Dostali od niej również adres domowy doktora Banthama, który mieszkał w hrabstwie Westchester oddalonym od Manhattanu o jakieś pięćdziesiąt minut

jazdy. Ponieważ FBI wciąż próbowało ustalić tożsamość ofiary Glenna Arnoldsa, sam Arnolds znajdował się w drodze z kostnicy do sali sekcyjnej, a Curtis nie odbierała telefonu, postanowili zaryzykować wyprawę do Rye, żeby złożyć wizytę psychiatrze.

Baxter nie robiła sobie wielkich nadziei, kiedy pilotowała Rouche'a.

– Po lewej mamy pole golfowe, więc lada chwila powinniśmy przejechać przez most na Beaver Swamp Brook, a potem pierwsza w prawo, i jesteśmy na Locust Avenue.

– Wspaniale.

Skręcili w sielankową ślepią uliczkę. Na północ od miasta sypnęło śniegiem i kilkucentymetrowe czapy białego puchu okrywały pięknie przyszczyżone żywopłoty, które okalały szerokie podjazdy odśnieżone do warstwy wilgotnego żwiru. W ogrodach stały dumnie idealne bałwany otoczone śladami małych stóp. Ściany domów zdobiły drewniane sidingi o różnych odcieniach, nadając temu zimowemu krajobrazowi skandynawski koloryt. W takim zakątku trudno było sobie wyobrazić pandemonium na Times Square oddalonym o zaledwie czterdzieści kilometrów.

– Podejrzewam, że urbanista, który zaprojektował to miejsce, chciał je ukryć przed światem – odezwał się Rouche. Nie mógł powstrzymać swojej zazdrosnej wyobraźni, która podsuwała mu wizję jego rodziny zamieszkującej jedną z tych idealnych posiadłości. – A ta jak się nazywa, ulica Psych Kup?

Baxter parsknęła śmiechem, który był dla niej tak nietypowy, że Rouche jej zawtórował.

Skręcili na podjazd na końcu drogi w chwili, gdy w wieczornym półmroku rozbłysły włączane przez fotokomórkę rzędy lampek ciągnących się do bramy potrójnego garażu. Dom nie wyglądał obiecująco. W żadnym z okien nie paliło się światło i w przeciwieństwie do sąsiednich rezydencji gruba warstwa dziewiczego śniegu pokrywała podjazd, ogród oraz ścieżkę prowadzącą do drzwi frontowych.

Weszli do zastygłego w ciszy ogrodu. Na ganku jednego z domów dźwięczały cicho dzwonki wiatrowe poruszane delikatną bryzą, a z oddali dobiegał warkot silnika pędzącego samochodu. Baxter poczuła przenikliwy chłód; było o kilka stopni zimniej niż w mieście. Śnieg skrzypiał głośno pod ich butami, kiedy szli w stronę wejścia w zapadającym mroku, który z każdą sekundą pochłaniał kolory i



rozmażywał kontury okolicznych drzew.

Rouche nacisnął dzwonek.

Żadnej reakcji.

Baxter przeszła przez zaśnieżoną rabatkę, żeby zajrzeć do środka przez duże okno i ciemne żaróweczki zawieszonych na framudze lampek choinkowych przypomniały jej zapuszczony dom Rouche'a. Zmrużyła powieki, żeby przyzwyczać oczy do ciemności. Wydawało się jej, że widzi nikły poblask sączący się z innego pomieszczenia.

– Chyba w środku pali się światło! – zawołała.

Zdeptała kolejną rabatkę, skrzyła za róg budynku i zbliżyła twarz do szyby. Myślała, że to właśnie stamtąd dochodzi światło, ale cały dom był pogrążony w mroku. Westchnęła z rezygnacją i zawróciła.

– Chyba gdzieś wyjechał – powiedziała. – Niedługo święta.

– Możliwe.

– Chcesz popytać sąsiadów?

– Nie, nie dzisiaj. Jest zbyt zimno. Zostawię w drzwiach wizytówkę, a rano zadzwonimy w kilka miejsc – odparł Rouche, kierując się już z powrotem w stronę ciepłego samochodu.

– A poza tym obiecałeś nam kolację – przypomniała mu Baxter.

– Tak, o ile znajdziemy Curtis. Wobec ciebie nie byłem opryskliwy.

– Trochę byłeś.

– No tak, może troszeczkę – przyznał Rouche z uśmiechem.

Kiedy zasiedli w samochodzie, włączył ogrzewanie, po czym wrzucił wsteczny i wycofał długim podjazdem, kierując się w stronę świateł migocących w oknach po przeciwnej stronie ulicy. Po raz ostatni zerknął na dom swoich marzeń i kiedy koła samochodu stoczyły się z krawężnika, skręcił i odjechał z powrotem w stronę Manhattanu.

Minęło kilka minut, zanim noc pochłonęła ostatnie z gasnących świateł. A wtedy gdzieś w głębi ciemnego domu rozblęła na nowo ciepła poświata, rozpraszając mrok.

Thomas obudził się na kuchennym stole z twarzą wtuloną w tylną część ciała Echo. Wyprostował się na krześle, kiedy zegar na kuchence pokazał 2.19. Resztki kolacji, którą przygotował dla siebie i Baxter, spoczywały na środku stołu obok jego

komórki. Żadnych nowych SMS-ów, żadnych nieodebranych połączeń.

Przez cały dzień śledził na bieżąco doniesienia z Nowego Jorku, wychodząc z założenia, że Baxter musi brać w tym udział. Zwalczył przemożną chęć, żeby do niej zadzwonić i upewnić się tylko, że wszystko z nią w porządku, żeby jej powiedzieć, że zawsze może na niego liczyć, gdyby chciała porozmawiać.

Czuł, że w ciągu ostatnich dwóch miesięcy oddaliła się od niego, choć nie mógł powiedzieć, aby kiedykolwiek była naprawdę blisko. Miał wrażenie, że im mocniej próbuje ją do siebie przyciągnąć, tym dalej ją odpycha. Nawet Edmunds ostrzegł go kiedyś, żeby nie wywierał na nią presji. Nigdy nie uważał się za kogoś, kto potrzebuje drugiej osoby, wręcz przeciwnie. Był pewny siebie i niezależny. Ale z powodu nedorzecznie wygórowanych wymagań, jakie pociągała za sobą jej praca, żył w ciągłym niepokoju.

Czy to było „namolne”, że chciał wiedzieć, czy jego partnerka wciąż żyje?

Nie sypiała przez kilka nocy z rzędu, a całymi dniami pracowała na pełnych obrotach, napędzana wyłącznie kawą. Bez względu na porę zapuszczała się w najbardziej szemrane dzielnice i krążyła wśród najgorszych mętów, jakie można było spotkać w Londynie. Tak bardzo przywykła do koszmarów, jakie oglądała, że zobojętniła się na nie. I właśnie to najbardziej niepokoiło Thomasa – że niczego się nie bała.

Dla niego strach nie był niczym złym. Pozwalał zachować czujność, postępować ostrożnie. Zapewniał bezpieczeństwo.

Wstał, sięgnął po porcję, którą nałożył dla Baxter, tak tylko na wszelki wypadek, i zgarpnął zawartość talerza do stojącej na podłodze miski. Kot spojrział na niego z wyrzutem, jakby skalał resztkę jego przepysznych ciasteczek.

– Dobranoc, Echo – powiedział, wyłączając światło, i poszedł do sypialni.

Ciemne sińce pod oczami Edmunda wyglądały upiornie w blasku monitora. Włączył czajnik i zdjął grubą bluzę, bo wydajność małego grzejnika przerosła jego oczekiwania. Gdyby lampa, przy której pracował, nie stała na kosiarce, mógłby odnieść wrażenie, że siedzi w bardziej wytwornym miejscu niż zdezelowana szopa ogrodowa.

Od kilku godzin skrupulatnie badał wyciągi z kont i sprawozdania finansowe zabójców. Blake okazał się na tyle uprzejmy, że informował go na bieżąco o postępach śledztwa w sprawie sześćdziesięcioletniego zabójcy policjantki i

podpalacza, Patricka Petera Fergusa. Robił to w nadziei, że zapunktuje u szefowej, ale Edmunds oczywiście nie miał zamiaru go chwalić.

Z finansami Dominica Burrella ze względu na jego pobyt w więzieniu uporał się w kilka minut, na co nie mógł liczyć w przypadku pierwszego mordercy, Marcusa Townsenda. Chociaż lista jego wydatków i wpływów zdawała się ciągnąć w nieskończoność, okazała się pasjonującą lekturą. Edmunds natrafił na ślad pierwszych niepewnych prób nielegalnego obrotu akcjami i obserwował, jak spekulacje nabierały rozmachu proporcjonalnego do stanu różnych rachunków bankowych.

Katastrofa była nieunikniona. W miarę jak operacje stawały się coraz śmielsze, dało się wyczuć jego rosnące uzależnienie od słupek liczb, które urywały się nagle w połowie 2007 roku, kiedy Townsend podjął najgorszą decyzję w swoim życiu. Edmunds mógł to sobie wyobrazić – wkraczających do biura policjantów, kontrolę dokumentacji i Townsenda, który w obawie przed drastycznym spadkiem osobistych przychodów przyznał się do winy, próbując ratować własną skórę. To był początek jego końca. Kolejne kary rozszarpały jego fortunę, zanim resztki akcji, jakie zdołał ocalić, straciły wartość wskutek ogólnoświatowego kryzysu. Był zrujnowany.

Edmunds otworzył stronę programu „Pomocna Dłoń”, do którego Townsend wciąż należał, kiedy zawieszał ciało swojej ofiary na moście Brooklińskim. Było coś inspirującego w zdjęciach bezdomnych, którzy wydawali się zbyt odrzuceni, by kiedykolwiek wrócić do społeczeństwa, a jednak pozowali wystrojeni w koszule i krawaty w pierwszym dniu nowej pracy. Przypuszczalnie właśnie to sprawiło, że Edmunds pozostał dłużej na tej stronie.

W historii życia jednego z uczestników, która przykuła jego uwagę, natrafił na link. Kliknął go i przeglądarka przeniosła go w inne miejsce na stronie. Przejrzał zaledwie trzy punkty na liście i zerwał się podekscytowany, wylewając sobie na spódnie resztki kawy. Spojrzał na zegarek, odliczył na palcach godziny i zadzwonił do Baxter.

Baxter szybko zapadła w sen. Po powrocie do hotelu udało im się w końcu odnaleźć Curtis, która przyjęła szczere przeprosiny Rouche'a i nie bez wahania zgodziła się pójść z nimi do restauracji. Wszyscy troje byli wykończeni po pełnym wrażeń dniu, więc wcześniej poszli spać, żeby z samego rana zabrać się do pracy.

– Spałaś? – zapytał Edmunds z lekkim wyrzutem, kiedy odebrała telefon i usłyszał jej chrapliwy głos.

– Tak! Jakoś tak się dziwnie złożyło. Dla ciebie to młoda godzina, jest dopiero... Zaraz, nie. Co jeszcze robisz o tej porze?

– Przeglądam dokumenty, które mi przesłałaś – odparł, jakby to było coś oczywistego. – Dobrze się czujesz?

Nauczył się już rozmawiać z Baxter. Wiedział, że jeśli będzie miała ochotę podzielić się tym, co przeżyła rano na Grand Central, wszystko mu opowie. Jeżeli nie, będzie musiał się zadowolić odpowiedzią zawierającą jedno słowo i przejść do rzeczy, a na zwierzenia przyjdzie czas innym razem.

– Tak.

– Chciałbym, żebyś zdobyła dla mnie trochę więcej informacji – powiedział.

– Wiem, prześlę ci jutro akta zabójców z Mall i Grand Central.

– Akta tego z Londynu już mam.

Baxter nawet nie chciała wiedzieć, w jaki sposób je zdobył, więc postanowiła nie pytać.

– Potrzebuję pełnej dokumentacji medycznej każdego z nich – dodał Edmunds.

– Medycznej? Szukasz czegoś konkretnego?

– Nie wiem. To tylko przeczucie.

– W porządku – odparła. Polegała na jego intuicji bardziej niż na swojej. – Dostaniesz je jutro. To znaczy dzisiaj.

– Dzięki. Nie zatrzymuję cię dłużej. Dobrej nocy.

– Edmunds...

– Tak?

– Nie zapominaj, z jakiego powodu oszedłeś z wydziału.

Zrozumiał, co się kryje za jej słowami. W ten sposób dawała mu do zrozumienia, że martwi się o niego. Nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Dobrze – odpowiedział.

# Rozdział 14

NIEDZIELA, 13 GRUDNIA 2015 ROKU

7.42

– Opętanie!

Stojąc na środku pokoju hotelowego, Baxter szybko pożałowała, że włączyła telewizor. Chociaż nie było nic zaskakującego w tym, że seria morderstw stała się głównym tematem jednego z największych magazynów porannych w Ameryce, dyskusja najwyraźniej zbaczała na grząski grunt.

– Opętanie? – Nienagannie ubrana prezenterka spojrzała pytająco na zaproszonego do studia teleewangelistę, który słynął z kontrowersyjnych wypowiedzi.

– Otóż to, opętanie – powtórzył pastor Jerry Pilsner junior, zaciągając z południowym akcentem. – Dzieło pewnej starożytnej istoty przeskakującej z jednej zagubionej duszy do drugiej, żeby zaspokoić nienasycony głód cierpienia i bólu, które zadaje słabym i niewiernym... Tylko jedno może nas ocalić... Tylko w Bogu możemy szukać ratunku!

– A więc – zaczęła ostrożnie prezenterka – mówimy tutaj o... duchach?

– O aniołach.

Kobieta sprawiała wrażenie zdezorientowanej, kiedy zerkała na swojego kolegę, dając mu do zrozumienia, że teraz jego kolej.

– Upadłych aniołach – dodał pastor.

– I mówi pan... – wydukał dziennikarz – że te upadłe anioły...

– Tylko jeden – przerwał mu Pilsner. – Wystarczy jeden.

– A więc ten upadły anioł, kimkolwiek jest...

– Ależ ja dokładnie wiem, kim on jest – ponownie wszedł mu w słowo duchowny, całkowicie zbijając go z tropu. – Zawsze to wiedziałem. Mogę nawet wymienić jego imię, jeśli pan chce... Jedno z jego imion...

Obydwoje prowadzący nachylili się wyczekująco w jego stronę, zdając sobie

sprawę, że ich gość jest żyłą złąta dla stacji telewizyjnej epatującej tanią sensacją.

– Azazel – wyszeptał pastor i w tej samej chwili nastąpiła przerwa.

Przy wtórze wesołej melodii na ekranie pojawiła się krzykliwa reklama najnowszego wynalazku w dziedzinie cukierków owocowych, a Baxter poczuła, jak jeżą się jej włoski na karku.

Musiła przyznać, że pastor był przekonujący w swojej żarliwości i znalazł sposób na powiązanie ze sobą wszystkich tych dziwnych morderstw, czego nie zdołały dokonać nawet połączone siły policji, FBI i CIA. Ale potem przeszył ją dreszcz, kiedy znów zaczął się program i zobaczyła reportaż z kościoła Pilsnera, białego drewnianego budynku stojącego samotnie na końcu zwirowej drogi, która przecinała bezkresne jałowe pole.

Wierni z kilku okolicznych miasteczek wyłonili się tłumnie spomiędzy drzew niczym zjawy, wszyscy ubrani odświętnie, szukający rozpaczliwie ratunku przed wiecznym potępieniem. Ciasnym kręgiem otoczyli kruchą świątynię, chłonąc każde słowo pastora skierowane do tych, którzy chcieli dostąpić zbawienia.

Baxter dostrzegła w tej scenie coś złowieszczonego – ci ludzie z zapadłej prowincji zbici w gromadę niczym owce byli całkowicie oddani swojemu oportunistycznemu pasterzowi, który bez skrupułów wykorzystywał prawdziwe ludzkie nieszczęścia, żeby głosić swoje urojone brednie; który miał czelność nazwać ofiary, w tym dwoje uczciwych funkcjonariuszy policji, „słabymi i niewiernymi”.

Boże, jak ona nienawidziła religii.

Nie potrafiła oderwać wzroku od ekranu i patrzyła, jak duchowny na pożegnanie obdarowuje swoimi przemyśleniami zapatrzonych w niego z uwielbieniem słuchaczy oraz niezliczone rzesze tych, którzy zabiegali o zbawienie rozparci wygodnie przed telewizorami w swoich domach.

– Patrzę na was w tej chwili, na zgromadzonych tu prawych ludzi, moje własne odbicie, i wiecie, kogo widzę?

Wierni czekali, wstrzymując oddech.

– Grzeszników... Widzę grzeszników. Nikt z nas bowiem nie jest doskonały. Ale jako dzieci boże poświęcamy swoje życie dążeniu do doskonałości!

Odpowiedziały mu oklaski i pomruki aprobaty, a kilka osób powiedziało głośno „Amen”.

– Ale spoglądam również w dal – ciągnął pastor. – Spoglądam na świat, w

którym żyjemy, i wiecie, jakie uczucie mnie ogarnia? Przerażenie. Widzę tyle nienawiści, tyle okrucieństwa, tyle zła. Czy w ogóle możemy liczyć na pomoc Kościoła? Nie dalej jak w zeszłym tygodniu kolejny przedstawiciel duchowieństwa, który rzekomo miał reprezentować Boga, został oskarżony o molestowanie siedmioletniego chłopca. To nie jest właściwe miejsce! Kocham mojego Boga, ale tutaj Go nie ma!

Jako wytrawny profesjonalista w swoim fachu Jerry Pilsner oderwał wzrok od oszołomionych słuchaczy i spojrzał prosto w obiektyw kamery.

– Zwracam się do wszystkich niewierzących... Chcę, żebyście zadali sobie kilka pytań. A jeżeli nie ma Boga? Jeżeli nie ma nieba? Jeżeli nie ma piekła? I jeżeli... tylko jeżeli... wszyscy już tam jesteśmy?

Baxter odłożyła telefon i westchnęła ciężko. Przez matową szybę dostrzegła sylwetkę Lennox, która wstała zza biurka i uścisnęła Curtis, żeby dodać jej otuchy, choć bez wątpienia czuła się niezręcznie. Najwyraźniej nie zamierzała rzucić swojej podwładnej na pożarcie wilkom, jak można było się spodziewać. Baxter próbowała sobie wyobrazić Vanitę traktującą ją w taki sam sposób i pokręciła głową, żeby odpędzić tę niedorzeczną myśl.

Właśnie zakończyła przeszło półgodzinną rozmowę ze swoją przełożoną. Poprzedniego dnia po wydarzeniach na dworcu Grand Central trudno jej było znaleźć na to czas. Vanita zgodnie z protokołem wyraziła zatroskanie stanem emocjonalnym podwładnej, a następnie poprosiła ją o szczegółową relację, żeby się upewnić, czy jej wersja wydarzeń jest zgodna z raportem, który dostała od Amerykanów. Potem wymieniły kilka uwag na temat zastraszającego braku postępów w śledztwie, zgodziły się co do tego, że wkrótce może dojść do równie makabrycznego morderstwa w Londynie i zdecydowały, że Baxter zostanie w Nowym Jorku jako przedstawicielka Policji Metropolitalnej, a Vanita będzie ją nadal zastępowała na własnym podwórku.

Czekając, aż Lennox i Curtis skończą rozmawiać, Baxter napisała krótką wiadomość do Thomasa. Zapomniała go poinformować o nagłej zmianie planów i uświadomiła sobie, że brak kontaktu z jej strony prawdopodobnie nie wpłynął korzystnie na ich relacje.

Cześć. Jak się miewa Echo? Porozmawiamy później? :)

Lennox wyszła ze swojego gabinetu.

– Czy wszyscy, którzy pracują nad sprawą morderstw, mogliby przyjść do sali konferencyjnej? – powiedziała donośnym głosem.

Ponad jedna trzecia obecnych wstała z za swoich biurka. Po chwili w ciasnym pomieszczeniu zapanował taki tłok, że niektórzy musieli stać na korytarzu i wyęztać słuch jak wierni przed kościołem pastora Pilsnera. Baxter przecisnęła się przez tłum, żeby dołączyć do swojego zespołu, a Rouche zaczął wypisywać na wielkiej tablicy szczegóły dotyczące pięciu morderców:

Nowy Jork	Londyn
1. Marcus Townsend (most Brookliński) ofiara: związana ze sprawą „Szmacianej Lalki” metoda: uduszenie	3. Dominic Burrell (więzienie Belmarsh) ofiara: związana ze sprawą „Szmacianej Lalki” metoda: zasztyletowanie
2. Eduardo Medina (33. Komisariat) ofiara: policjant metoda: zderzenie ze ścianą	4. Patrick Peter Fergus (Mall) ofiara: policjantka metoda: cios tępym narzędziem
5. Glenn Arnolds (Grand Central) ofiara: ? metoda: prowokowanie policji	

– Czy wszyscy są? – zapytała niepotrzebnie Lennox, gdyż wiedziała, że kilka osób stoi za ścianą. – Jeżeli ktoś jeszcze ich nie zna, przedstawiam wam inspektor Baxter z Policji Metropolitalnej i agenta specjalnego Rouche’a z CIA, któremu teraz oddaję głos.

Rouche wstał z krzesła.

– A więc... to są nasi mordercy – zaczął, wskazując na tablicę – zaprezentowani w czytelnej i lekkostrawnej formie, żeby każdy z was był na bieżąco. Czy ktoś zechciałby mi powiedzieć, jakie wnioski możemy wyciągnąć z tego zestawienia? – zapytał, jakby zwracał się do grupy uczniów.

Muskularny agent siedzący w pierwszym rzędzie odchrząknął.

– Te gnojki zabiły dwoje naszych i dlatego jest już po nich – powiedział i zaśmiał się ze swojego komentarza, a potem zaczął bić sobie brawo, a kilku jego kolegów przyłączyło się do niego.

– No dobra. – Rouche cierpliwie pokiwał głową. – A coś trochę bardziej



konkretnego?

– Morderstwa w Nowym Jorku i Londynie są jak lustrzane odbicia.

– Z całą pewnością, a to oznacza, że lada chwila możemy się spodziewać kolejnego morderstwa w Londynie i tylko nasuwa się pytanie o motyw. Z jakiego powodu ktoś chce wypowiedzieć wojnę obu tym miastom i każdemu z osobna?

– Giełda papierów wartościowych? – zasugerował ktoś z zebranych.

– Skupisko bogactwa?

– Zainteresowanie mediów?

– I musimy zbadać wszystkie te wątki – powiedział Rouche. – No dobrze. Co jeszcze rzuca się wam w oczy?

– Sposób działania – odezwał się ktoś zza drzwi i zaczął brnąć przez tłum w głąb sali. – Każdy sprawca zabił swoją ofiarę w inny sposób, co wskazuje na pewien stopień niezależności. Widocznie ktoś wskazał tym ludziom cel, być może przedział czasowy, ale wygląda na to, że reszta zależała od nich.

– Doskonale! A teraz przejdźmy do kolejnego etapu. Musimy się skupić na poszczególnych sprawcach. Glenn Arnolds tak naprawdę nie chciał nikogo skrzywdzić... Został do tego zmuszony. Podzielimy was na pięć zespołów, po jednym na każdego zabójcę. Wasze zadanie będzie polegało na znalezieniu wszystkich aspektów ich życia, które dało się wykorzystać. Z tego, co przychodzi mi na myśl, w przypadku Townsenda były to pieniądze, dla Mediny liczył się status imigranta, Burrellowi mogło zależeć na więziennych przywilejach, Fergus miał chorą matkę, a Arnolds stracił brata i cierpiał na zaburzenia psychiczne – wyliczał Rouche, a jego słuchacze notowali w skupieniu. – Swoją drogą, inspektor Baxter chciałaby, żebyście przy najbliższej okazji przekazali jej kopię dokumentacji medycznej każdego z nich.

Lennox posłała Curtis pytające spojrzenie.

– Przydzielę wam dodatkowych ludzi – oznajmiła. – Wszystkich, których uda mi się zastąpić.

Rouche z wdzięcznością skinął głową w jej stronę.

– Jeżeli cokolwiek znajdziecie – zwrócił się znowu do zebranych – niezwłocznie informujcie o tym mnie, Curtis albo Baxter. We troje będziemy nadzorowali całą sprawę i powinniśmy zauważyć wszelkie podobieństwa albo schematy. Dziękuję wam uprzejmie.

Jego pożegnalna formułka była również sygnałem do opuszczenia sali. Kiedy zebrani tłoczyli się przy drzwiach, Lennox podeszła do trójki prowadzących śledztwo, żeby pomówić z nimi na osobności.

– Czeka mnie dzisiaj kilka konferencji prasowych i spotkań, więc mogę pani potrzebować w ciągu dnia – zwróciła się do Baxter, która spodziewała się takiego obrotu sprawy. – Jakie macie plany?

– Zaczniemy od zakładu medycyny sądowej. Jeszcze wczoraj przewieziono tam oba ciała i mam nadzieję, że udało się ustalić tożsamość... ofiary – odparł Rouche, ostrożnie dobierając słowa z uwagi na obecność Curtis. – Zlecimy zespołowi odnalezienie psychiatry Arnoldsa oraz przesłuchanie jego znajomych i sąsiadów, więc prawdopodobnie natrafimy wkrótce na jakiś trop.

– Świetnie – skwitowała Lennox.

Kiedy Baxter i Rouche ruszyli w stronę wyjścia, położyła dłoń na ramieniu swojej podwładnej.

– Po co jej dokumentacja medyczna? – zapytała.

– Nie mam pojęcia.

– Dowiedz się. Pamiętaj o naszej rozmowie. Po tym, co się stało, nie możemy dopuścić, żeby ktoś inny rozwiązał za nas tę sprawę. Jeśli ona coś przed tobą ukrywa, nie będę miała oporów przed wsadzeniem jej do najbliższego samolotu.

– Rozumiem.

Lennox pokiwała głową i odsunęła się na bok, pozwalając Curtis dogonić kolegów.

– A więc Glenn Arnolds wciąż zażywał leki? – spytała zmieszana Curtis.

– Nie, ale coś zażywał – odparła zagadkowo drobna kobieta, zerkając na nią znad okularów.

Curtis już kilka razy miała z nią do czynienia przy okazji spraw wymagających ekspertyzy anatomopatologa. Zresztą niełatwo było zapomnieć kogoś, kto nazywa się Stormy Day. O ile pamięć jej nie myliła, towarzyszące tym spotkaniom uczucie zakłopotania nie było niczym nadzwyczajnym. Stormy wręczyła jej i Rouche'owi plik dokumentów, wśród których znajdował się wynik badania krwi przeprowadzonego w ramach sekcji zwłok. Dane na wydruku były dla obojga agentów całkowicie niezrozumiałe.

Siedzieli w holu recepcyjnym zakładu medycyny sądowej przy Dwudziestej

Szóstej Wschodniej Ulicy. Był to jeden z budynków należących do rozległego kompleksu medycznego, zatem dwa ciała miały do przebycia zaledwie trzy przecznice z oddziału ratunkowego szpitala Langone. Spotkali się w tak nietypowym miejscu na prośbę Rouche'a, któremu zależało, żeby jego partnerka nie miała już styczności ze zwłokami i w tajemnicy przed nią uzgodnił to wcześniej telefonicznie. Zdawał sobie sprawę, że Curtis czułaby się urażona, gdyby o tym wiedziała, ale dostrzegł wyraz ulgi na jej twarzy, kiedy zasiedli w jasnym i przewiewnym holu, zamiast zapuszczać się w głąb budynku, gdzie w sali sekcyjnej musiałyby oglądać woskowane ciało człowieka, którego zastrzeliła.

Baxter miała dopiero do nich dołączyć. Nie zdążyła nawet opuścić oddziału terenowego, gdy Lennox „wypożyczyła” ją sobie na konferencję prasową.

Stormy wskazała na kartkę, którą agentka trzymała w dłoni.

– Nie wiem dokładnie, co zażywał, ale z całą pewnością nie powinien był tego robić. Nic nie wskazuje na to, aby brał leki, które zapisał mu psychiatra, ale natrafiłam na śladowe ilości ETH-LAD i benzodiazepiny – wyjaśniła i widząc zmieszaną minę Curtis, dodała: – Jednym ze skutków ubocznych benzodiazepiny są skłonności samobójcze.

– Aha.

– A ETH-LAD jest bliskim krewnym LSD. To chyba dwa najgorsze środki, jakie mógł zażyć ktoś z takimi zaburzeniami. Wywołały halucynacje, osłabiając kontakt z rzeczywistością, a do tego doszły objawy po odstawieniu leków neuroleptycznych. Facet doprowadził się do takiego stanu, że pewnie widział, jak ożywają malowidła na sklepieniu! – powiedziała Stormy, ale szybko zrozumiała, że takie hippisowskie komentarze lepiej zachować dla mniej konserwatywnych rozmówców. – Wysłałam próbki jego krwi do Quantico na dokładniejsze badania i kazałam sobie dostarczyć wszystkie leki, jakie znaleziono w jego mieszkaniu.

– Dopilnuję, żeby dotarły do pani jak najszybciej – wtrąciła Curtis.

– Właściwie to wszystko, co mam do powiedzenia na temat Arnolds, nie licząc rzeczy oczywistych. Szczerze mówiąc, to dosyć osobliwy przypadek. Zwykle zaczynamy od oględzin na miejscu zdarzenia, ale tutaj z uwagi na okoliczności zwłoki musiały jechać do szpitala, gdzie przecięto szwy, a poza tym były pokryte krwią i tkankami tego drugiego mężczyzny. Chyba pół Nowego Jorku przekładało je z miejsca na miejsce. Mówiąc oględnie, stopień zanieczyszczenia i ingerencje

osób trzecich nie ułatwiły mi zadania.

– A co z ofiarą? – zapytał Rouche.

– To Noah French. Pracował w kasie biletowej na Grand Central i dwa dni temu zgłoszono jego zaginięcie. Nie musiałam nawet przeprowadzać testów, żeby potwierdzić jego tożsamość. Miał na przedramieniu tatuaż: „K.E.F. 3-6-2012”. Pewnie chodziło o jego córkę albo syna. Sprawdziliśmy tę datę w rejestrach urodzeń na terenie Nowego Jorku i jeden wynik pokrywa się z inicjałami.

– Genialne – stwierdził agent z uśmiechem.

– Też tak myślę. Facet był odurzony jakimś środkiem nasennym. Wszystkie szczegóły są w aktach – powiedziała Stormy i spojrzała w stronę wejścia, gdzie wybuchło jakieś zamieszanie. – Czy ona jest z wami?

Przy kontuarze stała Baxter i wyklócała się z recepcjonistą, który najwyraźniej nie miał pojęcia, o co jej chodzi. Stormy ruszyła w ich stronę, żeby opanować sytuację.

– Jesteśmy na właściwym tropie – odezwał się Rouche. – Musimy porozmawiać z tym psychiatrą.

– Tak, porozmawiamy – odparła Curtis.

Wertując kartki w segregatorze, znalazła wynik badania krwi, otworzyła metalowe pierścienie i zabrała wydruk.

Rouche spojrzał na nią zdziwiony.

– Co robisz?

– Wykonuję rozkazy.

– Usuwając dowód?

– Zapewniając naszym agencjom dokonanie pierwszego przełomu w śledztwie.

– Naprawdę nie... Czuję się niezręcznie.

– A myślisz, że ja nie? Ale na tym polega różnica między rozkazem a propozycją – odparła Curtis.

Kątem oka dostrzegła Stormy, która szła w ich stronę, prowadząc za sobą Baxter.

– Schowaj to – powiedziała, wręczając kartkę partnerowi, który odepchnął jej rękę.

– Nie chcę tego trzymać. Wszystko jej powiem.

– Nie rób tego.

Nie zwracając uwagi na pełne dezaprobaty spojrzenie Rouche'a, Curtis wepchnęła pomięty wydruk do kieszeni jego kurtki, która leżała na oparciu sofy. W tej samej chwili Baxter usiadła obok nich, a Stormy wróciła do przerwanej wątku.

Baxter miała za sobą udział w konferencji prasowej, którą zwołano, żeby oficjalnie ujawnić szczegóły incydentu w holu dworca Grand Central. Była zaskoczona postawą Lennox, która opierała się naciskom, nie chcąc ujawnić nazwiska osoby odpowiedzialnej za śmierć niewinnej ofiary. Zaznaczyła, że można za to winić jedynie niezrównoważonego psychicznie człowieka. To on doprowadził do tej tragedii, prowokując stróżów prawa, którzy zachowali bohaterską postawę i działali zgodnie z procedurami. Była na tyle sprytna, żeby przedstawić swojego człowieka jako ofiarę, i pytania dziennikarzy szybko straciły oskarżycielski ton.

Baxter wypełniła swoje zadanie, jak zwykle recytując wyuczone kwestie, kiedy pytano ją o postępy w śledztwie. Gdy po konferencji wyszła z budynku i sięgnęła po komórkę, odkryła kilka nowych wiadomości. Agenci, którym powierzyła znalezienie dokumentacji medycznej zabójców, zgodnie z poleceniem niezwłocznie przekazali jej wszystko, co zdobyli. Na razie miała akta Eduarda Mediny, Dominica Burrella i Marcusa Townsenda. Przesłała je na adres Edmunda i ruszyła w stronę zakładu medycyny sądowej.

Edmunds zerknął na wyświetlacz komórki, która zawibrowała trzy razy z rzędu. Kiedy zobaczył, kto jest nadawcą, wyszedł do toalety, zamknął się w kabynie i załadował wszystkie załączniki. Otworzywszy pierwszy z nich, w ciągu kilku sekund znalazł to, czego szukał. W drugim natrafił na to samo słowo po przejrzeniu kilku stron. Kliknął trzeci i zaczął czytać. Nagle jego oczy rozbłysły. Wybiegł z toalety i popędził w stronę wind.

Baxter spojrzała na wyświetlacz, kiedy rozległ się dzwonek komórki. Nie odebrałyby, gdyby dzwonił ktoś inny. Oddaliła się od Curtis i Rouche'a, w których towarzystwie wyszła właśnie z zakładu medycyny sądowej, i przyłożyła telefon do ucha.

- Każdy z nich przechodził terapię! – oznajmił jej z podnieceniem Edmunds.
- Kto?
- Każdy z zabójców. Właśnie to ich łączy! Odwiedziłem stronę „Pomocnej

Dłoni” i wyczytałem tam, że w ramach programu ludzie mogą skorzystać z pomocy psychoterapeuty, żeby stanąć z powrotem na nogi. To mi dało do myślenia. W aktach Patricka Petera Fergusa znalazłem informację o załamaniu nerwowym, którego doznał z powodu wydatków związanych z chorobą matki. To logiczne, że musiał się u kogoś leczyć. I wiesz, co jeszcze?

– Mów.

– Marcus Townsend skorzystał z oferowanych przez „Pomocną Dłoń” bezpłatnych warsztatów poświęconych samorealizacji. Eduardo Medina popadł w depresję, kiedy odrzucono wniosek jego córki o wizę imigracyjną i dzień przed popełnieniem morderstwa był na spotkaniu anonimowych alkoholików, a Dominic Burrell w ramach resocjalizacji raz w tygodniu uczestniczył w obowiązkowych sesjach terapeutycznych.

Baxter uśmiechnęła się z zadowoleniem. Edmunds jeszcze nigdy jej nie zawiódł.

– Jak się zapewne domyślasz, Glenn Arnolds od dzieciństwa cierpiał na poważne zaburzenia psychiczne – powiedziała, nie kryjąc ekscytacji. – Swoją drogą, szukamy jego psychiatry.

– Lepiej się pospieszcie. Mamy pięć trafień na pięć! – Edmunds niemal krzyknął.

– No dobra, teraz możesz to powiedzieć.

– Co?

– Że beze mnie byś zginęła.

Baxter zakończyła połączenie.

Curtis właśnie opracowywała plan pozbycia się Baxter. Postanowiła zostawić ją w towarzystwie swojej szefowej i pojechać z Rouche'em do Westchester, żeby przesłuchać tajemniczego doktora Banthama. Zamilkła, kiedy policjantka podeszła do niej z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Musimy znaleźć tego psychiatrę – oświadczyła stanowczo.

Rouche spojrział na swoją partnerkę i uśmiechnął się kpiąco.

# Rozdział 15

NIEDZIELA, 13 GRUDNIA 2015 ROKU

12.22

– Zatem jeśli *Azaz* to po hebrajsku siła, a *El* znaczy Bóg, taka właśnie kolejność przemawia za tym, żeby imię *Azazel* tłumaczyć jako „silniejszy od Boga”. A tutaj jest napisane, że zwierzęta uchodzące za „mroczne”, jak węże, nietoperze i dzikie psy, są „wyjątkowo podatne na działanie nieczystych duchów, które ukrywają się w ich ciałach”.

– Czy moglibyśmy porozmawiać o czymś innym? – zaprotestowała Curtis zza kierownicy, zmieniając pas, żeby zjechać z drogi międzystanowej. – To mnie naprawdę przeraża.

Tego ranka Rouche natrafił na jedno z licznych wystąpień telewizyjnych pastora Jerry’ego Pilsnera juniora i przez całą drogę szukał w sieci informacji na temat ich podejrzanego z zaświatów. Baxter przez większą część podróży próbowała się zdrzemnąć. Zbudziła się po raz kolejny i otarła ślinę z kącika ust, kiedy skręcili w wiejską drogę. Ogołoczone gałęzie drzew niczym powykręcane palce zdawały się sięgać po przejeżdżające samochody.

– Dobra, ale posłuchaj tego. – Rouche z ożywieniem przewinął stronę na ekranie smartfona. – Archanioł Rafael pokonał Azazela, odebrał mu jego czarne skrzydła i wtrącił go do najgłębszej otchłani świata. Uwięziony pod najcięższymi głazami w najdalszym zakątku surowej pustyni Azazel tkwi w mrocznym grobie, który otaczają połamane pióra z jego skrzydeł, i nigdy nie będzie mu dane ujrzeć światła, dopóki nie zapłonie ogniem w dzień sądu.

– Dzięki – ziewnęła Baxter.

– Nienawidzę cię, Rouche – powiedziała Curtis i zadygotała, wstrząśnięta nieprzyjemną historią.

– Ale to już naprawdę ostatni fragment – obiecał agent i chrząknął. – W tej wiekuistej ciemności Azazel popadł w obłęd i ponieważ nie mógł zerwać

krępujących go łańcuchów, jego duch opuścił zniewolone ciało i teraz błąka się po świecie jako tysiąc różnych dusz. – Rouche odłożył telefon. – Teraz nawet ja czuję się nieswojo.

Kiedy skręcili na oblodzony podjazd przed domem Benthama, na przedniej szybie wylądowały delikatnie pierwsze płatki śniegu. Meteorolodzy zapowiadali silne opady pod koniec dnia i ostrzegali przed znacznym pogorszeniem pogody oraz możliwą zamiecią w nocy.

Baxter spojrzała na dom, który sprawiał wrażenie tak samo opuszczonego jak poprzedniego wieczoru, ale w śniegu pokrywającym trawnik zauważyła głęboko odcisnięte ślady stóp.

– Ktoś tu był – odezwała się z nadzieją w głosie.

Owionęło ich mroźne powietrze, gdy wysiedli z samochodu. Rouche zauważył kobietę, która stała przed domem po przeciwnej stronie ulicy i przyglądała się im z zainteresowaniem. Miał nadzieję, że zostawi ich w spokoju, ona jednak ruszyła w ich stronę i pośliznęła się parę razy, idąc przez podjazd.

– Róbcie swoje – zwrócił się do swoich towarzyszek.

Curtis i Baxter skierowały się do frontowych drzwi, a on wyszedł wścibskiej sąsiadce naprzeciw, żeby uchronić ją przed połamaniem nóg.

– W czym mogę pomóc? – szepnął do siebie, uprzedzając typowe w takiej sytuacji powitanie.

– W czym mogę pomóc?

– Szukamy doktora Jamesa Banthama – wyjaśnił, zbywając ją uprzejmym uśmiechem.

Kobieta patrzyła podejrzliwie, jak Curtis naciska dzwonek. Nic nie wskazywało na to, że zamierza sobie pójść.

– Zimno – odezwał się Rouche, sugerując jej delikatnie, że powinna wrócić do ciepłego domu i zająć się swoimi sprawami.

Baxter załomotała głośno w drzwi, nie doczekawszy się reakcji na dzwonek.

– Mają porządne zabezpieczenia – oznajmiła sąsiadka, nie kryjąc aluzji.

– Bardzo porządne – odparł Rouche i wyjął swoją legitymację. – Przed ich domem stoi troje funkcjonariuszy policji.

Kobieta od razu zmieniła nastawienie.

– Dzwoniliście na ich komórki? – zapytała.



– Tak.

– A macie numer Terri? – Posiniała od zimna dłonią wyjęła z kieszeni własny telefon i przyłożyła go do ucha. – Cudowna kobieta. No i te dzieciaki. My tutaj wszyscy się nawzajem...

– Cicho! – krzyknęła Baxter i sąsiadka umilkła z oburzoną miną. – Słyszysz to? – zwróciła się po chwili do Curtis.

Przykucnęła i uchyliła klapkę listownika, ale odgłos ucichł.

– Proszę zadzwonić jeszcze raz! – zawołała i kilka sekund później dały się słyszeć stłumione wibracje telefonu leżącego na twardej powierzchni. – Jej komórka jest w domu.

– To dziwne – stwierdziła sąsiadka. – Ona zawsze nosi ją przy sobie na wypadek, gdyby chłopcy czegoś potrzebowali. Pewnie jest w domu. Może się kąpie.

Rouche zauważył na jej twarzy szczerą troskę.

– Baxter! – zawołał. – Słuchaj teraz.

Wyjął swoją komórkę i ponownie wybrał numer lekarza, na który usiłował się dodzwonić dzień wcześniej. Jego tętno lekko przyspieszyło, kiedy czekał na połączenie.

*Oh, the weather outside is frightful...*

Baxter, która przyciskała ucho do wąskiej szczeliny na listy, odskoczyła wystraszona i wylądowała na mokrej posadzce, gdy po drugiej stronie drzwi rozległa się świąteczna piosenka.

*But the fire is so delightful...*

– Proszę stąd iść! – rozkazał Rouche oszołomionej kobiecie, po czym wyciągnął broń i popędził w stronę domu.

Siedząc w rozdeptanym śniegu na podeście, Baxter zobaczyła, jak Curtis bierze rozpęd i kopie w drzwi na wysokości zamka.

*And since we've no place to go...*

Zamek nie wytrzymał drugiego kopniaka i drzwi otworzyły się gwałtownie, odpychając telefon, który wpadł ślizgiem pod imponujących rozmiarów choinkę.

– FBI! Jest tu ktoś?! – zawołała Curtis, przekrzykując ostatni wers zwrotki.

Wszyscy troje wpadli do wnętrza domu.

– Doktorze Bantham!

Rouche pobiegł na piętro, a Baxter ruszyła korytarzem na wprost. W domu było ciepło. Na stole pośrodku urządzonej w rustykalnym stylu kuchni znalazła cztery porzucone nakrycia. Niedojedzone porcje zupy o jaskrawopomarańczowym kolorze pokrywał gruby kożuch.

– Czy ktoś tu jest? – rozległ się głos Curtis, która przeszukiwała sąsiednie pomieszczenia.

Z góry dobiegał odgłos kroków Rouche'a. Baxter spojrzała na resztki pieczywa spoczywające obok trzech miseczek, a potem przeniosła wzrok na podłogę, gdzie rozrzucone nieregularnie okruszki wyznaczały ślad prowadzący tam, skąd przyszła. Podążając tym tropem, dotarła do drzwi w połowie korytarza. Były wąskie jak wejście do spiżarni.

– Halo! – zawołała z ręką na klamce, po czym otworzyła drzwi i ujrzała niknące w mroku schody do piwnicy. – Halo!

Przestąpiła próg, obmacując ścianę w poszukiwaniu włącznika światła. Drewniany stopień zaskrzypiał pod jej ciężarem.

– Curtis! – krzyknęła.

Włączyła latarkę w swojej komórce i kiedy ostre białe światło wypełniło prowadzący w dół korytarz, ostrożnie stanęła na kolejnym stopniu. Posuwając się naprzód, centymetr po centymetrze wydobywała z mroku ściany piwnicy. Zrobiła następny krok, opierając cały swój ciężar na czymś, co usunęło się jej spod stopy. Poczła ból skręconej kostki, straciła równowagę i runęła na zimną betonową posadzkę.

Usłyszała dobiegające z góry nawoływanie Curtis.

– Tu jestem – zajęczała.

Przez chwilę wdychała kurz i woń stęchlizny, leżąc nieruchomo i zastanawiając się, czy nie złamała sobie żadnej z kończyn. Była poobijana, zdarła sobie strup z zadrapania na czole, a pulsujący ból rozsadzał cholewkę jej buta, ale wyglądało na to, że skończyło się na drobnych urazach. Jej telefon leżał na schodach, rzucając snop światła na nadgryzioną bułkę, na której się pośliznęła.

– Psiakrew.

Usiadła, krzywiąc się w bólu. Na górze rozległ się odgłos pospiesznych kroków i w drzwiach stanęła Curtis.

– Nic ci nie jest? – zapytała. – Mogłaś włączyć światło.

Baxter już miała rzucić w odpowiedzi jakąś uszczypliwą uwagę, gdy agentka pociągnęła zwisający obok drzwi sznurek i rozległo się ciche pstryknięcie.

– Chyba znalazłam coś... – zaczęła Curtis.

Ale Baxter jej nie słuchała. Wstrzymując oddech, otwartymi szeroko oczami omiatała wnętrze piwnicy, gdy zakurzona żarówka pod sufitem zaczęła się rozgrzewać. Jej tętno przyspieszyło dwukrotnie, kiedy w pomarańczowej poświacie dwa ciemne kształty spoczywające pod ścianą przybrały formę ludzkich ciał. Oba leżały twarzą do posadzki i miały na głowach zakrwawione jutowe worki.

Baxter już wstawała, ale odezwał się w niej instynkt ucieczki, kiedy światło żarówki osiągnęło pełną moc. Zrywając się na równe nogi, dostrzegła dwa kolejne ciała, leżące w identycznej pozycji, również z głowami w zakrwawionych workach, ale o połowę mniejsze.

– Co się stało? – zapytała Curtis nagłym tonem.

Drogę na górę Baxter pokonała na czworakach, usiłując przewyciężyć paniczny strach i ból kostki, które spowalniały jej ruchy. Wreszcie wygramoliła się na korytarz i opadła na podłogę. Kopnięciem zatrzęsnęła za sobą drzwi i podparła je stopą, jak gdyby się obawiała, że coś może wypełznąć z piwnicy w ślad za nią. Rouche przykląkł obok niej i czekał cierpliwie na wyjaśnienia. Dysząc ciężko, obróciła głowę w jego stronę.

– Chyba... znalazłam... Banthamów.

Rouche siedział na ganku i patrzył, jak śnieg osiada na samochodach wypełniających ciasno długi podjazd. Chwycił jeden z delikatnych płatków, który znikł bez śladu, kiedy roztarł go między palcami.

Przypomniał sobie pewien zimowy dzień sprzed wielu lat, kiedy jego córka bawiła się w ogrodzie. We wspomnieniach znów zobaczył, jak mała dziewczynka w grubej kurtce próbuje łapać na język spadające płatki śniegu i zafascynowana wpatruje się w białe chmury, które dosłownie rozpląwały się nad jej głową. Zapytała go wtedy, bez cienia przestרחu w głosie, czy niebo się zapada.

Z jakiegoś powodu zapadło mu to w pamięć, ta surrealistyczna myśl, że oto nadciąga koniec świata i w żaden sposób nie można temu zaradzić, więc nie pozostaje nic innego, jak się przyglądać i chwycać płatki śniegu. Zdał sobie sprawę, że teraz to wspomnienie nabrało zupełnie innego sensu, kiedy stał się świadkiem tych niepojętych aktów przemocy i okrucieństwa, które rozgrywały się pod

zasnutym chmurami niebem. Wiedział, że dojdzie do kolejnych morderstw, a on może tylko bezradnie czekać i patrzeć.

Skąpana w rześmistym świetle reflektorów piwnica wyglądała teraz jak wiele innych miejsc zbrodni, chociaż pracujący w niej ludzie mieli łzy w oczach i co rusz któryś informował kolegów, że musi „na chwilę wyjść”. Druga ekipa techników kryminalistycznych zabezpieczała ślady w kuchni, gdzie mieszkańcy domu spędzili ostatnie chwile swojego życia. Fotografowie krążyli po wszystkich pomieszczeniach, dokumentując każdy szczegół, a funkcjonariusze z psami tropiącymi przeczesywali już teren całej posesji.

Baxter i Curtis były na piętrze. Od prawie godziny nie zamieniły ze sobą ani słowa, zajęte poszukiwaniem jakichkolwiek śladów, które mogłyby się okazać pomocne w śledztwie.

Nie znaleziono żadnych widocznych śladów walki. Psychiatra miał wycięte na piersi słowo, co ciekawe „Marionetka”, a nie „Przynęta”. Pozostałe ciała nie były okaleczone. Wszyscy członkowie rodziny zostali związani i zginęli od strzałów w tył głowy. Według wstępnej oceny zgon nastąpił od osiemnastu do dwudziestu czterech godzin temu.

Na miejscach zbrodni, których ofiarami były dzieci, zawsze panowała poważna atmosfera. Baxter przeżywała to tak samo jak inni, chociaż nie miała ani nawet nie planowała mieć dzieci i unikała ich, jak tylko się dało. Ludzie pracowali w podsycanym gniewem profesjonalnym skupieniu, gotowi wyrzec się snu i jedzenia, a nawet wolnego czasu ze swoimi rodzinami, żeby wykonać zadanie. Przypuszczalnie to dlatego Baxter wpadła w szal, kiedy zobaczyła, że Rouche siedzi przed domem i nic nie robi. Ignorując rwanie w kostce, zbiegła na dół, wyszła na zewnątrz przez otwarte na oścież frontowe drzwi i zepchnęła go z krzesła.

– Co jest, do cholery?! – wydarła się. – Wszyscy mają pełne ręce roboty, a ty siedzisz sobie na tyłku!

Krążący wokół domu policjant zatrzymał się i krzyknął na owczarka niemieckiego, który zaczął agresywnie szczekać w ich kierunku.

– Nie pracuję przy zwłokach dzieci – oświadczył bezceremonialnie Rouche, podnosząc się z posadzki, i spojrzał w stronę psa, który przestał się nimi interesować i ruszył dalej z nosem przy ziemi.

– To dla nikogo nie jest przyjemne. Myślisz, że ktoś z nas dobrze się tu czuje?  
Ale to jest nasza praca!

Rouche nic nie odpowiedział. Zaczął otrzępywać się ze śniegu.

– Wiesz, że pracowałam nad sprawą „Kremacyjnego Zabójcy”, prawda? Razem z Wolfem... – Baxter się zawahała. Starła się nie wspominać o okrytym złą sławą byłym partnerze. – Obejrzeliśmy zwłoki dwudziestu siedmiu dziewcząt, które ginęły dzień po dniu.

– Posłuchaj, mam przykre doświadczenie... z pracy i od tamtej pory po prostu tego unikam... zawsze. Tak już mam. Dopilnuję wszystkiego na zewnątrz, w porządku?

– Nie, za cholere nie w porządku.

Wracając w stronę domu, Baxter schyliła się i nabrała pełną garść śniegu i lodu. Rouche się skrzywił, bo obolałe zebra przypomniały o sobie, kiedy doprowadzał swoją kurtkę do porządku, i w tej samej chwili solidna śnieżka z impetem weszła w kontakt z jego głową.

Było już ciemno, kiedy skończyli pracę w domu Banthamów. Zgodnie z prognozą zaczął sypać śnieg i białe płatki skrzyły się w świetle reflektorów na tle czarnego nieba. Kiedy Baxter wyszła przed dom, zastała Rouche'a skulonego w tym samym miejscu, w którym siedział wcześniej. Naciągnęła na głowę wełnianą czapkę i usiadła obok niego. Kątem oka zauważyła paskudne rozcięcie na jego czole.

– Przepraszam cię za tę śnieżkę – powiedziała, wypuszczając z ust obłoczek pary.

Wbiła wzrok w zdobiące domy sąsiadów świąteczne lampki, które migotały do spółki z kogutami na dachach radiowozów.

– Nie musisz przepraszać. Nie wiedziałas, że zaboli.

– Włożyłam do środka kamień.

Rouche skrzywił się, próbując zachować powagę, i obydwójce parsknęli śmiechem.

– Czego mogłam nie zauważyć? – odezwała się Baxter.

– Cóż, sypie śnieg.

– Dzięki. Zdążyłam się zorientować.

– Nie pojmuję tego. Zabijają teraz swoich? To nie pasuje do schematu. – Rouche westchnął. – Kazałem naszym zespołom ustalić nazwiska i miejsca pobytu

pozostałych terapeutów, poprosiłem Gramercy Practice o listę wszystkich pacjentów doktora Benthama i zleciłem pełne badanie próbek krwi wszystkich Marionetek.

Rouche uświadomił sobie, że Baxter nie wie o śladach narkotyków znalezionych w organizmie Glenna Arnoldda. Postanowił porozmawiać o tym później z Curtis.

– Tak na wszelki wypadek – dodał, widząc zaintrygowaną minę Baxter. – Ale przede wszystkim zająłem się zabezpieczaniem dowodów. – Wskazał miniaturowy namiot, który wyrósł w nieskazitelnie białym ogrodzie. – Mamy ślady butów mordercy.

– Tego nie wiemy na pewno.

– Owszem, wiemy.

Rouche otworzył galerię zdjęć, które zrobił po południu, i wręczył Baxter swoją komórkę. Zobaczyła szare niebo upstrzone plamkami śniegu i ciemną, martwą bryłę domu, który odtąd miał ją prześladować w sennych koszmarach. Przed garażem stał ich suburban, a za nim ciągnęły się wyraźnie odcisnięte w lodzie ślady opon. W śniegu ciemniały głębokie odciski butów pozostawione przez kogoś, kto wybrał najkrótszą drogę przez ogród.

– To mógł być ktoś z sąsiadów albo roznosiciel gazet – zauważyła Baxter.

– Nie. Przyjrzyj się dobrze.

Skupiła wzrok na wyświetlaczu i powiększyła obraz.

– Nie ma śladów prowadzących w stronę domu!

– Otóż to – przytaknął Rouche. – A zeszłej nocy nie było tutaj opadów. Sprawdziłem to. Pokręciłem się tu trochę, zanim przybyła kawaleria. To są jedyne ślady oprócz tych, które zostawiła nasza trójka i ta wścibska sąsiadka.

– Czyli... morderca wczoraj tu był! Ukrywał się w domu, kiedy staliśmy przed drzwiami! – Baxter gwałtownie wciągnęła powietrze. – Niech to szlag! Prawie go mieliśmy!

Oddała Rouche'owi telefon i przez chwilę obydwój milczeli.

– Myślisz, że tych ludzi zabił ten, kto pociąga za sznurki? – zapytała. – Twój *Azazel*?

– Nie mam pojęcia.

– Rouche, na Boga! Co się, do cholery, z tobą dzieje?

Agent uśmiechnął się smutno i wyciągnął rękę poza daszek ganku, w stronę

nadciągającej zameci.

– Niebo się zapada.

# Rozdział 16

NIEDZIELA, 13 GRUDNIA 2015 ROKU

18.13

Zamieć nadeszła wcześniej, niż przewidywano, przysypując cały stan Nowy Jork grubą warstwą białego puchu, a ziemię skuł siarczysty mróz. Zanim wewnątrz samochodu zdążyło się nagrzać, trafili na objazd na drodze międzystanowej I95 i sądząc po karambolu kilkaset metrów przed nimi, omijali pierwsze tej nocy ofiary załamania pogody. Curtis skręciła zgodnie z instrukcją na pospiesznie ustawionej tablicy informacyjnej, przyłączając się do powolnej procesji samochodów, która doprowadziła ich w końcu do Route 1.

Baxter zapadała w drzemkę na tylnym siedzeniu. Widok za oknami przypominał zakłócenia na ekranie telewizora. Z kratek na zalanej senną poświatą desce rozdzielczej buchało rozgrzane powietrze o zapachu sztucznej skóry. Szum opon przedzierających się przez warstwę śniegu działał kojąco jak łagodny plusk strumienia, a ze ściszonej radiostacji policyjnej dobiegały urywki rozmów na temat wypadków samochodowych, knajpianych rozrób i włamań.

Makabryczne odkrycie, którego dokonała tego dnia, odcisnęło na niej swoje piętno. Na miejscu zbrodni dopuściła do głosu zawodowy temperament, przyjmując to samo zblazowane nastawienie, dzięki któremu zdołała przetrwać najgorsze chwile w swojej karierze. Ale teraz, kiedy siedziała na tylnej kanapie samochodu, znów widziała tamtą piwnicę, bezwładne i zakrwawione ciała, całą zmasakrowaną rodzinę.

Chociaż wiedziała, że to całkowicie niedorzeczne, ogarniała ją frustracja na myśl o Thomasie, o Tii i o tej garstce przyjaciół, z którymi jeszcze utrzymywała sporadyczny kontakt. Jaka była skala potworności, z którymi stykali się w codziennym życiu? Dopadł ich deszcz w drodze do pracy? Podano im niewłaściwe mleko do kawy w Starbucksie? A może kolega w biurze powiedział coś uszczypliwego?



Ci ludzie nie mieli pojęcia, na czym polega praca detektywa z wydziału zabójstw. Żadne z nich nawet nie potrafiło sobie wyobrazić, jakie rzeczy musiała oglądać i co zostawało w jej pamięci. Żadne z nich nie miałyby tyle siły.

Niechęć do ludzi, którzy wiodą prostsze, bardziej przyziemne życie, nie była niczym niezwykłym. Bez wątpienia z tego właśnie powodu tak wiele osób pracujących w policji wiązało się z kolegami i koleżankami po fachu. Oczywiście było to uzasadnione z wielu względów – system zmianowy, praca w pobliżu siebie i wspólne zainteresowania – ale Baxter podejrzewała, że przyczyna tkwiła głębiej. Chociaż nieprzyjemnie było to przyznać, w końcu wszyscy spoza tego środowiska po prostu zaczęli im się wydawać trochę... trywialni.

– Dobrze się czujesz? – Rouche obejrzał się przez ramię.

Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że coś do niej mówił.

– Co?

– Pogoda robi się coraz gorsza. Uzgodniliśmy, że zatrzymamy się gdzieś, żeby coś przekąsić.

Wzruszyła ramionami.

– Wszystko jedno – zwerbalizował jej odpowiedź Rouche na użytek Curtis.

Baxter wyjrzała przez okno. Pierwszy raz w życiu widziała tak potężną śnieżycę. Pokryta lśniąca warstewką lodu tablica informowała, że właśnie wjeżdżają do Mamaroneck. Opady jeszcze bardziej przybrały na sile i nie dało się rozróżnić stojących przy głównej ulicy budynków, więc agenci wyteżali wzrok, wypatrując jakiegoś baru.

– Mogłabyś mi podać kurtkę? – zwrócił się do niej Rouche, który najwyraźniej nie tracił nadziei, że zaraz uda im się coś znaleźć.

Baxter spełniła jego prośbę i kiedy podawała mu kurtkę między fotelami, zauważyła, że z kieszeni coś wypadło i wylądowało pod jej stopami. Schyliwszy się, wymacała pogniecioną kartkę. Już miała ją oddać, gdy zauważyła wydrukowane na niej imię i nazwisko. „Glenn Arnolds”. Wbijając wzrok w tył głowy Rouche'a, ostrożnie rozprostowała zmięty papier.

– Co tam jest po lewej? – Curtis wskazała palcem miejsce, w którym parkowało kilka samochodów.

– Bar i pizzeria! – zawołał z entuzjazmem jej partner. – Pasuje wam?

– Brzmi nieźle – odparła Baxter z roztargnieniem, usiłując odczytać coś z kartki,

kiedy przesuwają się po niej ulotne smugi światła wpadającego z zewnątrz.

Zorientowała się, że ma przed sobą wynik badania krwi denata. Choć nazwy leków i środków chemicznych nic jej nie mówiły, zauważyła, że Stormy Day zakreśliła na liście pewne pozycje, które musiały mieć jakieś znaczenie.

Dlaczego Rouche chciał to przed nią zataić? Zastanawiała się, czy zapytać go o to wprost, tu i teraz, kiedy odwrócił się do niej.

– Nie wiem jak ty, ale ja mam ochotę na piwo – powiedział z uśmiechem.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi i nakryła dłonią zmiętą kartkę. Curtis skręciła za jadącym przed nimi samochodem na parking, który był tak zatłoczony, że w końcu nie bez wahania wjechała na pobocze. Baxter włożyła czapkę i rękawiczki, a Rouche zostawił na podszybiu swoją odznakę, w jego mniemaniu wystarczające usprawiedliwienie dla zniszczenia ukrytego pod śniegiem klombu czy trawnika.

Skuleni z zimna ruszyli przez parking w stronę baru. Przed wejściem stało w kolejce co najmniej dwadzieścia osób. Wszyscy przyciskali się do ściany w poszukiwaniu schronienia przed mroźnymi powiewami i zaglądali do środka przez wielkie okna, które nęciły ich obietnicą ciepła i posiłku, wzmagając tylko determinację, by w końcu dostać się do środka.

Rouche i Curtis zajęli miejsce na końcu kolejki, a Baxter poinformowała ich, że musi zadzwonić, i oddaliła się w stronę głównej ulicy. Podeszła do maleńkiego kościółka, który nadawałby się idealnie na kartkę świąteczną, gdyby nie sąsiedztwo Dunkin' Donuts. Wybrała numer Edmunda, ale po kilku sygnałach włączyła się poczta głosowa.

– Musimy porozmawiać. Oddzwoń – nagrała zdawkową wiadomość.

Zamiast wrócić do swoich towarzyszy, którzy nie posunęli się do przodu ani o centymetr, odkąd ich opuściła, usiadła na murku w nadziei, że lada chwila usłyszy dzwonek komórki. Naprawdę musiała porozmawiać z Edmundem.

Rodzina stojąca na początku kolejki weszła do środka, dzięki czemu wszyscy mogli zrobić dwa kroki w stronę wejścia.

– Naprawdę myślałam, że do czegoś już doszliśmy – odezwała się Curtis, zerkając w stronę Baxter stojącej po przeciwnej stronie ulicy z komórką przy uchu, której ekran oświetlał jej twarz. – A tu znowu ślepy zaułek.

Rouche domyślił się, że chodzi jej o Glenna Arnoldda, niewinnego mężczyznę, którego była zmuszona zastrzelić. Tak naprawdę był zdumiony, że jego partnerka

jeszcze normalnie funkcjonuje, zważywszy na to, jak zdruzgotana była przed zaledwie dwudziestoma czterema godzinami. Nocna rozmowa, którą odbyli po incydencie w więzieniu, uświadomiła mu, jak potężne wpływy ma jej rodzina. Od tamtej pory zaczęło go wręcz razić zachowanie Lennox, która ją faworyzowała, chroniła i była gotowa iść na ustępstwa.

Ku jego zdumieniu Curtis nie dostrzegła, że osiągnięcia w postaci głośnych śledztw i błyskawiczny awans, z którym się obnosiła na złość swojej rodzinie, zawdzięcza swoim koneksjom, i to one są źródłem jej determinacji w dążeniu do sukcesu. Każdy inny zostałby odsunięty od sprawy i musiałby przez kilka tygodni przechodzić odpowiednie procedury, ale ponieważ Curtis chciała się zrehabilitować, nic nie stało na przeszkodzie.

– Dochodzimy do czegoś. – Rouche uśmiechnął się pokrzepiająco. – Sprawcy zależało, żebyśmy nie znaleźli Banthamów. Dotychczas popisывał się przed nami każdą ofiarą, a w tym przypadku... nie było przedstawienia ani widowni. Ukrył ciała, a to oznacza, że jesteśmy na właściwym tropie. Martwa Marionetka... Może próbował zmusić Banthama do popełnienia morderstwa, a ten się opierał.

Curtis pokiwała głową i zrobiła krok do przodu, gdy kolejka znów przesunęła się o pół metra.

– Szkoda tylko, że nie zdołaliśmy ich uratować.

Zdawała sobie sprawę, że Arnolds był ich pierwszym i prawdopodobnie jedynym żyjącym podejrzanym. Tylko on mógł im dostarczyć informacji, których tak rozpaczliwie potrzebowali, a ona zmarnowała tę szansę. Zastanawiała się, czy zdążyliby dotrzeć do Banthamów na czas, gdyby dokonała innego wyboru.

– Musimy działać w zespole – odezwał się Rouche.

Podążyła za jego spojrzeniem w stronę Baxter, która przypuszczalnie w napadzie złości przerzuciła telefon za ogrodzenie i teraz próbowała go odzyskać. Uśmiechnęli się obydwójce.

– Mam rozkazy – powiedziała.

– Głupie rozkazy.

Wzruszyła ramionami.

– Spychanie jej na boczny tor nie ma sensu – stwierdził Rouche. – Widziałas, co się dzisiaj stało.

– No właśnie, widziałam! Skąd ona wiedziała, że trop prowadzi do tego

psychiatry? Bo nie od nas. Może ona też coś przed nami ukrywa. Brałeś to w ogóle pod uwagę?

Rouche westchnął i spojrzał jej w oczy.

– A jeżeli pewnego dnia Lennox każe ci wykluczyć mnie ze śledztwa? – zapytał.

Na twarzy Curtis pojawił się wyraz lekkiego zaniepokojenia. Wahala się przez chwilę.

– To cię wykluczę – odparła w końcu.

Wytrzymała jego spojrzenie i pokiwała głową, jak gdyby nie do końca była pewna swojej odpowiedzi, mimo to nie przeprosiła go ani niczego nie odwołała.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu.

– Ułatwię ci to – powiedział Rouche. – Powiem jej o tym badaniu krwi. Nikt mi tego nie zabronił, a nawet gdybym dostał taki zakaz, zignorowałbym go.

– Jeżeli to zrobisz, poinformuję o tym Lennox. Udowodnię, że zlekceważyłeś moją wyraźną prośbę, a ona odsunie cię od tej sprawy.

Po tych słowach nie potrafiła spojrzeć mu w oczy. Odwróciła głowę i zauważyła, że kolejna grupa oczekujących weszła do środka. Byli już prawie przy drzwiach.

– A teraz czuję się podle – odezwała się po chwili. – Stawiam wszystkim frytki serowe na ostro – dodała i westchnęła, widząc urażoną minę Rouche'a. – I koktajl mleczny.

Używając wszystkich wulgaryzmów, jakie знаła, oraz solidnego kija, Baxter zdołała w końcu odzyskać swój telefon. Niestety Edmunds wciąż nie oddzwaniał. Dygotała z zimna i czuła, że jej oblepione śniegiem buty całkiem już przemokły. Jeszcze raz wybrała jego numer i zaczęła na sygnał poczty głosowej.

– To ja. Miałam fatalny dzień. Wygląda na to, że nie myliłeś się co do tego psychiatry, ale... to skomplikowane. Później ci opowiem. Ale jest jeszcze coś. Ten agent CIA, Damien Rouche. Chciałabym, żebyś go dla mnie przeświecił. I zanim zaczniesz gadać, uprzedzam, że nie. Nie jestem paranoiczką i wiem, że nie wszyscy sprzysięgli się przeciwko mnie, ale coś odkryłam i chcę, żebyś mi zaufał. Po prostu... zobacz, co uda ci się znaleźć. Dobra? To tyle, na razie.

– Frytki serowe na ostro... – zaczął Rouche, który stał tylko parę metrów od niej.

Chwilę później pospieszył jej na pomoc, kiedy wrzasnęła wystraszona, pośliznęła się i wylądowała twardo na śniegu.

- Nic mi nie jest – warknęła, rozcierając obolały tyłek.
- Chciałem ci tylko powiedzieć, że stolik czeka, a Curtis stawia nam frytki.
- Dołączę za chwilę.

Dochodząc do siebie, odprowadziła wzrokiem Rouche'a, który przeciął z powrotem ulicę i kierował się w stronę baru. Ile mógł usłyszeć? Doszła do wniosku, że to bez znaczenia. Przecież coś przed nią ukrywał.

A ona bez względu na wszystko zamierzała się dowiedzieć, dlaczego to robił.

# Rozdział 17

PONIEDZIAŁEK, 14 GRUDNIA 2015 ROKU

8.39

„Właśnie go sprawdziłem – w rzeczywistości jest okrutnym złoczyńcą, który pożera małe kotki. Trafiłaś w dziesiątkę! :) Postaram się zadzwonić w porze lunchu”.

Edmunds wysłał wiadomość, zdając sobie sprawę, że będzie go to wiele kosztowało, kiedy Baxter się obudzi.

– Znowu bawisz się telefonem? – rozległ się nosowy głos dobiegający zza biurka naprzeciwko.

Edmunds zignorował pytanie i zalogował się ponownie do swojego komputera, bo sesja zdążyła wygasnąć, kiedy był zajęty czymś innym. Nie znosił Marka Smitha, zręczliwego lizusa, obok którego miał nieszczęście pracować. Nawet nie musiał unosić wzroku, żeby wiedzieć, że ten wieczne rozczochrany trzydziestolatek ma na sobie o dwa rozmiary za duży garnitur i pożółkłą od potu koszulę. Facet napełniał całe biuro wonią nieświeżej pościeli.

– Powiedziałem, że znów cię widzę z telefonem w ręku – powtórzył Smith, nie doczekawszy się odpowiedzi.

Naśladując swoją dawną szefową, Edmunds wychylił się z za monitora i pokazał małostkowemu człowieczkowi środkowy palec.

– A to widzisz?

Ten nietypowy dla niego przejaw agresji był całkowicie uzasadniony. Teraz trudno było to sobie wyobrazić, ale swego czasu dał się zastraszyć swoim współpracownikom, których napuszczał na niego ten niepozorny prowodyr. Sytuacja stawała się coraz bardziej nieznośna, aż doszło do tego, że co rano musiał przewycięzać strach przed pójściem do pracy.

Było to jakiś czas temu, zanim trafił na krótki okres do wydziału kryminalnego,

gdzie pracował nad sprawą „Szmacianej Lalki” i poznał Emily Baxter – swoją niezmiennie drażniącą, czasami nieznośną, często nieprzewidywalną i bezgranicznie inspirującą mentorkę.

Nikt nigdy nie traktował jej z góry. Po prostu na to nie pozwalała. Stawiała się ostro, gdy ktoś próbował ją sztorcować, nawet jeżeli był jej zwierzchnikiem i miał rację. Uśmiechnął się na myśl o zaciętym uporze swojej serdecznej przyjaciółki. Czasami potrafiła być naprawdę nie do wytrzymania.

Dobrze pamiętał dzień, w którym wreszcie zdecydował się złożyć wniosek o przeniesienie. Zawsze chciał być detektywem wydziału zabójstw. Na uniwersytecie studiował psychologię kryminalną, ale wrodzona smykałka do liczb i obciążone stereotypami aspiracje w połączeniu z brakiem pewności siebie sprawiły, że wylądował na ciepłej posadce w wydziale przestępstw gospodarczych. Poznał Tię i zamieszkali razem. Odkupili od władz miasta dwupoziomowe mieszkanie, które stanowczo opierało się wszelkim próbom odnowienia. A potem Tia zaszła w ciążę.

Całe jego życie wydawało się definitywnie ustalone... i to było problemem.

Pewnego dnia, który wyjątkowo uprzykrzył mu Mark ze swoją zgrają bezmózgich sługusów, Edmunds wyszedł wcześniej z zebrania, żeby złożyć wniosek i spełnić swoje marzenie. Koledzy śmiali mu się prosto w twarz, kiedy się o tym dowiedzieli. Po powrocie do domu pokłócił się z Tią, która po raz pierwszy w historii ich związku kazała mu spać na kanapie. On jednak był zdeterminowany, a motywacji dostarczała mu niechęć do kolegów z biura, panujący w pracy marazm i przekonanie, że marnuje swoje zdolności.

Decyzja o powrocie do wydziału przestępstw gospodarczych była jedną z najtrudniejszych w jego życiu, podobnie jak tamten dzień, kiedy znów musiał zasiąść za tym samym biurkiem, które zwolnił niespełna pół roku wcześniej. Wszyscy jego dawni współpracownicy uznali, że przeliczył się z własnymi siłami i zabrakło mu tego, co jest niezbędne, żeby podołać obowiązkowi detektywa. Nie byli zaskoczeni, że bardziej nadawał się do ślęczenia wśród arkuszy kalkulacyjnych niż do oglądania zwłok. W rzeczywistości jednak świetnie sobie radził w tym krótkim okresie. Przyczynił się znacząco do ujęcia seryjnego mordercy. Dlatego wrócił na poprzednie miejsce pracy z duszą na ramieniu. Ci ludzie nie mieli pojęcia, czego dokonał, pracując nad najgłośniejszą od niepamiętnych czasów sprawą.

Nikt nie miał o tym pojęcia.

Zwieńczenie jego starań spowiała mgła tajemnicy, zasypała lawina półprawd, które spreparowano na użytek opinii publicznej, żeby chronić dobre imię Policji Metropolitalnej, a przy okazji detektywa Fawkesa. Edmunds był jednym z nielicznych, którzy znali ten wstydlivy sekret i wiedzieli, co się naprawdę wydarzyło w zalanej krwią sali rozpraw Old Bailey, ale nie miał innego wyboru, jak zachować milczenie ze względu na Baxter.

Rozgoryczony zachował oficjalne oświadczenie prasowe dotyczące zniknięcia Wolfa i czytał je od czasu do czasu, żeby sobie przypomnieć, że wbrew przysłowiu wcale nie jest lepiej tam, gdzie nas nie ma. Tak naprawdę w końcu docierało do niego, że nie ma znaczenia, gdzie jest.

Wszystko to było naciągane:

„...zatem detektyw William Fawkes jest poszukiwany w celu przesłuchania w związku z szeregiem kwestii dotyczących śledztwa i rzekomej napaści ze strony Lethaniela Masse'a w chwili jego aresztowania, podczas którego doznał trwałego uszczerbku na zdrowiu.

Każdy, kto posiada informacje dotyczące jego aktualnego miejsca pobytu, powinien niezwłocznie skontaktować się z policją”.

I to było wszystko.

Chcieli mu zadać kilka pytań.

Na samą myśl o tym robiło mu się niedobrze. Wolf stracił czołową pozycję na liście poszukiwanych i udało mu się umknąć przed nieudolną nagonką. Edmundsa kusilo, żeby przeprowadzić własne śledztwo, ale miał związane ręce – gdyby zaczął tropić Wolfa, ryzykowałby zdemaskowanie Baxter, która pomogła mu w ucieczce. Pozostawało mu jedynie pogodzić się z niesprawiedliwością i słuchać rozcieńczonej wersji wydarzeń, zgodnie z którą jego wkład w rozwiązanie sprawy sprowadzał się do niepotwierdzonych plotek.

Właśnie dlatego miał w takiej pogardzie swoich kolegów z biura, swoją pracę i swoje życie – dla wszystkich nadal był nikiem.

– Wiesz, że nie można tu korzystać z telefonów – wymamrotał Mark.

Edmunds już prawie zapomniał o jego obecności.

– Człowieku, jak ja cię nienawidzę.

Poczuł w kieszeni wibrację i ostentacyjnie wyciągnął komórkę, żeby odpisać na



SMS-a od Tii.

– A gdzie to się w piątek chodziło? – zaczął Mark, z trudem panując nad ekscytacją.

– Nie odzywaj się do mnie.

– Szukałem cię po południu, bo akurat miałem do ciebie sprawę. Zapytałem Gatissa, czy przypadkiem nie wie, gdzie się podziewasz, ale on też nie miał pojęcia.

Edmunds wyczuł zadowolenie w jego głosie. Kiedy wyszedł, żeby porozmawiać z Baxter na naprawdę ważny temat, ten podstępny gnojek pobiegł od razu do szefa.

– Powiedziałem mu, że musiałeś pilnie zadzwonić, bo przez cały dzień nie rozstajesz się z telefonem i zerkasz na niego co chwilę.

Mark jakoś zawsze wiedział, gdzie wbić mu szpilę. Edmunds zacisnął pięści. Nigdy nie był skory do przemocy, zresztą nie miał do tego odpowiednich warunków fizycznych, ale przez chwilę wyobrażał sobie, jak wbija głowę swojego sąsiada w monitor na jego biurku. Potem zajął się własnym komputerem, który znów zakończył sesję. Dopiero dochodziła dziewiąta, co oznaczało, że oficjalnie jeszcze nie zaczął pracy.

Zalogował się z ciężkim westchnieniem.

Baxter przysnęła na ułamek sekundy. Usiadła prosto na krześle i upewniła się, czy nic jej nie umknęło, ale bełkocząca kobieta nadal bełkotała.

Wraz z Rouche'em i Curtis zajęli trzy sąsiadujące ze sobą pokoje w Dziewiątym Komisariacie nowojorskiej policji, żeby uporać się szybciej z przesłuchaniem siedemnaściorga uczestników programu „Pomocna Dłoń”. Każde z nich korzystało z bezpłatnych warsztatów samorealizacji, wspaniałomyślniej oferty, która jednak z perspektywy czasu prawdopodobnie okazała się chybiona. W każdym razie w przypadku tej wyniszczonej przez narkotyki kobiety efekty były odwrotne do zamierzonych.

Spośród pięciu morderców tylko Glenn Arnolds był pacjentem doktora Banthama i ekskluzywnej Gramercy Practice. Z jej tańszego odpowiednika, kliniki doktora Phillipa Easta, korzystał Eduardo Medina, jak również, w formie bliżej nieokreślonych warsztatów, Marcus Townsend w swoim dążeniu do samorealizacji. Ustalono już, że Dominic Burrell spotykał się z doktorem Alexeiem Greenem,

którego Curtis przesłuchiwała, a nawet próbowała podrywać po incydencie w więzieniu. Jednak nie udało się znaleźć niczego, co wskazywałoby, że Patrick Peter Fergus kiedykolwiek poddawał się terapii.

Śledczy po obu stronach Atlantyku bezskutecznie próbowali skontaktować się z Eastem i Greenem, co potwierdzało udział obu psychiatrów w całej sprawie, nawet jeżeli wciąż tak wiele pytań pozostawało bez odpowiedzi. Ponieważ nie było wiadomo, czy to oni odpowiadają za serię morderstw, czy podzielili los doktora Banthama, Curtis zasugerowała, żeby się zajęli innymi pacjentami. Jak dotąd jednak była to kompletna strata czasu.

Baxter odprawiła przesłuchiwaną i wstała zza stołu, żeby zrobić sobie kawy. Przez szybę zauważyła pochłoniętego rozmową Rouche'a, który śmiał się i żartował z kimś, kto siedział poza zasięgiem jej wzroku. Przez chwilę przyglądała mu się podejrzliwie, ale wtedy dotarło do niej, że jeszcze nie poinformowała Edmunda o tym, co poprzedniego dnia odkryli w domu Banthamów.

A jednak nie całkiem dreptali w miejscu. Wieczorem pies policyjny zwietrzył trop, który prowadził od domu do zatoczki postojowej położonej kilkaset metrów za strumieniem. Rankiem w dniu morderstwa jeden z sąsiadów widział tam zaparkowaną furgonetkę, niebieską albo zieloną, jednak z uwagi na peryferyjną okolicę trudno było liczyć na zapis z monitoringu.

Baxter musiała wtajemniczyć Edmunda w najnowsze postępy śledztwa.

Minęła czekających na korytarzu ludzi, których wezwała na przesłuchanie, wyszła na Piątą Wschodnią Ulicę i usiadła na ławce, wpasowując się w miejsce, z którego niedawno ktoś wstał. Omiotła wzrokiem budynki otaczające komisariat – typowo nowojorska zabudowa. Jedna z kamienic była w remoncie i wzdłuż zasypanych śniegiem charakterystycznych schodów przeciwpożarowych zwisały tunele do zrzucania gruzu. Widok przypominał gigantyczną planszę do gry w węże i drabiny. Sięgnęła po telefon przygnębiona tym skojarzeniem.

Jeden krok naprzód, dwa kroki w tył.

Edmunds odczekał, aż jego szef wyjdzie z biura, i otworzył zestawienie operacji finansowych Thomasa z ubiegłego tygodnia. Upewniwszy się, że nikt nie korzysta z drukarki, wybrał polecenie „drukuj” i wstał zza biurka. Trzymając rozgrzane kartki, zauważył, że lista jest dłuższa niż zazwyczaj, prawdopodobnie z powodu

zbliżających się świąt.

Poczuwszy w kieszeni wibrację, zerknął ukradkiem na wyświetlacz komórki. Czuł na plecach świdrujące spojrzenie Marka, kiedy chował wydruki do kieszeni marynarki i szedł pospiesznie w stronę wyjścia, żeby odebrać telefon.

Gdy tylko Edmunds znikł z pola widzenia, Mark nachylił się nad jego stanowiskiem pracy i kliknął myszką, żeby powstrzymać blokadę monitora. Potem okrążył biurko i zasiadł w jego fotelu.

– Co ty kombinujesz? – szepnął do siebie, przeglądając otwarte strony: BBC News, plan Manhattanu i służbową pocztę.

Jego oczy rozbłysły, kiedy dostrzegł zakładkę prywatnej skrzynki mejlowej Edmunda. Ku jego rozczarowaniu okazała się zamknięta, kiedy na nią kliknął, ale to nie miało znaczenia. Zdobył to, czego potrzebował – na monitorze widniał wyciąg z konta niejakiego Thomasa Alcocka, a na biurku nie było żadnych dokumentów uzasadniających to naruszenie prywatności. Nielegalne szpiegowanie obywateli było bardzo poważnym wykroczeniem.

Z trudem panując nad radosnym podnieceniem, Mark wydrukował sobie kopię wyciągu, żeby przedstawić ją Gatissowi jako dowód.

Nareszcie go przyskrzyił.

# Rozdział 18

PONIEDZIAŁEK, 14 GRUDNIA 2015 ROKU

10.43

Baxter zadygotała. Wiedziona impulsem wyszła z komisariatu zbyt cienko ubrana, żeby nie zmarznąć podczas długiej rozmowy na mrozie. Edmunds w milczeniu wysłuchał jej relacji na temat odkrycia w domu Banthamów, podejrzanego samochodu widzianego w pobliżu miejsca zbrodni i wyniku badania krwi, który wypadł z kieszeni Rouche'a.

– Coś tu nie gra – stwierdziła. – Facet ciągle gada przez telefon, podobno z żoną, dosłownie przez cały czas. Wczoraj w terenie na chwilę odwróciłam wzrok, a on już znikł, żeby prowadzić te swoje tajemnicze rozmowy, zamiast wziąć się do roboty.

– A co ty powinnaś robić w tej chwili? Bo chyba nie rozmawiać ze mną – zauważył Edmunds, wcielając się w rolę adwokata diabła.

– To co innego.

– Może on rzeczywiście dzwoni do domu.

– Och, daj spokój. Nikt nie rozmawia tak długo z żoną. Zresztą nie kocha jej aż tak bardzo, żeby zamieszkać z nią na tym samym kontynencie, więc nie wyglądamy na stęsknionego męża – odparła Baxter, podzwaniając zębami. – Jest taki... dziwnie tajemniczy, a teraz odkryłam, że zataja przede mną ważny dowód. Czy mógłbyś go dla mnie przeświecić?

Edmunds się zawahał. Był przekonany, że wtykanie nosa w sprawy jej współpracowników nie doprowadzi do niczego dobrego.

– Dobra, ale...

– Zaczekaj – przerwała mu Baxter i zerwała się z ławki na widok Rouche'a i Curtis wybiegających z komisariatu.

– Znaleźli Phillipa Easta! – zawołała Curtis z przeciwległej strony ulicy.

– Muszę kończyć.

Baxter rozłączyła się i popędziła w stronę samochodu. Gdy tam dobiegła, Rouche podał jej kurtkę i torebkę.

– Dzięki, ale zapomniałeś o czapce – mruknęła, żeby nie okazać zbyt dużej wdzięczności człowiekowi, którego właśnie kazała szpiegować.

Wsiadli do samochodu, Curtis wycofała i ruszyła gwałtownie, ślizgając się na oblodzonej jezdni. Kiedy Baxter wkładała kurtkę, z rękawa wypadły jej rękawiczki i czapka.

Po powrocie do biura Edmunds nabrał otuchy, kiedy zobaczył, że Marka nie ma za jego biurkiem. Zalogował się do swojego komputera i już miał przystąpić od nowa do otepiającej pracy, w której grzązł przez cały dzień, kiedy zdał sobie sprawę, że ktoś go obserwuje. Mark patrzył na niego przez szybę w drzwiach gabinetu Gatissa, ale odwrócił wzrok, kiedy Edmunds spojrział mu w oczy.

Lekko zbity z tropu pozamykał wszystkie niezwiązane z pracą strony i na wszelki wypadek schował wyciąg z konta Thomasa na dno teczki.

Niestety adwokat Phillipa Easta dojechał do oddziału terenowego FBI przed nimi i był już w pokoju przesłuchań, gdzie bez wątpienia doradzał swojemu klientowi, żeby nie odpowiadał na żadne pytania.

Lennox czekała na przybycie Curtis i powitała ich, od razu przechodząc do rzeczy:

– Zasłania się adwokatem. Zobaczcie, co da się wskórać, dopóki tu siedzi, ale szczerze wątpię, czy zdołamy go przetrzymać dłużej niż pół godziny, zważywszy na litanię grózb, której właśnie wysłuchałam od jego prawnika.

– Co to za jeden? – spytała Curtis.

– Ritcher.

– O cholera.

Curtis miała już do czynienia z tym kompetentnym i nieprzejednanym prawnikiem. Ritcher zwykle reprezentował możnych i bogatych, wybawiając ich z tarapatów, w które pakowali się z powodu swoich pieniędzy i arogancji. Co gorsza przypominał jej ojca. Nie łudziła się, że wyciągną teraz cokolwiek z Easta.

– Powodzenia – powiedziała Lennox, kiedy zatrzymali się przed drzwiami pokoju przesłuchań, i zablokowała Baxter przejście, opierając o framugę wyciągniętą rękę. – Pani tu zostaje.

– Co proszę?

Rouche również chciał się z nią spierać, ale agentka nie dopuściła go do głosu.

– Nie w obecności Ritchera – dodała. – To by się mogło skończyć pozwem.

– Ale...

– Może się pani przyglądać. Koniec dyskusji.

Rouche jeszcze się wahał, ale gdy Baxter machnęła ręką i otworzyła drzwi sąsiedniego pomieszczenia, wszedł do pokoju i zajął miejsce obok Curtis. Siedzący naprzeciwko nich Ritcher sprawiał wrażenie tak zadufanego w siebie i dożartego, jak głosiła jego reputacja. Był mężczyzną przed sześćdziesiątką, o pociągłej kanciastej twarzy i gęstej siwej czuprynie. W porównaniu z nim jego klient wyglądał na niewyspanego i wygłodzonego. Niepozorna sylwetka psychiatry nikła w fałdach znoszonego garnituru, a jego zapadnięte oczy rozglądały się nerwowo po całym pomieszczeniu.

– Dzień dobry, panie East – odezwała się Curtis uprzejmie. – Panie Ritcher, zawsze miło pana widzieć. Mogę zaproponować panom coś do picia?

East pokręcił głową.

– Nie – odparł prawnik. – I do państwa wiadomości, teraz zostały wam już tylko cztery pytania.

– Czyżby? – zapytał Rouche.

– Tak.

– Naprawdę?

– Byłoby wskazane – zwrócił się Ritcher do Curtis – aby powiedziała pani swojemu koledze, że nie powinien mi się sprzeciwiać.

– Co pan powie? – odparował Rouche.

Curtis kopnęła go pod stołem.

Stojąc w kantorku za szybą, Baxter z rozpaczą pokręciła głową.

– Trzeba było mnie tam wpuścić – mruknęła.

– Mam pytanie – zaczął Ritcher. – Jakim prawem FBI przywlokło tutaj mojego klienta niczym jakiegoś opryszka, bez żadnego uzasadnienia, nie mówiąc o jakichkolwiek podejrzeniach o nielegalne czyny?

– Usiłowaliśmy się do niego dodzwonić, ale pański klient i jego rodzina woleli zaszyć się w ukryciu – odparł nonszalancko Rouche i zwrócił się do psychiatry: –

Czyż nie tak, doktorze?

– Musimy tylko zadać panu Eastowi kilka pytań w związku z naszym śledztwem. To wszystko – wtrąciła Curtis, na próżno starając się ułagodzić rozdrażnionego adwokata.

– Tak, wasze śledztwo. – Ritcher uśmiechnął się pogardliwie. – Pani przełożona była łaskawa wtajemniczyć mnie w poczynania najtęższych umysłów FBI i oczywiście odebrała nam rzeczy osobiste, żeby przypadkiem nie naszła nas ochota podzielić się ze światem waszą niezrównaną pomysłowością. Jakiś psychiatra, który leczył jednego z tych świrów, pada ofiarą morderstwa, a wy w przyływie geniuszu podejrzewacie, że winni są terapeuci wszystkich pozostałych... Godne podziwu.

– Z usług pańskiego klienta korzystali dwaj z zabójców – wyjaśniła Curtis.

Adwokat westchnął.

– Poprawka, oficjalnie można przyjąć, że leczył jednego z nich. Drugiemu poświęcał swój wolny czas, udzielając się w organizacji dobroczynnej, która pomaga bezdomnym. Zapewne zgodzicie się, że to szlachetna inicjatywa.

East zerknął na Rouche'a szeroko otwartymi oczami, a potem znów wlepił wzrok w stół.

– Czy wcześniej reprezentował pan już doktora Easta? – zapytał agent.

– Nie widzę, jaki to ma związek ze sprawą.

– Ale ja widzę.

– No dobrze – rzekł adwokat z irytacją. – Faktem jest, że reprezentuję go po raz pierwszy.

– Kto panu za to płaci... i jak?

– Teraz jestem pewien, że to pytanie nie na temat.

– Podejrzewam, że drogo pan sobie liczy za swoje usługi, które polegają na wyciąganiu nadziei klienteli z szamba – ciągnął Rouche, a Ritcher słuchał go z uśmiechem rozparty na krześle. – Proszę wybaczyć, ale wydaje mi się to trochę podejrzane, że taki terapeuta z doskoku, zajmujący się na co dzień prowadzeniem biura i paradujący w garniturze z second-handu, decyduje się na skorzystanie z renomowanego neutralizatora smrodu tylko po to, żeby odpowiedzieć na kilka pytań, których wcześniej nie mogliśmy mu zadać, ponieważ się ukrywał.

– Czy w pańskim chaotycznym wywodzie wśród tych obraźliwych docinków

kryje się jakieś pytanie?

– Zadawanie pytań nic tu nie da, bo i tak na żadne pan nie odpowie. Nie, ja tylko stwierdzam fakt. – Rouche sięgnął po leżący na blacie skoroszyt i przeglądając jego zawartość, zwrócił się do Easta, który zerkał na niego niespokojnie. – Może jestem sceptykiem, Phillipie, ale początkowo zakładałem, że ukrywasz się, bo masz coś na sumieniu. Teraz, kiedy się spotkaliśmy, widzę całkiem wyraźnie, że czegoś się bałeś.

Zatrzymał się na jednym ze zdjęć, ale po chwili odwrócił od niego wzrok. Wyjął je i rzucił na środek stołu.

– O Boże! – Ritcher gwałtownie wciągnął powietrze.

– Rouche! – krzyknęła Curtis.

Za to East wpatrywał się jak urzeczony w czarno-białą fotografię przedstawiającą ciała rodziny Banthamów, skrupowane, zakrwawione i ułożone w równym rzędzie, tak jak znalazła je Baxter.

– To jest James Bantham, terapeuta... jeden z was – wyjaśnił Rouche i zauważył, że East bezwiednie gniecie w palcach koszulę na piersi. – Obok leży jego żona, a za nią dwaj ich synowie.

Psychiatra sprawiał wrażenie rozdartego. Nie potrafił oderwać wzroku od zdjęcia, a odgłos jego przyspieszonego oddechu wypełniał niewielki pokój.

– Bantham nie zdążył nam nic powiedzieć – dodał agent z przesadnym ubolewaniem. – Prawdopodobnie sądził, że ich chroni.

Ritcher sięgnął po makabryczną fotografię i odwrócił ją licem do blatu. Potem wstał.

– Żegnam państwa.

– A... ale mamy jeszcze kilka pytań! – wyjąkała Curtis.

– Nie wątpię.

– Phillipie! – zawołał Rouche, kiedy adwokat zaczął popychać swojego klienta w stronę drzwi. – Jeżeli my cię znaleźliśmy, oni też cię znajdą.

Był pewien, że się nie myli, chociaż nie miał pojęcia, kto kryje się za słowem „oni”.

East obejrzał się w jego stronę.

– Proszę nie zwracać na niego uwagi – poinstruował go Ritcher i obaj wyszli z pokoju.



– Cholera! – zaklęła Curtis, odprowadzając ich wzrokiem, kiedy szli przez zatłoczone biuro, żeby odebrać swoje rzeczy z depozytu. – Nic nie działaliśmy.

– Nie możemy go wypuścić. – Rouche wyciągnął z kieszeni kajdanki.

– Ale Lennox powiedziała...

– W dupie mam Lennox.

– Odsunie cię od sprawy, zanim zdążysz go tu z powrotem przyprowadzić.

– Przynajmniej nadal będzie jakiś punkt zaczepienia.

Rouche przecisnął się obok partnerki i pobiegł śladem dwóch mężczyzn, którzy właśnie czekali na windę.

– Phillipie! – zawołał w biegu, kiedy rozsunęły się drzwi i obaj weszli do kabiny.

– Phillipie! Zaczekaj!

Potrącił kogoś, pokonując sprintem ostatnich kilka metrów, i wsunął dłoń w zamykającą się szczelinę. Metalowe płyty drgnęły i rozsunęły się z powrotem, odsłaniając Ritchera i Easta. Obok nich w ciasnym wnętrzu windy, prawie nierozpoznawalna w kurtce i czapce, stała Baxter.

– Które piętro? – odezwała się niewinnym głosem.

Rouche wcisnął kajdanki do kieszeni i wyjął swoją wizytówkę, którą wręczył psychiatrze.

– Na wypadek, gdybyś sobie coś przypomniał – powiedział i puścił drzwi.

Curtis dogoniła go, kiedy ludzie w biurze zaczęli już tracić zainteresowanie widowiskiem, jakie urządził.

– Wypuściłeś go? – spytała zakłopotana.

– Niezupełnie.

Ostatnie pół godziny przed zakończeniem dnia pracy ciągnęło się niemiłosiernie, a Edmunds nie mógł się doczekać powrotu do domu, żeby znów zagłębić się w sprawie morderstwa. Przez całe popołudnie rozmyślał o najnowszych informacjach od Baxter, które mimo całej swojej szokującej natury budziły jego fascynację. Był przekonany, że wątek psychoterapii łączy wszystko w jedną całość, ale jak na razie sprawa wydawała się jeszcze bardziej skomplikowana.

Całkowicie pochłonięty myślami wpatrywał się tępo w monitor, więc podskoczył ze strachu, kiedy tuż za jego plecami rozległ się głos.

– Czy mógłbyś poświęcić nam chwilę? – zapytał Mark ze złośliwym uśmiechem. – W gabinecie Gatissa.

Edmunds spodziewał się jakiejś reprimendy za zeszłe popołudnie, więc wstał i ruszył za Markiem. Miał tylko nadzieję, że kazanie nie będzie trwało zbyt długo. Kiedy jednak przestąpił próg gabinetu, zobaczył Thomasa, który siedział przy biurku naprzeciwko jego szefa. Usiadł obok, zerkając niespokojnie w jego stronę. Najwyraźniej nie chodziło o tamtą rozmowę telefoniczną. Mark zamknął drzwi i przysunął sobie krzesło.

– Proszę wybaczyć, że musiałem tu pana wezwać, panie Alcock – zaczął Gatiss, przysadzisty mężczyzna o łysej czaszce i małych oczach, które spoglądały gniewnie.

– Nie szkodzi – odparł uprzejmie Thomas.

– Obawiam się, że problem, na który zwrócono moją uwagę, dotyczy pańskiej osoby, dlatego uznałem, że najlepiej będzie zaprosić pana do nas i wszystko od razu wyjaśnić.

Edmundsowi ewidentnie nie podobał się kierunek, w jakim zmierzała ta sytuacja. Przecież zawsze tak dokładnie zacierał za sobą ślady.

– Przede wszystkim zapytam, czy panowie się znają.

– Owszem – odparł Thomas i uśmiechnął się do Edmundsa. – Alex jest moim bliskim przyjacielem i kiedyś pracował z moją... dziewczyną.

Obaj skrzywili się na to słowo, które niezbyt pasowało do Baxter. Mark przyglądał się im z uwagą, chłonąc łąpczywie każdy ruch lawiny, która zaraz miała zmieść jego wroga z powierzchni ziemi.

– Zapewne czujesz się trochę skrępowany w obecności swojego przyjaciela – zwrócił się szef do Edmundsa – ale powiedz mi, czy uważasz, że pan Alcock dopuścił się naruszenia prawa?

– Oczywiście, że nie.

Mark był tak podekscytowany, że wydał z siebie cichy pisk.

– A to ciekawe. No cóż, panie Alcock, zatem może pana zaskoczyć wiadomość, że pański przyjaciel nielegalnie korzystał z naszego programu, żeby uzyskać dostęp do pana prywatnych rachunków bankowych.

Mark z dumą wyjął z kieszeni wydruk i położył go na biurku.

– Cóż... niezupełnie – powiedział Thomas ze zmieszaną miną – bo sam go o to poprosiłem.

– Że co? – wybełkotał Mark.

– Proszę? – zawtórował mu Gatiss.

– Boże, strasznie mi głupio, jeżeli naraziłem go w ten sposób na kłopoty. Miałem dosyć trudne przejścia z hazardem i ubłagałem Alexa, żeby miał oko na moje finanse i przywołał mnie do porządku, gdyby nabrał podejrzeń, że... znów za bardzo sobie folguję. Niestety znam swój charakter. Sam nigdy bym się do tego przed sobą nie przyznał, a na przyjaciela zawsze mogę liczyć.

– Cztery miesiące i ani jednego zakładu – wtrącił Edmunds.

Nie mógł powstrzymać szerokiego uśmiechu, kiedy poklepywał Thomasa po ramieniu.

– Tak czy inaczej, to nielegalne! – krzyknął Mark.

Gatiss w końcu stracił cierpliwość.

– Wyjdz! – rozkazał mu.

Edmunds dyskretnie podrapał się po skroni środkowym palcem i tylko Mark, który wstał i wyszedł z gabinetu, zauważył ten gest.

– Zatem wiedział pan, że Edmunds ma wgląd w pańskie konto?

– Oczywiście – przytaknął Thomas.

– Rozumiem – rzekł Gatiss i zwrócił się do swojego podwładnego. – Jednak Mark ma rację. Nawet jeżeli robiłeś to w dobrej wierze, nadużywanie naszych zasobów jest przestępstwem.

– Tak jest, szefie.

Gatiss westchnął ciężko, rozważając swoją decyzję.

– Udzielam ci oficjalnego ostrzeżenia. I postaraj się, żebym nie żałował mojej pobłażliwości w tej sprawie.

– Obiecuję, że to się więcej nie powtórzy.

Edmunds odprowadził Thomasa na zewnątrz. Gdy tylko wyszli z budynku, obaj wybuchnęli śmiechem.

– Przejścia z hazardem – parsknął Edmunds. – Masz refleks.

– Równie dobrze mógłbym powiedzieć prawdę, nie? Że moja dziewczyna ma poważne problemy z zaufaniem i musi mnie poddawać cotygodniowej kontroli, w przeciwnym razie koniec z nami.

Powiedział to swobodnym tonem, jednak dało się wyczuć, że jest mu przykro. Bądź co bądź był z Baxter od ośmiu miesięcy, a ona wciąż nie potrafiła mu zaufać.

Edmunds znalazł się w trudnym położeniu, kiedy jego relacje z Thomasem

stawały się coraz bliższe. Kontynuując swój proceder, był nie w porządku wobec nowego przyjaciela, ale jednocześnie chronił w ten sposób jego związek. Mógł odmówić Baxter wyświadczenia tej przysługi, ale wtedy ona zerwałaby ze swoim partnerem, żeby nie ryzykować kolejnego bolesnego rozczarowania. Koniec końców postanowił wyznać wszystko Thomasowi, który przyjął tę wiadomość z podziwu godnym spokojem. Wyniszczająca paranoja Baxter budziła tylko jego współczucie. Ponieważ nie miał nic do ukrycia, dał Edmundsowi swoje błogosławieństwo na dostarczanie jej regularnych raportów, wychodząc z założenia, że lepsze to niż rozstanie.

Thomas był odpowiednim facetem dla Baxter. Edmunds nie miał co do tego wątpliwości i wiedział, że z czasem jego przyjaciółka też się o tym przekona.

– Za tym samochodem!

Baxter nigdy w życiu nie była tak podekscytowana, żeby wypowiedzieć takie słowa jak te, które właśnie wyrzuciła z siebie, pakując się na tylne siedzenie żółtej nowojorskiej taksówki.

Ritcher i East rozdzielili się po wyjściu z Federal Plaza. Miała nadzieję, że psychiatra pojedzie metrem, jednak pogarszająca się pogoda skłoniła go do zatrzymania taksówki. Wystraszona, że zaraz może zgubić najlepszy trop, omal nie wpadła pod koła, kiedy machając ręką, wybiegła na jezdnię.

Ponieważ przez zatłoczone ulice dzielnicy biurowej przetaczały się dziesiątki żółtych samochodów, utrzymanie wzroku na tym właściwym przypominało test na spostrzegawczość. Ruch się przerzedził, kiedy opuścili Manhattan i zjechali na autostradę. Baxter wyjęła komórkę. Wiedziała, że Rouche i Curtis czekają na informacje, gotowi ruszyć jej śladem. Wyjrzała przez okno i kiedy wypatrzyła tablicę informacyjną, napisała wiadomość:

„I278 w stronę Red Hook”.

Nacisnęła „wyślij” i wtedy jej uwagę przyciągnął dobiegający z radia znajomy głos z południowym akcentem.

– Chodzi o to, żeby odrywać z nas kawałek po kawałku, aż nie zostanie nic – tłumaczył pastor Jerry Pilsner junior.

– A... w oparciu o moją bardzo skromną wiedzę na temat egzorcyzmów i tym podobnych... którą czerpię głównie z horrorów – zażartował gospodarz programu – to się odbywa etapami, prawda?

– Zgadza się. W trzech etapach.

– Ale... to tylko motywy ze strasznych filmów, tak? Chyba nie mówił pan poważnie, że to się dzieje z tymi Marionetkami?

– Jak najbardziej poważnie. Trzy etapy, z których pierwszym jest skażenie. Wtedy to zły duch wybiera swoją ofiarę i bada jej podatność... daje o sobie znać. Potem następuje prześladowanie. Na tym etapie duch wywiera silny wpływ na życie człowieka, zadręczając go coraz bardziej. W końcu ofiara nabiera przekonania, że postradła zmysły.

– A trzeci etap? – zapytał prowadzący.

– Opętanie. Wtedy ofiara w końcu się poddaje i zaprasza do siebie złego ducha.

– Zaprasza?

– Nie w tradycyjnym sensie – wyjaśnił pastor. – Ale człowiek zawsze ma wybór. Jeżeli postanowi się poddać... to udziela duchowi przyzwolenia.

Baxter nachyliła się do kierowcy.

– Czy mógłby pan zmienić stację?

# Rozdział 19

PONIEDZIAŁEK, 14 GRUDNIA 2015 ROKU

12.34

Baxter czekała w taksówce zaparkowanej przed jednym z wejść do Prospect Parku, podczas gdy sto metrów dalej Phillip East płacił za swój kurs. Psychiatra stał w miejscu przez ponad minutę, obserwując niespokojnie przejeżdżające samochody i park po przeciwnej stronie ulicy. Najwyraźniej uznał w końcu, że nikt go nie śledzi, bo ruszył w kierunku, z którego przyjechał, i po przejściu kilkudziesięciu metrów skręcił w bramę okazałego bloku mieszkalnego w stylu art déco.

Baxter wysiadła z auta i zapłaciła kierowcy, chcąc nie chcąc ze sporym napiwkami. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że facet celowo ociągał się z szukaniem drobnych, doskonale wiedząc, że skoro jego pasażerka jechała za kimś przez całe miasto, to prędzej odżałuje osiem i pół dolara, niż zgubi trop. Klucząc między samochodami, przecięła ulicę i weszła do budynku w ślad za Eastem.

Przez krótką chwilę grozy była przekonana, że go zgubiła, ale z głębi korytarza dobiegł ją chrobot klucza w zamku. Obejrzała się i zobaczyła psychiatrę znikającego w jednym z mieszkań. Ruszyła w tamtą stronę i przeszła obok drzwi, zapamiętując numer mieszkania.

Kiedy znów znalazła się na zewnątrz, usiadła na ławce nieopodal wejścia do parku, skąd mogła obserwować budynek, nie zwracając na siebie uwagi. Skuliła się z zimna i wyjęła telefon, żeby przesłać Rouche'owi najświeższe informacje.

Curtis i Rouche byli spóźnieni już trzy minuty. Baxter przebierała nogami, przytupując w śnieżnej brei, częściowo po to, żeby się rozgrzać, ale głównie z powodu rosnącego z każdą chwilą zniecierpliwienia.

– Wesołych świąt – pozdrowił ją entuzjastycznie jakiś starszy przechodzień, ale właściwie zinterpretował jej gniewne spojrzenie, którym dawała mu do zrozumienia, żeby wynosił się do wszystkich diabłów.

Po raz kolejny zadzwoniła do Rouche'a, by się dowiedzieć, co ich zatrzymało, kiedy zauważyła, że jakaś furgonetka parkuje w niedozwolonym miejscu przed wejściem do budynku. Wstała z ławki.

– Góra pięć minut! – zapewnił ją Rouche przeproszającym tonem. – Słyszysz mnie?

Baxter zrobiła kilka kroków i stanęła w miejscu, z którego miała lepszy widok. Z samochodu wysiadł mężczyzna w kapturze, odsunął boczne drzwi i wyjął duży plecak.

– Chyba mamy problem – powiedziała do telefonu. Przechodziła już przez ulicę, nie spuszczając z oka mężczyzny, który akurat wchodził do holu. – Właśnie podjechała zielona furgonetka. Kierowca zachowuje się podejrzanie.

Słyszała, jak Rouche przekazuje wiadomość Curtis, a parę sekund później w słuchawce rozległo się ogłuszające zawodzenie syreny. Biegiem pokonała błotnistą ścieżkę prowadzącą do głównego wejścia i wyciągnęła rękę, żeby otworzyć skrzydło przeszklonych drzwi, kiedy zobaczyła, że podejrzany facet kuca w holu nad swoim plecakiem zaledwie kilka metrów od niej. Przystanęła tak gwałtownie, że omal się nie pośliznęła, po czym cofnęła się i przywarła plecami do ściany.

– Dwie minuty! – oznajmił Rouche, przekrzykując syrenę. – Czekaj na nas.

Baxter wychyliła głowę zza rogu. Przez szybę widziała, że mężczyzna coś składa. Po chwili wyjął pistolet z przykręconym do lufy tłumikiem. Ukrył go pod kurtką, zasunął zamek plecaka i wstał.

– Nie mamy tyle czasu – wyszeptała Baxter. – Przypuszczalnie w środku jest rodzina Easta.

Rozłączyła się, zanim Rouche zdążył zaprotestować. Musiała coś zrobić, zwłaszcza że wciąż miała w pamięci świeże obrazy z domu Banthamów. Weszła do holu i zobaczyła idącą słabo oświetlonym korytarzem postać, która zatrzymała się przed drzwiami mieszkania Easta. Musiała zyskać na czasie, więc wyjęła klucze i zaczęła nimi głośno pobrzękiwać. Czując, że przyciągnęła uwagę intruza, ruszyła w jego stronę niespiesznym krokiem, jakby była niczego nieświadomą lokatorką.

Szła najwolniej, jak się dało, podczas gdy mężczyzna przyglądał się jej, nie próbując ukryć, że czeka, żeby zostawiła go samego. Kiedy znalazła się kilka kroków od niego, uniosła głowę i uśmiechnęła się słodko.

– Wesołych świąt.

Mężczyzna nie zareagował. Zawiązany ciasno kaptur zimowej kurtki osłaniał jego czoło i podbródek. Jedną rękę miał schowaną pod kurtką i z pewnością ścisnął w niej pistolet. Baxter zauważyła jedynie, że jest biały, średniego wzrostu i wagi, i ma brązowe oczy.

Rouche i Curtis wciąż się nie pojawiali, więc postanowiła improwizować i upuściła klucze na podłogę.

– Kurde – mruknęła pod nosem i przyklękła, żeby je podnieść.

Wybrała ten najdłuższy i najostrzejszy, do drzwi domu Thomasa, i chwyciła go tak, że wystawał pomiędzy palców jej zaciśniętej dłoni. Zauważyła, że zakapturzony facet wywraca oczami ze zniecierpliwienia i wykorzystała okazję. Wyprostowawszy się gwałtownie, wymierzyła mu cios uzbrojoną w prowizoryczny kastet pięścią, wbijając klucz w jego policzek. Obydwoje zatoczyli się na drzwi i mężczyzna wrzasnął z bólu. Odepchnął ją na ścianę po przeciwnej stronie korytarza i wyciągnął broń spod kurtki, ale doskoczyła do niego, uderzając wnętrzem dłoni w nasadę nosa. Wiedziała, że to wywoła łzawienie i ograniczy jego zdolność widzenia.

Wolf dobrze ją wyszkolił.

Jej przeciwnik zamachnął się na oślep, uderzając ją twardym kantem pistoletu. Szczęknął zamek, a w uchylonych drzwiach pojawiła się wystraszona twarz. Mężczyzna odwrócił się od niej i kopniakiem otworzył drzwi na oścież, przewracając Easta na plecy. Rozległy się trzy stłumione wystrzały, z głębi mieszkania dobiegł czyjś krzyk.

– Nie! – krzyknęła Baxter.

Zebrała się w sobie i wbiegła do środka za zamachowcem.

– Zielona furgonetka! – krzyknął Rouche, kiedy pędziła pod prąd, omijając sznur samochodów.

Trzymał już wyciągniętą broń i odpiął pas bezpieczeństwa, żeby jak najszybciej wkroczyć do akcji. Curtis wyłączyła syrenę i gdy wcisnęła hamulec, poczuła pod stopą drżenie ABS-u. Suburban z piskiem opon zatrzymał się metr od pokrytych wypłowiałym lakierem tylnych drzwi furgonetki. Rouche wyskoczył na chodnik, ale zdążył przebiec zaledwie kilka kroków w stronę wejścia, gdy rozległ się brzęk tłuczonej szyby. Obejrzał się i zobaczył, jak z okna na parterze wyskakuje jakaś zakapturzona postać, upada na chodnik i przetacza się po śniegu. Zanim mężczyzna



poderwał się na nogi i pobiegł w przeciwną stronę, ich spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy.

– Poszukaj Baxter! – polecił swojej partnerce i rzucił się w pościg za podejrzanym.

Trzymając pistolet w uniesionych rękach, Curtis wpadła do budynku i pobiegła w głąb skrzydła, w którym znajdowało się wybite okno. Na korytarzu stało kilkoro ludzi, którzy wyszli ze swoich mieszkań i spoglądali w stronę szeroko otwartych drzwi z uszkodzoną futryną.

– Baxter! – zawołała.

Z bronią gotową do strzału przestąpiła próg i natknęła się na ciało. East leżał na plecach, wpatrując się martwym wzrokiem w sufit. Otaczała go kałuża krwi, która wsiąkała w beżową wykładzinę.

– Baxter! – powtórzyła agentka z wyraźnym drżeniem w głosie.

Usłyszawszy dobiegający z głębi mieszkania płacz, ostrożnie ruszyła przed siebie. Przystanęła, żeby kopnięciem otworzyć drzwi łazienki, i upewniła się, że w małej kuchni nikogo nie ma. Dotarła do salonu, który był w połowie zdewastowany. Na podłodze leżały kawałki połamanych mebli, a szklany blat stolika zamienił się w rozsypane po dywanie odłamki. W kącie klęczała kobieta, która zasłaniała swoim ciałem trójkę małych dzieci, najwyraźniej nie wiedząc, czy Curtis przyszła ich uratować, czy zabić. Po drugiej stronie pokoju leżała Baxter, skulona wśród szczątków biblioteczki, przez którą prawdopodobnie przeleciała. Lewą rękę miała wygiętą do tyłu pod nienaturalnym kątem.

Curtis podbiegła do niej i odetchnęła z ulgą, czując pod opuszkami wzburzone tętno, a potem uśmiechnęła się, kiedy policjantka zaklęła jęklwym głosem.

– Co... z moim mężem? – wykrztusiła żona Easta.

Curtis pokręciła głową, a gdy kobieta zaczęła szlochać, sięgnęła po krótkofalówkę, żeby wezwać ambulans.

Rouche zgubił się w labiryncie oblodzonych zaułków prowadzących w głąb rozległego kompleksu budynków. Biegąc za odgłosem kroków, skręcił w drogę zakończoną ścianą. Nad sobą widział cienki skrawek nieba, który wyglądał jak bezbarwny strop tej klaustrofobicznej plątaniny.

Zatrzymał się na skrzyżowaniu korytarzy i zamknął oczy, żeby się skupić. Nagle usłyszał za plecami tupot kroków.

Obrócił się gwałtownie. Nikogo nie zobaczył, więc skręcił na rogu, wybierając jedyną drogę, którą mógł pobiec uciekający mężczyzna. Ocierając się ramionami o ściany wąskiego przejścia, dotarł do kolejnego skrzyżowania. Kiedy wyszedł z rogu, zasłonił się rękami i odskoczył do tyłu tak gwałtownie, że stracił równowagę na śliskim chodniku i upadł na plecy.

Ogromny husky stał na tylnych łapach i warczał, szczerząc zęby, którymi usiłował przegryźć drucianą siatkę oddzielającą ich od siebie.

Rouche powoli opuścił ręce i wstał. Uspokoił się, widząc, że bestia nie zdoła go dopaść, mimo to poczuł dreszcz, kiedy pies nie przestawał szarpać ogrodzenia. Podszedł do niego, pochylił się i z odległości zaledwie kilkunastu centymetrów spojrzał w ciemne oczy zwierzęcia.

Nagle pies zaskowyczał, jakby ktoś go uderzył, opadł na cztery łapy i uciekł w głąb jednego z zaułków. Rouche wsłuchiwał się w odgłos uderzających o beton pazurów, który w końcu rozplynął się w ciszy, a potem pokręcił głową. Było mu trochę głupio przed samym sobą, że dał się zwariować pastorowi z telewizji i jego fanatycznym teoriom. Schylił się po broń i zawrócił w głąb mrocznego labiryntu.

Dopiero po pięciu minutach dotarł do mieszkania Easta i zatrzymał się w przedpokoju nad jego ciałem. Nasiąknięta krwią wykładzina plasnęła pod jego podszwami, kiedy przykucnął obok. Na piersi psychiatry, tuż obok ran po kulach, dostrzegł wyraźny zarys koślawych liter: „Marionetka”. Potarł zmęczone oczy.

– O psiakrew.

O dziewiętnastej Tia zasnęła na sofie. Półtorej godziny później Edmunds, któremu udało się w końcu ułożyć córeczkę do snu, zszedł na dół. Po powrocie z pracy przyrządził kolację, wymienił żwirek w kuwecie Bernarda, nastawił pranie i uporał się ze stertą brudnych naczyń, które od dwóch dni zalegały w zlewie. Potem wziął Tię na ręce i zaniósł ją do łóżka, jak na wzorowego męża przystało.

Wreszcie miał poczucie, że zasłużył sobie, żeby znów zająć się pracą i ślęczeć do bladego świtu, poświęcając na to resztki sił. Wstąpił do kuchni, żeby zaparzyć sobie mocną kawę. Musiał się obudzić. Czekala go jeszcze podróż na drugi koniec miasta.

Ponieważ właśnie dostał oficjalne upomnienie, nie zamierzał ryzykować i prowadzić kolejnego prywatnego śledztwa, używając służbowego oprogramowania. Wykorzystał ograniczone środki, jakie mu zostały, do zdobycia

kilku bardzo ogólnych informacji na temat Rouche'a. Ale nawet mając tak niewiele, dostrzegł kilka rażących niespójności, które uzasadniały konieczność dalszych poszukiwań.

Zaczął się zastanawiać, czy Baxter rzeczywiście nie natrafiła na jakiś trop.

Korzystając z intranetu, odgrzebał w zasobach działu kadr stare wykresy, z których się dowiedział, że jego dawny kolega z wydziału kryminalnego pracował kiedyś z Rouche'em w wydziale antynarkotykowym. Edmunds miał tyle szczęścia, że zastał go w biurze.

Zdaniem znajomego detektywa Rouche był „cholernie bystry”, trochę ekscentryczny, ale ogólnie „całkiem w porządku”, co mniej więcej pokrywało się z opisem Baxter. Ale na pytanie o przekonania religijne Rouche'a facet parsknął śmiechem.

– Stary, ja jestem bardziej religijny od niego – stwierdził, co było wielce wymowne, jako że padło z ust fana death metalu z wyblakłym tatuażem na przedramieniu, który głosił: „Bóg umarł”.

Potem opowiedział Edmundsowi historię z trzeciej ręki, którą usłyszał od kolegi z sekcji ochrony VIP-ów, gdzie Rouche został przeniesiony w 2004 roku.

– Wyleciał, w każdym razie tak wszyscy sądzili. Żadnego pożegnania, nikt nie przyszedł na jego miejsce. Zniknął z dnia na dzień i nikt go już więcej nie widział. Nic dziwnego, że szef toczył pianę.

Edmund podziękował koledze za pomoc i rzucił niezobowiązującą propozycję spotkania przy drinku, której żaden z nich nie miał zamiaru zrealizować.

Przed wyjściem z biura udało mu się ustalić adres domowy Rouche'a i obliczył, że o tej porze dojedzie tam w pół godziny. Przemknął na palcach do przedpokoju, gdzie włożył kurtkę i szalik, zdjął z haczyka kluczyki do samochodu i wyszedł z domu.

– Widzi pani ciemniejszy obszar w tym miejscu? To jest odprysk w pani stawie łokciowym – oznajmił lekarz pogodnym tonem.

– Fantastycznie – odparła Baxter. – Mogę już iść?

Przez niemal trzy godziny leżała w pokoju zabiegowym, gdzie zastępy lekarzy i pielęgniarek opukiwały ją i obmacywały, aż w końcu zaczęła tracić cierpliwość. Po starciu z zakapturzonym mężczyzną była posiniaczona i obolała. Całą jej twarz pokrywały drobne zadrapania, będące efektem bliskiego spotkania ze szklanym

blatem, który z kolei rozprysł się na drobne kawałki w efekcie bliskiego spotkania z jej twarzą. Do długiej listy obrażeń musiała dodać dwa złamane palce i uszkodzenie stawu łokciowego.

Lekarz zakończył oględziny i wychodząc, kazał pielęgniarce przynieść temblak.

– Byłaś dzisiaj bardzo dzielna – powiedziała Curtis, kiedy zostały same.

– Raczej głupia.

– Wszystkiego po trochu. Rouche mówi, że w plecaku, który znaleziono na miejscu zbrodni, były worki i taśma izolacyjna. Dla całej piątki. Ocaliłaś im życie.

Baxter czuła się zbyt zakłopotana, by zareagować na pochwałę.

– Co teraz robi Rouche?

– A jak myślisz? – odparła Curtis, co miało oznaczać, że jej partner jak zwykle rozmawia przez telefon. Widząc przygnębioną minę policjantki, poczuła się zobowiązana zająć ją rozmową. – Tym razem to nie jest ślepa uliczka, wiesz o tym, prawda? Zgarnęliśmy Ritchera, a kobieta i dzieci są pod ochroną policji. W tej chwili właśnie próbujemy czegoś się od nich dowiedzieć. Uzyskaliśmy już pełny dostęp do kont bankowych Easta i rejestru jego rozmów telefonicznych, a DNA z twojego klucza i ubrania poszło do ekspertyzy. Robimy postępy.

Do gabinetu wróciła zagoniona pielęgniarka.

– To dla pani – zwróciła się do Baxter, wręczając jej temblak w jaskrawoczerwonym kolorze.

– A czarnych nie macie?

– Obawiam się, że nie – odparła oschle kobieta. – Zresztą to jest nieobowiązkowy dodatek...

– Nieobowiązkowy?

– Tak.

– W takim razie to dla pani. – Baxter oddała pielęgniarce przyprawiającą o ból oczu ozdobę i z uśmiechem odwróciła się do Curtis. – Chodźmy stąd.

Edmunds jeszcze raz sprawdził adres w słabym świetle lampki podsufitowej swojego wysłużonego volva. Dom, przed którym parkował, był pogrążony w mroku. Nawet z samochodu widział złuszczoną farbę na framugach okien i chwasty sterczące ze szczelin na stromym podejździe. Stary budynek, który zasługiwał na dużo lepszy los, wyglądał na mocno zapuszczony.

Wyobraził sobie, jak to miejsce musi działać wyobraźnię dzieciaków z okolicy –

nawiedzony dom na wzgórzu. Chociaż nie znał Rouche'a osobiście, był na niego zły. On sam mieszkał wraz z rodziną w ruderze, a przywilej ten kosztował ich życie na granicy ubóstwa. Ale nawet dysponując skromnymi środkami, nie szczydzili wysiłków, żeby czuć dumę ze swojego gniazdka mimo całkowitego braku zrozumienia ze strony niepoprawnie zadowolonych z siebie sąsiadów.

Swoimi staraniami Edmunds niechcący sprawił, że jego skromny dom stał się solą w oku bardziej zawistnych okolicznych mieszkańców, którzy uważali ich egzystencję na poziomie niższej klasy średniej za szczyt bezczelności. Akurat tego dnia rano odkrył, że ktoś przeciął na pół sznur jego gustownych biało-niebieskich lampek świątecznych, a nie było go stać na nowe. Za to Rouche miał piękną rezydencję przy malowniczej uliczce w bogatej dzielnicy na przedmieściach Londynu i pozwalał, żeby popadała w ruinę.

Edmunds wysiadł z samochodu i zatrzasnął drzwi najciszej, jak się dało. Upewniwszy się jeszcze raz, że nikogo nie ma w pobliżu, ruszył w górę podjazdem. Niestety przed domem nie parkował żaden samochód. Tablica rejestracyjna byłaby cennym źródłem informacji, ale stojące za rogiem dwa kubły na śmieci równie dobrze mogły spełnić tę funkcję.

Przyświecając sobie latarką, zaczął grzebać wśród odpadków w poszukiwaniu czegoś, co mogło mieć związek z tajemniczym agentem CIA. Nagle wąskie przejście między budynkami zalało światło. Edmunds zdążył przykucnąć za jednym z kubłów, zanim z sąsiedniego domu wyszedł starszy jegomość i stanął przy ogrodzeniu.

– Cholerne lisy – powiedział zrzędlwym tonem.

Rozległ się odgłos kroków, trzasnęły drzwi i szcęknął zamek, a potem zgasło światło. Edmunds uznał, że znów może zacząć oddychać. Po tym, jak szef udzielił mu oficjalnego ostrzeżenia, tylko brakowało, żeby został przyłapany na wtargnięciu na prywatną posesję agenta CIA. Sklął się w myślach za tę lekkomyślność, ale organizm zdradzał, co tak naprawdę czuł – nagły przypływ adrenaliny zmuszał jego serce do wyteżonej pracy, a gdy oddech mu się wyrównał, zaczął wypuszczać z ust białe obłoczki niczym parowóz, który nabiera prędkości.

Kiedy upewnił się, że leciwy sąsiad stracił zainteresowanie nocnymi hałasami, posuwając się dalej wzdłuż bocznej ściany, dotarł do ogrodu za domem, gdzie od razu przemoczył sobie nogawki spodni w wysokiej trawie. Nowiutki domek

ogrodowy dla dzieci, który stał pod zdezelowanym płotem obok pustej klatki na króliki, wyraźnie nie pasował do otoczenia.

A jednak w budynku paliło się światło. Edmunds zakradł się do drzwi prowadzących na patio, gdy w środku zaczął dzwonić telefon. Po pięciu dzwonekach ktoś podniósł słuchawkę i rozległ się kobiecy głos:

– Witaj, najdroższy! Obie tak bardzo za tobą tęsknimy!

Edmunds zaklął pod nosem i wycofał się w stronę przejścia. Minął kubły na śmieci i niezauważony przez nikogo zbiegł w dół podjazdem. Wskoczył do samochodu i żeby utrudnić ewentualnym świadkom odczytanie tablicy rejestracyjnej, włączył światła dopiero wtedy, kiedy dojechał do głównej drogi. Jego serce wciąż kołatało.

Niczego nie znalazł, a mimo to przez całą drogę do domu nie przestawał się uśmiechać.

# Rozdział 20

PONIEDZIAŁEK, 14 GRUDNIA 2015 ROKU

19.54

W drzwiach hotelu Curtis i Rouche zderzyli się ze ścianą gorącego powietrza. Usłyszeli znajomy irytujący głos, który przebijał się przez szum dmuchawy nad ich głowami. Podążając za nim, weszli do obskurnego baru, gdzie na ekranie przysadzistego telewizora właśnie zaczynała się transmisja jakiegoś meczu, a poźółkłe od nikotyny tapety, zacieki po rozlanych drinkach i inne mankamenty wystroju pamiętającego lata osiemdziesiąte ubiegłego wieku raziły oczy w zbyt jaskrawym świetle.

– Powiedziałam, że sobie poradzę – oświadczyła Baxter barmanowi, rozchlapując na podłogę czerwone wino z dużego kieliszka.

Opadła ciężko na kanapę w boksie przy oknie i zaklęła, kiedy zbyt gwałtowny ruch przyprawił ją o ból łokcia.

– Właśnie dlatego trzeba nosić temblak – mruknął Rouche i dodał szeptem: – Myślisz, że nas zauważy, jeśli odwrócimy się i wyjdziemy?

Zdał sobie sprawę, że mówi do siebie, bo ryk telewizora zagłuszał jego słowa. Nie zważając na nieciekawe otoczenie, Curtis stała na baczność z ręką na sercu, kiedy wypełniający trybuny stadionu chór amatorów piwa i hot dogów śpiewał amerykański hymn.

– Amerykanie. – Baxter z politowaniem pokręciła głową, kiedy Rouche usiadł naprzeciwko niej i położył na lepkim blacie stolika małą książkę w wypłowiałej okładce. – Zważywszy na to, jak bardzo nie lubisz być w domu, powinieneś stać koło niej.

Rouche obejrzał się na swoją partnerkę, której oczy lśniły od łez wzruszenia i dumy. *Gwiazdzisty sztandar* zbliżał się do podniosłego finału, czemu towarzyszył aplauz godny koncertu Bon Joviego.

– Nie, dzięki. Z kawałków do karaoke zdecydowanie wolę *Since You've Been*

*Gone* – powiedział i obrócił się z powrotem do Baxter. – Powinnaś... – zaczął z wahaniem, wskazując na kieliszek. – Powinnaś pić, kiedy zażywasz środki przeciwbólowe?

– Zasłużyłam sobie, nie sądzisz?

Postanowił nie drażyć tematu. Dołączyła do nich Curtis, która z takim samym zaniepokojeniem spojrzała na ogromny kieliszek. Przypuszczalnie barman napełnił go po brzegi w nadziei, że w ten sposób powstrzyma upierdliwą klientkę przed złożeniem kolejnego zamówienia.

– Może nie powinnaś pić, kiedy... – Curtis zawiesiła głos, zauważywszy, że jej partner ostrzegawczo kręci głową, i natychmiast zmieniła temat. Sięgnęła po książkę i spojrzała na okładkę. – Ojciec Vincent Bastian, *Egzorcyzmy Marii Esposito*. Dalej się tym interesujesz?

Rouche wyrwał jej książkę i otworzył na zaznaczonej stronie.

– Posłuchajcie tego. To jest pisemna relacja kogoś, kto był naprawdę opętany – powiedział i zaczął czytać: – „Noc towarzyszyła mi cały czas, nawet w ciągu dnia. I chociaż świeciło słońce, wisiało na czarnym niebie, wszystkie kolory wydawały się przytłumione jak w blasku świec, a ja stałam w cieniu, zmuszona dzielić się z nim sobą”. – Rouche uniósł wzrok i spojrzał na Baxter, która z obojętną miną upiła łyk wina. – To samo mówił Arnolds, kiedy wpatrywał się w sklepienie holu Grand Central. „Dla mnie zawsze trwa noc”. No i powiedzcie mi, że to się nie trzyma kupy.

– To się nie trzyma kupy – odpowiedziały zgodnym chórem Curtis i Baxter.

– Albo dzisiaj, w tym bloku na Brooklynie, kiedy pobiegłem za sprawcą, odgłos kroków zaprowadził mnie...

Rouche zamierzał im opowiedzieć o spotkaniu z rozjuszonym psem, ale rozmyślił się, widząc ich miny.

– Czytasz za dużo takich rzeczy i doszukujesz się wątków, których nie ma – upomniała go Baxter, która po winie czuła się jeszcze mądrzejsza. – Nie za wszystkim stoją bogowie i demony. Czasem to tylko sprawka parszywych ludzi.

– Dobrze mówi – wtrąciła Curtis, żeby znów zmienić temat. – Lennox przypuszcza, że teraz, kiedy zostałeś ranna na służbie, wrócisz do domu.

– Tego się po niej spodziewałam – odparła szyderczym tonem Baxter, ucinając ten wątek. – Jakież nowe postępy w śledztwie?



– Furgonetka zapewne miała trafić na złom – odezwał się Rouche. – W środku znaleźliśmy mnóstwo materiału DNA i upłynie kilka dni, zanim ustalimy, co należy do kogo. Żona i dzieci najwyraźniej nie mają o niczym pojęcia. East dwa dni temu wrócił do domu...

– Mówisz o dniu, w którym zaczęliśmy szukać Banthama? – przerwała mu Baxter.

– Zgadza się. Zaczął się pakować w pośpiechu i krzyczał, że muszą wszyscy wyjechać.

– Wymyślił jakąś historię o byłym pacjencie, który mu grozi, ale jego żona twierdzi, że zachowywał się dziwnie od kilku tygodni – wtrąciła Curtis.

– I przyszło jej do głowy, żeby go zapytać, czemu ma wycięte na piersi słowo „Marionetka”?

Agentka wzruszyła ramionami.

– Mówi, że... nie spali ze sobą, odkąd się to wszystko zaczęło.

Baxter westchnęła i dopiła wino.

– Idę na górę – oświadczyła. – Tyle ludzi obmacało mnie w szpitalu, że muszę wziąć prysznic.

– Pomóc ci się rozebrać? – zapytała Curtis.

– Nie, dzięki. – Baxter zmarszczyła czoło, jakby ktoś już złożył jej taką propozycję. – Poradzę sobie.

Rozległo się pukanie i Curtis otworzyła drzwi.

– Czy mogłabyś mi pomóc się rozebrać? – zapytała Baxter, która nie mogła zobaczyć szerokiego uśmiechu na twarzy agentki, ponieważ miała na głowie koszulkę, którą udało się jej zdjąć tylko do połowy.

– Wezmę klucz i przyjdę do ciebie.

Krztusząc się ze śmiechu, Curtis zawróciła w głąb pokoju. Usłyszała, jak Baxter krzyczy na kogoś na korytarzu:

– No i co się gapisz?!

Odprowadziła policjantkę do jej pokoju, gdzie z nastawionego na brytyjski serwis informacyjny telewizora dobiegał ściszony komentarz na temat ostatniej kontrowersyjnej decyzji parlamentu. Po krótkich zmaganiach udało się jej w końcu oswobodzić Baxter, która owinęła się ręcznikiem.

– Dziękuję.

– Nie ma za co.

– Suka!

Curtis spojrzała na nią zdumiona.

– Co proszę?

– Nie do ciebie – wyjaśniła Baxter ze wzrokiem wlepionym w ekran i zaczęła macać ręką dookoła w poszukiwaniu pilota, żeby zwiększyć głośność.

Ponieważ w Anglii był środek nocy, powtarzano w kółko nagrany wcześniej materiał. Jej uwagę przyciągnęło wieczorne sprawozdanie Andrei Hall, kiedy zobaczyła własną twarz na wielkim ekranie w głębi studia. Była przekonana, że następnego dnia jeszcze przed lunchem połowa kobiet w całym kraju zrobi sobie takie same jasne pasemka, jakie właśnie pojawiły się w modnej rudej fryzurze reporterki.

– Przepraszam – powiedziała Andrea i odchrząknęła. – Jak zapewne większości z państwa wiadomo, inspektor Baxter jest moją bardzo serdeczną przyjaciółką...

– Suka! – powtórzyła Baxter, kipiąc ze złości.

– ...i wraz z całym zespołem redakcyjnym życzę jej rychłego powrotu do zdrowia po konfrontacji z podejrzanym. – Andrea zrobiła głęboki wdech i mówiła dalej z chłodnym profesjonalizmem, jakiego można by się spodziewać po kimś, kto tak naprawdę ma wszystko gdzieś. – A teraz zamienię kilka słów z komendant Geeną Vanitą z Policji Metropolitalnej... Dobry wieczór, pani komendant.

Obróciła głowę w stronę wielkiego monitora, na którym pojawiła się twarz drobnej Hinduski na tle panoramy Londynu.

– Dobry wieczór, pani Hall.

Vanita aż nazbyt dobrze znała ambitną dziennikarkę, która potrafiła jeszcze bardziej pogorszyć nieciekawą sytuację, i najwyraźniej doszła do wniosku, że najbezpieczniej będzie, jeżeli osobiście wejdzie na to pole minowe, udzielając jej wywiadu.

– Czy uważa się pani za osobę religijną? – wypaliła od razu z grubej rury Andrea.

– Ja... – Wyraz twarzy Vanity świadczył niezbicie, że wywiad już wkroczył na grząski grunt. – Gdybyśmy mogły pozostać przy...

– Z braku nowych informacji wnioskuję, że policja wciąż nie natrafiła na żaden konkretny trop w związku z tymi makabrycznymi morderstwami, które wedle

wszelkiego prawdopodobieństwa są dziełem jednej wynaturzonej osoby, niemniej jednak nie ma widocznych powiązań między ofiarami.

– No cóż... na razie badamy kwestię...

– Azazela?

– Proszę?

– Przypuszczam, że słyszała pani o teorii pastora Jerry'ego Pilsnera juniora.

– Owszem, słyszałam. – Vanicie po raz pierwszy udało się udzielić płynnej odpowiedzi.

Nie sposób było się nie natknąć na tego fanatycznego kaznodzieję, pojawiającego się na każdym kanale telewizyjnym, który zechciał go zaprosić.

– No i?

– To znaczy...?

– Mogę zapytać, czy policja traktuje poważnie jego poglądy?

– Absolutnie nie. Byłoby to karygodne marnotrawstwo zasobów.

Andrea parsknęła śmiechem i Vanita wyraźnie się rozluźniła.

– Ale czy rzeczywiście? – zapytała reporterka, przesadnie udając zamyślenie. – W ostatnim tygodniu organizacje religijne wszystkich wyznań w naszym kraju i w Stanach Zjednoczonych odnotowały rekordową frekwencję wiernych.

Vanita zasepiła się, kiedy dotarło do niej, że dała się zapędzić w pułapkę.

– I Policja Metropolitalna szanuje przekonania tych ludzi – powiedziała.

– Czy oni są głupi, że w coś wierzą?

– Bynajmniej, ale...

– Więc teraz pani twierdzi, że teoria „upadłego anioła” jest istotnym wątkiem śledztwa? – Mina Andrei wyrażała całkowitą dezorientację.

– Nie, nic takiego nie powiedziałam. Chodziło mi o to, że...

– Nie jestem detektywem – ciągnęła dziennikarka – ale czy nie jest przynajmniej prawdopodobne, że morderca inspirował się Biblią, a może nawet koncepcją, według której jeden z aniołów popadł w niełaszkę?

Vanita milczała, próbując przewidzieć, jaka odpowiedź spowoduje najmniejsze szkody.

– Pani komendant?

– Tak... Nie. To znaczy...

– A więc tak czy nie? – Andrea uniosła ręce w geście zniecierpliwienia. –

Zapewne policja chciałaby zbadać wszystkie...

– Tak – przerwała jej stanowczo Vanita.

Nagle operator kamery zrobił odjazd, pozostawiając prowadzącą w środku kadru, a obraz na monitorach w tle poszerzył się o kilka metrów w każdą stronę.

– O nie – szepnęła Baxter, wyczuwając, że zbliża się charakterystyczny dla Andrei Hall sensacyjny popis.

Monitory na ścianie zamigotały widowiskowo i zamazana twarz Vanity znikła, ustępując miejsca ogromnym wystrzępionym czarnym skrzydłom, rozpostartym tak, jak gdyby wyrastały z pleców reporterki.

– No i proszę – zwróciła się Andrea do widzów na całym świecie – Policja Metropolitalna ugania się za upadłymi aniołami.

– O czym ona mówi? – zapytała Curtis zapatrzona w poruszające się wolno skrzydła, z których wypadały czarne pióra.

– To jest właśnie jej specjalność.

– Ale przecież to bzdury!

– Nie ma znaczenia, jeżeli padają z jej ust... To dopiero początek.

– ...a więc zapraszam jutro rano o szóstej do mojego programu, gdzie będziemy analizować każdy niesamowity i przerażający zwrot w śledztwie, które policja nazywa teraz... „sprawą Azazela”.

– Nie! – jęknęła z rezygnacją Baxter i kręcąc głową, wyłączyła telewizor.

– Czy... dobrze się czujesz?

– Nic mi nie jest. Zaraz pójdę spać.

Baxter przypomniała sobie, że jest owinięta ręcznikiem, i podciągnęła go, żeby zakryć trochę więcej nagiej skóry. Zamilkła, dając do zrozumienia, że chce już zostać sama, jednak Curtis nie kwapiła się do wyjścia i zamiast tego przysiadła na stołku w kącie.

– Właściwie liczyłam na to, że będziemy miały okazję porozmawiać sam na sam – powiedziała.

Baxter zatrzymała się w drzwiach do łazienki. Starła się nie dać po sobie poznać, jak bardzo jest skrepowana. Nawet gdyby stała półnaga przed Thomasem, czułaby się niezręcznie, a co dopiero w towarzystwie kobiety, którą niedawno poznała.

– Teraz to chyba już bez znaczenia, kiedy mamy pewność, że psychiatrów coś

łączyło, ale nie czułam się dobrze, ukrywając to przed tobą – wyznała Curtis. – Badanie krwi Glenna Arnoldsa wykazało pewne nieprawidłowości.

Baxter próbowała udawać zaskoczoną tą wiadomością, chociaż kątem oka widziała skrawek wydruku sterczący ze skoroszytu, który położyła na stole.

– Arnolds nie zażywał leków neuroleptycznych. Zamiast nich łykał środki, które doprowadziły do pogorszenia jego stanu psychicznego. Z pewnych powodów... nie przekazaliśmy ci tej informacji i przepraszam cię za to.

– W porządku. Dzięki, że mi powiedziałaś. – Baxter się uśmiechnęła. Zważywszy na jej strój, taka szczerą wymiana zdań kosztowała ją zbyt wiele. Chciała zakończyć tę rozmowę. – No to chyba już mogę... – powiedziała, wskazując na prysznic.

– Oczywiście. – Curtis wstała i ruszyła w stronę drzwi. W drodze do wyjścia zatrzymała się i objęła Baxter, która wzdrygnęła się i zeszywniała. – Gramy w jednej drużynie, prawda?

– No pewnie – odparła policjantka i zatrasnęła jej drzwi przed nosem.

– Czy bliskie spotkanie ze szklanym blatem to dla niej zbyt delikatna sugestia, że powinna się stąd wynosić? – szepnęła Lennox do swojej protegowanej, gdy wchodząc do sali konferencyjnej w oddziale terenowym FBI, zobaczyła przed sobą utykającą Baxter.

– Mogłaby pani przekazać to agentowi Rouche’owi? – zwróciła się do niej młoda agentka, która trzymała w rękach gruby plik wydruków.

– Na litość boską! Poproś kogoś innego – warknęła Lennox.

Kiedy wszyscy zajęli miejsca, przeszła od razu do pierwszego z punktów programu, celowo nie wspominając ani słowem o licznych obrażeniach Baxter.

Na białej tablicy w głębi sali widniała tabela z nazwiskami zabójców, która powiększyła się o jeszcze jedną kolumnę.

Nowy Jork	Londyn	?
1. Marcus Townsend (most Brookliński) ofiara: związana ze sprawą „Szmacianej Lalki” metoda: uduszenie	3. Dominic Burrell (więzienie Belmarsh) ofiara: związana ze sprawą „Szmacianej Lalki” metoda: zasztyletowanie	6. ? (hrabstwo Westchester) ofiara: psychiatra i jego rodzina metoda: strzał z broni palnej

2. Eduardo Medina  
(33. Komisariat)

ofiara: policjant  
metoda: zderzenie ze ścianą

4. Patrick Peter Fergus  
(Mall)

ofiara: policjantka  
metoda: cios  
narzędziem

7. ?

ofiara:  
psychoterapeuta  
metoda: strzał z  
tęnym broni palnej

5. Glenn Arnolds  
(Grand Central)

ofiara: ? pracownik dworca  
metoda: prowokowanie policji

– Odciski stóp zabezpieczone na Brooklynie są identyczne z tymi, które znaleźliśmy w domu Banthamów – oznajmiła Lennox. – Ekspertyza balistyczna wykazała, że wszystkie strzały oddano z tej samej broni. Poza tym jest to pierwszy przypadek, w którym powtarza się *modus operandi*. Zaryzykuję stwierdzenie, że śmierć tych dwóch mężczyzn nie była częścią planu. Dwie zabite Marionetki i ani jednej Przynęty. To wygląda na desperackie posunięcia kogoś, kto chce odzyskać kontrolę nad sytuacją. – Zawiesiła głos i spojrzała w stronę Rouche'a i Curtis. – Czy ktoś chciałby coś dodać?

– Jedyne to, że ten ktoś nie jest zawodowcem – odezwał się Rouche. – Baxter dała mu nieźle popalić, a trzy pociski, którymi trafił Easta, nie uszkodziły żadnego z ważnych organów, a jedynie spowodowały śmierć przez wykrwawienie, co z pewnością potwierdza teorię o desperackim działaniu.

– Czy to zbieg okoliczności, że ci ludzie giną, odkąd zaczęliśmy się nimi interesować? – spytała Curtis.

– Nie sądzę – odparła Lennox. – Skoro już o tym mowa, mamy dosyć ogólnikowy rysopis naszego ostatniego zabójcy: biały mężczyzna średniego wzrostu i wagi o brązowych oczach.

Baxter zignorowała subtelną drwinę ukrytą w słowach „dosyć ogólnikowy”.

– Kto jest właścicielem mieszkania, w którym ukrywał się East? – zapytał ktoś z zebranych.

Lennox przerzuciła kilka leżących przed nią kartek.

– Niejaki Kieran Goldman. Podobno przyjaźnił się z Eastem. Nie korzystał z lokalu i gromadził środki na jego renowację.

– W takim razie nie mamy nic. O ile wyniki ekspertyz nie doprowadzą nas do jakichś nazwisk, nie mamy nic.

– Wręcz przeciwnie – odparła Lennox. – Ustaliliśmy już tożsamość osoby, która

za tym wszystkim stoi. Nareszcie wiemy, kto pociąga za sznurki.

– Czyżby?

Wszyscy zebrani wbili w nią wyczekujące spojrzenia.

– Przedstawiam wam naszego Azazela...

Za sprawą Andrei Hall z każdą chwilą coraz więcej dziennikarzy na całym świecie używało tego imienia i doszło nawet do tego, że zaczęło z niego korzystać FBI, jak gdyby podejrzanym był bezcielesny upadły anioł.

Curtis poczuła, jak jej serce zamiera, kiedy zobaczyła w rękach swojej przełożonej zdjęcie brytyjskiego psychiatry. Okazało się, że nie tylko zastrzeliła niewinnego człowieka, ale spotkała się twarzą w twarz z człowiekiem, który teraz był poszukiwany, flirtowała z nim jak pensjonarka i pozwoliła mu się wymknąć.

– Oto Alexei Green – oznajmiła Lennox. – Tylko w ciągu ostatniego roku doktor Green pięć razy latał do Stanów, żeby się spotkać z Eastem i Banthamem. Jak nam już wiadomo, był więziennym terapeutą Dominica Burrella. Nie wiedzieliśmy jednak, że korzystał z usług firmy sprzątajacej, w której pracował Patrick Peter Fergus, co dawało mu wiele możliwości manipulacji bez pozostawiania śladów w kartotece.

– A jego motyw? – zapytała Baxter. – Co właściwie nim kierowało?

Lennox zgromiła ją wzrokiem, ale odpowiedziała z chłodnym profesjonalizmem:

– Wciąż nad tym pracujemy. Nie ulega jednak wątpliwości, że Green jest ogniwem łączącym wszystkie Marionetki. To on. Ujęcie Alexeia Greena powinno być naszym priorytetem.

– Nie jestem przekonana – odparła Baxter. – Zdecydowanie jest w to zamieszany, ale żeby wszystkim kierował? Dlaczego?

– Racja – poparł ją Rouché.

– Czyżby? – Lennox zaczynała tracić cierpliwość. – W takim razie może zmienicie zdanie, jeśli się dowiedziecie, że po wyjściu od nas East odbył jedną rozmowę telefoniczną, jadąc taksówką do Prospect Parku. Czy ktoś chce zgadnąć, do kogo zadzwonił?

Nikt nie zaryzykował.

– Tak, do Alexeia Greena. Eastowi bardzo zależało, żeby nikt go nie znalazł i całkiem skutecznie się ukrywał wraz z całą rodziną, ale zaufał niewłaściwej osobie. Zadzwonił go Greena, żeby poprosić go o radę, a pół godziny później zabójca już

stał pod jego drzwiami.

Rouche wyglądał na zmieszanego.

– Może uda się namierzyć Greena, jeżeli wciąż używa telefonu – zasugerował.

– Nie używa. To był aparat na kartę, zresztą rozmowa trwała zbyt krótko, żeby go zlokalizować.

– W takim razie skąd wiadomo, że w ogóle należał do Greena?

– Podśłuchiwalismy rozmowę. – Lennox wzruszyła ramionami. – Czy naprawdę pan myśli, że ot tak wypuścilibymy naszego kluczowego świadka, bo napuścił na nas wygadanego adwokata?

Rouche był pod wrażeniem podstępnej taktyki, jaką zastosowała szefowa oddziału terenowego FBI. Urządziła całkiem wiarygodne przedstawienie, ale teraz przypomniał sobie, jak bardzo niezadowolony był Ritcher, kiedy podobnie jak jego klient musiał oddać do depozytu swoje rzeczy osobiste.

– Coraz więcej dowodów wskazuje na to, że Alexei Green pociąga za sznurki, i zaangażujemy wszystkie dostępne środki, żeby... – Lennox przerwała, widząc rozkojarzone miny słuchaczy.

Podążyła za ich spojrzeniami w stronę głównej przestrzeni biurowej widocznej za przeszkloną ścianą, gdzie wybuchła gorączkowa krzątanina. Otworzyła drzwi sali konferencyjnej i zatrzymała młodego agenta, który właśnie przebiegał obok.

– Co się dzieje?

– Jeszcze nie całkiem wiadomo. Chodzi o jakieś ciało w...

Wszystkie telefony dzwoniły jednocześnie. Lennox podbiegła do najbliższego biurka i podniosła słuchawkę, a po chwili jej oczy zrobiły się wielkie z wrażenia.

– Curtis! – zawołała. – Kościół Times Square przy Broadwayu!

Agentka zerwała się z krzesła, a Baxter i Rouche poszli za jej przykładem. Kiedy biegli w stronę wyjścia, słyszeli, jak za ich plecami Lennox wykrzykuje polecenia.

– Proszę wszystkich o uwagę! Właśnie zawiadomiono nas o bardzo poważnym...



# Rozdział 21

WTOREK, 15 GRUDNIA 2015 ROKU

10.03

Żadne z nich się nie odzywało, kiedy pędzili przez miasto. Policyjna radiostacja nie milkła ani na chwilę, wyrzucając nieprzerwany strumień nerwowych komunikatów, a dyspozytorzy kierowali na miejsce zdarzenia każdy patrol, który meldował zakończenie poprzedniego zadania. Ogólnikowe informacje, jakie przybyli na miejsce funkcjonariusze przekazywali na otwartym kanale, brzmiały przerażająco.

„...wszędzie ciała...”,

„...zwisają ze ścian...”,

„...wszyscy martwi...”.

Kiedy zbliżali się do Pięćdziesiątej Pierwszej Zachodniej, Curtis musiała wjechać na chodnik, żeby ominąć korek. Dwie przecznice dalej młody policjant przepuścił ich przez ustawioną pospiesznie blokadę. Odciągnął po lodzie kruchą plastikową barierkę, żeby mogli się dostać na opustoszałą ulicę. Curtis ruszyła w stronę grupy radiowozów, które stały przy najbliższym skrzyżowaniu, rozsiewając dookoła błyski kogutów.

Zatrzymali się przed Paramount Plaza i resztę drogi do celu pokonali biegiem. Baxter była przekonana, że pomylili kierunki, kiedy omiatała wzrokiem poszarzałe od spalin fasady okolicznych budynków w poszukiwaniu czegoś, co przypominałoby kościół. Była jeszcze bardziej zaskoczona, gdy Curtis i Rouche zniknęli za drzwiami okazałego teatru.

Bogato zdobione lobby z lat trzydziestych ubiegłego wieku stanowiło niepokojące połączenie dekadencji, haseł głoszących, że oprócz Boga nic więcej człowiekowi do szczęścia nie trzeba, i umundurowanych funkcjonariuszy, których wstrząśnięte miny sugerowały, że Bóg chyba wziął sobie wolne.

Przez otwarte na oścież drzwi widać było skrawek sali. Po złocistym sklepieniu przesuwiał się snop światła z latarki, a połówki krwistoczerwonej kurtyny szczelnie

zasłaniały scenę, jakby zaraz miał się rozpocząć spektakl.

Przestąpili próg, ale zatrzymali się już po trzech krokach.

– O Boże – wyszeptała Curtis, a Rouche z niedowierzaniem rozglądał się po wnętrzu.

Baxter precyzyjnie się między nimi i natychmiast tego pożałowała. Ugięły się pod nią nogi i poczuła, jak jej oczy same chłoną makabryczny widok. Stary kinematograf przerobiony na teatr, który potem odrodził się w roli kościoła, przeszedł ostateczną metamorfozę, zamieniając się wskutek wynaturzonej mutacji w żywe odzwierciedlenie piekła na ziemi. Wróciło to zapomniane już uczucie, to samo wrażenie próżni, jakiego doświadczyła, kiedy po raz pierwszy spojrzała na „szmacianą lalkę” zawieszoną przed wielkim oknem obscurnego mieszkania w Kentish Town.

Gąszcz drutów, biegnących od sceny do balkonu, od sklepienia do podłogi, od ściany do ściany, krzyżował się niczym wielka stalowa pajęczyna nad równymi rzędami teatralnych foteli. Rozpięte na niej ciała były niczym schwyte w pułapkę owady, powykręcane w niesamowitych, ale zatrważająco znajomych pozach, nienaturalne i zdeformowane, nagie i okaleczone.

W zamroczeniu Baxter szła za dwójką swoich towarzyszy w głąb sali... w głąb piekła. Powyginane cienie ofiar ożywały na ścianach w świetle latarek, a dziesiątki funkcjonariuszy, którzy pracowali już na miejscu, napełniały powietrze ściszonymi pomrukami. Żaden z nich nie wydawał rozkazów ani nie kwapił się do kierowania akcją, bo prawdopodobnie nikt nie miał pojęcia, co robić.

Zbłąkany snop światła przesunął się po zawieszonym nad ich głowami cieple, odbijając się od ciemnej skóry. Baxter podeszła bliżej, a upiorny chrzęst stał się głośniejszy, gdy wodziła wzrokiem po wygiętych kończynach, powykręcanych bardziej niż u innych ciał, jakby były pozbawione kości.

– Mógłbyś poświecić? – zwróciła się do jednego z mundurowych stosownie do okoliczności teatralnym szeptem.

Zadowolony, że ktoś mu wreszcie powiedział, co ma robić, policjant uniósł latarkę, wydobywając z mroku drewniane ręce i nogi, które kołysały się lekko.

– To jedna z wielu – wyjaśnił. – Nie wiem, ile jeszcze ich tu jest.

Przyglądali się naturalnych rozmiarów replice ciał unoszących się nad nimi – pozbawiony twarzy owal głowy, słoje układające się w złowrogie rysunki na

gładko wypolerowanym drewnie... W korpusie unoszącej się nad sceną marionetki widniało wyryte znajome słowo „Przynęta”. W mroku wypełniającym salę nie sposób było odróżnić, które ze zdeformowanych kształtów należą do istot z krwi i kości.

Chwilę później Curtis zrobiła krok do przodu i trzymając wysoko nad głową swoją odznakę, zwróciła się do wszystkich obecnych:

– Agentka specjalna Curtis z FBI! Od tej pory będę kierowała czynnościami na miejscu zbrodni. Wszyscy mi podlegają, a jeśli zjawią się dziennikarze, kierujcie ich do mnie... Dziękuję.

Baxter i Rouche wymienili spojrzenia, ale żadne z nich się nie odezwało.

– Zostań tu – syknął agent, gdy jego partnerka odłączyła się od nich i wyszła na środek sali, czyli w tych okolicznościach środek prawdziwej sceny; umowny punkt, w stronę którego skierowane były wszystkie ciała.

Curtis zignorowała go, gdyż właśnie powierzała jednemu z funkcjonariuszy niewykonalne zadanie ustalenia dokładnej liczby prawdziwych ciał i drewnianych manekinów.

Baxter podeszła do wiszącej najbliżej ofiary, mężczyzny po sześćdziesiątce. Miał rozchylone usta, a na piersi świeżo wycięte słowo „Przynęta”. Nawet w słabym świetle zauważyła, że jego skóra ma siny kolor. Wisiał tak nisko, że palce jego stóp ocierały się o wytartą czerwoną wykładzinę.

Wzdrygnęła się, słysząc dobiegający z góry łoskot, ale potem dostrzegła światło latarki jakiegoś odważnego policjanta, który rozglądał się po balkonie. Curtis posłała jej nerwowy uśmiech ze środka sali, gdzie stała pod rozpiętym na drutach ciałem mężczyzny.

Stłumione szepty stopniowo przeradzały się w jednostajny szmer, kiedy do sali wlewała się fala niebieskich mundurów. Na miejsce docierało coraz więcej funkcjonariuszy, którzy gromadzili się w jednym pomieszczeniu niczym ćmy skupione wokół ognia. Rozbłyskały kolejne latarki.

Ich światło wydobyło z mroku zawieszony w pobliżu cztery inne sylwetki i Baxter zauważyła coś, czego nie widziała do tej pory. Wygrzebała z kieszeni komórkę i skierowała słabe światło na jedno z ciał zwisające z balkonu, a potem obróciła się w stronę zastygłej w konwulsyjnej pozie kobiety, która unosiła się tuż nad sceną. Podbiegła do niej i schylając się pod drutami, które podtrzymywały

zwrócone plecami do góry ciało, oświetliła jej obnażoną pierś.

– Co tam masz? – Rouche zauważył jej nieostrożne zachowanie i po chwili stał tuż obok.

– Coś mi tu...

Odwróciła głowę i poświeciła na blade ciało smukłego mężczyzny, a stojąca wciąż obok niego Curtis posłała jej pytające spojrzenie.

– O co chodzi? – dopytywał się Rouche.

– Przynęta...

– No i co w związku z tym?

– Każdy z nich jest Przynętą – wyjaśniła Baxter, rozglądając się niespokojnie. – A gdzie są Marionetki?

Kropla krwi spadła jej na policzek. Odruchowo uniosła rękę i rozmazała ją sobie po twarzy. Rouche spojrział na ciało wiszące za ich plecami, na słowo wycięte w skórze i na ściekającą po brzuchu czerwoną strużkę, która wciąż sączyła się z rany.

– Trupy nie krwawią – wymamrotał.

Tym razem Baxter się nie opierała, kiedy przyciągnął ją do siebie, tylko zwróciła ku niemu przerażone spojrzenie. Światło jej latarki padło na widmowo blade ciało wiszące obok Curtis, która przywołała ich skinieniem ręki, chcąc się dowiedzieć, o czym rozmawiają. W tej samej chwili za jej plecami zadrgały mięśnie pod woskową skórą i długa blada ręka wyplątała się z drutu, a w zaciśniętej dłoni coś błysnęło...

Zanim Rouche zdążył sięgnąć po broń, zanim któreś z nich zdążyło wykrzyknąć ostrzeżenie, wskrzeszony trup jednym gładkim ruchem przejechał ręką po jej szyi. Baxter zastygła z rozdziawionymi ustami, kiedy Rouche strzelił trzy razy w pierś mężczyzny, którym wstrząsnęły gwałtowne konwulsje, a potem zawisł bezwładnie. Kiedy przebrzmiał ogłuszający huk wystrzałów, w sali zapadła cisza, którą mącił jedynie metaliczny brzęk rozedrganych drutów.

Curtis spojrziała na Rouche'a szerokimi ze strachu oczami, kiedy dotarło do niej, co się stało. Spojrzała na zakrwawioną dłoń, którą oderwała od szyi. Ciemnoczerwona plama zaczęła szybko rozlewać się po jej bluzce niczym opadająca kurtyna. Zachwiała się i upadła, znikając między rzędami foteli, zanim Baxter zdążyła do niej dobiec.

– Wszyscy na zewnątrz! – krzyknął Rouche. – Wychodzić!

Kilka postaci wiszących w pobliżu zaczęło wyswobadzać się z więzów. Krzyki policjantów, którzy w panice rzucili się w stronę wyjścia, spotęgowane przez echo zamieniły się w ogłuszającą kakofonię.

Nadchodził pajak.

Zagrzmiały odgłosy chaotycznych wystrzałów i Rouche usłyszał świst kuli, która minęła jego głowę o centymetry. Z balkonu dobiegł krzyk, a sekundę później bezwładne ciało policjanta z hukiem wylądowało u jego stóp.

Rouche uniósł pistolet i pobiegł w głąb sali za Baxter. Za plecami usłyszał głuchy łoskot, po którym rozległy się rozpaczliwe krzyki uciekających funkcjonariuszy. Nie musiał się oglądać, żeby wiedzieć, co się stało – to był odgłos umierającej nadziei, huk ciężkich drewnianych drzwi, które zatrasnęły się, grzebiąc ich żywcem w tym miejscu opuszczonym przez Boga.

Podbiegł do Baxter, która klęczała na podłodze i przyciskała zakrwawioną dłoń do śmiertelnej rany na szyi Curtis.

– Chyba wyczuwam słaby puls – szepnęła z ulgą, unosząc ku niemu wzrok.

– Weź jej broń – rozkazał beznamiętnym tonem.

Jego słowa nawet do niej nie dotarły.

– Musimy ją stąd zabrać.

– Weź... jej... broń... – powtórzył.

Baxter spojrzała na niego z niesmakiem.

Nagle Rouche dostrzegł kątem oka rozmazany zarys jakiejś białej postaci, która pędem szarżowała w jego stronę. Zaskoczony zdążył oddać tylko jeden strzał, który strzaskał goleń napastnika, powalając go na oparcia foteli, ale dzięki temu zyskał parę sekund. Nachylił się nad ciałem Curtis i wyciągnął z kabury jej pistolet, a potem objął Baxter i zdecydowanym szarpnięciem postawił ją na nogi.

– Puszczaj! Ona jeszcze żyje! – krzyczała, kiedy ciągnął ją za sobą. – Ona żyje!

– Nie możemy jej pomóc!

Baxter nie dosłyszała jego słów, zagłuszonych przez jej własne protesty, huk wystrzałów i wstrząsające jęki agonii, które dobiegały od strony drzwi, gdzie uwięzieni w pułapce funkcjonariusze ginęli pod ciosami prowizorycznych ostrzy. Garstka mundurowych, których napastnicy przyparli do drzwi, walczyła o życie w okrążeniu.

– Żadnemu z nich nie możemy pomóc! – dodał Rouche.

Musiał puścić Baxter, kiedy mężczyzna, którego postrzelił, zamachnął się na niego wyszczerbionym kawałkiem metalu i rozorał mu bok. Zrobił krok w tył i skrzywił się z bólu, przyciskając dłoń do rany. Chwycił za lufę broń, którą zabrał Curtis, i silnym ciosem w głowę ogłuszył napastnika. Potem wręczył pistolet Baxter, która chwyciła go oburącz i wlepiła w niego tępy wzrok.

Kilka wiszących postaci wciąż trwało w bezruchu. W ciemności nie dało się rozpoznać, czy są drewnianymi marionetkami, czy trupami, czy cierpliwie czekają na sposobność do ataku. Rouche nie miał ani czasu, ani ochoty, żeby to sprawdzić, bo z mroku w głębi sali wyłoniły się dwie kolejne blade postacie i popędziły w ich stronę.

– Wynosimy się stąd – powiedział stanowczo. – Natychmiast!

Baxter wciąż oglądała się w stronę miejsca, gdzie zostawili swoją towarzyszkę, gdy z fotela obok nich posypały się drzazgi i strzępy tapicerki.

Ktoś do nich strzelał.

Kiedy biegli w głąb sali, na podłogę spadła z hukiem drewniana marionetka, trafiona jednym z pocisków, które posyłał za nimi niewprawny strzelec z balkonu, dopóki nie wyczerpał magazynka. Rouche pierwszy wbiegł na schody z boku sceny i zlustrował uważnie jedno z ciał zawieszonych w pobliżu, wypatrując oznak życia. Kilka par wygłodniałych oczu zwróciło się w ich kierunku, kiedy znikli w szczelinie kurtyny i pogrążyli się w ciemności za kulisami. Przytwierdzone do ścian rachityczne drabiny znikły w mroku nad ich głowami, a końcówki grubych lin zwisających z rampy kołysały się niczym stryczki. Dobiegające od strony sali odgłosy pościgu przybierały na sile.

Słyszeli za plecami tupot bosych stóp na deskach, kiedy kluczyli w klaustrofobicznych trzewiach starego budynku, kierując się wyłącznie strzałkami drogi przeciwpożarowej, które fosforyzowały w ciemności. Z uniesionymi pistoletami przechodzili przez otwarte na oścież drzwi i ostrożnie mijali odnogi korytarza, co spowalniało ich pochód.

Nagle tuż za nimi rozległ się jakiś hałas. Rouche obrócił się w miejscu i wyteżył wzrok, próbując wypatrzeć coś w mroku, ale dostrzegł tylko kołyszące się na linie zardzewiałe wiadro, które przed chwilą potracił. Odwrócił się z powrotem w stronę Baxter i odkrył, że po jego towarzyszce nie ma ani śladu.

– Baxter? – szepnęła i omiótła wzrokiem trzy korytarze, w których mogła zniknąć.

Dzikie wrzaski i tupot zdawały się dobiegać ze wszystkich stron. – Baxter?

W końcu podjął decyzję i ruszył w głąb jednego z korytarzy, wyłącznie dlatego, że był odrobinę lepiej oświetlony od pozostałych. Kiedy był w połowie drogi, stłumione odgłosy pogoni stały się dwa razy głośniejsze, a zza rogu na wprost niego wyłoniły się trzy widmowe postacie.

– O kurwa – syknął, po czym obrócił się na pięcie i zaczął biec.

Wydawało mu się, że lada chwila się potknie i runie na podłogę, kiedy jego nogi nie nadążały za desperackim pragnieniem ucieczki. Przeciął skrzyżowanie korytarzy, na którym zgubił Baxter, i popędził dalej na wprost, a opętańcze wrzaski za jego plecami przybierały na sile, jak gdyby ścigająca go horda drapieżników wyczuwała jego nieuchronny koniec. Nie ośmielił się spojrzeć za siebie, tylko oddał na oślep kilka strzałów w tył, jednak żaden z pocisków nie trafił w nic oprócz ściany. Nawoływał Baxter w nadziei, że paniczny ton jego głosu zmobilizuje ją do ucieczki, o ile jeszcze będzie mogła uciekać. Po raz kolejny nacisnął spust i zorientował się, że nie ma już amunicji. Przeskoczył nad puszką po farbie, ale kilka sekund później usłyszał odgłos blachy uderzającej o podłogę. Doganiali go.

Dobiegł do ostrego zakrętu i odbił się od ściany. Zamachnął się, odpychając wyciągnięte ręce, które sięgały do jego twarzy. Na końcu korytarza zobaczył wyjście awaryjne obramowane cienkim paskiem światła dziennego. Rzucił się sprintem w tamtą stronę, czując na karku rozbuchane oddechy, nacisnął dźwignię na drzwiach i wypadł na zewnątrz.

Oślepiiony blaskiem słońca usłyszał serię strzałów z broni automatycznej.

– Policja! – ktoś krzyknął. – Nie ruszaj się! Rzuć broń!

Rouche wykonał polecenie.

– Teraz klęknij powoli.

– W porządku – odezwał się znajomy głos. – On jest ze mną.

Ciemna rozmazana plama, która przysłaniała pole widzenia jego załzawionych od mroźnego powietrza oczu, okazała się policjantem z jednostki taktycznej w pełnym rynsztunku. Potoczył wzrokiem dookoła i zorientował się, że labirynt korytarzy i magazynów starego teatru wyprowadził go z powrotem na Pięćdziesiątą Pierwszą Zachodnią Ulicę, dwa budynki dalej.

Uzbrojony policjant opuścił broń i przeszedł obok niego w stronę otwartych drzwi, w których leżały dwa nagie ciała. Rouche potraktował jego lekceważącą

reakcję jako przyzwolenie i podniósł się z klęczek. Westchnął z ulgą na widok Baxter, ona jednak nawet do niego nie podeszła.

– Czy ktoś jeszcze tam jest? – zwrócił się do policjanta. – W środku została kobieta, agentka FBI, która...

– Lada chwila będziemy forsować drzwi do sali – przerwał mu gliniarz.

– Muszę tam być.

– Nie, zostaniesz tutaj.

– A jeśli oni nie zdążą dotrzeć do niej na czas? – zaprotestował Rouche.

Odwrócił się i ruszył w stronę głównego wejścia, ale policjant zatrzymał go, unosząc karabinek szturmowy.

Baxter podbiegła do nich, żeby opanować sytuację.

– Nic się nie dzieje! – zawołała do uzbrojonego gliniarza, a potem zastąpiła drogę Rouche'owi, który chwycił się za obolałe żebra, kiedy popchnęła go delikatnie. – Życie ci niemiłe? Powiedziałeś, że nie chcesz umierać, pamiętasz? Obiecałeś.

– Ona wciąż tam jest! Może gdybym... Gdybym mógł chociaż...

– Już po niej! – krzyknęła Baxter, a potem zniżyła głos do szeptu: – Ona nie żyje.

Rozległ się stłumiony grzmot, a potem frontowa ściana kościoła runęła na ulicę, wypchnięta przez ogromną kulę ognia, która zawirowała w powietrzu i cofnęła się w głąb rumowiska przy wtórze brzęku tłuczonych szyb. Baxter zatoczyła się do tyłu, przyciskając dłonie do uszu, i po chwili wszystko dookoła pochłonęła chmura gryzącego dymu. Nic nie widziała, zaciskając powieki, pod którymi czuła ostre drobinki pyłu, a po chwili na jej nadgarstku zacisnęła się czyjaś dłoń. Ktoś pociągnął ją za sobą. Nie wiedziała, dokąd ją prowadzi, dopóki nie usłyszała skrzypnięcia otwieranych drzwi samochodu.

– Wsiadaj! – krzyknął Rouche i zatrasnął za nią drzwi, a potem okrążył maskę, żeby wsiąść z drugiej strony.

Baxter zaczerpnęła głęboki haust powietrza i zaczęła trzeć oczy, aż wreszcie zdołała je otworzyć. Siedzieli w jednym z radiowozów porzuconych na środku skrzyżowania. Widziała tylko twarz Rouche'a i rzekę czarnego dymu, który przewalał się za szybami. Wokół panował mrok, jakby już zapadł wieczór. Wstrząsnęły nią dreszcze, kiedy ogarnęła pamięcią wydarzenia ostatnich



dwudziestu minut. Obydwoje milczeli.

A potem nastąpiła druga eksplozja.

Baxter złapała Rouche'a za rękę i zaczęła histerycznie dyszeć. Tym razem odgłos dobiegł z jakiegoś bliżej położonego miejsca, a nie od strony kościoła, ale poza wnętrzem radiowozu nie widzieli nic. Rozległ się trzeci wybuch i Baxter zamknęła oczy. Poczowała, że Rouche przyciska ją do siebie, kiedy huknęła czwarta i ostatnia eksplozja.

Światło stopniowo przedzierało się przez dym, który zaczynał rzednąć. Baxter uwolniła się z objęć Rouche'a i wysiadła z samochodu, przyciskając do twarzy rękaw kurtki jak prowizoryczną maskę. Nigdzie nie zauważyła policjanta z jednostki taktycznej i domyśliła się, że uciekł do wnętrza budynku po pierwszym wybuchu. Nad miastem rozjarzyły się łuny pożarów, a ku niebu unosiły się słupy czarnego dymu, które na tle panoramy Nowego Jorku przywoływały ponure skojarzenia. Posępną ciszę zaczęły rozpraszać nadciągające niczym lawina zawodzenia syren, odgłosy alarmów i krzyki ludzi.

– Gdzie to? – zapytała Baxter.

– Na Times Square – wyszeptał Rouche.

Obydwoje stali zamroczeni, przyglądając się bezradnie, jak płonie miasto.

# SESJA PIERWSZA

WTOREK, 6 MAJA 2014

9.13

Lucas Keaton się spieszył, wiedział jednak, że nie wyjdzie z domu, jeżeli zdjęcie będzie wisiało krzywo. Nawet gdyby się starał, i tak w końcu zawróciłby po pięciu minutach, narażając się na spóźnienie. Pukanie do drzwi nie ustawało, kiedy podszedł do ściany i bardzo delikatnie przesunął ramkę z jednej strony. Podjął bohaterski wysiłek, próbując nie skupiać uwagi na wspomnieniach zamkniętych za szybą... ale jego wola okazała się tak słaba jak zawsze – nie zliczyłby godzin, które stracił przed tą ścianą, pogrążając się w przeszłości zabarwionej różowym odcieniem ideału.

Nie słyszał już nawet natarczywego pukania, kiedy wlepił wzrok w fotografię – stał na niej w towarzystwie żony i dwóch synów, wszyscy w tandetnych strojach z nadrukami Universal Studios. Skupił wzrok na swoim dawnym wcieleniu. Nosił wtedy gęstą brodę, załzątek typowej dla wieku średniego oponki zaczynał się zarysowywać pod tanim podkoszulkiem, a brzydkie kręcone włosy pokrywały znacznie większą część jego łysiejącej czaszki niż teraz. Miał opanowaną do perfekcji portretową minę, ten sam nieszczery wyraz szczęścia, którego używał na co dzień, pozując fotoreporterom i do zdjęć reklamowych. Może i był tam z nimi ciałem, ale jego umysł błodził gdzie indziej, zaabsorbowany ważniejszymi sprawami, i za to sobą gardził.

Człowiek po drugiej stronie drzwi nacisnął jazgotliwy dzwonek, odrywając go od przykrych refleksji. Lucas zbiegł na dół po schodach i przechodząc obok wielkiego lustra w holu, poprawił krawat.

– Przepraszam, że pana poganiam, panie Keaton, ale możemy się spóźnić – odezwał się kierowca.

– Nie musisz przeproszać, Henry – odparł z uśmiechem. – Nigdzie nie zdążyłbym na czas, gdybyś mnie nie poganiał. Wybacz, że kazałem ci czekać.

Henry od razu zajął miejsce za kierownicą. Woził Keatona dostatecznie długo, aby wiedzieć, że multimilioner nie znosi, kiedy ktoś otwiera przed nim drzwi samochodu.

– Dzisiaj jedziemy w inne miejsce – zagadnął, kiedy wyruszyli w drogę.

Lucas nie odpowiedział od razu. Miał ochotę podróżować w milczeniu.

– Potem jesteś wolny. Wrócę sam do domu.

– Jest pan pewien? – zapytał kierowca i nachylił się, żeby spojrzeć w niebo. – Chyba zanoszą się na deszcz.

– Poradzę sobie. Ale chciałbym, żebyś policzył sobie również za podróż powrotną i w tym czasie wstąpił gdzieś na dobry lunch.

– To bardzo miło z pana strony.

– Henry, nie chciałbym być nietowarzystki, ale muszę jeszcze odpisać na kilka mejli, zanim dotrę na to... spotkanie.

– Nie ma sprawy. Proszę tylko dać mi znać, gdyby pan czegoś potrzebował.

Zadowolony, że nie uraził kierowcy, Lucas wyjął komórkę i przez resztę podróży wpatrywał się w zgaszony wyświetlacz.

W swoim czasie Lucas spotkał tyle znanych osobistości, potentatów biznesowych i przywódców politycznych, że nie potrafiłby ich wszystkich zliczyć, mimo to nigdy nie czuł się tak zdenerwowany jak teraz, kiedy siedział w poczekalni gabinetu Alexeia Greena. Jego noga bez przerwy podrygiwała, kiedy wypełniał kwestionariusz, który dostał po przybyciu na miejsce. Z trudem udawało mu się utrzymać długopis w lepkich od potu palcach i tak mocno obgryzł paznokieć kciuka, że poczuł w ustach smak krwi. Wstrzymał oddech, gdy w recepcji zadzwonił telefon. Kilka sekund później otworzyły się drzwi w głębi poczekalni i stanął w nich niezwykle przystojny mężczyzna. Lucas tak wiele czasu poświęcił na analizowanie swojej postępującej łysiny na zdjęciu, że nie potrafił oderwać wzroku od włosów Greena, zaczesanych modnie do tyłu. Takie fryzury nosili teraz wszyscy gwiazdorzyci filmowi, a ten facet wyglądał jak jeden z nich.

– Jestem Alexei – odezwał się psychiatra, podchodząc do niego, i uściśnął mu dłoń z taką serdecznością, jakby przyjaźnili się od lat. – Zapraszam do środka. Mogę ci podać coś do picia? Herbaty? Może kawy? Szklankę wody?

Lucas pokręcił głową.

– Nie? W takim razie usiądź. – Green się uśmiechnął i delikatnie zamknął drzwi.

Przez ponad dwadzieścia minut Lucas nie odezwał się ani słowem. Obracał w palcach suwak kurtki, a gdy na krótką chwilę uniósł głowę, napotkał spojrzenie Greena, który cierpliwie mu się przyglądał. W końcu ukrył twarz w dłoniach i zaniósł się szlochem. Psychiatra nadal milczał.

Minęło kolejne pięć minut. Lucas otarł zaczerwienione oczy i westchnął przeciągle.

– Przepraszam – odezwał się, wciąż z trudem powstrzymując płacz.

– Nic nie szkodzi – odparł łagodnym tonem Green.

– Ja tylko... Nikt nie rozumie, przez co przechodzę. Już nigdy nie poczuję się dobrze. Jeśli traci się kogoś, kogo się kochało, tak naprawdę, całym sercem... to jak można czuć się dobrze?

Green nachylił się w stronę roztrzęsionego pacjenta i podał mu garść papierowych chusteczek z pudełka, które stało na biurku.

– Istnieje zasadnicza różnica między dobrym samopoczuciem a pogodzeniem się z tym, na co nie masz wpływu – powiedział. – Spójrz na mnie. Jestem przekonany, że mogę ci pomóc.

Lucas nieśmiało uniósł wzrok i pokiwał głową.

– Tak... – Uśmiechnął się, ocierając łzy. – Też tak myślę.

# Rozdział 22

WTOREK, 15 GRUDNIA 2015 ROKU

14.04

Baxter wysłała trzy SMS-y o identycznej treści: do Edmunda, do Vanity i do Thomasa.

„Nic mi nie jest. Wracam”.

Wyłączyła telefon i wsiadła do jednego z nielicznych pociągów metra, jakie jeszcze kursowały w kierunku Coney Island. Chciała jak najszybciej wydostać się z Manhattanu, być jak najdalej od wszystkich tych wstrząśniętych ludzi i od czterech chmur czarnego dymu, które plamiły błękitne niebo nad miastem niczym gigantyczny podpis mordercy.

Wszyscy pasażerowie wykruszyli się po drodze i została sama w wagonie. Wsiadła na niemal opustoszałej stacji metra, zapięła kurtkę, osłaniając się przed wiatrem, który wiał tu mocniej i był zimniejszy niż w centrum, i ruszyła w stronę plaży.

Oszroniony szkielet kolejki górskiej w zamkniętym na zimę parku rozrywki górował nad budkami i straganami, na których straszyły masywne kłódki. Widok ten był dla niej odzwierciedleniem pustki kryjącej się pod powierzchnią, gdzie jaskrawe światła i hałaśliwa muzyka odwracały uwagę od bezwartościowych rozrywek. To samo przyciągnęło tego ranka tłumy ludzi na Times Square, do tego słynnego przybytku turystów, gdzie ludzie z całego świata wpatrują się w powiększone wersje reklam, na które gdzie indziej nikt nie zwróciłby uwagi. Chociaż wiedziała, że to niedorzeczne, czuła złość na wszystkie te firmy, które tak nachalnie wciskały ludziom swoje produkty. Nagła śmierć w blasku neonu Coca-Coli miała w sobie coś tak jałowego, że wydawała się dużo większą stratą.

Baxter nie miała ochoty dłużej o tym myśleć. Nie miała ochoty myśleć o niczym, zwłaszcza o Curtis, której pozwolili wykrwawić się samotnie w tym potwornym miejscu. Chociaż się burzyła i zarzucała Rouche'owi tchórzostwo, zdawała sobie

sprawę, że pozwoliła mu się stamtąd wyprowadzić, a gdyby naprawdę chciała zostać, żadna siła nie zdołałaby jej oderwać od rannej towarzyszki. Właśnie dlatego była na niego taka wściekła – bo on o tym wiedział. To była ich wspólna decyzja. Obydwoje ją tam porzucili.

Minęła wesołe miasteczko i dalej szła promenadą, choć przed sobą miała już tylko śnieg i bezmiar oceanu.

Następnego dnia rano wstała wcześniej i zrezygnowała ze śniadania, żeby przez przypadek nie natknąć się na Rouche'a. Zapowiadał się pogodny zimowy dzień, na niebie nie było ani jednej chmurki, więc zamówiła kawę na wynos i udała się piechotą na Federal Plaza. Przeszła przez stanowisko kontroli i windą dojechała do biura, w którym panowała posępna atmosfera.

Do sali konferencyjnej weszła jako pierwsza i zajęła miejsce w ostatnim rzędzie. Po chwili uświadomiła sobie dlaczego. Razem z Wolfem zawsze siadali z tyłu na odprawach i szkoleniach. Lepiej, żeby nikt nie widział, jak dwie czarne owce się objijają.

Uśmiechnęła się i od razu poczuła złość na siebie za ten przyływ nostalgii, ale przypomniała sobie, jak Finlay pewnego razu zdrzemnął się niechcący podczas prelekcji na temat poprawności politycznej. W ciągu dwudziestu minut Baxter i Wolf centymetr po centymetrze przesuwali jego krzesło, aż obrócili go tyłem do sali. Jego mina była bezcenna, kiedy prowadzący to zauważył i zaczął się na niego wydzierać. Zwyczywał Finlaya od leniwych szkockich skurwieli i na tym szkolenie się zakończyło.

Baxter miała zbyt wiele na głowie, by pogrążyć się w takich wspomnieniach. Wstała i przeszła do pierwszego rzędu. Za pięć dziesiątą zaczęli schodzić się ludzie, napełniając salę atmosferą gniewnego podniecenia. Odwróciła wzrok, kiedy w drzwiach pojawił się Rouche i zaczął jej wypatrywać. Z braku innych miejsc był zmuszony usiąść w pierwszym rzędzie, którego wszyscy unikali.

Na próżno starała się nie myśleć o stracie koleżanki. Niespełna pół minuty po wejściu do sali Lennox włączyła ogromny monitor dotykowy, na którym widniało zdjęcie uśmiechniętej Curtis w galowym mundurze. Nawet przy takim powiększeniu miała nieskazitelnie gładką cerę. Baxter poczuła się, jakby ktoś uderzył ją w brzuch. Zaczęła się rozglądać dokoła, żeby zająć czymś oczy, bo wiedziała, że w przeciwnym razie wypełnią się łzami.

Napis pod zdjęciem głosił:  
Agentka specjalna Elliot Curtis  
1990–2015

Lennox spuściła głowę i przez chwilę stała tak w milczeniu.

– Chyba Bóg potrzebował jeszcze jednego anioła – odezwała się wreszcie.

Baxter została na miejscu, choć kosztowało ją to wiele wysiłku, jednak ku jej zdumieniu Rouche wstał i opuścił salę.

Po pełnej napięcia chwili Lennox rozpoczęła spotkanie. Oznajmiła, że tego popołudnia „z żalem” muszą pożegnać konsultantkę z Londynu, której pragnie podziękować za jej „nieoceniony” wkład w śledztwo. Potem zaznaczyła, że dla pozostałych to dopiero początek, że będą „posuwać się naprzód”, podejmując ścisłą współpracę z Departamentem Bezpieczeństwa Krajowego i sekcją antyterrorystyczną nowojorskiej policji. Na koniec przedstawiła agenta, który miał przejąć obowiązki Curtis.

– Wczoraj rano wszyscy, jako stróżowie prawa i jako naród, daliśmy się wciągnąć w pułapkę – oznajmiła zebrany. – Już więcej nie popełnimy takiego błędu. Jeśli spojrzeć na to z perspektywy czasu, wszystko wydaje się teraz takie oczywiste. Wykorzystując rozgłos wokół sprawy „Szmacianej Lalki”, morderca przyciągnął uwagę mediów, potem urządził w holu Grand Central ten makabryczny spektakl, który zapewnił mu zainteresowanie całego świata, a teraz zabija naszych ludzi, żeby sprowokować niewspółmierną reakcję... Przynęta.

Jej słowa wywołały niezręczne milczenie. Cały czas natrafiali na sygnały świadczące o tym, że ktoś nimi manipuluje, i żaden z nich nie zauważył, co się święci.

– Zaangażowaliśmy w tę sprawę wszystkie zasoby. – Lennox spojrzała w notatki. – Wczoraj na odcinku między kościołem a Times Square zginęło dwadzieścioro dwoje naszych ludzi, wliczając w to policjantów, wszystkich funkcjonariuszy jednostki taktycznej i oczywiście agentkę Curtis. W tej chwili ogólne straty sięgają stu sześćdziesięciu ofiar śmiertelnych, ale ta liczba może znacznie wzrosnąć, ponieważ trwają jeszcze akcje poszukiwawcze, a w szpitalach ludzie umierają od poniesionych ran. – Zawiesiła głos i zerknęła w stronę fotografii na monitorze. – Musimy dopaść i ukarać odpowiedzialnych za tę masakrę, jesteśmy to winni wszystkim ofiarom...

– O tak, z miłą chęcią ich ukarzę – wtrącił ktoś z zebranych.

– ...ale mając na względzie szacunek dla naszych poległych kolegów, powinniśmy zachować najwyższe standardy profesjonalizmu, bo tego by od nas oczekiwali – dokończyła Lennox. – Pewnie już nie możecie mnie słuchać, więc teraz oddaję głos agentowi specjalnemu Chase'owi.

Następca Curtis wstał z krzesła. Baxter już wcześniej postanowiła znienawidzić go dla zasady, i ku swemu zadowoleniu odkryła, że jej antypatia jest w pełni uzasadniona. Chase chodził po biurze obwieszony połową swojego ekwipunku, gdyż najwyraźniej sądził, że świetnie się w nim prezentuje.

– No dobra – zaczął Chase, który pocił się obficie pod zbędną kamizelką kuloodporną. – Udało nam się zidentyfikować dwa samochody wykorzystane we wczorajszych zamachach.

Zdjęcia zaczęły powoli krążyć wśród zebranych. Jedno przedstawiało białą furgonetkę stojącą w bocznym zaułku, a na drugim widniała druga biała furgonetka, zaparkowana na środku deptaka.

– Jak widzicie, dwa identyczne pojazdy z kradzionymi tablicami umieszczone w strategicznych punktach, żeby spowodować jak największe straty.

– W tej małej uliczce? – zapytała siedząca w jednym z przednich rzędów agentka.

– Straty w ludziach i szkody budowlane – wyjaśnił Chase. – Wybuch w tej uliczce miał zniszczyć billboard i kulę noworoczną. Byliśmy już wtedy w stanie wysokiej gotowości. W każdy inny dzień przechwycilibyśmy te samochody, zanim zdążyłyby dojechać na odległość dziesięciu przecznic od centrum. Straciliśmy czujność na niecałe pół godziny i zapłaciliśmy za to wysoką cenę.

– A pozostałe dwie eksplozje?

– Do ostatniej doszło pod ziemią, w tunelu metra, ale nie w pociągu. Przymuszczalnie ładunek znajdował się w plecaku albo czymś podobnym, ale ustalenie szczegółów trochę potrwa. Natomiast w kościele detonator musiał być jakoś połączony z drzwiami. Najprawdopodobniej te drewniane lalki, które tam wisiały, były nafaszerowane plastikiem. Wybuch nastąpił, kiedy nasi ludzie weszli do środka.

Chase uniósł najnowsze zdjęcie długowłosego brytyjskiego psychiatry.

– Nasz główny podejrzany, doktor Alexei Green, zapadł się pod ziemię. Myśli,



że zdoła się przed nami ukryć, ale jest w błędzie. Wydaje mu się, że jest sprytniejszy od nas. Również się myli. Żaden z nas nie spocznie, dopóki nie zakujemy tego skurwiela w kajdanki. A teraz bierzmy się do roboty.

Baxter zasiadła w fotelu przy oknie. Przejście przez kontrolę zajęło jej ponad godzinę z powodu zaostrzonych środków bezpieczeństwa, które wprowadzono poprzedniego dnia. Po spotkaniu, gdy już wysłuchiwała nieszczerých podziękowań Lennox, która wezwała ją do swojego gabinetu, wykorzystała dogodny moment i wymknęła się tak, żeby nie spotkać Rouche'a. To było niegrzeczne z jej strony, że wyjechała bez pożegnania, ale mu nie ufała. Czasami wydawał się jej drażniący ekscentryczny, czasami po prostu dziwaczny, a teraz jego twarz kojarzyła się jej z najgorszym doświadczeniem w życiu, którego wspomnienie napawało ją zarówno przerażeniem, jak i wstydem.

Cieszyła się, że już go więcej nie zobaczy.

Była zmęczona, bo przez cały wieczór włóczyła się bez celu po mieście. Przemierzyła na piechotę wiele kilometrów. Kiedy wreszcie wróciła do hotelu, dopadły ją myśli, przed którymi próbowała uciec, nie pozwalając się rozluźnić ani na chwilę.

Wyjęła tandetne słuchawki z kieszonki na oparciu fotela przed sobą, wybrała stację radiową z usypiającą muzyką i zamknęła oczy.

Stłumiony odgłos silników zlewał się z kojącym szumem ciepłego powietrza, które wpadało przez wywietrzniki do przytulnie oświetlonej kabiny. Baxter szczelniej otuliła się kocem i usadowiła się w wygodniejszej pozycji, gdy nagle dostało do niej, że przed zaśnięciem nie miała koca.

Obudziła się natychmiast, otworzyła szeroko oczy i zobaczyła kilka centymetrów od siebie znajomą twarz o lekko rozchylnych ustach, z których wydobywało się ciche pochrapywanie.

– Rouche! – krzyknęła, budząc co najmniej siedem osób na sąsiednich fotelach.

Z tyłu ktoś syknął, żeby ją uciszyć.

Rouche rozglądał się przez chwilę oszołomionym wzrokiem.

– Co się stało? – szepnął.

– Co się stało? – powtórzyła Baxter wciąż podniesionym głosem. – Co tu robisz?

– Gdzie?

– No... tutaj! W tym samolocie!

– Czy byłąby pani uprzejma mówić trochę ciszej? – zwróciła się do niej stewardesa. – Zakłóca pani spokój innym pasażerom.

Baxter tak długo mierzyła ją wzrokiem, aż wreszcie kobieta odeszła chwiejnym krokiem.

– Przyjmując hipotezę, że wczorajsze wydarzenia stanowią dalszy ciąg serii morderstw popełnionych w Stanach, musimy się przygotować na ewentualność ataków na podobną skalę w Wielkiej Brytanii – wyjaśnił Rouche ledwie dosłyszalnym szeptem. – Alexei Green to nasz główny podejrzany, a ostatni raz widziano go w Londynie krótko po tym, jak Cur... Krótko po tym, jak byliśmy w więzieniu.

– Curtis – warknęła Baxter. – Nie powinieneś mieć oporów przed wypowiedzeniem jej nazwiska. Tak czy inaczej, będzie nas prześladowało do końca życia. Mieliśmy broń. Trzeba było chociaż spróbować, a zostawiliśmy ją tam na pewną śmierć.

– Nie mogliśmy jej pomóc.

– Tego nie wiesz!

– Owszem, wiem! – Rouche podniósł głos w przypiływie rozdrażnienia i od razu uspokoił przepaszającym gestem starszą kobietę siedzącą po drugiej stronie przejścia. – Wiem – powtórzył cicho.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Ona by nie chciała, żebyś narażała dla niej życie – odezwał się znów łagodnym tonem. – I wie, że nie chciałaś jej zostawiać.

– Była nieprzytomna – odparła Baxter.

– To znaczy teraz. Ona to wie. Patrzy na nas z góry i...

– Och, lepiej się zamknij!

– Sama się zamknij – mruknął ktoś z fotela przed nimi.

– Nie waż się wciskać mi tych swoich religijnych bredni. Nie jestem jakimś durnym dzieckiem, które właśnie straciło chomika, więc zachowaj dla siebie to pieprzenie o wrózkach z nieba, dobra?

– Dobra. Przepraszam.

Rouche uniósł ręce w geście kapitulacji, ale Baxter jeszcze nie skończyła.

– Nie mam zamiaru słuchać, jak się pocieszasz fantazjami o jakimś wspaniałym

świecie, do którego odleciała Curtis i teraz jest nam wdzięczna za to, że pozwoliliśmy jej się wykrwawić na brudnej podłodze. Ona nie żyje! Nie ma jej! Czuła ból, a potem odeszła w niebyt. I koniec.

– Przepraszam, że o tym wspomniałem – powtórzył Rouche, wstrząśnięty zaciekleścią jej reakcji.

– Powinieneś być inteligentny. Cała nasza praca opiera się na gromadzeniu dowodów, niepodważalnych faktów, a jednak ty wolisz wierzyć, że gdzieś na chmurce siedzi sobie jakiś stary sukinsyn i czeka, aż wszyscy wyzionimy ducha. Po prostu tego nie pojmuję.

– Mogłabyś już przestać? Proszę.

– Ona nie żyje, jasne? – powiedziała Baxter i dopiero teraz zdała sobie sprawę, że z oczu płyną jej łzy. – Z naszej winy został z niej tylko zimny worek mięsa i kości w szufladzie chłodni. I skoro ja będę musiała z tym żyć do końca moich dni, to ty również.

Włożyła słuchawki do uszu i obróciła się do okna, wciąż dysząc ciężko ze wzburzenia. Zobaczyła swoje odbicie w ciemnej szybie. Jej twarz stopniowo się rozluźniała i wyraz furii ustępował miejsca czemuś, co przypominało poczucie winy. Zbyt uparta, żeby przeprosić, zamknęła oczy i siedziała tak, aż wreszcie znów zapadła w sen.

Kiedy wylądowali na Heathrow, Rouche był przyjazny i uprzejmy jak zwykle, co tylko pogorszyło jej samopoczucie. Zignorowała wszystkie jego próby nawiązania kontaktu i przepchnęła się w stronę wyjścia, żeby opuścić pokład przed nim. Jej walizka przyjechała jako jedna z pierwszych. Porwała ją z karuzeli bagażowej i ciągnąc za sobą, wyszła z terminalu, żeby poczekać na Thomasa.

Dziesięć minut później usłyszała za plecami turkot kółeczek i skupiła wzrok, patrząc przed siebie. Wreszcie odgłos zaczął się oddalać, a ona kątem oka dostrzegła Rouche'a idącego w stronę postoju taksówek. Gdy spojrzała w dół, zobaczyła swoją pomarańczową czapkę i rękawiczki, które leżały na walizce. Ze zdumieniem pokręciła głową.

– Jestem okropna, naprawdę okropna – wyszeptała.

# Rozdział 23

CZWARTEK, 17 GRUDNIA 2015 ROKU

9.34

– Dzień dobry, szefowo!

– Witamy z powrotem na pokładzie.

– Ale jaja! Już wróciła.

Pięć minut po przybyciu do gmachu Scotland Yardu Baxter musiała się przedrzeć przez falę powitań, na ogół przyjaznych, zanim dotarła do swojego biura.

Rano Thomas zawiózł ją do siebie. Wzięła prysznic, przebrała się i wspólnie zjedli śniadanie, podczas gdy Echo siedział nadąsany w kącie, nieufnie spoglądając na panią, która porzuciła go w jakimś dziwnym miejscu prawie na cały tydzień. Ale po raz pierwszy czuła się u Thomasa jak w domu... jego obecność sprawiała, że tak się czuła.

Nie będąc do końca pewna, która jest godzina, a nawet dzień, pojechała do pracy.

Zacisnęła powieki i odetchnęła głęboko, podpierając plecami wątle drzwi, które przed chwilą za sobą zatrzasnęła na wypadek, gdyby jeszcze ktoś próbował się z nią przywitać.

– Dzień dobry.

Powoli otworzyła oczy i zobaczyła Rouche'a, który siedział za jej biurkiem. Wyglądał na całkiem przytomnego i pełnego życia, co tylko ją rozdrażniło.

– Proszę! – zawołała. – Ach, cześć, Jim.

Na progu stanął wąsaty starszy mężczyzna i spojrzał pytająco na jej gościa.

– Dzień dobry – powiedział. – Ja tylko w sprawie naszego... przesłuchania.

– W porządku – odparła Baxter i zwróciła się do Rouche'a: – Jim kieruje „poszukiwaniami” detektywa Fawkesa.

– No więc – Jim nawet nie zadał sobie trudu, żeby usiąść – widziałaś Wolfa?

– Nie.

– Świetnie. W takim razie do zobaczenia za tydzień – odparł i zamknął za sobą drzwi.

Baxter spięła się w sobie, gotowa na przyjęcie kolejnego interesanta, ale nikt się nie zjawił.

– Zająłem twoje miejsce. – Rouche przesiadł się na jedno z tandetnych plastikowych krzeseł. – Umówiłem się na spotkanie z szefem sekcji antyterrorystycznej MI5. O wpół do jedenastej w Thames House. Mam nadzieję, że zdążymy. Potem tutaj o dwunastej będą na nas czekać ludzie z wydziału operacji specjalnych. Pomyślałem, że moglibyśmy tam pojechać razem – dodał niepewnie.

– Pomyślałeś? Dobra, ale ja prowadzę.

– Proszę dmuchać... Jeszcze, jeszcze, jeszcze...

Alkomat zapiszczał dwa razy i młody funkcjonariusz oderwał go od ust Baxter. Jego kolega leżał na jezdni, próbując wyciągnąć spod podwozia audi to, co zostało z roweru. Ratownicy badali rowerzystę, chociaż jego obrażenia ograniczały się do kilku drobnych zadrapań, natomiast Rouche siedział w milczeniu na krawężniku i wyglądał na zszokowanego.

– Skończyliśmy już?! – zawołała Baxter.

Ponieważ nikt nie udzielił jej konkretnej odpowiedzi, wyjęła z kieszeni wizytówkę i wręczyła ją ubranemu w lycrę mężczyźnie, który kipiał ze złości. Rouche podniósł się ociężale i wrócił do samochodu. Kilka dodatkowych kawałków włókna węglowego zastukało o beton, kiedy zjechali z chodnika i ruszyli w dalszą drogę.

– Włóżysz to do schowka? – Baxter wyciągnęła rękę, w której trzymała plik wizytówek Policji Metropolitalnej.

Rouche wziął je od niej, ale nagle znieruchomiał.

– Wiesz, że są na nich dane Vanity, prawda?

Spojrzał na nią pytająco i nawet kiedy zgromiła go wzrokiem, niezrażony czekał na wyjaśnienie.

– Naprawdę nie mogę sobie pozwolić na więcej roszczeń ubezpieczeniowych – powiedziała. – Spowodowałam jedenaście wypadków, odkąd udzielono mi definitywnego ostrzeżenia. Zwinę kilka wizytówek Finlaya Shawa, jeśli nadarzy się okazja. Mogłabym mieć na imię Finlay, prawda?

– Absolutnie nie.

– Myślę, że to by przeszło – zapewniła go. – On jest na emeryturze i nie będzie miał nic przeciwko temu.

Rouche nie wyglądał na przekonanego. Po pięciu minutach milczenia, w ciągu których przejechali w korku jakieś półtora metra, postanowił nawiązać rozmowę.

– Twój chłopak musi być zadowolony, że wróciłaś – zagadnął swobodnie.

– Tak sędzę. – Baxter uległa wymogom etykiety i zrewanżowała się uprzejmym komentarzem, który wypowiedziała z zapalem robota: – Pewnie sprawiłaś radość swojej rodzinie, wracając do domu.

Rouche westchnął.

– Zdążyły już wyjść, kiedy taksówkarz skończył mnie obwozić po Londynie.

– Szkoda. Postaramy się skończyć o przyzwoitej porze, żebyś mógł się wreszcie z nimi przywitać.

– Byłoby miło. Myślałem o tym, co powiedziałaś o Curtis i...

– Nie chcę o tym rozmawiać! – przerwała mu gwałtownie Baxter i natychmiast odżyły w niej burzliwe emocje z poprzedniego dnia. Zapadła krępująca cisza. – No ale przecież nie będziemy tak milczeć! – odezwała się po chwili ze złością. – Nie możemy porozmawiać o czymś innym?

– Na przykład o czym?

– O czymkolwiek. Nie wiem. Opowiedz mi o swojej córce.

– Lubisz dzieci? – zapytał Rouche.

– Nie.

– Tak myślałem. No cóż, ma ogniście rude włosy, jak jej mama, i lubi śpiewać, chociaż wtedy najlepiej trzymać się od niej w bezpiecznej odległości.

Baxter uśmiechnęła się, kiedy przypomniała sobie, że Wolf mówił to samo o niej. Kiedy przymknął handlarza narkotyków, który wyskoczył na niego z nożem, kazał jej umilać aresztowanemu czas śpiewem, a sam poszedł kupić coś na lunch.

Nacisnęła hamulec i zablokowała ruchliwe skrzyżowanie.

– Uwielbia pływać i tańczyć, a w każdą sobotę ogląda *X-Factora* – ciągnął Rouche. – A na urodziny nie chce nic innego oprócz Barbie.

– W wieku szesnastu lat?

– Szesnastu?

– Tak. Twój przyjaciel, tamten agent FBI, powiedział, że wasze córki są w tym samym wieku.

Rouche przez chwilę sprawiał wrażenie zdezorientowanego, a potem parsknął śmiechem.

– Jestem pod wrażeniem twojej spostrzegawczości, ale McFarlen nie jest moim przyjacielem. Pomyślałem, że łatwiej będzie przytaknąć, zamiast wyprowadzać go z błędu. Moja córka ma sześć lat... Niewiele się pomylił – dodał z uśmiechem.

W końcu Baxter zjechała ze skrzyżowania i utknęła na przejściu dla pieszych.

– Jak ma na imię?

Rouche wahał się przez chwilę, zanim odpowiedział.

– Ellie... Znaczy Elliot. Ma na imię Elliot.

Wyld, szef sekcji antyterrorystycznej, opadł na oparcie krzesła i wymienił spojrzenia ze swoim kolegą. Baxter mówiła bez przerwy od dziesięciu minut, podczas gdy Rouche milczał, potakująco kiwając głową.

Wyld wydawał się zaskakująco młody jak na kogoś, kto piastuje tak wysokie stanowisko w siłach bezpieczeństwa, i emanował niezachwianą pewnością siebie.

– Pani inspektor – wszedł jej w słowo, kiedy uzmysłowił sobie, że nie zdoła się wstrzelić w nieprzerwany potok słów. – Rozumiemy pani obawy...

– Ale...

– ...i doceniamy, że przyszła pani z tym do nas, ale jesteśmy już dobrze zorientowani w waszym śledztwie i nasz zespół analizuje związane z tą sprawą informacje, które przesyła nam FBI.

– Ale ja...

– Musi pani zrozumieć, że poziom zagrożenia w Nowym Jorku osiągnął już stopień krytyczny, co oznacza, że atak był nieunikniony.

– Wiem, co to oznacza – odparła Baxter tonem urażonej dziewczynki.

– W takim razie nie powinno pani dziwić, jeśli powiem, że w Wielkiej Brytanii od piętnastu miesięcy mamy stopień znaczący, który może budzić niepokój, ale jest pocieszająco stabilny.

– Więc go podnieście.

– Obawiam się, że to nie jest takie proste jak wciśnięcie guzika. – Wyld zaśmiał się protekcyjnie. – Ma pani pojęcie, jakie koszty pociąga za sobą każde ogłoszenie alarmu terrorystycznego? Miliardy. Uzbrojone patrole na ulicach, mobilizacja wojska, przestoje w zakładach pracy, wstrzymanie inwestycji z zagranicy, spadek cen akcji... Można by wyliczać w nieskończoność. Poza tym,

wprowadzając stopień krytyczny, przyznalibyśmy się przed całym światem, że spodziewamy się dużego zamachu i za cholere nie potrafimy go powstrzymać.

– A więc chodzi o pieniądze?

– Częściowo tak – przyznał Wyld. – Ale bardziej o absolutne, stuprocentowe przekonanie, że dojdzie do ataku, a tego nie możemy udowodnić. Od czasu wprowadzenia stanu znaczącego udaremniliśmy siedem poważnych zamachów terrorystycznych, o których trąbiły media, oraz wiele, wiele innych, ale o nich już informowaliśmy. Zmierzam do tego, że gdyby doszło do incydentu związanego z serią morderstw Azazela...

– Nie nazywamy tego w ten sposób.

– ...już byśmy o tym wiedzieli.

Baxter pokręciła głową i roześmiała się gorzko. Rouche rozpoznał jej wyraz twarzy i włączył się do rozmowy, żeby nie zdążyła powiedzieć czegoś, czego mogłaby żałować.

– Chyba nie sugeruje pan, że eksplozje na Times Square, do których doszło niespełna dziesięć minut po masakrze w kościele, to tylko zbieg okoliczności?

– Oczywiście, że nie – obruszył się Wyld. – Ale czy bierzecie pod uwagę, że pierwszy atak mógł stworzyć dogodne warunki dla pozostałych? Że ktoś przyspieszył zaplanowany na później zamach terrorystyczny, wykorzystując szeroko zakrojoną akcję policji w okolicy?

Baxter i Rouche nic nie odpowiedzieli.

– FBI już ustaliło, że prymitywne materiały wybuchowe użyte w kościele w niczym nie przypominały tych, które zdetonowano na ulicy. A co się tyczy całej tej teorii o lustrzanym podobieństwie, to po naszej stronie Atlantyku mieliśmy tylko dwa morderstwa i oba zostały szeroko nagłośnione zarówno w kraju, jak i za granicą. Istnieje całkiem spore prawdopodobieństwo, i nawet wy musicie to przyznać, że masakra w kościele była finałowym zagranem.

Baxter wstała i skierowała się w stronę wyjścia, a Rouche podążył jej śladem.

– Dostaliście już wiadomość? – zapytała Baxter, zbliżając się do drzwi. – Czy jakaś organizacja przyznała się do tych wszystkich zniszczeń i ofiar?

Wyld z irytacją spojrzął na swojego kolegę.

– Nie, nikt się nie przyznał.

– Wie pan dlaczego? Bo to jeszcze nie koniec.



– Co za fiuty! – syknęła Baxter, kiedy wyszli z potężnej łukowatej bramy Thames House na smaganą chłodnymi podmuchami ulicę.

Rouche nie zwracał na nią uwagi, zajęty przeglądaniem mejli w swoim smartfonie.

– W ruinach kościoła znaleziono jednego z zabójców, który przeżył.

– Naprawdę? Jakim cudem?

– Leżał pod stertą gruzu w jednym z korytarzy za kulisami, widocznie dosyć daleko od wybuchu. Jest w śpiączce, ale Lennox nalega, żeby go wybudzić wbrew zaleceniom lekarzy.

– Brawo dla niej – powiedziała Baxter.

Nie pałała sympatią do kierującej śledztwem agentki, ale wiedziała, że Vanita nigdy by się nie zdobyła na tak odważne posunięcie. Podejmowanie trudnych decyzji było zadaniem detektywów, a ona rzucała ich potem na pożarcie, jeśli coś się nie udawało.

– Jest więcej niż prawdopodobne, że facet dozna trwałego urazu mózgu wskutek przedwczesnego wybudzenia.

– Nawet lepiej.

– W takim wypadku to się nie skończy dobrze dla Lennox. Oni też potrzebują swojego kozła ofiarnego.

Baxter wzruszyła ramionami.

– Niestety taki jest typowy efekt uboczny działania w dobrej wierze.

O 20.38 Edmunds chwiejnym krokiem wszedł do mieszkania, gdzie powitała go mieszanina woni talku, świeżej kupy i tostów oraz przeraźliwy płacz, w który Leila wkładała całą siłę swoich niemowlęcych płuc.

– Alex? To ty? – zawołała Tia z sypialni.

Edmunds zajrzał do kuchni, która wyglądała jak po przejściu huraganu. Wszedł na górę, gdzie Tia kołysała w ramionach ich córeczkę. Wyglądała na wyczerpaną.

– Gdzie byłeś?

– W pubie.

– W pubie? – powtórzyła, a on przytaknął z niewinną miną. – Jesteś pijany?

Zakłopotany wzruszył ramionami. Zamierzał wypić tylko jedno piwo, ale Baxter miała mu do przekazania mnóstwo zaległych wiadomości. Poniewczasie doszedł do wniosku, że kiedy próbuje dotrzymać kroku swojej przyjaciółce, zawsze czuje się

nieciekawie następnego dnia.

– Uprzedzałem cię rano – powiedział, idąc przez pokój i zbierając rzeczy z podłogi.

– Nie, powiedziałaś tylko, że dzisiaj przylatuje Emily – sprostowała Tia. – Czy miałam wydedukować, że gdy tylko ona wróci z zagranicy, ty pobiegiesz, żeby się z nią upić?

– Chodzi o nasze śledztwo – rzucił bez zastanowienia Edmunds.

– Nie... nie wasze! To jest jej śledztwo. Ty pracujesz w gospodarczym!

– Ale ona mnie potrzebuje.

– Wiesz co? Ta dziwna relacja, która łączy was dwoje... nie ma sprawy. Jeśli chcesz być na każde jej skinienie niczym jakiś żalosny sługus, to droga wolna.

– Co cię napadło? Przecież ją uwielbiasz! Jesteście przyjaciółkami!

– Och, proszę cię! – Tia zaśmiała się szyderczo. – Ta kobieta to porażka. Jest tak ordynarna, że wręcz ociera się o śmieszność, i uparta jak osioł. W życiu nie spotkałam nikogo, kto byłby tak zawzięty.

Edmunds chciał się z nią kłócić, ale uświadomił sobie, że tak naprawdę nie ma czym odeprzeć żadnego z tych idealnie trafionych zarzutów. Podejrzał, że Tia przećwiczyła sobie tę wymierzoną w Baxter tyradę.

Leila wystraszyła się podniesionego głosu matki i zaczęła płakać jeszcze głośniej.

– A widziałeś, ile kieliszków wina potrafi opróżnić w jeden wieczór? Jezu!

Edmundsowi zaburczało w brzuchu, jakby na potwierdzenie jej słów. Kolejny argument nie do odparcia.

– Jeśli tak bardzo gustujesz w dominujących kobietach, to teraz wypij szklanekę wody, zjedz coś i wytrzeźwiej! – krzyknęła Tia. – Dziś w nocy ty zajmujesz się Leilą, a ja idę spać na kanapę.

Kiedy wychodził z pokoju, rzuciła w niego pluszowym misiem. Edmunds podniósł go i zabrał ze sobą na dół. Przypomniawszy sobie, jak bardzo zakłopotana była Baxter, kiedy wręczała mu tę zabawkę w dniu pierwszych urodzin Leili. Zrobiło mu się smutno na myśl, ile trudu kosztowały ją nawet najprostsze formy obcowania z ludźmi.

Kochał Cię najbardziej na świecie i rozumiał jej punkt widzenia, ale nie potrafił sobie nawet wyobrazić tego, co przeszła jego najbliższa przyjaciółka, tych chwil

grozy i poczucia winy, których doświadczyła w ciągu ostatniego tygodnia. Zamierzał zrobić wszystko, co w jego mocy, że jej pomóc.

Potrzebowała go.

# INICJACJA

WTOREK, 24 LISTOPADA 2015 ROKU

21.13

Wiedziała, że przyszła kolej na nią.

Czuła na sobie ich wzrok i wciąż nie mogła się poruszyć. Zerknęła za siebie, by tylko potwierdzić to, co już wiedziała – że jedyna droga ucieczki równie dobrze mogłaby się znajdować na drugim końcu świata. Była bezsilna.

– Sasha? – rozległ się łagodny głos.

Alexei stał obok niej. Musiała napomnieć się w myślach, żeby w obecności innych zwracać się do niego oficjalnie. Nie pozwalał nikomu mówić do siebie po imieniu, ale jej powiedział, że jest wyjątkowa.

– Chodź ze mną – odezwał się życzliwym tonem i wyciągnął do niej rękę. – Chodź.

Szli między rzędami ludzi. Dla tych po lewej udręka już się skończyła, ale jej tchórzostwo sprawiło, że ci po prawej musieli nieco dłużej trwać w niespokojnym oczekiwaniu.

Green zaprowadził ją w głąb sali, gdzie na wypolerowanej podłodze ciągnęły się rozmazane czerwone smugi – ślad po jednym z braci, który nie dotrwał do końca i stracił przytomność. Jakiś mężczyzna, którego nie znała, patrzył na nią obojętnym wzrokiem, trzymając w dłoniach zakrwawione ostrze. Miał je wytrzeć dopiero po tym, jak ją okaleczy. O to właśnie chodziło. Dzięki temu stawali się równi, zjednoczeni ze sobą.

– Gotowa? – zapytał Green.

Sasha pokiwała głową. Oddychała coraz szybciej, łapiąc powietrze płytkimi haustami. Stanął za nią i zaczął rozpinać guziki jej bluzki, którą potem zsunął z jej ramion. Ale kiedy nieznajomy uniósł ostrze, wzdrygnęła się i odskoczyła w tył, wpadając na Greena.

– Przepraszam... przepraszam – powiedziała ze skruchą. – Już w porządku.

Z powrotem zrobiła krok w stronę mężczyzny o pustym spojrzeniu, zamknęła oczy i pokiwała głową. Poczuła na skórze zimny dotyk metalu.

– Przepraszam... nie, nie mogę...

Cofnęła się i zaniósła się szlochem. Kiedy wszyscy patrzyli na jej rozpacz, Green objął ją mocno i usłyszała jego kojący szept.

– Zrobię wszystko, czego ode mnie zażadasz, przysięgam – powiedziała. – Ale to znaczy dla mnie zbyt wiele. Po prostu... nie mogę.

– Ale przecież rozumiesz, dlaczego proszę cię właśnie o to, prawda? – zapytał.

Brutalne naznaczenie nie mogło boleć bardziej niż wyraz zawodu, który zobaczyła w jego oczach.

– Więc powiedz mi... A nawet lepiej, jeśli powiesz to nam wszystkim. – Green rozluźnił uścisk i odsunął się od niej.

– To dowód, że jesteśmy gotowi zrobić dla ciebie wszystko, że całkowicie jesteśmy ci oddani, że pójdziemy za tobą wszędzie i bez wahania wypełnimy twoją wolę.

Jej wzrok spoczął na zakrzywionym nożu i znów zaczęła płakać.

– Zgadza się. Ale wiesz, że nie musisz robić niczego wbrew sobie. Jesteś pewna, że nie potrafisz się na to zdobyć?

Sasha przytaknęła energicznie.

– Zatem dobrze... Eduardo! – zawołał Green.

Od jednej z grup oderwał się mężczyzna i stanął na środku szpaleru. Pierś miał owiniętą bandażem, który przytrzymał świeży opatrunek.

– Przyjaźnisz się z Sashą?

– Tak, Alex... przepraszam... znaczy, doktorze Green.

– Myślę, że teraz na coś jej się przydasz.

– Dziękuję – szepnęła Sasha, kiedy Eduardo podszedł do nich i objął ją ramieniem.

Green z czułością ścisnął jej dłoń, a potem puścił. Byli w połowie drogi do wyjścia, kiedy znów się odezwał, a jego głos osadził ich w miejscu. Stali na środku sali, wyraźnie widoczni dla wszystkich.

– Eduardo! Sasha zdecydowała, że nie jest jedną z nas... Zabij ją.

Zszokowany Eduardo odwrócił się, żeby coś powiedzieć, ale zobaczył tylko plecy Greena, który wydał już wyrok i nic więcej go nie obchodziło. Znów spojrzał

na swoją przyjaciółkę, niepewny, co robić.

– Eddie? – szepnęła Sasha.

Patrzyła, jak zmienia się wyraz jego twarzy. Zebrani otoczyli ich ciasnym kręgiem i nie widziała już nawet drzwi wyjściowych.

Oczy Eduarda wypełniły się łzami, a potem znienacka uderzył Saszę pięścią w twarz. Wczepiła się w niego i upadając, zerwała mu opatrunek. Kiedy nad nią ukląkł, skupiła wzrok na słowie wyciętym na jego piersi. Poczowała ulgę w ostatnich chwilach swojego życia, bo wiedziała, że to nie on wgniata jej czaszkę w twardą podłogę... Jej przyjaciela już tam nie było.

# Rozdział 24

CZWARTEK, 17 GRUDNIA 2015 ROKU

15.36

Szklane ściany tłumiły dobiegające z zewnątrz krzyki, kiedy Lennox i Chase kroczyli przez hol szpitala. Ktoś – niemal na pewno oporny lekarz, który opiekował się pogrążonym w śpiączce pacjentem – zawiadomił o całej sytuacji media i przed wejściem roilo się od dziennikarzy. Za gęstym kordonem kamer i mikrofonów pojawiały się i znikwały transparenty kołyszące się w rękach aktywistów, którzy przyszlizaprotestować przeciwko zagrażającej życiu ocalonego decyzji FBI.

– Boże, ci ludzie mają taką krótką pamięć – mruknęła Lennox, gdy skręcili w stronę oddziału intensywnej terapii.

Chase nie dosłyszał jej uwagi. Szedł obok swojej przełożonej z telefonem w rękę i spławiał w jej imieniu każdego, kto próbował się do niej dodzwonić. Różne elementy ekwipunku, którym był obwieszony, ocierały się o siebie i każdemu z jego kroków towarzyszył irytujący chrzęst.

– Tak, rozumiem, proszę pana... Oczywiście... Jak już powiedziałem, w tej chwili jest nieuchwytna...

Nadchodzący z przeciwka mężczyzna w średnim wieku przyglądał im się z wyraźnym zainteresowaniem i zanim zdążyli zareagować, wyjął z kieszeni długiego brązowego płaszcza kamerę i dyktafon.

– Agentko Lennox, czy uważa pani, że FBI stoi ponad prawem? – zapytał oskarżycielskim tonem. – Prokurator, sędzia i kat w jednym? Tak to teraz działa?

Chase odepchnął go i przycisnął do ściany, a Lennox przeszła obok, nie zwalniając kroku, ale wciąż ścigały ją krzyki dziennikarza:

– Jego rodzina nie wyraziła na to zgody!

Z pewną siebie miną przeszła między dwoma mundurowymi, którzy pilnowali wejścia na oddział. W środku panowała jeszcze bardziej napięta atmosfera. Na wózku w kącie stał złowieszczo defibrylator, trzy pielęgniarki uwijały się wśród

rurek i przewodów, a lekarz przygotowywał zastrzyk. Nikt nie zwrócił uwagi na Lennox, która zaczęła się przyglądać leżącemu na łóżku mężczyźnie.

Chociaż miał dwadzieścia kilka lat, był chudy jak uczeń. Prawą stronę jego ciała pokrywały poważne oparzenia i znikła pod nimi nawet część wyciętych na piersi liter – podstępny kamuflaż, który pozwalał Marionetce udawać Przynętę, wcielić się zabójcy w rolę ofiary. Miał masywny kark, a z małej dziurki wywierconej w jego czaszce wystawał zakrwawiony dren.

– Chciałbym tylko powtórzyć, jak bardzo jestem temu przeciwny – odezwał się lekarz, nie odrywając oczu od strzykawki. – Nie mam najmniejszych wątpliwości, że nie powinniśmy tego robić.

– Przyjmuję to do wiadomości – odparła Lennox.

Poczuła się trochę pewniej, kiedy do sali wszedł Chase. Przynajmniej jedna z obecnych osób była po jej stronie.

– Przywrócenie do świadomości pacjenta z takim uszkodzeniem mózgu pociąga za sobą ogromne ryzyko, które dodatkowo potęguje fakt, że w przeszłości był leczony psychiatrycznie.

– Przyjmuję to do wiadomości – powtórzyła Lennox bardziej dobitnie. – Możemy zacząć?

Lekarz pokręcił głową i umieścił wylot strzykawki w otworze zapewniającym dostęp do zamkniętego układu rurek połączonych z wenflonami, które tkwiły w żyłach nieprzytomnego mężczyzny. W miarę jak bardzo powoli wciskał tłok, przejrzysty płyn w zbiorniku stawał się mętny.

– Zestaw reanimacyjny w pogotowiu – poinstruował swój personel. – Musimy utrzymać ciśnienie wewnątrzczaszkowe na możliwie jak najniższym poziomie. Cały czas monitorujemy tętno i ciśnienie krwi. Zaczynamy.

Lennox obserwowała nieruchome ciało, nie okazując ani odrobiny napięcia, które ją rozsadzało. Wiedziała, że cokolwiek się stanie, jej kariera w FBI jest skończona. Doprowadziła do ogólnokrajowego skandalu, zignorowała jednoznaczne rozkazy i wprowadziła w błąd lekarzy, żeby nakłonić ich do współpracy. Miała tylko nadzieję, że jej poświęcenie się opłaci, że jedyny ocalały powie im coś, co przez cały czas umykało ich uwadze.

Mężczyzna ze świstem wciągnął powietrze, gwałtownie otworzył oczy i podniósł się, próbując usiąść, ale opadł z powrotem na posłanie, skrępowany przez rurki i



przewody, które podtrzymywały go przy życiu.

– Już dobrze, Andre – powiedział lekarz łagodnym tonem i położył mu dłoń na ramieniu. – Zrób coś dla mnie i zachowaj spokój.

– Ciśnienie sto pięćdziesiąt dwa na dziewięćdziesiąt trzy – zawołała jedna z pielęgniarek.

– Jesteś w szpitalu, a ja nazywam się Lawson.

Andre rozejrzał się po sali, a jego oczy zrobiły się wielkie z przerażenia, jakby zobaczył coś strasznego, czego nikt inny nie mógł dostrzec.

– Tętno dziewięćdziesiąt dwa i nadal rośnie – powiedziała zaniepokojona pielęgniarka. – Ciśnienie krwi jest za wysokie.

– Nie umieraj, nie umieraj – wyszeptała Lennox, kiedy młodym mężczyzną zaczęły wstrząsać konwulsyjne drgawki.

Doktor Lawson sięgnął po drugą strzykawkę i wpuścił jej zawartość do kroplówki. Po kilku sekundach pacjent się uspokoił, jakby ogarnęła go senność.

– Ciśnienie opada.

– Jest tutaj ktoś, kto chciałby ci zadać kilka pytań. Nie masz nic przeciwko temu? – zapytał lekarz i uśmiechnął się zachęcająco.

Mężczyzna ospale pokręcił głową i Lawson odsunął się na bok.

– Cześć, Andre. – Lennox uśmiechnęła się, tworząc atmosferę najbardziej przyjaznego przesłuchania wszech czasów.

– Proszę go nie przemęczać. Tylko proste i krótkie pytania – poinformował ją lekarz i zajął się monitorowaniem funkcji życiowych pacjenta.

– Andre, czy rozpoznajesz tego człowieka?

Lennox uniosła fotografię Alexeia Greena, który ze swoimi zadbanymi długimi włosami prezentował się jak gwiazdor rocka. Andre z wysiłkiem skupił wzrok na zdjęciu i w końcu pokiwał głową.

– Spotkałeś go kiedyś?

Balansując na granicy snu, Andre znów przytaknął.

– My... wszyscy... musieliśmy – wybełkotał.

– Kiedy? Gdzie to było?

Andre pokręcił głową, jakby nie mógł sobie przypomnieć. W tle nieprzerwane popiskiwanie aparatury nabierało tempa. Lennox obejrzała się na doktora Lawsons, który dał jej znak ręką, jakby ją ponaglał. Uległa mu niechętnie. Wbiła wzrok w

słowo „Przynęta”, które zdawało się przecinać na pół okaleczone ciało.

– Kto ci to wyciął na piersi?

– Inny.

– Inny? Kto inny? Inna... Marionetka?

Ostatnie słowo wypowiedziała prawie szeptem. Andre przytaknął. Sapał i dyszał z wysiłku, próbując wydobyć z siebie odpowiedź.

– My wszyscy... razem.

– Razem? Co chcesz przez to powiedzieć?

Mężczyzna milczał.

– Kiedy byliście w tym kościele? – dopytywała się Lennox.

Andre pokręcił głową.

– Czy wszyscy spotkaliście się wcześniej w jakimś innym miejscu? – zapytała, a kiedy przytaknął, ponownie uniosła zdjęcie Greena. – Czy ten człowiek tam był?

– Tak.

Podeksytowana Lennox odwróciła się w stronę lekarza.

– Jak dawno pańskim zdaniem mogły powstać te rany na piersi?

Lawson podszedł do łóżka i zaczął badać blizny. Kiedy dotknął zaognionego miejsca pod pachą, pacjent wzdrygnął się z bólu.

– Strupy, stan zapalny i infekcja wskazują na to, że jakieś dwa, może trzy tygodnie temu.

– To się pokrywa z ostatnią wizytą Greena w Stanach – odezwał się stojący w głębi sali Chase.

Lennox znów pochyliła się nad łóżkiem.

– Wiedziałaś, że kościół wyleci w powietrze?

Andre pokiwał głową z zawstydzoną miną.

– A wiedziałaś o pozostałych ładunkach wybuchowych? – zadała kolejne pytanie, ale tym razem jedyną odpowiedzią było zaskoczone spojrzenie mężczyzny. – No dobrze, Andre. Musisz mi powiedzieć, jak to wszystko było zorganizowane. Skąd wiedziałaś, dokąd iść?

Lennox wstrzymała oddech. Gdyby zdołali się dowiedzieć, w jaki sposób ci ludzie porozumiewali się ze sobą, mogliby przechwycić wiadomości i zapobiec kolejnej tragedii. Przyglądała się, jak wycieńczony pacjent usiłuje sobie coś przypomnieć, a potem przykłada dłoń do ucha.

– Przez telefon? – zapytała sceptycznie.

Jej ludzie dokładnie zbadali telefony poprzednich zabójców, historię ich kontaktów, wszystkie wiadomości, aplikacje i dane.

Andre pokręcił głową z wyrazem bezsilności na twarzy. Uniósł rękę w stronę elektronicznego wyświetlacza nad łóżkiem.

– Komputer? – spytała i zobaczyła, jak jego ręka znów zbliża się do ucha. – Wyświetlacz telefonu? Dostawałeś jakieś specjalne wiadomości?

Andre przytaknął.

Lennox ze skołowaną miną spojrzała na Chase'a, który zrozumiał jej nieme polecenie i wyszedł z sali, żeby natychmiast przekazać dalej tę ważną wiadomość. Nie spodziewała się, że dowie się czegoś więcej od tego człowieka, ale postanowiła go przesłuchiwać, dopóki lekarz jej nie przerwie.

– Czy w tych wiadomościach było coś więcej? Jakies polecenia, kolejne zadanie po tym w kościele?

Andre zaczął płakać.

– Tętno znów przyspiesza! – zawołała pielęgniarka.

– Co w nich było, Andre?

– Rośnie ciśnienie!

– Dostyc tego – zarządził doktor Lawson, podchodząc do łóżka. – Usypiam go.

– Chwila! – krzyknęła Lennox. – Jakie dostałeś polecenie?

Pochyliła się nad pacjentem, który szeptał coś bardzo cicho i znów omiatał wzrokiem salę, wypatrując niewidocznych prześladowców. Wyteżyła słuch.

– wszy... kich... bić... wszyst... Zabić wszystkich...

Nagle poczuła, że jej pistolet wysuwa się z kabury.

– Padnij! – krzyknęła.

Zanim huknął strzał, zdążyła chwycić broń, którą Andre ściskał oburącz, i skierować wylot lufy w ścianę. Szamotali się przy akompaniamencie szaleńczego popiskiwanego aparatury, podczas gdy doktor Lawson i pielęgniarki leżeli rozplaszczeni na podłodze. Kolejny pocisk strzaskał lampę, zasypując łóżko odłamkami szkła. Do sali wpadł Chase i rzucił się na pomoc swojej szefowej, a dwie pary rąk bez trudu unieruchomiły osłabionego mężczyznę.

– Usypiaj go! – krzyknął Chase do lekarza, który niezdarnie podniósł się z podłogi i sięgnął po jedną ze strzykawek.

Dwoje agentów wciąż przytrzymało Andre, którego stopniowo opuszczała świadomość, aż wreszcie pistolet, wycelowany bezpiecznie w ścianę, wysunął się z jego zwiotczalej dłoni.

Lennox schowała broń i uśmiechnęła się z ulgą do swojego towarzysza.

– Nie licząc ostatnich dwudziestu sekund, poszło całkiem nieźle!

Baxter wyłączyła radio i spojrzała w stronę wejścia do stacji metra Hammersmith przez przednią szybę samochodu, na której drobinki gradu tworzyły lodowy deseń. Po kilku minutach ze stacji wyszedł Rouche, jak zwykle z komórką przy uchu. Pomachał w stronę jej czarnego audi i zatrzymał się w przejściu, żeby dokończyć rozmowę.

– Chyba sobie kpisz – mruknęła Baxter.

Parę razy nacisnęła klakson i ostro przygazowała, aż wreszcie Rouche w strumieniach deszczu potruchtał w jej stronę i wskoczył na fotel pasażera. Pod jego nogami zachrzęściły pudełka po kanapkach z Tesco i butelki z resztkami lucozade.

– Dzień dobry – powiedział, kiedy włączali się do ruchu na Fulham Palace Road.

– Dzięki, że po mnie przyjechałaś.

Baxter nie odpowiedziała. Z powrotem włączyła radio, jednak wkrótce się przekonała, że program stał się jeszcze bardziej irytujący, więc z dwojga złego wybrała rozmowę.

– Co z tym wybudzonym sukinsynem? – zapytała.

Cały jej wydział śledził na bieżąco poczynania FBI.

– Nadal żyje.

– Chyba dobrze, nie? To oznacza, że Lennox jeszcze chwilę się utrzyma.

Rouche spojrzał na nią ze zdumieniem.

– No co? Pierwszy raz spotkałam kogoś na wysokim stołku, kto zachował się tak jak ja – dodała Baxter i postanowiła zmienić temat. – A więc zapomnieli sprawdzić SMS-y w telefonach zabójców?

– Myślę, że to trochę bardziej skomplikowane.

– Tak?

– Teraz będą próbowali rozszyfrować... pliki po fragmentacji... eee... nośniki danych... i serwery – wyjaśnił Rouche, nie wyjaśniając właściwie nic. – Czy ktoś jeszcze raz przeszukał gabinet Greena?

– A jak myślisz, dokąd jedziemy?

Jechali główną ulicą w strugach deszczu, który przybierał na sile. Rouche spoglądał tęsknym wzrokiem w stronę oświetlonych witryn.

– Jesteś godna? – zapytał.

– Nie.

– Nie jadłem śniadania.

– No to masz przesrane. – Baxter westchnęła i zaparkowała na chodniku.

– Kochana jesteś. Przynieść ci coś? – zapytał Rouche, który już wysiadał.

– Nie.

Zatrzasnąwszy drzwi, pobiegł do piekarni po drugiej stronie ulicy. Baxter zauważyła, że zapomniał zabrać komórki, która leżała teraz na jego fotelu. Przyglądała jej się przez chwilę, a potem skupiła wzrok na drzwiach piekarni, ale jej spojrzenie powędrowało z powrotem na fotel pasażera. Zabębniła nerwowo palcami o kierownicę.

– Pieprzyć to!

Sięgnęła po telefon i przejechała palcem po wyświetlaczu. Nie był zabezpieczony hasłem. Nacisnęła ikonkę i zaczęła przeglądać historię połączeń.

– Z kim ty, do cholery, tak gadasz przez cały czas?

Pojawiła się lista połączeń wychodzących, wszystkie z tym samym numerem stacjonarnym, który miał londyński numer kierunkowy. Poprzedniego dnia Rouche dzwonił na niego prawie co godzinę przez całe popołudnie i wieczór.

Wahała się przez chwilę. Serce jej kołatało, gdy zerknęła w stronę piekarni, po czym nacisnęła ikonkę połączenia i uniosła aparat do ucha.

Rozległ się sygnał.

– Szybko, szybko...

Wreszcie ktoś podniósł słuchawkę.

– Cześć, kocha...

Szczęknięły otwierane drzwi. Baxter rozłączyła się i odrzuciła telefon na skórzaną tapicerkę sekundę przed tym, jak ociekający wodą Rouche wgramolił się do samochodu. Jego szpakowate włosy pociemniały od wilgoci, przez co wydawał się młodszy. Przechylił się na siedzeniu, żeby wyjąć spod siebie komórkę, którą położył sobie na udzie.

– Kupiłem ci bułkę – powiedział. – Tak na wszelki wypadek.

Podał Baxter papierową torebkę, z której wydobywał się apetyczny zapach, a

ona wyrwała ją z jego dłoni i szybko włączyła się do ruchu. Kiedy rozpakowywał kanapkę z jajkiem i bekonem, zauważył na nogawce spodni blask wyświetlacza. Spojrzał na Baxter, która nie odrywała wzroku od zalanej strugami deszczu jezdni. Przez kilka sekund przyglądał się jej uważnie, a potem zgasił ekran pociągnięciem palca.

# Rozdział 25

PIĄTEK, 18 GRUDNIA 2015 ROKU

8.41

– Możesz się na chwilę uspokoić? – syknął Edmunds, który właśnie wybiegł z biura i krążył po korytarzu z komórką przy uchu.

Udało mu się skraść aż trzy godziny snu, o wiele więcej, niż zazwyczaj przesypiała Tia, ale kilka nieprzespanych nocy z rzędu dawało mu się we znaki i jego organizm domagał się odpoczynku. Kilka kroków dalej zobaczył swojego szefa, który nagle wyszedł z windy, więc zawrócił i ukrył się w nieczynnej toalecie.

– Musi być jakieś sensowne wyjaśnienie – dodał, zniżając głos do szeptu.

– Na ciągle wprowadzanie mnie w błąd, odkąd włączyłam się w to śledztwo? – wyszeptała Baxter.

Stała na środku imponującej sypialni luksusowego penthouse’u, który Alexei Green wynajmował w Knightsbridge. Na podłodze walały się drogie ubrania, a otwarta szafa i wysunięte szuflady świeciły pustkami. Sprężyny i wypełnienie z rozprutego materaca leżały na dywanie pod oknem, z którego roztaczał się widok na południowy wschód ponad dachem domu towarowego Harrods. Ekipa, która dokonała przeszukania, nie pominęła niczego. Policjanci zdjęli nawet telewizor ze ściany i odkręcili tylny panel od ekranu.

Baxter słyszała, jak Rouche myszkuje wśród rozrzuconych sprzętów w sąsiednim pokoju.

– Tylko pomyśl, na własne oczy widziałam, jak coś znaleźli na miejscu drugiego zabójstwa przed Trzydziestym Trzecim Komisariatem, ale kiedy go o to zapytałam, udawał głupiego. I ten wynik ekspertyzy toksykologicznej, który Curtis... który znalazłam w kieszeni jego kurtki. A teraz on urywa się gdzieś na noc i okłamuje swoją żonę.

– Skąd wiesz?

– Gdyby był w domu, nie dzwoniłby do niej co godzinę.

– Mogłaś ją o to zapytać, skoro już do niej zadzwoniłaś – zasugerował Edmunds.

– Nie zdążyłam – szepnęła Baxter w odpowiedzi. – Cała ta dziwna sytuacja w jego domu... Przecież on nawet nie wie, ile lat ma jego córka; raz mówi, że szesnaście, innym razem że sześć. Myślę, że coś tu nie gra.

– Skoro tak mówisz... – Edmunds zawiesił głos. – Może i jest gównianym ojcem, ale to jeszcze nie zbrodnia. Co ma wspólnego jego życie osobiste z tą sprawą?

– Nie wiem. Wszystko... i nic.

Baxter zamilkła, kiedy Rouche wyszedł na korytarz, ziewnął i przeciągnął się, odsłaniając błydy brzuch. Pomachał do niej wesoło i poszedł do kuchni.

– Muszę się tam dostać.

– Gdzie? – zapytał Edmunds. – Mówisz o jego domu?

– Tak, dziś wieczorem. Już mu zaproponowałam, że go odwiozę. Powiem, że muszę skorzystać z toalety albo coś w tym rodzaju, a jeśli to nie zadziała, po prostu wejść tam siłą.

– Nie możesz.

– Nie widzę innego wyjścia. Nie ufam mu i muszę się dowiedzieć, co przede mną ukrywa.

– Nie chcę, żebyś pakowała się w to sama.

– Więc przyznajesz, że jest w tym coś podejrzanego?

– Nie, ale... tylko... Przyjadę tam, dobra? Daj mi znać, o której godzinie.

– Dobra – odparła Baxter i zakończyła połączenie.

Chwilę później podskoczyła wystraszona, gdy za plecami usłyszała głos Rouche'a.

– Ładna dziewczyna – odezwał się agent.

Stał w drzwiach i trzymał wydrukowaną na płótnie fotografię, która przedstawiała Alexeia Greena w towarzystwie jakiejś pięknej kobiety. Wyglądali na najszczęśliwszą parę na świecie, a ich promienne uśmiechy z łatwością przyćmiewały scenerię w tle, chociaż zachód słońca nad malowniczym fiordem zapierał dech piersiach.

– Musimy ustalić jej tożsamość – powiedziała Baxter i precyzyjnie się obok niego przez drzwi. – Tutaj już skończyłam.

– To strata czasu. – Rouche odłożył zdjęcie na stertę ubrań i ruszył za nią



korytarzem. – Policja przetrząsnęła każdy centymetr tego mieszkania.

– Nie miałam o tym pojęcia.

– Tylko cię informuję.

– Mniejsza o to. – Baxter weszła do gustownie urządzonej kuchni. Marmurowe blaty połyskiwały w świetle reflektorków, a z balkonu, który okalał najwyższą kondygnację budynku, rozciągał się widok na szarą panoramę miasta. – Wiesz, czego jeszcze nam brakuje? Powodu, dla którego Alexei Green chciałby wysadzić w powietrze pół Nowego Jorku. Po co ryzykować coś takiego, mając tak wiele do... Co? – Zorientowała się, że Rouche patrzy na nią, i zrobiło jej się nieswojo, kiedy wciąż nie odrywał od niej wzroku. – O co chodzi?

– Jesteśmy na ostatnim piętrze, tak?

– Tak.

Ruszył w jej stronę szybkim krokiem. Odruchowo zacisnęła pięści, ale rozluźniła się, kiedy minął ją i otworzył przeszklone drzwi. Zimny powiew wdarł się do przestronnego apartamentu, ożywiając rozrzucone kartki i zdjęcia. Wyszli na smagany deszczem balkon.

– Podsadź mnie – powiedział Rouche.

– Dobra... albo lepiej nie.

Rouche niezrażony wspiął się na mokrą balustradę, po czym uniósł ręce i chwycił krawędź płaskiego dachu. Próbował się podciągnąć, ale zawisł w powietrzu, niezdarnie majtając nogami.

– Jezu, uważaj!

Starając się uniknąć przypadkowego kopnięcia, Baxter niezbyt wytwornym ruchem pomogła mu się przemieścić we właściwym kierunku, dzięki czemu wgramolił się wreszcie na górę i znikł z pola widzenia.

W tym momencie usłyszała dzwonek swojej komórki. Sięgnęła do kieszeni i odebrała połączenie.

– Tak? Yhm... Jasne... Dobra. – Rozłączyła się i spojrzała w górę, wystawiając twarz na zacinające krople lodowatego deszczu. – Rouche!

Głowa agenta wychynęła zza krawędzi dachu.

– Jest tam coś? – zapytała.

– Tylko dachówki – odparł lekko zakłopotany.

– Technicy chcą nam coś pokazać – poinformowała go Baxter i uprzejmie

odwróciła wzrok, kiedy rozdarł sobie spodnie w kroku, gramoląc się na dół. – Jedziemy?

– To dosyć intrygujące – powiedział Steve, gmerając w plątaninie przewodów wijących się między laptopami i terminalami, które migotały rzędami diod i łączyły się z innymi terminalami, podłączonymi z kolei do smartfonów. – Zająłem się jeszcze raz komórką naszego podpalacza z Mall.

– Co nie byłoby konieczne, gdyby ktoś od razu wykonał swoją pracę jak należy – dodała Baxter oskarżycielskim tonem.

– No cóż, nie zaczynajmy szukać winnych. – Steve uśmiechnął się ze skrępowaniem, jakby sam czuł się winny. – W każdym razie coś odkryłem. To jest telefon Patricka Petera Fergusa – wyjaśnił i wskazał leżącą na stole nową komórkę, po czym zastukał w klawiaturę laptopa. Rozległ się pojedynczy dźwięczny sygnał. – Chyba dostałaś wiadomość.

Baxter przewróciła oczami i sięgnęła po aparat.

– „Cześć, szefowo” – odczytała na głos treść SMS-a. – I buźka puszczająca oczko.

– A teraz zaczekaj – polecił jej Steve, który z trudem panował nad podnieceniem, odliczając sekundy na zegarku. – No dobra. To może przeczytasz mi ją jeszcze raz?

Baxter westchnęła. Tracąc cierpliwość, znów spojrzała na wyświetlacz, jednak odkryła, że po wiadomości nie ma śladu. Zdumiona otworzyła listę poprzednich SMS-ów odzyskanych z komórki Fergusa.

– Nie ma jej!

– Wiadomości tekstowe, która usuwają się automatycznie po odczytaniu – oznajmił z dumą Steve. – Czyli „widmowe SMS-y”, jak je nazwałem. W tym telefonie zainstalowano zmodyfikowaną aplikację, która pełni funkcję komunikatora. Wygląda całkiem normalnie, a nawet działa normalnie, chyba że wiadomość została wysłana z określonego numeru. W takim wypadku kasuje ją zaraz po przeczytaniu i zaciera ślad.

Baxter spojrzała na Rouche’a, który wyteżał uwagę, próbując nadażyć za rozmową.

– Co o tym myślisz? – zapytała.

– Myślę... że nasz spec posika się z radości, jeśli go poprosimy, żeby powtórzył

tę sztuczkę – szepnęła, wprawiając Baxter w rozbawienie, po czym zwrócił się do Steve’a, który z szerokim uśmiechem na twarzy majstrował przy swoim sprzęcie. – Żeby wszystko było jasne, uważasz, że ten Fergus był sześćdziesięcioletnim geniuszem informatycznym, który dorabiał sobie jako Święty Mikołaj?

– Absolutnie nie. To jest wymyślna, profesjonalna modyfikacja wprowadzona na etapie produkcji.

– Przez kogo?

– W tej chwili jestem w kontakcie z Amerykanami, którzy mają dużo więcej takich komórek do rozpracowania.

– Ale powiedziałeś, że mamy już jakiś trop – przypomniała mu Baxter.

– Owszem, mamy – odparł Steve z uśmiechem. – Z serwerem S-S Mobile w Kalifornii, przez który przechodziły wszystkie te widmowe SMS-y, nadawca za każdym razem łączył się z innego numeru. Nie jesteśmy w stanie odzyskać danych z urządzeń docelowych, ale pozostał po nich ślad u źródła. W ciągu godziny FBI powinna przesłać nam zestawienie.

Baxter sprawiała wrażenie zadowolonej, a przynajmniej nie tak przygnębionej jak zazwyczaj. Telefon znów zadzwieczał w jej dłoni, gdy Steve wystukał kolejną wiadomość i z pełną satysfakcją miną nacisnął enter. Spojrzała na wyświetlacz.

„Nie ma za co ;-)”

Drukarka w biurze wypluwała kolejne kartki, które dla Baxter i jej zespołu oznaczały wiele godzin żmudnego ślęczenia. Tej nocy londyński półświatek przeszedł sam siebie i wyjątkowo duża liczba interwencji uszczupliła zasoby ludzkie, którym można by powierzyć przekopywanie się przez tony wiadomości z serwera S-S Mobile. Baxter udało się zebrać zaledwie sześć osób, a większości z nich przerwała odpoczynek.

Uniosła pokrywę rzutnika i na ekranie pojawił się tekst:

„Oni cię nie rozumieją, Aidenie, w przeciwieństwie do nas. Pamiętaj, że nie jesteś sam”.

– A z czym my tu mamy do czynienia? – szepnęła, odkładając kartkę na osobną stertę.

Po czterech godzinach wszyscy doszli do zgodnego wniosku, że same te wyrwane z kontekstu wypowiedzi o pouczającym lub prowokującym wydźwięku nie wystarczyłyby, żeby zmusić do czegokolwiek nawet najbardziej uległą osobę.

Zadaniem tych na pozór niewinnych komunikatów, które nadchodziły w środku nocy, by po ich odczytaniu zniknąć bez śladu, było raczej skażenie umysłu odbiorcy między kolejnymi sesjami terapeutycznymi – w tym okresie samotności, w którym bezbronna ofiara zamieniała się w broń.

– No, z czym? – zapytał Rouche znad sąsiedniego biurka.

Spojrzał w stronę tablicy, na której widniały znalezione w wiadomościach szczegóły dotyczące trzech punktów spotkań po obu stronach Atlantyku. Wszystkie spotkania już się odbyły i śledczy wystosowali wnioski o udostępnienie nagrań z okolicznych kamer monitoringu.

– Jakby starał się pogłębić jego paranoję, jeszcze bardziej obniżyć jego poczucie własnej wartości – powiedziała Baxter, doskonale zdając sobie sprawę, że mówi jak Edmunds, którego akademicki bełkot zawsze ją tak drażnił. – Obiecuje mu wielkość i sens życia, czyli rzeczy, których nigdy nie osiągnąłby sam.

Rouche czekał w milczeniu, dając jej czas na zebranie myśli.

– To jest sekta – dodała po chwili. – Nie w tradycyjnym znaczeniu, ale tutaj również jedna osoba wykorzystuje zbiorową histerię do zaspokojenia swoich potrzeb.

– To nasz Azazel – odparł agent. – Doktor Alexei Green.

– Chyba coś mam! – zawołała policjantka z drugiego końca sali, z ożywieniem wymachując ręką, w której trzymała kartkę.

Baxter podbiegła do niej, wyrwała jej wydruk i przeczytała krótką wiadomość, która wbrew swemu przeznaczeniu nie znikła bez śladu:

„Hotel Sycamore, 20 grudnia, godz. 11.  
Jules Teller zaprasza cię po raz ostatni”.

– No i? – zapytał Rouche, sięgając po kartkę. – Jules Teller? To brzmi znajomo.

– Na to nazwisko dokonano rezerwacji przed ich poprzednim spotkaniem – wyjaśniła Baxter. – Mamy go. To jest Green. I teraz wiemy dokładnie, gdzie się pojawi.

Rouche zerknął na tylne siedzenie samochodu, którym Baxter odwoziła go do domu przez wieczorne korki.

– Co tam masz?

– Zadanie domowe.

– Mogę ci pomóc? – zapytał, sięgając po wypełnione dokumentami kartonowe pudełko.

– Nie! Dam sobie radę.

– Będiesz nad tym ślęczała godzinami.

– Powiedziałam, że dam sobie radę.

Rouche dał za wygraną i zaczął obserwować kiczowate ozdoby świąteczne w oknach wystawowych. W jednym z nich sfatygowany Święty Mikołaj machał do niego czymś, co zostało z jego prawej ręki. Przygnębiony obrócił się z powrotem do Baxter.

– Mamy dwa dni – powiedział.

– Co?

– Według tej wiadomości mamy jeszcze dwa dni do spotkania Greena – wyjaśnił. – Jak chcesz to rozegrać? Sprawdzimy jutro to miejsce?

– Nie jestem pewna, czy planowanie czegokolwiek na jutro ma większy sens.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Baxter wzruszyła ramionami.

– Przed niedzielą nikt nie będzie się tam kręcił – odezwała się po chwili.

Rouche obserwował ją uważnie, a w głowie wciąż odbijała mu się echem jej zagadkowa odpowiedź.

– Po raz pierwszy jesteśmy o krok przed nim – dodała Baxter. – Green nie ma pojęcia, że przechwyciliśmy jego wiadomości. To jest nasza jedyna szansa. Nie możemy go spłoszyć.

– Tutaj w lewo! – przypomniał jej Rouche.

Baxter gwałtownie obróciła kierownicę i zawadziła kołem o krawężnik, kiedy samochód z poślizgiem wszedł w zakręt. Jadąc ulicą, rozpoznała zdezelowane volvo Edmunda i po chwili zaparkowała przed równie zdezelowanym domem Rouche'a.

– Dzięki za podwózkę. Jutro rano mogę dojechać sam, jeżeli tak będzie prościej.

– Będzie.

– No to nie ma sprawy. – Rouche uśmiechnął się, otwierając drzwi.

Pomachał jej niezgrabnie i ruszył w górę stromym podjazdem.

Baxter zobaczyła w lusterku wstecznym, że Edmunds wysiada ze swojego

samocho­du. Odczekała, aż Rouche zniknie we wnętrzu domu, a potem wyszła prosto w objęcia chłodnego wieczoru. Skinieniem głowy dała znak Edmundsowi, zrobiła głęboki wdech i skierowała kroki w stronę odrapanych drzwi.

# Rozdział 26

PIĄTEK, 18 GRUDNIA 2015 ROKU

18.21

Liście bluszczu, którego przerośnięte pnącza otaczały wejście do domu, zakołysały się pod pierwszymi kroplami marznącej mżawki. Baxter uniosła rękę, żeby zapukać, kiedy dotarło do niej, że tym niewinnym gestem przybliżyła smutny koniec swojej współpracy z Rouche'em.

Sączące się przez szczelinę między wypaczonymi drzwiami i framugą pomarańczowe światło padało cienkim promieniem na rękaw jej kurtki. Obejrzała się i posłała blady uśmiech Edmundsowi, który stał po przeciwległej stronie ulicy.

– No dobra – szepnęła do siebie i zapukała energicznie.

Nie doczekała się reakcji i po chwili zapukała ponownie, jeszcze mocniej. W końcu usłyszała odgłos kroków na drewnianej podłodze. Szczęknął zamek i drzwi uchyliły się na kilka centymetrów. Zobaczyła naprężony łańcuch i twarz Rouche'a.

– Baxter?

– Cześć – powiedziała, uśmiechając się z zakłopotaniem. – Wybacz, że zawracam ci głowę, ale przy tych korkach nieprędko wrócę do domu, a strasznie chce mi się siku.

Rouche nie odpowiedział od razu. Cofnął się do środka, odsłaniając na chwilę wystrzępioną tapetę w przedpokoju i wirujące w smudze światła drobinki kurzu, które zdawały się przepychać do wyjścia, jak gdyby chciały jak najszybciej czmychnąć z tego martwego domu. W szczelinie pojawiło się jego oko.

– To nie... to naprawdę nie jest najlepszy moment.

Baxter zrobiła mały krok w stronę drzwi, nie przestając się uśmiechać, jakby jego dziwne zachowanie było zupełnie normalne.

– Obiecuję, tylko się załatwię i znikam. Góra dwie minuty.

– Ellie... zaraziła się czymś w szkole i nie czuje się najlepiej, i w ogóle...

– Zapomniałeś, że właśnie cię tu przywiozłam z drugiego końca Londynu? –

przerwała mu Baxter i znów przesunęła się kawałeczek do przodu.

– Nie, oczywiście pamiętam – odparł szybko Rouche, wyraźnie zdając sobie sprawę, jak bardzo jest nieuprzejmy. – Wiesz co? Niedaleko stąd przy drodze jest Tesco. Na pewno mają tam toalety.

– Tesco? – zapytała Baxter poirytowanym tonem.

– Tak.

Rouche zauważył, że nagle spowaźniała, a jej oczy uważnie lustrują niewielki skrawek wnętrza, którego nie zdołał zasłonić przed nią swoim ciałem. Przez długą chwilę wpatrywali się w siebie nawzajem.

– Więc chyba tam pojedę – powiedziała, nie odrywając od niego wzroku.

– Naprawdę bardzo cię przepraszam.

– Nie szkodzi. No to na razie.

– Dobrej no...

Baxter skoczyła naprzód z impetem, wyrywając łańcuch z framugi i odpychając Rouche'a, który zatoczył się do tyłu, ale szybko napał na drzwi od środka, próbując ją powstrzymać. Wsunęła but w szczelinę i wzdrygnęła się, kiedy jej spojrzenie padło na wielką plamę zaschniętej krwi, która wsiąkła w drewnianą podłogę.

– Puszczaj! – krzyknęła i poczuła ból w miażdżonej stopie.

Był silniejszy od niej.

– Zostaw mnie! Proszę! – zawołał Rouche rozpaczliwym tonem. – Błagam cię, Baxter, idź stąd!

Zebrał się w sobie i ostatnim wysiłkiem zdołał wreszcie zatrzaskać drzwi, dociskając je całym ciężarem ciała.

– Kurwa! – zakląła Baxter, kiedy usłyszała szcęk zamka. – Sam doprowadziłeś do tego, co się teraz stanie.

Kopnęła obolałą stopą w zamknięte drzwi i pokuśtykała w dół podjazdu. Edmunds podbiegł do niej i podał jej rękę, chociaż doskonale wiedział, że nie skorzysta z jego pomocy.

– Na podłodze jest krew – poinformowała go.

– Na pewno chcesz to zrobić? – zapytał, wybierając numer i zasłonił telefon dłonią, kiedy od razu zgłosił się dyspozytor. – Jesteś tego pewna? Nie możesz się pomylić.



Baxter zastanawiała się przez krótką chwilę.

– Nie myślę się. Wzywaj jednostkę taktyczną.

Drzwi poddały się bez walki, wylatując z zawiasów, a na podłogę posypały się drzazgi i wyrwane wkręty. Do środka wpadli z krzykiem uzbrojeni policjanci i otoczyli mężczyznę, który siedział nieruchomo na środku przedpokoju ze spuszczoną głową.

– Jesteś uzbrojony? – zadał mu zbędne pytanie dowódca grupy szturmowej, bacznie obserwując jego puste ręce.

Rouche pokręcił głową.

– Broń jest na stole w kuchni – powiedział cicho.

Trzymając go wciąż na muszce, dowódca posłał jednego ze swoich ludzi do kuchni, podczas gdy pozostali rozbiegli się po zaniedbanym wnętrzu.

Baxter i Edmunds weszli do domu za ostatnim z uzbrojonych funkcjonariuszy. Przystanęli na progu, żeby ocenić, ile potrzeba było krwi, żeby zalać tak dużą powierzchnię. Leżące na podłodze drzwi chybotwały się pod ich stopami, kiedy po nich szli, wdychając pierwsze hausty stęchłego i zakurzonego powietrza. Pod sufitem kołysała się goła żarówka, a jej żółte światło padało na odłóżającą od ścian tapetę, która mogła mieć co najmniej czterdzieści lat.

Baxter natychmiast poczuła się w swoim żywiole, gdyż przez większą część swojego życia zawodowego odwiedzała takie właśnie miejsca, gdzie za zamkniętymi drzwiami kryła się gnijąca prawda, a mrok osłaniał upiorne tajemnice.

Spojrzała na Edmunda.

– Nie pomyliłam się – powiedziała, siląc się na triumfalny ton, jednak nie potrafiła zamaskować tego krępującego połączenia ulgi i smutku, które odczuwała.

Minęli otwarte na oścież drzwi po prawej stronie korytarza, za którymi mieścił się pusty pokój o pokrytych zaciekami ścianach. Na podłodze rozlewały się wilgotne plamy. Baxter przeszła obok Rouche'a, starając się ignorować jego pełne wyrzutu spojrzenie.

Stojąc u podnóża szerokich schodów, zorientowała się, że dom jest w jeszcze gorszym stanie, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Ogołoczone ściany z płyt gipsowych przecinały głębokie pęknięcia, a niektóre stopnie były kompletnie przegniłe i krzyżyki niedbale namalowane sprejem ostrzegały przed miejscami, w których lepiej nie stawać. Widok kuchni, zdewastowanej jak po wybuchu bomby,

obudził w niej świeże wspomnienia z Nowego Jorku, które pragnęła wymazać z pamięci.

– Idź na górę, a ja rozejrzę się tutaj – poleciła Edmundsowi.

Zerknęła jeszcze raz na Rouche'a. Widać było wyraźnie, że się poddał; siedział na podłodze z twarzą ukrytą w dłoniach, a zakurzona ściana, o którą oparł się plecami podczas szamotaniny przy drzwiach, zostawiła na jego białej koszuli brudny ślad.

Podczas gdy Edmunds z narażeniem życia wspinał się po schodach, Baxter weszła do zagruzowanej kuchni. Ściana oddzielająca ją od sąsiedniego pomieszczenia leżała w kawałkach na podłodze. Jedna z nielicznych ocalałych szafek mieściła przygnębiający zapas konserw i torebek z daniami błyskawicznymi. Spomiędzy potrzaskanych kafelków wystawały gołe przewody, oferując miłosierne skrócenie męczarni każdemu, kto byłby na tyle pechowy, żeby zobaczyć Rouche'a podczas domowej kolacji.

– Co za bydlę – mruknął pod nosem jeden z gliniarzy. – Jak można tak mieszkać?

Baxter zignorowała jego uwagę i podeszła do przeszklonych drzwi prowadzących na patio, żeby wyjrzeć na zewnątrz. Ogród tonął w mroku, ale zauważyła kolorowy i zadbane domek dla dzieci, który wyraźnie kontrastował z zaniedbaną posesją. Wysoka trawa przysłaniająca jego ściany zdawała się pochłaniać go kawałek po kawałku.

Edmunds słyszał, jak policjanci przeszukują sąsiednie pokoje na piętrze. Pod jego stopami na starym dywanie leżały rozłupane i podeptane kawałki sufitu, a nad głową rozlegał się odgłos kapiącej wody. Podejrzewał, że gdyby było wcześniej, zobaczyłby promień słońca prześwitujące przez dach. Przez korytarz ciągnął się długi biały kabel, który prowadził do spoczywającego na podłodze u szczytu schodów telefonu z automatyczną sekretarką – jedynej oznaki ludzkiej bytności w tym zrujnowanym domu. Na wyświetlaczu migotała informacja: „Skrzynka odbiorcza pełna”.

Poczuł nerwowy skurcz żołądka, kiedy zbliżał się do zamkniętych drzwi na końcu korytarza. Ze szczeliny nad progiem sączyła się wąska smuga światła, która sprawiła, że jego serce zaczęło uderzać szybciej. Ogarnęło go to dobrze znane uczucie. Całe drzwi zdawały się promieniować na tle reszty domu, przywabiając go

tak samo, jak kiedyś samotna żarówka nad ciałem pozszywanym z ofiar Lethaniela Masse'a.

Edmunds wiedział, że nie chce zobaczyć tego, co kryje się po drugiej stronie, ale w porównaniu z Baxter jego kolekcja makabrycznych doświadczeń była stosunkowo niewielka. Był gotów wziąć na siebie ten koszmar, żeby oszczędzić go swojej przyjaciółce.

Zebrał się w sobie, po czym przekręcił ozdobną gałkę i powoli pchnął drzwi.

– Baxter! – zawołał chwilę później ile sił w płucach.

Wyszedł na korytarz, żeby uspokoić zaalarmowanych jego krzykiem policjantów, i usłyszał jej kroki, kiedy przedzierała się brawurowo przez śmiertelną pułapkę schodów.

– Co jest? – zapytała, podbiegając do niego z zaniepokojoną miną.

– Myliłaś się.

– O czym ty mówisz?

Edmunds westchnął ciężko.

– Źle to wszystko zinterpretowałaś – odpowiedział, wskazując głową otwarte drzwi.

Spojrzała na niego badawczo, po czym okrążyła go i weszła do małego, ale pięknie urządzonego pokoju dziecięcego. Ścianę naprzeciwko zdobiło wykonane z uderzającą starannością malowidło, a pod nim stało wąskie łóżeczko, na którym piętrzyły się pluszowe zabawki. Wiszące nad półkami lampki choinkowe rzucały magiczny blask na rzędy pudełek z płytami CD.

Na parapecie, tuż nad domkiem Barbie, stały trzy fotografie w ramkach. Na jednej Rouche, jeszcze bez siwych pasemek we włosach, uśmiechał się szeroko, a na jego ramionach siedziała roześmiana urocza dziewczynka z maskotką w ręku. Na drugim jeszcze młodszy Rouche i jego śliczna żona trzymali niemowlę. Trzecie zdjęcie przedstawiało dziewczynkę stojącą w zaśnieżonym ogrodzie obok znajomego dziecięcego domku. Wyglądała tak, jakby próbowała łapać na język płatki śniegu.

W końcu Baxter spojrzała pod nogi. Stała na śpiworze, który leżał rozwinięty na puszystym dywanie obok łóżeczka. Na poduszce spoczywała złożona starannie granatowa marynarka Rouche'a, który zapewne umieścił ją tam, żeby nie zaburzyć porządku panującego w tym idealnym pokoju.

Baxter otarła łzy i poczuła, że robi się jej niedobrze.

– Ale... przecież on wydzwania do nich cały czas – szepnęła. – Jego żona odebrała telefon i sam mówiłeś, że była w domu, kiedy... – przerwała, kiedy uświadomiła sobie, że Edmunds wyszedł.

Podniosła z łóżka pingwina, w którym rozpoznała zabawkę ze zdjęcia. Miał głupkowatą minę i pomarańczową wełnianą czapkę, podobną do jej własnej.

Chwilę później w ciemnym korytarzu rozległ się kobiecy głos:

– Witaj, najdroższy! Obie tak bardzo za tobą tęsknimy!

Baxter odłożyła maskotkę na łóżko i wyteżyła słuch. Głos wydawał jej się znajomy i zbliżał się, narastając z każdą sekundą, aż w końcu Edmunds stanął w drzwiach z automatyczną sekretarką w ręku.

– A teraz, Ellie, powiedz tatusiowi dobranoc...

Piskliwy sygnał obwieścił koniec nagrania i zapadła posępna cisza.

– O psiakrew – syknęła Baxter, po czym energicznym krokiem wyszła z pokoju. – Wszyscy wychodzić! – krzyknęła, stojąc na szczycie schodów. W drzwiach pokoi pojawiły się zdziwione twarze. – Powiedziałam, wynocha!

Słyszała, jak rozczarowani funkcjonariusze stąpają ostrożnie po schodach, mijają Rouche'a w przedpokoju i wychodzą na deszcz. Edmunds skierował się do wyjścia jako ostatni.

– Mam na ciebie zaczekać? – zapytał.

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

– Nie, wracaj do domu.

Kiedy zostali sami, w milczeniu usiadła na brudnej podłodze obok Rouche'a, który wydawał się zbyt zamyślony, by w ogóle ją zauważyć. Przez pozbawioną drzwi framugę zacinało do środka i na końcu przedpokoju zaczynała się rozlewać kałuża.

Siedzieli w milczeniu przez kilka minut, aż wreszcie Baxter zebrała się na odwagę i przemówiła.

– Jestem pojebana – oświadczyła stanowczym tonem. – Beznadziejnie i dokumentnie pojebana.

Rouche spojrzał na nią.

– Ten lekko wkurzający dziwaczny rudzielec, który właśnie wyszedł... – dodała. – Jest dosłownie jedynym człowiekiem na całej tej gównianej planecie, któremu

ufam. Właśnie tak. Tylko jemu. Nie ufam mojemu chłopakowi. Jesteśmy razem od ośmiu miesięcy... ale mu nie ufam. Kazałam prześwietlić jego finanse, bo tak bardzo się boję, że chce mnie wykorzystać albo skrzywdzić, albo... sama nawet nie wiem co. Żałosne, nie?

– Tak. – Rouche przytaknął z zadumą. – To jest żałosne.

Uśmiechnęli się obydwój. Baxter skuliła się, kiedy przeniknął ją chłód.

– To było niedługo po tym, jak kupiliśmy tę rudere – zaczął Rouche, wodząc wzrokiem po zapuszczonym wnętrzu. – Ellie znów zaczęła chorować... jej płuca... – Zawiesił głos i przez chwilę wpatrywał się w deszcz. – To był czwartek, siódmy lipca dwa tysiące piątego.

Baxter przyłożyła dłoń do ust, słysząc tę datę, która wryła się głęboko w pamięć każdego londyńczyka.

– Byliśmy umówieni na wizytę u specjalisty przy Great Ormond Street. Jechaliśmy metrem jak gdyby nigdy nic i w jednej chwili wszystko się zmieniło. Krzyki ludzi, tumany pyłu i gryzący dym. Ale to wszystko nie miało znaczenia, bo trzymałam w ramionach moją córeczkę... Była nieprzytomna, ale jeszcze oddychała i miała tak dziwnie wykręconą nóżkę... – Rouche musiał przerwać na chwilę, żeby dojść do siebie.

Baxter trwała w bezruchu. Czekwała na dalszy ciąg opowieści, wciąż przyciskając dłoń do ust.

– Wtedy zobaczyłem moją żonę, która leżała jakiś metr ode mnie, przywalona szczątkami dachu, który zapadł się w tym miejscu. Wiedziałem, że nie zdołam jej uratować. Wiedziałem to, ale musiałem spróbować. A mogłem wtedy zabrać stamtąd Ellie. Ludzie już biegli tunelem w stronę Russel Square. Ale koniecznie trzeba spróbować, no nie? No więc zacząłem się szarpać z tymi zwałami blachy, chociaż nie miałem najmniejszych szans ich poruszyć, zamiast wynieść Ellie na zewnątrz. Ten dym i sadza, to było dla niej zabójcze. A potem zaważyła się kolejna część dachu, jak można było się spodziewać. Wszyscy, którzy zostali w wagonie, wpadli w panikę. Ja też. Porwałem Ellie, żeby uciekać tunelem wraz z innymi, ale ktoś krzyknął, że szyny wciąż mogą być pod napięciem. Więc wszyscy zostali w środku. Wiedziałem, że powinienem ją wynieść, ale czekałem, bo nikt inny się nie ruszał... nikt. Tłum podjął decyzję, a ja bezmyślnie uległem. Kiedy wreszcie wydostaliśmy się na powierzchnię, dla Ellie było za późno... Mogłem ją

uratować... ale tego nie zrobiłem.

Baxter nie potrafiła wydusić z siebie słowa. Ocierała łzy i wpatrywała się w Rouche'a, zdumiona jego siłą, która pozwalała mu normalnie żyć po tym, co przeszedł.

– Obwiniasz mnie, że zostawiłem Curtis w tym potwornym miejscu, ale...

– Nie – przerwała mu. – Już nie. Nie obwiniam cię.

Z wahaniem dotknęła jego dłoni. Żałowała, że jest taka skrępowana, w przeciwnym razie przytuliłaby go. Chciała go przytulić.

– Po prostu nie mogłem po raz drugi popełnić tego samego błędu, rozumiesz?

Baxter przytaknęła. W tej samej chwili rozległo się kliknięcie włącznika czasowego i zaświeciła się lampa w kącie przedpokoju.

– No dobra, teraz twoja kolej – powiedział Rouche z wymuszonym uśmiechem.

– Pozwoliłam Wolfowi... znaczy detektywowi Fawkesowi... pozwoliłam mu uciec. Zakułam go w kajdanki, a wsparcie miało nadejść lada chwila, a ja puściłam go wolno.

Rouche pokiwał głową, jakby spodziewał się takiego wyznania.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

– Na pewno wiesz. Kochałaś go?

– Nie wiem – odpowiedziała szczerze.

– A co byś zrobiła, gdybyś znów go spotkała?

– Powinnam go aresztować. Znienawidzić go. Powinnam go osobiście zastrzelić, bo to przez niego jestem teraz taką paranoiczką.

– Ale nie zapytałem cię, co powinnaś zrobić. Zapytałem, co byś zrobiła.

Baxter wzruszyła ramionami.

– Szczerze mówiąc... nie mam pojęcia – odparła, kończąc swoją turę. – A teraz powiedz mi, skąd się wzięła ta krew na podłodze.

Rouche nie odpowiedział od razu. Powoli rozpiął mankiety i podwinął rękawy koszuli, odsłaniając grube różowe blizny na przedramionach.

Tym razem wzięła go w objęcia i z jakiegoś powodu przypomniała sobie jedną z mądrości, którą Maggie uraczyła załamanego Finlaya pewnej nocy, kiedy okazało się, że jej nowotwór wrócił, żeby wziąć odwet: „Czasami rzeczy, które omal nas nie zabiły, przynoszą nam ocalenie”.

Zachowała tę refleksję dla siebie.

– Dwa dni po moim powrocie ze szpitala zaczęły przychodzić kartki z życzeniami urodzinowymi dla mojej żony – wyjaśnił Rouche. – Przeglądałem je, siedząc pod drzwiami i... To chyba nie był mój dzień.

– A ja za dużo piję – rzuciła bez zastanowienia Baxter, przekonana, że nie mają już przed sobą żadnych tajemnic. – Tak jakby... za dużo.

Jej niestosownie wesołe wyznanie sprawiło, że Rouche zaczął się śmiać. Spojrzała na niego urażona, ale nie mogła powstrzymać uśmiechu.

Nie ulegało wątpliwości, że każdemu z nich tak samo oberwało się od życia. Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu bez odrobiny skrepowania.

– Myślę, że wystarczy tych wyznań jak na jedną noc – odezwała się w końcu Baxter.

Wstała z podłogi i podała Rouche'owi zmarznąętą dłoń, a potem odpięła od breloczka jeden z kluczy i wyciągnęła w jego stronę.

– Co to jest?

– Klucz do mojego mieszkania. Nie ma mowy, żebym pozwoliła ci tu zostać – powiedziała i zanim zaczął protestować, dodała: – Wyświadczysz mi przysługę. Thomas będzie wniebowzięty, kiedy mu powiem, że przez jakiś czas pobawimy się w dom. Mój kot już u niego zamieszkał. To idealne rozwiązanie i naprawdę nie ma sensu się o to spierać.

Rouche nie mógł oprzeć się wrażeniu, że to prawda. Pokiwał głową i wziął klucz z jej dłoni.

# Rozdział 27

PIĄTEK, 18 GRUDNIA 2015 ROKU

22.10

Rouche włożył naczynia do zmywarki. Bał się dotykać czegokolwiek w tym zaskakująco uporządkowanym mieszkaniu, które miało mu służyć jako tymczasowy dom aż do zakończenia śledztwa albo jego powrotu do Stanów. Baxter skończyła zmieniać pościel w sypialni i od dłuższego czasu zza ściany dobiegały jej przekleństwa, kiedy bezskutecznie usiłowała zapakować swoje rzeczy do dwóch niewielkich toreb podróżnych.

Kilka minut później pojawiła się w korytarzu.

– O w dupę – westchnęła, widząc swoje stroje do ćwiczeń rozwieszony na bieżni. Zabrała je i wepchnęła do zamykanej na suwak kieszeni na boku jednej z pękatych toreb. – No to ja wychodzę. Korzystaj... z czego chcesz. Pod umywalką znajdziesz przybory toaletowe, gdybyś czegoś potrzebował.

– Ojej! Jesteś przygotowana na każdą ewentualność!

– Tak – odparła wymijająco. Upłynęło sporo czasu, zanim sama pojęła, czemu w swojej łazience nadal trzyma, a nawet uzupełnia zestaw męskich kosmetyków. Jedną z najbardziej godnych politowania stron jej natury wciąż się łudziła, że pewnego dnia mogą okazać się potrzebne. – No cóż, rozgość się. Dobranoc.

Rouche poniewczasie uświadomił sobie, że powinien był jej pomóc w dźwiganiu bagażu, gdy zza drzwi dobiegł łoskot, któremu towarzyszyło wyjątkowo soczyste przekleństwo. Doszedł do wniosku, że najbezpieczniej jest zachować się, jakby niczego nie słyszał, i poszedł do sypialni. Uśmiechnął się na widok wypłowiałych maskotek, które Baxter w pośpiechu wepchnęła pod łóżko. Wzruszyło go to, jak wiele dołożyła starań, żeby poczuł się u niej jak w domu. Kiedy zgasił światło, pozostawiając tylko małą lampkę nocną, sypialnia od razu upodobniła się trochę do przytulnego pokoiku Ellie. Wyjął z torby trzy fotografie, które zabrał z parapetu, i na kilka minut zatracił się w błogich wspomnieniach. W końcu rozłożył śpiwór na



dywanie i zaczął się rozbierać do snu.

Baxter dotarła do domu Thomasa krótko po dwudziestej trzeciej. Zostawiła bagaż w holu i nie zapalając światła, weszła do kuchni, żeby nalać sobie wina. Ponieważ właściciel budki przy Wimbledon High Street, w której kupiła rybę z frytkami, nie grzeszył hojnością, wciąż miała ochotę wrzucić coś na ząb, więc zaczęła buszować po lodówce w poszukiwaniu deseru. Jak na złość Thomas przechodził właśnie jedną ze swoich sporadycznych faz zdrowego żywienia, co oznaczało, że miała do wyboru jedynie galaretki owocowe bez polewy albo butelkę jakiejś podejranej zielonej mazi, którą pogromcy duchów z pewnością uznaliby za efekt zjawisk nadprzyrodzonych.

– Aaaa! Tylko bez żadnych takich! – krzyknął Thomas, stojąc w drzwiach.

Baxter wyjrzała zza drzwi lodówki i uniosła brwi ze zdziwienia. Thomas miał na sobie bokserki i grube kraciaste bambosze, a w ręku trzymał raketkę do badmintonu, którą złowieszczo unosił nad głową. Omal nie zemdlął z ulgi, kiedy ją zobaczył.

– Och, dzięki Bogu, że to ty! Niewiele brakowało... – Zerknął na swoją komiczną broń. – No cóż, mogłem cię pacnąć.

Baxter uśmiechnęła się ironicznie i sięgnęła po kieliszek.

– Tylko bez żadnych takich?

– To przez adrenalinę – wyjaśnił zakłopotany Thomas. – Chciałem ostrzec włamywacza, żeby nie próbował żadnych sztuczek, ale trochę mi się poplątało. Rozumiem, musisz się napić – dodał pokrzepiającym tonem, kładąc jej dłoń na ramieniu. – Musiałem nieźle cię nastraszyć.

Wręczył jej rolkę ręczników papierowych, bo kiedy dopadł ją niekontrolowany atak śmiechu, miała usta pełne wina. Przez chwilę patrzył na nią, jak próbuje wywabić z bluzki różowe plamy.

– Nie spodziewałem się, że przyjdiesz – odezwał się.

– Ja też.

Odgarnął jej włosy z twarzy, odsłaniając parę głębszych zadrapań, które jeszcze nie zdążyły się całkiem zagoić.

– Wygląda na to, że miałaś ciężki dzień – powiedział i zauważył, że jej oczy się zwężają, więc dodał szybko: – Który oczywiście dodał ci tylko urody i świeżości... No więc co się stało?

- Wprowadzam się do ciebie.
- Dobrze... Znaczy świetnie! Naprawdę! Kiedy?
- Teraz.
- W porządku. To znaczy, jestem zachwycony, ale skąd ten nagły pośpiech?
- Bo u mnie zamieszkał pewien mężczyzna.

Thomas dopiero po chwili zrozumiał sens jej słów. Zmarszczył czoło i otworzył usta ze zdumienia.

– Moglibyśmy porozmawiać o tym jutro? – zapytała Baxter. – Jestem strasznie zmęczona.

– Jasne. W takim razie chodźmy spać.

Baxter odstawiła do zlewu kieliszek z resztą wina i ruszyła w stronę schodów.

– Zapomniałem ci powiedzieć, że tymczasowo będziemy korzystać z pokoju gościnnego – poinformował ją Thomas, kiedy szli na górę. – W sypialni zagnieździły się pchły Echo. To było prawdziwe obłączenie, ale dziś wieczorem odpaliłem drugą bombę dezynsekcyjną, która powinna wykończyć resztę tych małych potworów.

W innych okolicznościach byłaby to wkurzająca wiadomość, ale Thomas wydawał się tak dumny ze swojego zwycięstwa, a słowa „bomba dezynsekcyjna” wypowiadał z tak absurdalną powagą, że Baxter mogła się tylko roześmiać.

Następnego dnia rano Baxter weszła do biura lekko kołyszącym krokiem, za sprawą bokserek, które musiała pożyczyć od Thomasa, ponieważ zapomniała zabrać swojej bielizny. O tak wczesnej porze w sobotę nie spodziewała się zastać nikogo ważnego, ale gdy otworzyła drzwi swojego biura, zobaczyła Vanitę, która siedziała w jej fotelu. Krzesło po drugiej stronie biurka zajmował elegancko ubrany mężczyzna po pięćdziesiątce.

– Kurde, przepraszam... – bąknęła zmieszana. – Zaraz, czy ja...

– Nie pomyliłaś drzwi – odezwała się jej przełożona. – To jest moje biuro... dopóki nie wrócisz do swoich normalnych obowiązków. Nie przypominasz sobie?

Elegancki mężczyzna chrząknął i wstał z krzesła, zapinając górny guzik marynarki.

– Wybacz, Christianie, ale zapomniałam, że jeszcze się nie znacie – powiedziała Vanita. – Inspektor Baxter, Christian Bellamy, nasz nowy komisarz... od wczoraj.

Bellamy miał brązową opalenizną z solarium i gęste siwiejące włosy, a masywny

breitling na jego nadgarstku tylko pogłębiał wrażenie, że facet jest zbyt bogaty, żeby zwracać sobie głowę innymi obowiązkami służbowymi niż lunch biznesowy od czasu do czasu albo telekonferencja na brzegu luksusowego basenu. Jego zniewalający uśmiech zdawał się mówić „Głosuj na mnie” i najwyraźniej spełniał swoją funkcję.

Baxter uścisnęła jego dłoń.

– Gratuluję – powiedziała. – Choć właściwie od razu się domyśliłam.

Vanita roześmiała się sztucznie.

– Christian przyszedł do nas z wydziału do spraw przestępczości zorganizowanej...

– Naprawdę niepotrzebna mi cała biografia – przerwała jej Baxter i zwróciła się do gościa. – Bez urazy.

– Nie szkodzi – odparł z uśmiechem. – Krótko mówiąc, pełniłem tylko obowiązki komisarza.

– No cóż. – Baxter wymownie spojrzała na zegarek. – A ja spełniłam obowiązek zainteresowanej, a teraz pora już na mnie, więc jeśli wybaczyście...

Komisarz roześmiał się głośno.

– Finlay nie kłamał – powiedział, rozpinając guzik, żeby usiąść. – Jesteś dokładnie taka, jak mówił.

Baxter zatrzymała się w drodze do drzwi.

– Znasz Finlaya? – zapytała niedowierzająco.

– Ale tylko od trzydziestu pięciu lat. Pracowaliśmy razem w kradzieżach i włamaniach, a potem jakiś czas tutaj, zanim nasze drogi się rozeszły.

Zabrzmiało to jak taktowny eufemizm, za którym kryła się próżność. Kariera Finlaya utknęła w ślepym zaułku, podczas gdy jego obrotny kolega pisał się dalej po szczeblach hierarchii.

– Wczoraj wieczorem odwiedziłem jego i Maggie – pochwalił się Bellamy. – Całkiem nieźle się urządzili.

Baxter zauważyła, że Vanita przewraca oczami.

– Nie widziałam – odparła. – Byłam trochę zajęta.

– Oczywiście. Słyszałem, że poczyniliśmy obiecujące postępy.

– Owszem. *My* na pewno.

Komisarz zignorował jej uszczypliwą aluzję.

– To dobra wiadomość – stwierdził. – Ale kiedy będzie po wszystkim, musisz go odwiedzić. Na pewno sprawisz mu tym wielką radość. Strasznie się o ciebie martwi.

Baxter poczuła się lekko skrępowana, kiedy rozmowa nagle zaczęła przybierać tak osobisty charakter.

– Cóż, mój partner na mnie czeka – skłamała i wyszła z biura.

– Przekaż mu moje pozdrowienia, kiedy go odwiedzisz, dobrze? – zawołał za nią komisarz, kiedy umknęła do aneksu kuchennego, żeby zaparzyć sobie kawę.

W sobotnie przedpołudnie temperatura wzrosła do sześciu stopni Celsjusza dzięki grubej warstwie ciemnych chmur, które zdawały się nigdy nie odsuwać zbyt daleko od Londynu. Baxter jakimś cudem znalazła miejsce do parkowania przy głównej ulicy. Zatrzymali się w Marble Arch, sto metrów od hotelu Sycamore, który według kilku z przechwyconych widmowych wiadomości miał być miejscem ostatniego spotkania Greena z jego Marionetkami.

– O! Mają tam salę kinową – oznajmił Rouche, który przeglądał stronę hotelu na swoim smartfonie. – Myślisz, że ktoś z niej korzysta?

– Być może. Jesteśmy tu tylko po to, żeby obejrzeć wszystkie wejścia i punkty obserwacyjne.

– Można to zrobić tylko w jeden sposób.

Baxter chwyciła go za rękę, kiedy otworzył drzwi samochodu i zaczął wysiadać.

– Co robisz?

– Wejścia i punkty obserwacyjne... Stąd niewiele widać.

– Ktoś może nas rozpoznać.

– Ciebie może tak, ale nie mnie. Dlatego zabrałem dla ciebie prowizoryczny kamuflaż z twojego mieszkania. – Rouche wręczył jej czapeczkę bejsbolową, którą znalazł na wieszaku na ubrania. – To jest trzyczęściowy kamuflaż – dodał, widząc jej niewzruszoną minę.

– Czyżbyś przypadkiem przyniósł mi z domu coś jeszcze? – Baxter uniosła brwi.  
– Cokolwiek...

– Ach, twoje majtki! Tak!

Baxter wyrwała mu z ręki reklamówkę z bielizną i rzuciła ją na tylne siedzenie, a potem wysiadła z samochodu.

– Druga część kamuflażu polega na tym, że udajemy zakochanych – powiedział

Rouche i chwycił ją za rękę.

– A trzecia?

– Uśmiechnij się. Wtedy nikt cię nie rozpozna.

Agent specjalny Chase trzymał rozjuszonego kolegę, który próbował mu się wyrwać.

– Na litość boską, Saunders! – krzyknęła Baxter. – Masz pojęcie, ile papierkowej roboty mi przysparzasz za każdym razem, kiedy obrywasz po gębie?

W sali konferencyjnej wydziału kryminalnego tłoczyli się detektywi Policji Metropolitalnej, funkcjonariusze sekcji antyterrorystycznej i zmęczeni podróżą agenci FBI, którzy przylecieli zza oceanu, żeby wziąć udział w niedzielnej operacji. Baxter przekazała wszystkim zespołom wyniki rozpoznania w terenie.

Ogólnie rzecz biorąc, odprawa przebiegała zgodnie z oczekiwaniami.

MI5 przysłał swojego figuranta, który najprawdopodobniej dostał wyraźną instrukcję, żeby niczego nie ujawniać, tylko przekazywać swoim przełożonym z najdrobniejszymi szczegółami wszystkie poruszane kwestie, co zakrawało na najbardziej bezczelny akt szpiegostwa w dziejach wywiadu. Rouche, jedyny przedstawiciel CIA, próbował dyskretnie przekazać Baxter ostatnią sztukę jej bielizny, która zawieruszyła się na dnie jego teczki.

Na szczęście nie zauważył tego nikt oprócz Blake'a, który wyglądał na kompletnie zdruzgotanego.

– Hotelowa sala konferencyjna powinna być nafaszerowana kamerami – oświadczył Chase, a jego ludzie przyznali mu rację, kiwając głowami i wydając pomruki aprobaty.

– A skąd mamy pewność, że nie jest pod obserwacją? – zapytała Baxter z irytacją. – Skąd mamy pewność, że ci ludzie nie sprawdzą, czy nie ma tam kamer, pluskiew ani agentów FBI przyczajonych za kotarami?

Chase zignorował śmiechy, które rozległy się po drugiej stronie sali.

– To są szaleńcy, nie szpiedzy.

Agent MI5 uniósł wzrok znad swojego laptopa, jakby ktoś zawołał go po nazwisku, potwierdzając ogólną opinię, że prawdopodobnie jest najgorszym tajniakiem w branży.

– Może i są szaleńcami, ale zdołali zorganizować serię zamachów na dwóch kontynentach i nikt nie potrafił ich powstrzymać – zauważyła Baxter. – Jeśli

spłoszymy choćby jednego z nich... mogą nam uciec wszyscy. Trzymajmy się planu. Będziemy obserwować każde z pięciu wejść, a obraz z hotelowego monitoringu przekierujemy tutaj i zastosujemy system rozpoznawania twarzy. Jeśli nikomu z nas nie uda się tam wejść, podstawimy kogoś w przebraniu bagażowego albo recepcjonisty z czułym mikrofonem. Gdy tylko otrzymamy potwierdzenie, że Alexei Green tam jest, wkraczamy.

– A jeżeli Green się nie zjawi? – zapytał prowokująco Chase.

– Na pewno się zjawi.

– Ale przypuśćmy, że nie.

Wtedy mamy przesrane, pomyślała Baxter i spojrzała na Rouche'a, szukając wsparcia.

– Jeżeli nie uda nam się potwierdzić obecności Greena, będziemy czekać do ostatniej chwili, a potem wkroczymy zgodnie z planem. Nie złapiemy go tam, to zaczniemy przesłuchiwać jego pomocników i w końcu nas do niego doprowadzą.

– Jedno pytanie – odezwał się Blake znad kubka herbaty. – Była mowa o tym, że ktoś z nas miałby tam wejść. O co chodzi?

– Trzeba przyjrzeć mu się z bliska, żeby potwierdzić jego tożsamość – wyjaśnił Rouche. – To groźny przestępca ścigany przez FBI i każdy, kto czyta gazety, zna jego twarz. Prawdopodobnie będzie się starał zmienić wygląd.

– Jasne, ale nie możecie oczekiwać, że któryś z nas po prostu tam wejdzie i zasiądzie sobie wśród zgrai psychopatycznych morderców, nie mając pojęcia, co się stanie, kiedy zamkną się za nim drzwi.

W sali zapadła grobowa cisza. Rouche nie mógł zaprzeczyć, że sposób, w jaki przedstawił tę część planu, nie zabrzmiał szczególnie zachęcająco.

Baxter wzruszyła ramionami.

– Ktoś ma lepsze pomysły? – zapytała.

# SESJA SZÓSTA

ŚRODA, 11 CZERWCA 2014 ROKU

11.32

Szyta na miarę biała koszula z egipskiej bawełny zamieniła się w zmięty kłęb tkaniny, który wylądował na podłodze łazienki. Lucas wyjął następną z szafy w sypialni i zaczął ją wkładać, stojąc przed lustrem.

Westchnął na widok swojego pulchnego ciała i zaczerwienionego śladu na piersi, w miejscu, w którym oblał się gorącą kawą. W pośpiechu zapiął guziki i wepchnął koszulę do spodni, zbiegając po schodach do salonu, gdzie siedział kościsty mężczyzna po sześćdziesiątce i stukał w klawiaturę blackberry.

– Przepraszam cię za to. – Lucas odsunął krzesło od brunatnej plamy na podłodze i usiadł. – Teraz wszystko leci mi z rąk.

Gość przyjrzał mu się badawczo.

– Wszystko u ciebie w porządku? – zapytał.

Chociaż teraz łączyły ich relacje zawodowe, znali się od wielu lat.

– Tak – odparł Lucas bez przekonania.

– Rzecz w tym, że... wydajesz się jakiś nieswój, jeśli wolno mi zauważyć. Nie ma to związku z naszym dzisiejszym spotkaniem, prawda?

– Absolutnie. To tylko coś, co odkładałem na później od pewnego czasu. Poczuję, że zaniedbuję pewne sprawy, bo powinienem był zająć się nimi wcześniej, po tym, jak... cóż, po tym...

Chudy mężczyzna uśmiechnął się uprzejmie i pokiwał głową.

– Rozumiem... No więc wszystko jest olśniewająco proste. Powtórzę tylko najważniejsze punkty: „Uchylam wszystkie oświadczenia woli i dyspozycje majątkowe poczynione dotychczas przeze mnie... Wykonawcą mojej ostatniej woli ustanawiam Kancelarię Prawną Samuels-Wright i Synowie... Po uregulowaniu wszystkich zobowiązań, opłaceniu pogrzebu oraz kosztów notarialnych resztę mojego majątku przekazuję w całości fundacji szpitala dziecięcego Great Ormond

Street”. Bla, bla, bla. „Podpisano Lucas Theodor Keaton”. Wszystko się zgadza, tak?

Lucas wahał się przez chwilę, a potem drżącą ręką, nad którą nie potrafił zapanować, wyjął z kieszeni pendrive’a.

– Jest jeszcze to – odezwał się ze skrepowaniem, wręczając go swojemu gościowi. – Tu jest wiadomość... do przekazania tym, których może dotyczyć... w odpowiednim czasie. Żeby zrozumieli dlaczego.

Prawnik wziął od niego pendrive’a i włożył do kieszonki w aktówce.

– To bardzo przemyślane posunięcie. Nie wątpię, że zechcą się dowiedzieć, co ma im do powiedzenia człowiek, któremu zawdzięczają tę... oszałamiającą fortunę – powiedział i zaczął wstawać z fotela, ale usiadł z powrotem. – Jesteś dobrym człowiekiem, Lucasie. Niewielu z tych, którzy osiągają takie bogactwo i wpływy, nie zamienia się w małostkowych pozerów... Chciałem tylko, żebyś wiedział.

Gdy Lucas przybył na spotkanie, Alexei Green był zajęty rozmową z olśniewająco piękną kobietą. Chociaż rozmawiał z nią uprzejmie, wydawał się całkowicie obojętny na wyraźne sygnały, które mu wysyłała.

– Mówię poważnie. Dosłownie dzień po wysłuchaniu twojego wykładu na temat stosowania neuropsychologii behawioralnej w codziennej praktyce złożyłam wniosek o zmianę tematu mojej rozprawy.

– Ach, więc powinnaś być za to wdzięczna nauce... ja nie mógłbym przypisywać sobie takich zasług – zażartował Green.

– Wiem, że to może zabrzmieć zbyt śmiało, ale nawet godzina rozmowy z tobą byłaby dla mnie... – Zawiesiła głos, po czym zapiszczała z podniecenia, położyła dłoń na jego ramieniu i wybuchła śmiechem.

Stojąc w drzwiach, Lucas przyglądał się z podziwem, jak kobieta rozplywa się w zachwycie, odurzona urokiem Greena. Recepcjonistka, która również obserwowała tę scenę, przewróciła oczami.

– Coś ci powiem... – zaczął psychiatra. – Może porozmawiasz z Cassie, która znajdzie dla nas jakiś wolny termin w przyszłym tygodniu, żebyśmy mogli zjeść razem lunch?

– W przyszłym tygodniu leci pan do Nowego Jorku – odezwała się zza biurka Cassie znudzonym tonem.

– W takim razie tydzień później – odparł Green i w końcu zwrócił uwagę na



swojego pacjenta, który czekał przy drzwiach.

Zanim zaprosił go do gabinetu, musiał lekko pchnąć swoją wielbicielekę, żeby skierować ją w stronę wyjścia.

– Wiesz, że nie ma nic złego w odczuwaniu gniewu na kogoś... na ludzi, którzy wyrządzili krzywdę tobie i twojej rodzinie – powiedział łagodnie Green.

Słońce ukryło się za chmurą i w gabinecie zapadł półmrok. Ozdobny abażur, masywne drewniane biurko i ogromne fotele, które nadawały wnętrzu przytulny wygląd, nagle stały się puste i martwe. Nawet sam psychiatra wydawał się poszarzałą kopia samego siebie.

– Och, czuję gniew – Lucas zacisnął zęby – ale nie na nich.

– Nie rozumiem – odparł szorstko Green, szybko jednak zmienił ton. – Wyobraź sobie, że to ja jestem człowiekiem, który tamtego dnia przyjechał do centrum Londynu z materiałem wybuchowym, żeby zabić jak najwięcej ludzi. Co chciałbyś mi powiedzieć?

Lucas przez chwilę siedział wpatrzony tępo przed siebie i zastanawiał się nad pytaniem. Potem wstał i zaczął się przechadzać po gabinecie. Zawsze lepiej mu się myślało, kiedy był w ruchu.

– Nic. Nie miałbym mu nic do powiedzenia. Byłoby to równie bezsensowne jak przemawianie do jakiegoś martwego przedmiotu... pistoletu albo noża. Tacy ludzie są tylko bezwolnymi narzędziami. Ktoś poddał ich praniu mózgu i manipulacji, zamieniając ich w marionetki, żeby służyli sprawie, która ich przerasta.

– Marionetki? – zapytał psychiatra, a zaciekawienie w jego głosie mieszało się ze sceptycyzmem.

– Kiedy wydostają się na wolność, zachowują się jak drapieżne bestie i ciągną tam, gdzie jest najwięcej potencjalnych ofiar, a my... my tworzymy ogromne skupiska, nieświadomie ich przywabiając, i łudzimy się, że dopisze nam szczęście, że śmierć dosięgnie kogoś innego. Tymczasem ci, którzy w rzeczywistości pociągają za sznurki, jak na przykład ludzie odpowiedzialni za nasze bezpieczeństwo, wciąż traktują nas jak przynętę.

Jego słowa wyraźnie poruszyły Greena, który utkwiał wzrok w oknie naprzeciwko.

– Wybacz moje gadulstwo. To dlatego że... nasze rozmowy naprawdę mi pomagają – wyznał Lucas.

- Proszę? – zapytał psychiatra z nieobecnym wyrazem twarzy.
- Chodzi mi o to, że zastanawiałem się, czy moglibyśmy zacząć spotykać się częściej, powiedzmy dwa razy w tygodniu. Wiem, że w przyszłym tygodniu wyjeżdżasz... do Nowego Jorku, tak?
- Tak. – Green uśmiechnął się, wciąż rozmyślając o jego słowach.
- Często podróżujesz?
- Pięć, może sześć razy w roku, więc bez obaw, nie będziemy musieli często zmieniać terminów. Nie ma problemu, jeśli czujesz, że nasze sesje coś ci dają, oczywiście możemy się posunąć o krok dalej. Skoro jednak robisz tak imponujące postępy, zastanawiam się nad trochę innym podejściem... nowatorską formą terapii. Sądzisz, że jesteś gotów tego spróbować?
- Tak.

# Rozdział 28

**SOBOTA, 19 GRUDNIA 2015 ROKU**

**14.32**

Jak na typowego fachowca przystało, agent specjalny Chase zaparkował furgonetkę, zajmując dwa miejsca dla niepełnosprawnych. Podał koledze drabinę, a sam wyjął z samochodu skrzynkę z narzędziami. Dwaj mężczyźni w identycznych kombinezonach weszli do hotelu Sycamore i skierowali kroki do recepcji, przy której końcówki łańcuchów choinkowych zwieszały się smętnie nad podłogą niczym uschnięte pnącza.

Idąc przez lobby, Chase zauważył niepozorne ogłoszenie, które zawieszono w ramach przygotowań do niedzielnego zgromadzenia:

20 grudnia – godz. 11

Dyrektor generalny Equity UK Jules Teller

Tendencje zniżkowe cen akcji zwykłych,  
wynikające z tego zagrożenia dla rynków finansowych  
oraz co to oznacza dla inwestorów.

Chase musiał przyznać, że przeciwnik wykazał się pomysłowością – po co zatrudniać armię groźnych ochroniarzy, jeśli akcje zwykłe i rynki finansowe działają równie odstraszająco na wścibskich natrętów?

Korzystając z tego, że obie recepcjonistki były zajęte czym innym, agenci ruszyli korytarzem w stronę skromnej sali konferencyjnej. W środku na szczęście nie zastali nikogo. Przed niewysokim podium stało kilka rzędów krzeseł, w powietrzu unosiła się nieświeża woń, a beżowy kolor ścian sprawiał, że pomieszczenie wydawało się zamglone i przytłaczające.

Chase pomyślał, że gdyby otepiająca prelekcja Julesa Tellera o cenach akcji nie była tylko przykrywką, miejsce to nadawałoby się idealnie na tego rodzaju

wydarzenie.

Zamknęli za sobą drzwi i przystąpili do pracy.

Po katastrofalnej odprawie w Scotland Yardzie Lennox jednoznacznie przedstawiła mu swoje stanowisko – wprawdzie trop zaprowadził ich do Londynu, ale wciąż była to sprawa FBI, a Alexei Green zajmował czołowe miejsce na ich liście poszukiwanych. Kazała mu zlekceważyć paranoiczny rozkaz Baxter, która nie pozwalała nikomu zbliżyć się do hotelu, i zainstalować w sali konferencyjnej kamery oraz mikrofony. Chase i jego ludzie mieli aresztować Greena, gdy tylko pojawi się na miejscu, pozostawiając Brytyjczykom zgarnięcie reszty zebranych.

Jako doświadczony agent Chase rozumiał przynajmniej obawy Baxter, że hotel może być pod obserwacją. Przekonał się boleśnie na własnej skórze, że w takich sytuacjach zawsze lepiej zachować przesadną ostrożność. Dlatego kiedy instalowali pierwszą kamerę, przeprowadzili autentyczną naprawę podwójnych drzwi, wymieniając dwa zabrudzone zawiasy. Przez cały czas wczuwali się w swoje role i rozmawiali tylko o bieżącym zadaniu, mówiąc z całkiem znośnym brytyjskim akcentem na wypadek, gdyby ktoś ich podsłuchiwał.

Po piętnastu minutach skończyli. Dyskretnie rozlokowali kamery i mikrofony, a cztery skrzypiące zawiasy wymienili na nowe.

– Ciężko nie było, co? – skwitował z uśmiechem kolega Chase'a, intonując samogłoski zgodnie z powszechnym wśród Amerykanów błędnym przeświadczeniem, że ludzie w Anglii mówią tak, jakby mieli usta pełne żwiru.

– Herbaty? – zaproponował Chase i stłumił beknięcie, poklepując się po brzuchu jak wytrawny aktor.

Pogwizdując, spakowali narzędzia i wrócili do furgonetki.

Śledztwo Policji Metropolitalnej szybko utknęło w martwym punkcie.

Udało się pobrać materiał biologiczny z kluczy, których użyła Baxter, atakując zabójcę Phillipa Easta, ale zgodnie z przewidywaniami nie zdołano dopasować DNA do żadnej z osób figurujących w systemie. Śledczy wciąż przeglądali nagrania z kamer umieszczonych tam, gdzie odbyły się trzy poprzednie spotkania.

Zgłosiła się część pacjentów Alexeia Greena, ale wszyscy okazali się całkiem sympatyczni, nie byli naznaczeni bliznami i zgodnie twierdzili, że ich terapeuta był życzliwym i szczerym człowiekiem, który pomógł im przetrwać trudne chwile. Los kilkorga pozostałych wciąż był nieznany. Baxter poleciła swoim ludziom zdobycie

danych kontaktowych każdej z tych osób i złożenie wizyt w ich domach, w nadziei, że przez przypadek natkną się na jedną z Marionetek.

FBI nie robiło tajemnicy z szeroko zakrojonych poszukiwań Greena i jego fanatycznej armii, dlatego psychiatra rozproszył swoich zwolenników i zamierzał ich zwołać tylko raz, żeby powierzyć im misję, która miała się okazać koszmarem dla mieszkańców Londynu.

Niedzielne spotkanie było dla policji jedyną szansą, żeby położyć temu kres.

W sobotę po południu Baxter miała już dosyć. Wszyscy starali się zachowywać spokojnie, ale było wiadomo, że nie mogą się doczekać następnego dnia. Jeszcze raz odbyła rozmowę z Mitchellem – detektywem, który miał się wmieszać w tłum zebranych w hotelowej sali konferencyjnej. Zadowolona, że wszystko jest dopięte na ostatni guzik, zostawiła Rouche'a zajętego rozmową z byłym współpracownikiem Greena, pożegnała się ze wszystkimi i wyruszyła w drogę do Muswell Hill.

Zaparkowała przy znajomym drzewie, ale dopiero po chwili rozpoznała stojący tuż obok dom, który powiększył się o przybudówkę nad garażem. Jej uwadze nie umknął również stojący na podjeździe lśniący nowy mercedes. Kiedy wysiadła z samochodu i szła w stronę ganku, słyszała dobiegający z wnętrza odgłos wiertarki.

Drzwi otworzyła jej zadbana kobieta po pięćdziesiątce. Miała błyszczące niebieskie oczy, które kontrastowały z kruczoczarnymi włosami, upiętymi wysoko w stylu lat pięćdziesiątych. Jej ciemne dżinsy i workowaty sweter były poplamione farbą, ale wyglądało to raczej na modną stylizację.

– Witajcie, kłopoty! – zawołała, po czym wzięła Baxter w ramiona i odcisnęła jej na policzku ślad czerwonej szminki.

– Cześć, Maggie – powiedziała policjantka ze śmiechem, kiedy wreszcie wyswobodziła się z jej objęć. – Zastałam go?

– Teraz cały czas siedzi w domu. Myślę, że nie wie, co ze sobą zrobić. Mówiłam mu, że tak będzie, kiedy przejdzie na emeryturę, ale... zresztą znasz go. Ale wchodź, wchodź!

Baxter przestąpiła próg.

Finlay był jednym z ludzi, których darzyła największą sympatią, ale ilekroć patrzyła na Maggie, nie mogła się nadziwić, jak jej niezbyt przystojny i podstarzały przyjaciel zdołał poderwać i utrzymać przy sobie tak atrakcyjną, niezmiennie

czarującą i wytworną kobietę. „Startuję do wyższej ligi” – odpowiadał zwykle, kiedy drążyła ten temat.

– A jak ty się miewasz? – zwróciła się do Maggie.

Jej pytanie miało w sobie więcej wagi, niż mogłoby się wydawać, jako że było skierowane do osoby, która przez długi czas ciężko chorowała.

– Mam dobrą passę. Nie narzekam.

Baxter wyczuła, że Maggie, która zaczęła się krzątać w kuchni, chce ją o coś zapytać.

– O co chodzi?

Starsza kobieta obróciła się do niej z niewinną miną, która jednak niemal natychmiast znikła z jej twarzy. Znały się zbyt dobrze, żeby przed sobą udawać.

– Zastanawiałam się, czy masz jakieś wieści od Willa.

Baxter spodziewała się tego pytania.

– Nie, żadnych. Przysięgam.

Maggie wyglądała na zawiedzioną. Z biegiem lat ją i Wolfa połączyła tak bliska zażyłość, że kilka razy spędził z nimi Boże Narodzenie, zanim doczekali się wnuków.

– Wiesz, że możesz mi zaufać, prawda? – powiedziała.

– Wiem, ale nie zmienia to faktu, że nie odezwał się do mnie.

– On jeszcze wróci – zapewniła ją Maggie.

Pokrzepiający ton, jakim to powiedziała, nie zrobił na Baxter wrażenia.

– Jeśli wróci, trafi za kratki.

– Ale rozmawiamy o Willu. To normalne, że za nim tęsknisz. Wszyscy tęsknimy, choć na pewno nie tak bardzo jak ty.

Maggie dostatecznie długo obserwowała ich wzajemne relacje, aby wiedzieć, że łączyło ich znacznie więcej niż tylko przyjaźń czy zawodowe koleżeństwo.

– Nie znacie jeszcze Thomasa – odparła Baxter, chcąc skierować rozmowę na inny tor, choć tak naprawdę temat pozostał ten sam. – Następnym razem przyjadę z nim.

Maggie posłała jej w odpowiedzi zachęcający uśmiech, który tylko ją zirytował.

– Idź do niego – powiedziała, kiedy dobiegający z góry odgłos wiertarki wreszcie ucichł. – Zaraz przyniosę herbatę.

Kierując się wonią świeżej farby, Baxter weszła na piętro, gdzie znalazła

Finlaya, który na klęczkach układał panele podłogowe. Nie zdawał sobie sprawy z jej obecności, dopóki nie chrząknęła głośno, a wtedy porzucił swoje zajęcie i postępując do akompaniamentu strzykających stawów, podniósł się, żeby ją uściskać.

– Emily! Nie uprzedziłaś mnie, że wpadniesz.

– Sama nie wiedziałam.

– Miło cię zobaczyć. Niepokoi mnie to, co się dzieje. Siadaj – zachęcił ją, ale zaraz uświadomił sobie, że nie ma jej wiele do zaoferowania.

Część pokrytych trocinami paneli czekała dopiero na ułożenie oparta o ścianę w kącie, a reszta podłogi była zavalona puszkami farby i przedpotopowymi narzędziami.

– Możemy zejść na dół – dodał po namyśle.

– Nie, nie trzeba... Tu jest całkiem nieźle.

– Cóż, mieliśmy do wyboru to albo przeprowadzkę – wyjaśnił Finlay, wskazując pomieszczenie. – Chcemy teraz pomóc trochę dzieciom, kiedy jestem...

– Znudzony?

– Na emeryturze. Może się uda, jeśli Maggie zdecyduje się wreszcie na kolor ścian.

– Rozbudowa domu, nowy samochód... – powiedziała Baxter, ale w jej tonie było więcej dociekliwości niż zachwyty.

– Co mam powiedzieć? Kiedy zaczynałem służbę, fundusze emerytalne rzeczywiście były coś warte. W dzisiejszych czasach wszystko to o kant dupy rozbić. – Zawiesił głos, żeby się upewnić, czy Maggie nie usłyszała, jak przeklina.

– No więc... powinienem się martwić o ciebie?

– Nie.

– Nie?

– Jutro w południe będzie po wszystkim. Usłyszysz o tym, kiedy Vanita stanie przed kamerami, żeby ogłosić światu, że zażegnała kryzys, siedząc za biurkiem i pierdząc w stołek.

– Co się szykuje jutro? – zapytał Finlay z zatroskaną miną.

– Nic, czym musiałbyś się przejmować, staruszkę. W zasadzie tylko się przyglądamy, jak FBI robi swoje – skłamała Baxter.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że jej przyjaciel koniecznie chciałby się do

niej przyłączyć, gdyby uznał, że może go potrzebować. Dokładnie z tego samego powodu musiała okłamać Edmunda.

Finlay przyjrzał się jej badawczo.

– Poznałam dziś rano naszego nowego komisarza – powiedziała. – Kazał ci przekazać pozdrowienia.

– Doprawdy?

– Wygląda na to, że darzy cię wielką sympatią. Swoją drogą, kto to jest?

Stary detektyw potarł ze znużeniem twarz, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– To jego najstarszy przyjaciel – wtrąciła Maggie, niosąc na tacy herbatę i słoiczek, w którym zbierała opłaty za przekleństwa. – Kiedy się poznaliśmy, byli nierozłączni. Bardziej niż bracia.

– Nigdy o nim nie wspominałeś – zauważyła Baxter, nie kryjąc zdziwienia.

– Och, wręcz przeciwnie. Nie opowiadałem ci, jak znaleźliśmy ofiarę morderstwa, która nagle ożyła? Albo o tym, jak przechwyciliśmy największy transport prochów w dziejach Glasgow? Albo o tym, jak dostał kulkę w tyłek?

Słyszała te historie tyle razy, że znała je na pamięć.

– To wszystko o nim?

– Owszem – przytaknął Finlay. – Nie żeby dzięki którejś z tych rzeczy zaszedł tak wysoko.

– To tylko zazdrość – wyjaśniła jego żona i pogładziła go z czułością po łysiejącej głowie.

– Akurat!

– Jeszcze się przekonasz, że tak! – Maggie parsknęła śmiechem. – Dawno temu doszło między nimi do małego spięcia – dodała, zwracając się do Baxter, która uniosła brwi ze zdziwienia, wiedziała bowiem, co oznacza „spięcie” w słowniku Finlaya. – Poszły w ruch pięści, jak również stoły i krzesła, kiedy wzajemnie raczyli się obelgami, łamiąc sobie kości.

– Niczego mi nie złamał.

– A nos?

– To się nie liczy.

– Ale puścili to wszystko w niepamięć – wyjaśniła Maggie i zwróciła się znów do męża. – I to ty w końcu mnie zdobyłeś, prawda?

Pocałowała go w czoło, kiedy czule ścisnął jej dłoń, a potem wstała i ruszyła w



stronę wyjścia.

– Pogadajcie sobie o swoich sprawach.

– Samo to, że jesteśmy starymi przyjaciółmi – odezwał się Finlay, kiedy został sam na sam z Baxter – jeszcze nie oznacza, że możesz ufać mu bardziej niż jakimkolwiek innemu gryzpiórkowi na wysokim stołku. Dopóki to możliwe, lepiej trzymaj się od niego z daleka. Ale jeśli będzie robił ci wstręty, przyślij go do mnie.

Rouche nie spał. Od kilku godzin wpatrywał się w mrok, obracając w palcach zawieszony na szyi srebrny krzyżyk, i rozmyślał o niedzielnej operacji. Zgiełk na Wimbledon High Street przybierał na sile, kiedy weekendowi imprezowicze rozochoceni alkoholem wylegali z zatłoczonych barów, żeby wyruszyć na poszukiwanie kolejnego lokalu.

Westchnął i włączył lampkę nocną, oświetlając skrawek podłogi, który zajmował w sypialni Baxter. Porzuciwszy nadzieję na spokojny sen, wyczołgał się ze śpiwora, ubrał się szybko i wyszedł z mieszkania, żeby się napić czegoś mocniejszego.

Thomas przewrócił się na drugi bok i jego ręka spoczęła na pustym pościeliu. Nie otworzył oczu od razu, tylko na wpół śpiący próbował sobie przypomnieć, czy Baxter w ogóle przyszła do sypialni. W końcu doszedł do wniosku, że prawdopodobnie tak, po czym wstał z łóżka i zszedł na dół, gdzie zastał ją śpiącą przed telewizorem. W dłoni wciąż trzymała kieliszek z resztką wina, a pozbawiona widowni powtórka programu *QI* trwała w najlepsze.

Uśmiechnął się. Była taka spokojna, kiedy z jej rozluźnionej twarzy znikł ten gniewny grymas, który zawsze jej towarzyszył. Zwinięta w kłębek wyglądała jak dodatkowa poduszka na trzymiejscowej sofie. Pochylił się, żeby wziąć ją na ręce, ale chociaż wyęzał siły, nie zdołał jej podnieść.

Rozstawił szerzej nogi i spróbował jeszcze raz. Bez powodzenia. Może sprawiła to jej pozycja, może ciężkostrawna zapiekanka z makaronem, którą zjadł na kolację, a może fakt, że grywając dwa razy w tygodniu w badmintona, nie nabrał takiej masy mięśniowej, na jaką liczył. W końcu dał za wygraną. Otulił Baxter kocem, podkręcił trochę ogrzewanie, po czym pocałował ją w czoło i wrócił na górę.

# Rozdział 29

NIEDZIELA, 20 GRUDNIA 2015 ROKU

10.15

– Gównu prawda! – krzyknęła Baxter do telefonu i rozłączyła się, kończąc rozmowę z Vanitą.

Przez cały ranek padał deszcz, siejąc zamęt na ulicach, kiedy próbowała rozlokować cztery jednostki taktyczne przydzielone do jej dyspozycji. Stała na najwyższej kondygnacji piętrowego parkingu, który zapewniał agentom FBI dobry widok na pobliski hotel. Chase wydawał się jeszcze roślejszy niż zwykle i przynajmniej raz miał prawdziwy powód, żeby wystroić się w kamizelkę kuloodporną.

– Odwołałeś mojego człowieka! – wydarła się na niego, przekrzykując szum deszczu.

Agent spojrział na nią ze znudzoną miną.

– Już go nie potrzebowaliśmy – odparł lekceważąco i ruszył z powrotem w stronę swojego zespołu, który prowadził obserwację. – Mamy wszystko pod kontrolą.

– Hej, mówię do ciebie! – krzyknęła Baxter, idąc za nim.

– Posłuchaj, doceniam to, że udostępniacie nam swoich ludzi i sprzęt, ale to jest akcja FBI i jeśli dobrze zrozumiałem swoją przełożoną, właściwie nie ma powodu, żebyś jeszcze się tu kręciła. Możesz być spokojna, jeśli natrafimy na coś związanego z Greenem, oczywiście wam to przekazemy.

– Przekażecie?

Doszli do furgonetki. Deszcz przybierał na sile i nad dachem samochodu wisiała mgiełka, którą tworzyły rozbryzgujące się krople. Chase odsunął drzwi, odsłaniając rząd monitorów, na których widniały obrazy z kamer umieszczonych we wnętrzu sali konferencyjnej. Baxter nagle zrozumiała, dlaczego jej człowiek nie był już potrzebny. Agenci FBI zlekceważyli jej zakaz zbliżania się do hotelu.

– Och, wy sukinsyny!

– Mówiłem, że wszystko jest pod kontrolą – oświadczył Chase bez cienia skruchy, a kiedy Baxter obróciła się na pięcie i odeszła szybkim krokiem, zawołał za nią: – Jeśli zobaczę, że ty albo agent Rouche próbujecie się mieszać do mojej operacji, każę was aresztować.

Baxter wyszła z bramy wielopoziomowego parkingu i potruchtała w stronę swojego audi stojącego na ulicy. Usiadła w fotelu i wydała gniewny okrzyk, dając upust własnej frustracji. Rouche, który był akurat w połowie paczki Cadbury Crunchie Rocks, przerwał posiłek i czekał wyrozumiale, aż minie jej złość.

– Vanita pozwoliła Chase’owi przejąć dowodzenie – odezwała się wreszcie Baxter. – Całe wnętrze jest naszpikowane kamerami. Odwołali Mitchella. Na dobrą sprawę wszystkich nas odwołali.

– Ona wie, że nie pracuję dla niej, prawda? – zapytał Rouche, podsuwając Baxter czekoladkę na poprawę humoru.

– To bez znaczenia. Chase zagroził, że każę nas aresztować, jeśli wejdziemy mu w paradę, a taki kawał fiuta jak on jest gotów dotrzymać słowa.

– A ja myślałem, że wszyscy jesteśmy po tej samej stronie.

– Skąd ci to przyszło do głowy? Chase powiedział coś, co mi się nie podoba. Zaczynam odnosić wrażenie, że FBI zamierza zgarnąć Greena, odlecieć prosto do Stanów, a nam zostawić resztę całego tego bałaganu.

Rouche pokiwał głową i zapatrzył się w posępny widok za szybą. Sam miał podobne podejrzenia.

– Za dwadzieścia osiem minut się zacznie – powiedział.

Rozległo się pukanie w szybę po stronie kierowcy. Baxter wystraszona obróciła głowę i zobaczyła Edmunda, który uśmiechał się do niej.

– Co jest...?

Edmunds okrążył biegiem samochód, otworzył drzwi po stronie pasażera i napotkał zdumione spojrzenie Rouche’a. Przedstawił się, a Rouche zrobił to samo, ściskając jego mokrą od deszczu dłoń, a potem ustąpił mu miejsca i przesiadł się do tyłu, gdzie musiał przerzucić na sąsiednie siedzenie parę starych trampek, kilka zatłuszczonych pudełek po chińskich daniach na wynos i długie na metr pudełko Jaffa Cake.

– Co tu robisz? – zwróciła się Baxter do swojego przyjaciela.

- Przyszedłem pomóc. Pomyślałem, że mogę ci się przydać.
- Przypominasz sobie, jak ci mówiłam, że nie potrzebuję pomocy?
- A ty przypominasz sobie, jak użyłaś słów „proszę” i „dziękuję”?
- Aha – mruknął Rouche.

Baxter obróciła się i zmierzyła go gniewnym spojrzeniem.

- Co za „aha”?
- No cóż, stosujesz takie uprzejmości, tylko kiedy kłamiesz – odparł.
- No właśnie – przyznał mu rację Edmunds. – A zauważyłeś, że kiedy zasunie ci coś naprawdę obraźliwego, to potem kiwa głową, jakby chciała powiedzieć: „No, to mi się udało”?

Rouche wybuchnął śmiechem.

- Zgadza się, tak robi.

Obaj umilkli, zauważywszy, że twarz Baxter zmieniła wyraz.

- Jak nas znalazłeś? – spytała przez zaciśnięte zęby.
- Mam jeszcze kilku przyjaciół w wydziale kryminalnym – wyjaśnił Edmunds.
- A zauważyłeś, że kiedy kłamiesz, z twoich ust wydobywają się wyjątkowo głupie i niewiarygodne pierdoły? – odparła Baxter i lekko kiwnęła głową. – Nie masz żadnych przyjaciół w kryminalnym. Wszyscy cię nienawidzą.
- Ostro pojechałaś. Może ja nie mam tam żadnych przyjaciół, ale Finlay tak. On też przeczuwał, że coś się święci.

- Na litość boską, chyba nie powiesz, że wciągnąłeś w to wszystko Finlaya.

Edmunds spojrzał na nią trochę zawstydzony.

- Właśnie przyjechał – powiedział, a gdy Baxter wydała kolejny okrzyk, szukając pomocy w niebie, dodał wesoło: – A my tak będziemy siedzieć?

Z tyłu rozległ się szelest.

- FBI odcięło nas od sprawy – wtrącił Rouche, przeżuwając biszkopta z galaretką. – Musimy wiedzieć, co się dzieje w środku, ale oni wycofali naszego człowieka i są gotowi nas aresztować, jeśli będziemy się tam kręcić.

- Aha – mruknął Edmunds, przyswajając w ciągu paru sekund wydarzenia z ostatnich trzydziestu minut. – No dobra, w takim razie czekajcie na telefon – dodał, sięgając do klamki.

- Dokąd się wybierasz? – zapytała Baxter. – Czekaj!

Kiedy zatrzasnęły się drzwi samochodu, powiodła wzrokiem za swoim

przyjacielem, który szedł w deszczu w stronę wejścia do hotelu.

Rouche był pod wrażeniem. Nie przypuszczał, że ktoś potrafi tak dobrze sobie radzić z jego partnerką.

– Wiesz co? Podoba mi się ten twój były szef – odezwał się, nie zwracając uwagi na jawny nietakt.

– Mój były... kto?

– Jeszcze dwadzieścia trzy minuty.

Edmunds poczuł ulgę, kiedy przestało padać mu na głowę, ale przypomniał sobie, że chroniąc się przed deszczem, wszedł do budynku, w którym roi się od członków zbrodniczej sekty zdolnych do morderstw i samookaleczeń. Kończyła się doba hotelowa i przez drzwi przelewały się w obu kierunkach strumienie ludzi, które zdawały się nie mieć końca. Przeszedł przez lobby, zostawiając na posadzce mokre ślady, i zatrzymał się przy skromnym ogłoszeniu. W głębi korytarza za otwartymi na oścież podwójnymi drzwiami zobaczył pustą salę konferencyjną.

Udając, że szuka w kieszeniach klucza, na wypadek, gdyby ktoś go obserwował, wyjął telefon i wybrał numer Baxter.

– Czy jest tu jakaś inna sala? – wyszeptał.

– Nie. A czemu pytasz?

– Z miejsca, w którym stoję, wygląda na całkiem pustą.

– A gdzie stoisz?

– W korytarzu. Dziesięć metrów od wejścia.

– Zostało jeszcze dwadzieścia minut do rozpoczęcia – zaznaczyła Baxter.

– I nikt się dotąd nie zjawił?

– Tego nie możesz być pewien. Jak dużą część sali stamtąd widzisz?

Edmunds zerknął za siebie, żeby się upewnić, czy nikt go nie obserwuje, i zrobił kilka kroków w stronę drzwi.

– Niezbyt dużą... Zajrzę tam.

– Nie, nie rób tego! – Baxter wpadła w panikę. – Jeżeli się mylisz... jeżeli ktoś tam jest, możesz wszystko spieprzyć.

Ignorując jej ostrzeżenie, Edmunds podszedł jeszcze bliżej. Widział coraz więcej pustych krzeseł.

– Nadal nikogo nie widzę – oznajmił półgłosem. – Wchodzę do środka.

Mimo protestów dobiegających ze słuchawki przestąpił próg i jego oczom

ukazało się puste wnętrze. Rozejrzał się zdezorientowany.

– Nikogo tu nie ma – powiedział, a ton jego głosu wyrażał zarówno ulgę, jak i zaniepokojenie.

W oczy rzuciła mu się niewielka kartka przyklejona do drzwi od wewnątrz. Dopiero kiedy podszedł bliżej, żeby przeczytać ogłoszenie, zauważył komórkę, która stała oparta o framugę, a paciorkowate oko kamery wpatrywało się w niego, niewątpliwie przesyłając gdzieś jego obraz.

– O kurde – szepnął.

– Co jest? – zapytała Baxter. – Coś nie tak?

– Przenieśli się. Zmienił miejsce spotkania... na City Oasis po drugiej stronie ulicy. – Edmunds już wypadł z powrotem na korytarz. – Obstawiamy niewłaściwy budynek.

# Rozdział 30

NIEDZIELA, 20 GRUDNIA 2015 ROKU

10.41

Edmunds wybiegł z lobby hotelu Sycamore, obawiając się, że mógł narazić operację na niepowodzenie. Pocieszał się myślą, że ten, kto prowadził obserwację, spodziewał się raczej oddziału uzbrojonych policjantów i widok samotnego cywila nie wzbudził jego czujności.

Zanim znów lunęło mu na głowę, usłyszał, jak Baxter informuje o jego odkryciu agentów FBI. Nie przerywając połączenia, z telefonem w ręku przeszedł przez ruchliwą ulicę i znikł w przeszklonych drzwiach obrotowych hotelu City Oasis.

W pobliżu otoczonej przez marmurowe kolumny recepcji kręciła się grupa turystów, którzy schronili się przed deszczem, czekając na swój autokar.

Edmunds rozejrzał się w poszukiwaniu tabliczki informacyjnej:

## ← SALE KONFERENCYJNE

Przez przypadek kopnął czyjaś walizkę, biegnąc w kierunku, który wskazywała strzałka. Zauważył dwóch roślących mężczyzn, najprawdopodobniej ochroniarzy, którzy stali przed drzwiami na końcu korytarza, a w pomieszczeniu za ich plecami kłębił się tłum. Nie zatrzymując się, zerknął w ich stronę i uniósł komórkę do ucha.

– Baxter? Jesteś tam?

Słyszał w tle, jak krzyczała na kogoś.

– Tak, jestem.

– Sala numer dwa – poinformował ją.

Rozpędzona furgonetka wjechała w drogę dojazdową na tyłach hotelu i zatrzymała się przed jednym z wejść dla dostawców. Otworzyły się przesuwane drzwi i z samochodu wyskoczyła grupa uzbrojonych policjantów, czemu towarzyszyły metaliczny szcęk przeładowywanej broni i trzaski krótkofalówek.

– Tym razem to na pewno właściwy adres? – odezwał się jeden z nich.

Dowódca oddziału zignorował złośliwe pytanie.

– Pobiegniesz na róg tego budynku i sprawdzisz, ile wyjść mamy do obstawienia – rozkazał mu, po czym upewnił się, czy jego radio jest ustawione na właściwą częstotliwość, wcisnął guzik nadawania i zameldował do mikrofonu: – Zespół czwarty na pozycjach.

Furgonetka obserwatorów z FBI zatrzymała się na jezdni obok audi Baxter. Kierowca, któremu zablokowała drogę, zaczął nerwowo naciskać klakson, ale uspokoił się, kiedy z samochodu wysiadł uzbrojony agent.

Baxter podeszła do Chase'a, który właśnie wydawał przez radio dyspozycje swoim ludziom.

– Zespół trzeci, pamiętajcie, że tuż za rogiem znajdują się dodatkowe drzwi. Do wszystkich zespołów, Trojan zaraz wejdzie do budynku. Powtarzam, Trojan zaraz wejdzie do budynku.

Baxter przewróciła oczami. Podczas gdy Mitchell właśnie wracał do siedziby Scotland Yardu, z furgonetki wyłonił się „tajny” agent FBI. Facet mógłby być młodszym i bardziej przypakowanym bratem Vina Diesela. Górował posturą nawet nad swoim szefem i prezentował się dosyć absurdalnie w workowatym swetrze i dżinsach. Na rozkaz Chase'a ruszył w stronę wejścia do hotelu.

Baxter pokręciła głową i uniosła telefon, wracając do rozmowy z Edmundsem.

– Do środka zaraz wejdzie agent FBI – poinformowała go.

– W porządku – odparł szeptem jej przyjaciel. – Jak wygląda?

– Jak agent FBI, który stara się, żeby nikt go nie rozpoznał – odparła, wciąż obserwując mężczyznę, który oddalał się kołyszącym krokiem.

– Człowiek Chase'a już tu jest – powiedział Edmunds, zerkając nad głowami ludzi tłoczących się w hotelowym lobby, a potem pospiesznie wrócił na swój punkt obserwacyjny, który wcześniej sobie upatrzył.

Do sal konferencyjnych prowadziło kilka korytarzy. Edmunds odkrył, że jeden z nich kończy się na wprost sali numer trzy, piętnaście metrów od strzeżonego wejścia. Wyrzał zza rogu i dostrzegł sylwetki dwóch rośliwych ochroniarzy stojących przed otwartymi na oścież drzwiami, zza których dobiegał głośny gwar. Domyślił się, że w środku musi być mnóstwo ludzi, a kiedy się przyglądał,



przybyły właśnie dwie kolejne osoby.

– Mam częściowy widok na wejście – szepnął do telefonu.

– Facet jest dopiero w holu.

Z równoległego korytarza wyszła kobieta o przetłuszczonych włosach. Edmunds widział ją tylko przez sekundę, ale zauważył w jej zachowaniu coś dziwnego.

– Zaczekaj.

Zaryzykował, wychylając się zza rogu, żeby zobaczyć więcej, ale skrzydło otwartych drzwi zasłaniało mu widok.

– Co się dzieje? – zapytała Baxter.

– Nie jestem pewien. Każcie mu poczekać.

– Jest już w korytarzu.

– Cholera jasna – syknął Edmunds, rozważając kolejne posunięcie.

– Mamy przerwać akcję? Słyszysz mnie? Mamy przerwać?

Edmunds już podjął decyzję i szedł w kierunku wejścia do zatłoczonej sali, trzymając telefon przy uchu. Jeden z osiłków usłyszał jego kroki i spojrzał na niego, gdyż najwyraźniej nie spodziewał się, że ktoś może nadejść z tamtej strony. Znalazszy się w pobliżu drzwi, Edmunds posłał mu uprzejmy uśmiech i w tej samej chwili zauważył kobietę o tłustych włosach, która stała przed drugim ochroniarzem z rozpiętą bluzką, zapewne prezentując wycięte w skórze zaproszenie.

– Wiem! Jeśli kiedykolwiek przestanie padać, to może pozwiedzamy – rzucił bez troski do telefonu i roześmiał się, skręcając w korytarz, którym z przeciwka szedł agent FBI.

Obaj byli zbyt doświadczeni, aby ulec pokusie nawiązania kontaktu wzrokowego czy wykonać jakiś porozumiewawczy gest, wiedzieli bowiem, że faceci przy drzwiach mogą obserwować każdy ich ruch. Minęli się, nie zwalniając kroku. Edmunds w żaden sposób nie był w stanie ostrzec agenta, że za kilka sekund może zostać zdemaskowany. Nie odważył się przyspieszyć.

– Tak, ale chyba nie w Anglii, co? – powiedział i wybuchnął gromkim śmiechem, a potem wyszeptał: – Przerwać akcję. Przerwać akcję.

Muskularnego agenta dzieliły trzy kroki od wejścia do sali, kiedy skręcił w prawo i oddalił się niespiesznie korytarzem, z którego przed chwilą wyszedł Edmunds.

– Musi być jakieś inne wejście! – krzyczał Chase do krótkofalówki, desperacko próbując ratować operację, która wymykała mu się spod kontroli.

Obrócił się i ruszył energicznym krokiem w stronę furgonetki.

– Chase! – zawołała za nim Baxter, a kiedy przystanął, żeby się obejrzeć, pokazała mu środkowy palec. – Dobrze ci tak... kutasie.

Wiedziała, że nie jest to zbyt konstruktywna uwaga, ale nigdy nie zamierzała dążyć do ideału. Choć niewiele ją to obchodziło, Chase przez chwilę wyglądał na autentycznie urażonego, ale szybko wrócił do rozmowy ze swoim podwładnym.

– Przez okno? – zapytał. – A nie spróbowałbyś tam podejść jeszcze raz? Moglibyśmy odciągnąć tych ochroniarzy.

Baxter oparła się o swój samochód. Zauważyła świeżą rysę na drzwiach i pocierając ją machinalnie, wróciła do rozmowy z Edmundsem.

– Właśnie uratowałeś całą operację przed tymi idiotami – poinformowała go – ale oni wciąż próbują kogoś tam wcisnąć.

– Jeśli im się uda, a Greena nie ma w środku, to go spłoszą.

Komórka zawibrowała przy jej uchu. Baxter spojrzała na wyświetlacz.

– Zostań na linii. Mam drugie połączenie.

W słuchawce rozległ się głos Rouche’a.

– Mam pomysł. Czekał na ciebie w kawiarni naprzeciwko – powiedział agent i się rozłączył.

– Nie ruszaj się stamtąd – poleciła Baxter Edmundsowi. – Rouche coś wymyślił. Odezwę się do ciebie później.

Schowała telefon do kieszeni i omiotła wzrokiem szyldy po przeciwnej stronie ulicy.

## ANGIE'S CAFÉ

Przemoczona do suchej nitki i zmarznięta przemierzyła ruchliwą jezdnię i weszła do lokalu, trącając dzwonek nad drzwiami. Warstwa brudnego nalotu zdawała się pokrywać każdą widoczną powierzchnię, włącznie z samą Angie.

Rouche siedział przy jednym z dużych beżowych stolików i trzymał w dłoniach jednorazowy kubek z kawą. Gdy tylko go zobaczyła, wstał i poszedł do toalety. Do rozpoczęcia spotkania zostało niewiele ponad dziesięć minut, a może nawet mniej, zważywszy na poczynania Chase’a i jego ludzi, którzy usilnie starali się wszystko

spieprzyć.

Czuła napięcie, kiedy pewnym krokiem szła przez salę, ignorując spojrzenia klienteli, która nie grzeszyła elegancją. Mając do wyboru dwie możliwości, jeszcze bardziej wyraziste dzięki domalowanym markerem genitaliom, otworzyła drzwi męskiej toalety, popychając je ramieniem, bo nie miała odwagi dotknąć klamki, i weszła do odrażającego wnętrza.

Od oszronionego okienka pod sufitem ciągnęło chłodem. Z dwóch poźółkłych pisuarów sterczały stopy niebieskich kostek odświeżających, choć nic nie wskazywało na to, aby ktokolwiek się nimi przejmował, biorąc je pod uwagę jako alternatywę dla zaszczanych kafelków.

Rouche zawiesił marynarkę na ścianie kabiny i właśnie mył ręce w jedynej umywalce.

– Nie mogliśmy porozmawiać przy stole? – zapytała Baxter, spoglądając na zegarek.

Wydawał się rozkojarzony, jakby w ogóle jej nie słyszał. Zakręcił kran i wtedy zdała sobie sprawę, że nie mył rąk, tylko coś, co w nich trzymał. Bez słowa wręczył jej nóż do steków, który zabrał z kuchni. Oszołomiona spojrzała na ostrze.

Kiedy zaczął rozpinać guziki koszuli, dotarło do niej wreszcie, o co mu chodzi.

– Nie, nie ma mowy! – zaprotestowała. – Oszalałeś?

– Musimy się tam dostać.

– Owszem, musimy – odparła spokojnie. – Ale możemy znaleźć jakiś inny sposób.

Obydwoje wiedzieli, że to niemożliwe.

– Nie mamy czasu – powiedział Rouche. – Albo mi pomożesz, albo poradzę sobie sam i narobię jeszcze większego bajzlu.

Wyciągnął rękę, żeby zabrać jej nóż.

– Dobrze, zrobię to – powiedziała Baxter i poczuła mdłości.

Niepewnie podeszła do niego i położyła lewą dłoń na jego nagim ramieniu. Czuła na czole jego ciepły oddech. Przyłożyła mu nóż do piersi i się zawahała.

Nagle otworzyły się drzwi za ich plecami i na progu stanął barczysty mężczyzna. Obydwoje obrócili głowy i spiorunowali go wzrokiem. Jego spojrzenie błądziło między nimi, porzuconą koszulą i nożem w jej dłoni.

– To ja przyjdę później – wykrztusił, po czym obrócił się na pięcie i wyszedł.

Baxter znów spojrzała na Rouche'a. W głębi ducha była wdzięczna za tę chwilę zwłoki, która pozwoliła jej zebrać się w sobie. Zastanawiała się chwilę, od którego miejsca zacząć, a potem tak długo przyciskała czubek noża do skóry, aż popłynęła krew. Zrobiła proste nacięcie, ale Rouche chwycił ją za rękę.

– Narażasz mnie – powiedział. – Widziałaś blizny tych ludzi? Jeśli nie potrafisz tego zrobić jak należy...

– To ci zostanie do końca życia. Wiesz o tym?

Pokiwał głową.

– Po prostu tnij.

Wyjął krawat z kieszeni spodni, zwinął go i wepchnął sobie do ust.

– Tnij – powtórzył, zaciskając zęby na prowizorycznym kneblu.

Baxter wzdrygnęła się i zanurzyła ostrze w jego ciele, zmuszając się całym wysiłkiem woli, żeby nie zwracać uwagi na stłumione jęki bólu, drganie napiętych mięśni i gorący oddech, który owiewał jej czoło, kiedy wycinała kolejne litery.

W pewnym momencie zatoczyła się do tyłu i wpadła na umywalkę, omal nie tracąc przytomności na widok strużek krwi, które ściekały po jego brzuchu i znikwały pod spodniami. Powstrzymując odruch wymiotny, patrzyła z odrazą na swoje zakrwawione dłonie i jego rany.

## MARIONL

Rouche obejrzał w lustrze jej niedokończone dzieło.

– Dlaczego mnie nie uprzedziłaś, że masz taki paskudny charakter pisma? – zażartował, ale Baxter była zbyt wstrząśnięta, żeby zdobyć się na uśmiech.

Z powrotem zagryzł knebel, wyprostował się i skinął głową. Baxter znów uniosła ostrze, żeby dokończyć makabryczny napis.

## MARIONETKA

Zaraz potem rzuciła nóż do umywalki i pobiegła do kabiny, żeby zwymiotować. Kiedy stamtąd wyszła po niecałej minucie, ze zgrozą odkryła, że Rouche zaplanował dla siebie jeszcze jedną torturę. W jednej ręce trzymał nóż, a w drugiej zapalniczkę, którą podgrzewał ostrze.

– Muszę przypalić rany, żeby zatamować krwawienie – wyjaśnił.

Tym razem nie poprosił jej o pomoc, zresztą i tak nie potrafiłaby już się na to zdobyć. Rozległo się mdlące skwierczenie, kiedy przycisnął gorący metal do najgłębszego z nacięć i zaczął przesuwać.

Zgięty wpół na umywalkę obrócił głowę i spojrzał na nią załzawionymi oczami.

– Godzina? – zapytał, z trudem łapiąc oddech.

– Dziesiąta pięćdziesiąt siedem.

Pokiwał głową, ścierając krew szorstkim papierowym ręcznikiem.

– Koszula.

Baxter patrzyła na niego tępo.

– Proszę... – wysapał z wysiłkiem, wskazując na podłogę.

Schyliła się i podała mu zmiętą koszulę. Nie mogła oderwać wzroku od jego okaleczonej piersi, dopóki jej nie zasłonił. Potem wyjęła komórkę.

– Edmunds, musisz wrócić na pozycję... Zaraz tam będzie Rouche.

# Rozdział 31

NIEDZIELA, 20 GRUDNIA 2015 ROKU

10.59

Edmunds poczuł mdłości. Przed chwilą Baxter opowiedziała mu, na jakie poświęcenie zdobył się agent CIA, żeby uratować ich operację.

Dostrzegł Rouche'a, który właśnie wchodził do hotelu przez obrotowe drzwi. Jego poblada twarz lśniła od potu, z trudem utrzymywał równowagę i otulał się połamami marynarki, żeby zasłonić plamy krwi na koszuli.

– Widzę go – zameldował Edmunds, zmagając się z samym sobą, żeby nie pospieszyć mu z pomocą. – To się nie uda. Wątpię, czy w ogóle zdoła dojść do drzwi.

– Poradzi sobie.

Rouche chwiejnym krokiem minął recepcję, ściągając na siebie kilka badawczych spojrzeń, a gdy tylko znikł z pola widzenia dwóch ochroniarzy, którzy strzegli wejścia do sali, oparł się o ścianę. Zostawił na jej kremowej powierzchni krwawy ślad, gdy nagle ugięły się pod nim nogi i osunął się na posadzkę.

Edmunds odruchowo zrobił kilka kroków w jego stronę, ale zatrzymał się, widząc, jak Rouche lekko kręci głową. Jego zegarek wydał elektroniczny pisk. Jedenasta. Zobaczył, jak dwaj mężczyźni przy drzwiach na końcu korytarza podwijają mankiety.

– No, dawaj – szepnął do siebie, wodząc wzrokiem od Rouche'a do ochroniarzy i z powrotem.

Rouche odepchnął się od ściany. Czuł, jak koszula lepi mu się do skóry, i próbował sobie wmówić, że tkanina jest przesiąknięta potem, a nie krwią. Miał wrażenie, jakby w jego piersi ziała głęboka otchłań, a każdy chłodny powiew wpadający do wnętrza przez obrotowe drzwi przenikał go na wylot. Nie mogąc zlokalizować jednego źródła bólu, jego mózg przesyłał sygnał do wszystkich komórek nerwowych, które płonęły żywym ogniem.

Zmusił się, żeby wstać, po czym wyszedł zza rogu i ruszył zdecydowanym krokiem w stronę otwartych drzwi. W środku wszyscy zebrani siedzieli już na krzesłach, a gwar rozmów przycichał. Pilnujący wejścia dwaj mężczyźni zaczęli przyglądać mu się uważnie. Wyglądali na braci. Obaj mieli takie same ostre rysy twarzy i olbrzymie ciała. Rouche podszedł do większego z nich, przybierając postawę, która mówiła, że nie ma nic do ukrycia. Nie spuszczał z niego wzroku, mężczyzna wykonał zapraszający gest, ustawiając Rouche'a na środku przejścia, tak żeby nie widział drugiego ochroniarza, do którego był zwrócony plecami. Potem wskazał na jego klatkę piersiową.

Zaciskając zęby, Rouche rozpiął marynarkę i poczuł, jak jego rany się otwierają, kiedy zsuwał rękaw z ramienia. Nie musiał spuszczać wzroku, żeby ocenić, jak bardzo jest pokancerowany; mina ochroniarza mówiła sama za siebie. Zakrwawiona szmata, która do niedawna była jego białą koszulą, lepiła się do skóry jak zużyty opatrunek. Nagle wielka, śmierdząca papierosami dłoń zakryła mu usta, a grube niczym pień ramię zacisnęło się na jego szyi.

– Mamy problem – powiedział Edmunds do telefonu. – Zorientowali się, że coś nie gra.

– Jesteś pewien? Jeśli go zdemaskowali, musimy wkroczyć natychmiast.

– Nie wiem... Nie widzę ich stąd – odparł.

Czuł, że Baxter na próżno stara się zamaskować panikę w swoim głosie, który teraz dobiegał z oddali, kiedy opuściła telefon i wydawała komuś dyspozycje.

– Przygotować się do szturmu – powiedziała, a potem znów przyłożyła komórkę do ucha. – Teraz kolej na ciebie, Edmunds.

– Hej, spokojnie, spokojnie!

Rouche usłyszał łagodny męski głos.

Kilka osób obecnych w sali zauważyło, że coś się dzieje, i obserwowało z zainteresowaniem jego bezsilną szamotaninę, kiedy na próżno usiłował odgiąć rękę, która zaciskała się na jego szyi. Rozdarta koszula odsłaniała wycięte na jego piersi słowo, prawie nieczytelne w miejscach, gdzie krew zalewała litery, upodabniając je do niedbale pokolorowanego rysunku.

– Co tu się dzieje? – zapytał mężczyzna, który do nich podszedł.

Wyglądał na czterdzieści kilka lat, nosił zadbaną brodę i miał zyczliwą twarz, co

zakrawało na ironię, zważywszy na okoliczności.

– Kazał nam pan reagować, doktorze, kiedy zobaczymy coś podejrzanego – wyjaśnił większy z braci. – Jego rany są świeże.

Doktor delikatnie rozchylił zakrwawioną koszulę i skrzywił się na widok ran. Dał znak drugiemu osiłkowi, który zabrał dłoń z ust Rouche'a i rozluźnił nieco duszący chwyt.

– O rany, ale się pokiereszowałeś – odezwał się spokojnym, ale podejrzliwym tonem.

– Wycinam je sobie codziennie rano – odparł Rouche i była to najsensowniejsza odpowiedź, jaka przyszła mu do głowy.

Na twarzy mężczyzny pojawił się wyraz niezdecydowania.

– Kto cię tu zaprosił? – spytał.

– Doktor Green.

Taka odpowiedź, choć przypuszczalnie zgodna z prawdą, okazała się kompletnie bezużyteczna. Dzięki FBI Alexei Green niemal z dnia na dzień stał się sławny na całym świecie. Mężczyzna potarł podbródek, nie odrywając wzroku od Rouche'a.

– Zabić go – powiedział i wzruszył ramionami.

Agent wybałuszył oczy, kiedy na jego szyi znów zacisnęła się dźwignia, i zaczął wierzgać, rozpaczliwie szarpiąc duszącą go rękę. Nagle doktor znieruchomiał, jakby coś przykuło jego uwagę.

– Przestań! – rozkazał osiłkowi, a potem chwycił ręce Rouche'a i przyciągnął do siebie. – Mogę? – zapytał uprzejmie, jakby jego ofiara miała jakiś wybór.

Rozpiął guziki na mankietach i podwinął rękawy koszuli, odsłaniając postrzępione blizny na przedramionach Rouche'a. Delikatnie powiódł palcem wzdłuż wypukłych pręg pomarszczonej różowej skóry.

– Te nie są takie świeże – powiedział z uśmiechem. – Jak masz na imię?

– Damien.

– Musisz się nauczyć przestrzegania poleceń – upomniał go doktor, a potem zwrócił się do dwóch osiłków. – Teraz nie mamy już wątpliwości, że Damien jest jednym z nas.

Uwolniony z duszącego uścisku, Rouche wciągnął głęboki haust powietrza i zatoczył się w stronę wyjścia, żeby Edmunds mógł go zobaczyć w otwartych drzwiach. Jego wybawca nadal mierzył wzrokiem zwalistych braci.



– Spisaliście się doskonale – dodał. – Ale nie sądzicie, że jesteście winni Damienowi przeprosiny?

– Przepraszam – odezwał się ten większy, wbijając wzrok w czubki swoich butów jak zbesztany uczeń. Za to ten, który dusił Rouche'a, odwrócił się do ściany i zaczął z całej siły uderzać w nią pięściami.

– Hola! Hola! – uspokoił go doktor, chwytając jego poobijane pięści. – Nikt się na ciebie nie gniewa, Malcolmie. Chciałem tylko, żebyś przeprosił Damiena. Tego wymaga uprzejmość.

– Przepraszam – wydukał Malcom, unikając wzroku swojej ofiary.

Rouche odpowiedział mu łaskawym skinieniem dłoni, chociaż wciąż stał zgięty wpół i próbował złapać oddech, wykorzystując okazję, żeby wyjąć z kieszeni słuchawkę. Doktor położył mu dłoń na ramieniu.

– Zaraz dojdiesz do siebie – powiedział. – Kiedy będziesz gotowy, poszukaj sobie wolnego miejsca.

Rouche zobaczył Edmunda stojącego w holu z telefonem przy uchu, a po chwili ciężkie drzwi zatrzasnęły się z hukiem i zachrobotał przekręcany zamek. Był uwięziony.

Doktor odszedł w głąb sali.

Rouche wyprostował się z wysiłkiem, zaplął guziki koszuli i szybkim ruchem wetknął sobie słuchawkę do ucha. Po raz pierwszy miał możliwość dokładnie się rozejrzeć. W porównaniu z przygnębiającym wnętrzem po drugiej stronie ulicy sala sprawiała wrażenie jasnej i nowoczesnej. Szybko policzył rzędy krzeseł i miejsca w ostatnim z nich, żeby oszacować liczebność widowni. Mężczyzna, który wpuścił go do sali, wspinał się właśnie po schodkach z boku wysokiej na półtora metra sceny, żeby dołączyć do dwójki ludzi stojących na tle ogromnego ekranu.

– Jestem w środku – wymamrotał półgłosem Rouche. – Od trzydziestu pięciu do pięćdziesięciu podejrzanych.

Zauważył wolne krzesło na końcu rzędu i zaczął się przeciskać w jego stronę, odwrócony tyłem do sali. Kiedy dotarł na miejsce, wszyscy dookoła wstali i otoczył go gęszcz twarzy. W pierwszym odruchu chciał uciekać, chociaż wiedział, że nie ma dokąd, ale w tym momencie rozległy się gromkie brawa.

Na scenę wszedł Alexei Green.

Rouche obrócił się i zobaczył długowłosego mężczyznę, który machał do swoich

rozentuzjasmowanych wielbicieli. Miał na sobie modny garnitur o metalicznym połysku, który włożył zapewne, żeby uświetnić swoje wejście, ale jeszcze większe wrażenie robiło wyświetlone na ekranie za jego plecami ogromne zdjęcie Bankowca wiszącego na tle panoramy Nowego Jorku.

Rouche przyłączył się do oklasków. Zdawał sobie sprawę, że sam też jest na tej fotografii wśród nierozpoznawalnego tłumu funkcjonariuszy, którzy stali na moście i patrzyli na ciało.

– Widzę Greena – zameldował.

Musiał wręcz krzyknąć, bo owacje przybrały na sile, gdy na ekranie pojawiło się kolejne zdjęcie. Tym razem był to pognieciony wrak czarnego samochodu wystający ze ściany budynku niczym rękojeść noża.

Rouche przypomniał sobie, jak w kostnicy oglądał to, co zostało z ciała posterunkowego Kennedy'ego, porządnego faceta, jak wszyscy zgodnie twierdzili. Przypomniał sobie jego nadgarstek owinięty kawałkiem brudnej liny, którą sprawca przywiązał go do maski, żeby wjechać w pełnym pędzie w ścianę posterunku.

Zaczął klaskać jeszcze mocniej.

– Wszystkie zespoły na pozycje – powiedział Chase do krótkofalówki.

– W środku jest od trzydziestu pięciu do pięćdziesięciu osób – wtrąciła Baxter i kiedy agent przekazywał swoim ludziom tę informację, oddaliła się od furgonetki i uniosła komórkę do ucha. – Edmunds, wyprowadź ludzi z lobby. Zaraz zacznie się akcja.

Edmunds rozejrzał się po zatłoczonym wnętrzu.

– Jasne... Nie ma sprawy.

– Potrzebujesz pomocy? – zapytała Baxter.

– Nie, poradzę sobie. Mam tu Fi... – Ugryzł się w język, widząc, jak Finlay, który dołączył do niego chwilę wcześniej, ostrzegawczo kręci głową. – Mam tu wszystko pod kontrolą – dokończył i schował komórkę do kieszeni.

– Tylko by się martwiła, gdybyś jej powiedział, że tu jestem – wyjaśnił starszy detektyw. – Wyprowadźmy stąd wszystkich, a ona o niczym nie musi wiedzieć.

Edmunds pokiwał głową. Rozdzielili się i starając się zachowywać jak najciszej, zaczęli kierować ludzi w stronę wyjścia. W tej samej chwili drugimi drzwiami wkroczyła do hotelu grupa uzbrojonych funkcjonariuszy policji i agentów FBI.

Rouche ukradkiem potoczył wzrokiem po sali, spodziewając się, że lada chwila wpadną tam Chase i jego ludzie. Pomieszczenie miało trzy wyjścia – dwa mniejsze po obu stronach sceny i jedno duże od strony korytarza, przez które dostał się do środka. Zdążył już ostrzec Baxter, że każdego z nich pilnuje po dwóch mężczyzn, najwyraźniej zupełnie nieświadomych, że tylko centymetry dzielą ich od agentów FBI, którzy czaili się za drzwiami.

Z powrotem skupił uwagę na Greenie. Psychiatra zbiegł po schodkach z przodu sceny, żeby znaleźć się bliżej swoich wyznawców.

– Jesteśmy tacy dumni z tego, co zrobili nasi bracia i siostry – powiedział drżącym ze wzruszenia głosem do mikrofonu, który wystawał spod jego falujących włosów.

Rouche musiał przyznać, że doktor jest charyzmatycznym i porywającym mówcą, a jego magnetyczna osobowość pozwala mu wywierać wpływ na uległych słuchaczy. Krocząc środkiem sali między rzędami krzeseł, Green zdawał się patrzeć w oczy każdemu ze zgromadzonych. Jakaś kobieta zerwała się ze swojego miejsca, kiedy przechodził obok niej, i zarzuciła mu ręce na szyję, szlochając z zachwytu. Jeden z osiłków zrobił krok w ich stronę, ale psychiatra powstrzymał go ruchem ręki i pogładził kobietę po włosach, a potem ujął ją pod brodę. Kiedy się odezwał, wyglądało to tak, jakby zwracał się wyłącznie do niej.

– Teraz my się postaramy, żeby oni byli tak samo dumni z nas – powiedział, wywołując kolejną falę oklasków. – A jeden wyjątkowy szczęściarz obecny w tej sali poczuje dumę trochę wcześniej niż my wszyscy.

Rouche wykorzystał jego słowa jako pretekst, żeby się rozejrzeć, podobnie jak reszta zgromadzonych, którzy zerkali na twarze swoich sąsiadów w poszukiwaniu tajemniczego wybrańca. Gdy z powrotem obrócił głowę, Green znalazł się zaledwie trzy metry od niego. Między nimi siedziały tylko dwie osoby. Rouche wiedział, że szturm nastąpi lada chwila, i zaczął się zastanawiać, czy zdoła go dopaść.

Green musiał zauważyć jego świdrujące spojrzenie, bo też mu się przyglądał. Nawet nie drgnął, kiedy jego wzrok spoczął na przesiąkniętej krwią koszuli.

– Dwa dni, przyjaciele. Jeszcze tylko dwa dni oczekiwania! – zawołał i ruszył z powrotem w stronę sceny przy akompaniamencie ogłuszających owacji.

Widząc pełne uwielbienia twarze dookoła, Rouche zrozumiał, czemu miało

służyć to ryzykowne ostatnie spotkanie. Ci ludzie otaczali Greena czcią i byli gotowi zrobić wszystko, żeby zyskać jego aprobatę, nawet poświęcić życie, a w zamian oczekiwali tylko odwzajemnienia swoich uczuć. Po prostu musieli go zobaczyć jeszcze ten jeden raz. Teraz miał nad nimi absolutną władzę.

– Nie wchodźcie. Nie wchodźcie – wymamrotał Rouche w nadziei, że Baxter wciąż go słyszy.

Rozsądniej było pozwolić Greenowi, aby sam wyjawiał swoje plany, zamiast potem zmagać się z uporczywym milczeniem albo wykrętnymi półprawdami na przesłuchaniu.

– Powtarzam... nie... wchodźcie... – powiedział jeszcze raz, podnosząc głos.

Jednostajne bębnienie deszczu nagle przerodziło się w gwałtowne staccato, kiedy o szyby świetlików uderzył grad, który stał się dopełnieniem owacji.

– Wszyscy już wiecie, czego od was chcę – odezwał się psychiatra, przybierając poważny ton. – Ale powiem wam teraz, że gdy oczy całego świata zwrócą się ku Piccadilly Circus, żeby patrzeć na nasze chwalebne zwycięstwo, gdy ludzie wyniosą na powierzchnię ofiary i policzą zabitych, wtedy wreszcie to zauważą. Wtedy wreszcie zrozumieją... że nie jesteśmy pokrzywdzeni. Że nie jesteśmy chorzy. Że nie jesteśmy słabi.

Green z teatralną emfazą potrząsnął głową i uniósł wysoko ręce.

– Razem... jesteśmy... silni!

Zebrani znów wstali, a salę wypełniły ogłuszające brawa i okrzyki.

Chase i jego ludzie czekali w pełnej gotowości przy dwóch wyjściach w pobliżu sceny, gdzie od Greena dzieliło ich zaledwie kilka metrów. Zniżając głos do szeptu, kłócił się z Baxter.

– Na litość boską, daj mu jeszcze minutę.

– Nie ma mowy – odparł Chase nieco głośniejszym głosem, na co pozwalał mu narastający we wnętrzu hałas. – Namierzył cel. Wchodzimy.

– Powiedział, żebyśmy się wstrzymali.

– Do cholery, Baxter, nie blokuj kanału! – krzyknął. – Wchodzimy. Do wszystkich zespołów! Teraz! Teraz!

Owacje ucichły, gdy od strony trojga drzwi dobiegł huk. Pierwszy zareagował Green, wycofując się na scenę, gdzie jego dwaj towarzysze zerwali się z krzeseł,

zaalarmowani nagłym łoskotem. Widoczny na twarzach przywódców strach udzielił się zebranym jak zaraza.

Rouche zaczął się przepychać do przejścia, kiedy zamek w drzwiach za jego plecami ustąpił pod uderzeniem tarana. Wszyscy zerwali się z krzeseł i tłum, który falował jak jednolita masa, przycisnął go do ściany. Kiedy Green wbiegł na scenę, agenci właśnie sforsowali oba wejścia w głębi sali.

– FBI! Wszyscy na ziemię! Na ziemię!

Rouche rozpaczliwie wyteżał siły, próbując się przedrzeć przez ciżbę, która sunęła w stronę drzwi. Wbrew oczekiwaniom ludzie nie rozbiegli się we wszystkie strony, ale zbili się w ciasną grupę i natarli na przeciwników. Kiedy otoczyli dwóch agentów, padły pierwsze strzały, ale żywa fala nadal posuwała się przed siebie. Tymczasem Green w otoczeniu swojej świty zmierzał prosto w stronę otwartych drzwi. Rouche’owi udało się wreszcie wyrwać z kotłowaniny ciał. Wiedział, że otoczeni przez tłum funkcjonariusze i agenci nie widzą uciekającego psychiatry, a nawet gdyby go zobaczyli, nie mogliby zareagować. Zaczął się gramolić nad oparciami krzeseł, kiedy huknął strzał i mężczyzna przed nim osunął się na podłogę.

Rouche stanął twarzą w twarz ze spanikowanym policjantem. Domyślił się, że ktoś musiał wydać rozkaz użycia broni, kiedy sytuacja zaczęła wymykać się spod kontroli. Nie liczył na to, że tamten go rozpozna, bo wśród chaosu i w zakrwawionej koszuli wyglądał jak jeden z fanatycznych zwolenników Greena.

Gliniarz wziął go na cel, unosząc karabinek szturmowy. Rouche zamarł w bezruchu. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zdawał sobie sprawę, że może nie zdążyć. Nagle tłum staranował policjanta, który zdążył nacisnąć spust i trafił w sufit, zanim upadł. Rouche próbował go ratować, ale wchłonęła go kolejna fala ludzkich ciał, która wypełniła pustą przestrzeń, trując leżącego mężczyznę.

Tłum porwał go w stronę drzwi i wypchnął z sali, gdyż większość uciekających kierowała się w stronę lobby. Znalazłszy się na zewnątrz, Rouche dostrzegł Greena, który zbliżał się do wyjścia ewakuacyjnego na końcu korytarza. Pobiegnął za nim. Szyba w drzwiach była wybita i psychiatra przecisnął się między sterczącymi z rami kawałkami szkła, po czym wypadł na drogę dojazdową na tyłach budynku i rzucił się biegiem w stronę ulicy, mijając porzuconą furgonetkę jednej z grup szturmowych.

– Baxter! – Rouche przycisnął palcem słuchawkę. – Green uciekł z hotelu. Biegnie w stronę Marble Arch.

Nie rozumiał zniekształconej odpowiedzi.

Wybiegł zza rogu i znalazł się na ulicy, gdzie przed witrynami sklepów i w bramach tłoczyły się grupki ludzi. Lodowate krople deszczu sprawiały mu potworny ból, uderzając w okaleczoną klatkę piersiową. Był przekonany, że na dobre stracił Greena z oczu, ale wtedy zauważył jego sylwetkę przemykającą przez jezdnię na tle trzech łuków białej marmurowej bramy.

– Jest na Oxford Street! – krzyknął i rzucił się w pogoń, nie mając nawet pewności, czy przy tak fatalnej pogodzie Baxter nadal słyszy jego meldunki.

Green oddalał się coraz bardziej i Rouche rozumiał, że jego ciało nie jest w stanie dłużej ignorować obrażeń, które sam sobie zadał, i zaczyna odmawiać mu posłuszeństwa. Drobinki gradu wydawały się ciężkie jak stalowe kulki, a każdy kolejny oddech sprawiał mu coraz większy ból.

W pewnym momencie Green poczuł się na tyle pewnie, żeby przystanąć i obejrzeć się za siebie. Patrzył przez chwilę, jak wycieńczony Rouche zwalnia, z każdym krokiem tracąc resztki energii, a potem odgarnął z czoła mokre kosmyki włosów, roześmiał się i niespiesznie pomaszerował przed siebie.

Rouche ledwie trzymał się na nogach, kiedy wyprzedziło go rozpędzone czarne audi. Samochód wjechał na chodnik i zatrzymał się na ścianie kamienicy parę metrów przed Greenem, zagrządzając mu drogę. Zaskoczony psychiatra rozejrzał się, jakby dokonywał wyboru między ruchliwą ulicą a sklepem z bielizną, ale wtedy Rouche skoczył mu na plecy i powalił go, rozdzierając jego modny garnitur.

Baxter wyskoczyła z samochodu, oparła kolano na karku Greena, przygważdżając go do chodnika, i zatrzasnęła kajdanki na jego nadgarstkach.

Skrajnie wyczerpany Rouche przetoczył się na plecy i wlepił wzrok w bezbarwne niebo, z którego zaczęły opadać pierwsze płatki śniegu. Trzymał się za obolałą klatkę piersiową, z trudem łapiąc oddech, a jednak po raz pierwszy od niepamiętnych czasów czuł się naprawdę wyciszony.

Słyszał, jak Baxter rozmawia z kimś przez telefon.

– Przyślijcie ambulans... Oxford Street pięćset dwadzieścia jeden... Tak, przed sklepem Ann Summers... Ranny policjant... Głębokie rany cięte, stracił dużo krwi... proszę, pospieszcie się! – Zakończyła rozmowę i musiała pochylić się nad

nim, bo jej głos dobiegał teraz z bliska. – Pomoc jest już w drodze. Mamy go. Mamy go! Już po wszystkim.

Baxter podniosła Greena, zmuszając go, żeby ukląkł na chodniku. Zauważyła, że Rouche powoli obraca głowę i patrzy w jej stronę. Na jego twarzy pojawił się słaby uśmiech... ale po chwili znikł, ustępując miejsca grymasowi przerażenia.

– Nic ci nie jest? Co się stało? – spytała zaniepokojona. – Chyba nie powinieneś się ruszać.

Jęcząc z bólu, Rouche zaczął się czołgać po oblodzonym betonie. Wyciągnął rękę i rozdarł do końca przemoczoną koszulę Greena, odsłaniając blizny na jego piersi, które układały się w znajome słowo:

## MARIONETKA

– O cholera – szepnęła Baxter. – Ale dlaczego...? Cholera jasna.

Green uśmiechnął się do niej triumfująco.

– To nie on pociągał za sznurki – wychrypiał Rouche i znów przetoczył się na plecy. – Nadal drepczemy w miejscu.

# Rozdział 32

NIEDZIELA, 20 GRUDNIA 2015 ROKU

12.39

Chase był wściekły.

Jego operacja zakończyła się porażką, a Green wymknął mu się z rąk, co oznaczało, że przynajmniej na razie FBI nie mogło rościć sobie żadnych praw do aresztowanego. Baxter nazbyt dobrze zdawała sobie sprawę, że taka sytuacja nie potrwa długo, ponieważ jej przełożona jest zbyt bojaźliwa, by nie ulec naciskom z zewnątrz. Dlatego natychmiast po przybyciu do siedziby Scotland Yardu Green znalazł się w pokoju przesłuchań.

Jego zwolenników rozmieszczono na różnych okolicznych posterunkach policji, korzystając ze skomplikowanego algorytmu, który uwzględniał dostępność zasobów ludzkich na tle aktualnego zapotrzebowania. Program był dziełem pracownika działu informatycznego, którego półtora roku wcześniej policjanci omyłkowo wzięli za podejrzanego w sprawie „Szmacianej Lalki” i niesprawiedliwie pozbawili śniadania. Obecni na miejscu śledczy przystąpili do przesłuchania, korzystając z zestawu pytań, który przygotował i puścił w obieg Chase.

Baxter spodziewała się, że Green będzie grał na zwłokę, domagając się adwokata, jednak ku jej zdumieniu nie przedstawił takiego żądania. Zamierzała wykorzystać jego nieroztropną decyzję. Ponieważ Rouche przebywał w szpitalu, nie bez oporów poprosiła Saundersa, żeby jej towarzyszył. Chociaż wyszczekany posterunkowy nie budził jej sympatii, był tak wredny, że nikt w całym wydziale nie dorównywał mu pod względem skuteczności w wydobywaniu zeznań.

Strażnik otworzył przed nimi drzwi pokoju numer jeden – tylko nowicjusze korzystali z nieskazitelnie czystej dwójki. Green siedział spokojnie przy stoliku na środku pomieszczenia i uśmiechnął się uprzejmie na ich widok.

– Możesz sobie darować ten gówniany uśmieszek – warknął do niego Saunders.



Baxter nie przywykła do odgrywania roli dobrego gliny.

Jej partner po raz pierwszy wyglądał całkiem profesjonalnie. Wciąż miał na sobie mundur i trzymał w ręku wypchany dokumentami skoroszyt, którym groźnie uderzył o blat, siadając na krześle. Oczywiście w środku znajdował się tylko numer „Men’s Health”, ale Baxter uznała to za sprytne posunięcie.

– Jeśli myślicie, że nas pokonaliście, czeka was przykre rozczarowanie – oznajmił psychiatr, odgarniając włosy do tyłu.

– Naprawdę? – zapytał Saunders. – To ciekawe, bo wydawało mi się, że przymknęliśmy wszystkich twoich szurniętych kumpli, którzy w tej chwili śpią...

– Ilu? – przerwał mu Green.

– Wszystkich.

– Ilu dokładnie?

Widząc wahanie na twarzy Saundersa, aresztowany uśmiechnął się chytrze i opadł na oparcie krzesła.

– No więc wzięwszy pod uwagę tych, którzy uciekli podczas waszej spartaczanej akcji dziś rano, a także tych, którym kazałem dzisiaj nie przychodzić, powiedziałbym, że... jesteście w dupie.

Żeby zyskać czas do namysłu, posterunkowy otworzył skoroszyt i zaczął przerzucać kartki, jakby sprawdzał jakieś dane. W rzeczywistości patrzył na kolejny artykuł traktujący o tym, jak wyrzeźbić sześciopak w półtora miesiąca, który teoretycznie powinien w ciągu sześciu tygodni doprowadzić czasopismo do plajty, gdyby którakolwiek z tych metod była naprawdę skuteczna. Nagle poczuł się bardzo gruby. Zamknął teczkę, wzruszył ramionami i zwrócił się do Baxter.

– Myślę, że on ma rację – powiedział, po czym teatralnym gestem klepnął się w czoło. – Wiesz co? Zrobiłem coś naprawdę głupiego! Umówiłem się już z tą kobietą na wtorek. Jak ona ma na imię?

– Maria.

Green wyraźnie się spał.

– I nie zgadniesz, jakie miejsce wybrałem na spotkanie.

– Nie mów, że stację metra Piccadilly Circus. – Baxter pokręciła głową z udawaną konsternacją.

Saunders zwrócił się ponownie do aresztowanego.

– Widzisz, pomyślałem sobie, że jako twoja siostra mogłaby rozpoznać twoich

dawnych znajomych, przyjaciół, a może nawet pacjentów. To uzasadniona prośba i na pewno nie będziesz miał nic przeciwko. Maria spędzi tam cały dzień.

Zmiana nastroju Greena potwierdzała, że stacja metra faktycznie była celem planowanego ataku.

– Ona nic dla mnie nie znaczy – odparł psychiatra i całkiem przekonująco wzruszył ramionami.

– Czyżby? Wiesz, że ja ją przesłuchiwałem, kiedy odkryliśmy, że to ciebie szukamy.

– A jedna z was przesłuchiwała mnie. – Green skierował wzrok w stronę Baxter i ich spojrzenia się spotkały. – Po tym zajściu w więzieniu. Agentka... Curtis, zgadza się? Co u niej słyhać?

Baxter wyprężyła się na krześle, zaciskając pięści.

– To ja musiałem ją poinformować, jakim perfidnym skurwielem jest jej brat – ciągnął Saunders. – Z początku nie wierzyła i broniła cię zaciekle. Aż smutno było patrzeć, jak jej wiara w twoją niewinność obraca się w ruinę.

Jego słowa były jak celnie wymierzony cios. Green zerknął na niego, a potem znów przeniósł wzrok na Baxter.

– Musiałaś ją zostawić – powiedział, patrząc jej uważnie w oczy. – Skoro tu siedzisz, to znaczy, że ją tam porzuciłaś, żeby się ratować.

Saunders również obserwował swoją partnerkę i zauważył, że jej oczy się zwężają, a oddech staje się coraz szybszy. Wiedział, że gdyby teraz rzuciła się na Greena, byłoby po przesłuchaniu, a ich podejrzanego wzięłyby w obronę zastępy wojujących biurokratów. To, że któremuś z nich puszcza nerwy, było tylko kwestią czasu.

– Wiem, że nie jesteś taki jak oni wszyscy – odezwał się. – Nie wierzysz w te bzdury i robisz to dla zysku, prawda?

Green nie zareagował na jego uwagę.

– Z tego, co mi wiadomo o ranach kłutych – rzekł, patrząc nad głową posterunkowego – bardzo rzadko powodują natychmiastową śmierć.

Baxter zacisnęła szczęki. Nie panowała już nad nerwowym drżeniem rąk.

– No więc o co chodziło? – krzyknął Saunders. – O pieniądze czy o ich milczenie? Zaraz, czekaj. Ty chyba nie jesteś z tych, co za bardzo lubią dzieci, co?

– Nie sądzę, aby zdążyła się wykrwawić, zanim ją opuściłaś. Jeszcze żyła,

prawda?

Ironiczny uśmiech przeważył szalę i Baxter zerwała się z krzesła.

Tymczasem Saunders zdał sobie sprawę, że jego dotychczasowe metody nie skutkują i postanowił zmienić taktykę.

– Kim jest Abby? – zapytał. – Przepraszam, powinienem raczej powiedzieć, kim była Abby?

Green nie zdołał ukryć burzliwych emocji, które na niespełna ułamek sekundy rozpały jego oczy. Próbował odwrócić wzrok, ale Saunders dostrzegł jego reakcję i poszedł za ciosem.

– Tak, twoja siostra o niej wspomniała. Ona nie żyje, prawda? Zastanawiam się, co by sobie pomyślała o tym wszystkim. Sądzisz, że Annie byłaby z ciebie dumna? Że Annie...

– Abby! – krzyknął psychiatra. – Ona ma na imię Abby!

Saunders parsknął śmiechem.

– Szczerze mówiąc, stary, zwisa mi to. Chociaż, czekaj... Chyba że to ty ją zabiłeś. – Udając zainteresowanie, nachylił się w stronę podejrzanego. – W takim wypadku zamieniam się w słuch.

– Jak, kurwa, śmiesz? – Twarz Greena poczerwieniała, a grymas wściekłości pogłębił bruzdy, które zdradzały jego wiek. – Pierdołę... was obydwój! Robię to wszystko dla niej.

Detektywi wymienili krótkie spojrzenia, zdając sobie sprawę, jak znaczące może być to gwałtowne wyznanie, ale Saunders nie zamierzał na tym poprzestać.

– Wszystko pięknie i ładnie, skoro to jakiś popieprzony hołd dla Amy...

– Abby! – wrzasnął Green, pokrywając blat kropelkami śliny.

– ...ale naprawdę myślisz, że ktokolwiek będzie sobie zawracał dupę tobą i twoją martwą zdziwą, kiedy zaczną wybuchać bomby? – Posterunkowy roześmiał się Greenowi w twarz. – Jesteś nikim, zaledwie marnym dodatkiem, rozgrzewką przed głównym spektaklem.

Saunders wstrzymał oddech. Wiedział, że po takim zagranu przeciwnik również może odsłonić karty.

Green wstał powoli i nachylił się w jego stronę, na ile pozwalały mu kajdanki. Gdy wreszcie przemówił, z jego ust wydobył się szept przepojony furią i nienawiścią.

– Kiedy przyjdiesz do mnie we wtorek, ty pieprzony cwaniaczku, zapewniam cię, że będziesz pamiętał jej imię. A-B-B-Y – przeliterował, odginając palce, i z powrotem opadł na krzesło.

Detektywi spojrzeli po sobie, po czym bez słowa wstali od stołu i w pośpiechu opuścili salę. Zdobyli to, czego potrzebowali.

– Chciałabym teraz zobaczyć, jak ten ważniak z MI5 próbuje nam wmawiać, że nie ma zagrożenia kolejnymi atakami – prychnęła Baxter, gdy kroczyli w stronę sali konferencyjnej przez otwartą przestrzeń biurową, zbierając po drodze pozostałych członków zespołu. – I dowiedzieć się, co zyskaliśmy dzięki jego nieżyjącej dziewczynie.

– Mamy poważny problem – oznajmiła młoda policjantka, gdy tylko Baxter weszła do sali.

– Ech, a tak dobrze nam szło! No cóż, wal śmiało.

– Właśnie skończyliśmy przypisywać do zatrzymanych przechwycone wiadomości...

– Widmowe SMS-y – wtrącił Steve, który właśnie coś naprawiał pod jednym z biurek.

– I wciąż brakuje nam trzynastu Marionetek Greena.

Baxter aż się skrzywiła.

– Trzynastu?

– A spośród tych Marionetek, które prześwietliliśmy do tej pory, co najmniej pięć nie cierpiało nigdy na choroby psychiczne ani nie leczyło się u żadnego psychiatry, nie mówiąc o tych z naszej listy. Wynika z tego, że podobnie jak w Nowym Jorku, sprawa ma dużo większy zasięg, a Green i jego pacjenci to tylko czubek góry lodowej... Pomyślałam, że powinna pani o tym wiedzieć.

Baxter wydała krótki jęk, który łączył w sobie wyrazy rozczarowania, zmęczenia i niepokoju. Młoda policjantka uśmiechnęła się przepaszająco i odeszła, żeby usiąść na krześle.

– Hej – szepnął Saunders. – O co jej chodziło?

– Żebyśmy się za bardzo nie cieszyli – westchnęła Baxter, po czym stanęła przed zebranymi i zapoznała ich z najnowszymi postępami w sprawie.

Kiedy skończyła, jeden z jej podwładnych uniósł rękę.

– Na litość boską, Blake! – krzyknęła. – Jesteś dorosły. Mów!

- Czy Green naprawdę potwierdził, ile eksplozji zaplanowali?
- To logiczne. Tyle samo, ile w Nowym Jorku. Saunders to z niego wyciągnął.
- Aha. – Blake pokiwał głową, jakby wszystko było dla niego oczywiste. Napotkał pytające spojrzenie Chase’a i dodał tytułem wyjaśnienia: – Sprowokował go.
- A co z systemem rozpoznawania twarzy? – zapytała Baxter.
- City Oasis przesłał nam swoje nagrania – odparł jeden z techników FBI. – Porównujemy kadry z obu hoteli, żeby mieć pewność, że nikogo nie przeoczyliśmy.
- A tamtych troje, którzy stali na scenie z Greenem?
- Kobieta została zastrzelona podczas próby ucieczki. Baxter westchnęła z irytacją.
- Zaatakowała mnie nożem – usprawiedliwił się jeden z podwładnych Chase’a.
- Nazywała się Amber Ives – ciągnął jego kolega. – Również była psychiatrą i zajmowała się terapią ludzi, którzy stracili swoich bliskich. Miała wiele okazji, żeby natknąć się na Greena, na przykład na jakimś seminarium albo przez wspólnych znajomych. Mężczyźnie, który z nią był, udało się uciec.
- Tam było mnóstwo ludzi – odezwał się agent, który zastrzelił Ives, kiedy wszyscy zwrócili ku niemu oskarżycielskie spojrzenia.
- A ten trzeci? – zapytała Baxter.
- W tej chwili tu jedzie. Mówi, że chce iść na układ.
- No cóż, zawsze to jakiś postęp, ale przyjmijcie założenie, że będzie nam wciskał kit. – Baxter spojrzała na Saundersa. – Naprawdę dobra robota – pochwaliła go, a potem zwróciła się do Chase’a: – My już skończyliśmy z Greenem. Teraz możesz bić się o niego z MI5.

Baxter zatrzymała się przed drzwiami pokoju szpitalnego. Nawiedzały ją wspomnienia ożywione docinkami Greena i na ułamek sekundy znalazła się znów w ciemnym wnętrzu kościoła, by zobaczyć krwawą pręgę wykwitającą na szyi Curtis.

Rouche spał z pochyloną do przodu głową i wyglądał jak nieboszczyk w trumnie. Opatrunek na jego piersi przesiąkł krwią, a płatanina przewodów i rurki, które łączyły jego ręce z zawieszonymi na statywach zbiornikami, wiły się wokół łóżka niczym pnącza.

Uniósł powieki i na jego twarzy pojawił się słaby uśmiech.

Baxter otrząsnęła się z makabrycznych wspomnień, podeszła do niego i rzuciła mu dużą paczkę Crunchie Rocks, którą kupiła w kiosku w holu szpitala. Był to rozczulający gest, ale oplątane wężykami kroplówek ręce Rouche'a nie zdołały złapać prezentu, który wylądował na jego obolałej piersi, przyprawiając go o bolesny jęk.

– O psiakrew! – syknęła Baxter i podbiegła do niego, żeby położyć czekoladki na szafce obok łóżka.

W telewizji leciał właśnie świąteczny film, w którym rozpoznała *Harry'ego Pottera i Księcia Półkrwi*. Uświadomiła sobie podobieństwo między ich sytuacją a sceną, w której Albus Dumbledore przekazuje swoim uczniom mroczną przestrożę, mówiąc im, że to oni sami są najgroźniejszą bronią w rękach swoich wrogów.

Ściszyła dźwięk pilotem i usiadła przy łóżku.

– No i kiedy cię wypisują? – zapytała.

– Jutro rano. Do tego czasu muszą mnie nafaszerować antybiotykami, żebym, cytuję, nie umarł. Ale przynajmniej mogę znów swobodnie oddychać – odpowiedział Rouche i widząc pytające spojrzenie Baxter, wyjaśnił: – Odłamek żebra wbijał mi się w płuco. Od czasu bijatyki w więzieniu.

– Aha.

– Teraz ludzie będą dziwnie na mnie patrzeć, kiedy pójde na basen – zażartował.

– Może da się coś z tym zrobić. Przeszczep skóry albo coś w tym rodzaju.

– Tak, na pewno – odparł bez większego przekonania.

– Albo ci spece od przerabiania tatuaży – zasugerowała Baxter. – Wiesz, jeśli ktoś chce się pozbyć imienia swojej byłej...

– Jasne. – Rouche pokiwał głową. – No i co wydusiliście z Greena?

Baxter opowiedziała mu o przesłuchaniu, a także o zeznaniach Yannisa Hoffmana, aresztowanego lekarza, który udostępnił policji kartoteki swoich pacjentów. Troje z nich należało do trzynastu Marionetek przebywających wciąż na wolności. Hoffman – onkolog i specjalista w dziedzinie opieki paliatywnej, którego zwerbował osobiście Alexei Green uchodzący za jedynego inspiratora serii morderstw – licząc na złagodzenie wyroku, wyjawił policji dokładną godzinę planowanego zamachu. Do eksplozji miało dojść o siedemnastej, kiedy panuje największy ruch.

– I jeszcze jedno – dodała Baxter. – Dziewczyna Greena zginęła cztery lata temu w zamachu bombowym w Oslo.

Jeśli Rouche był wstrząśnięty tą wiadomością, to nie dał niczego po sobie poznać.

– I to był jego motyw? – zapytał.

– Nie. Jego słaby punkt.

– I nie miało to żadnego związku ze sprawą „Szmacianej Lalki”?

– Chodziło tylko o przyciągnięcie uwagi całego świata. W bardzo sprytny sposób zyskali rozgłos, zabijając kilka przypadkowych osób, żeby potem odpalić wielką bombę. Wykorzystali przeciwko nam jedną z najmroczniejszych stron naszej natury, czyli fascynację rozlewem krwi. Odkąd schwytaliśmy Masse’a, ludzie niczym tak bardzo się nie podniecali – wyjaśniła Baxter, która wiele myślała o tym wszystkim po przesłuchaniu Greena. – To genialny plan. Wszyscy zwalczają się nawzajem i są tym zbyt pochłonięci, żeby oglądać się za siebie, więc tym łatwiej zająć ich od tyłu. Doprowadzili do tego, że sami się pozabijamy.

# Rozdział 33

NIEDZIELA, 20 GRUDNIA 2015 ROKU

18.03

Płatki śniegu migotały w blasku reflektorów. Po porannym spotkaniu z witryną drogerii na Oxford Street audi wydawało odgłos tarcia i ściągało w prawo. Jego stan budził poważne obawy w związku ze zbliżającym się przeglądem technicznym.

Baxter wyłączyła silnik i pod maską rozległ się głośny syk uciekającego powietrza, sugerując konieczność usunięcia jeszcze jednej usterki. Zabrzmiało to tak, jakby samochód dosłownie westchnął z ulgą, bo udało mu się bez szwanku pokonać kolejny odcinek drogi.

Zauważywszy grupkę nastolatków w sportowych strojach – najgrubszy z nich ubierał się tak chyba dla ironii – którzy kręcili się przy wejściu do parku, odłączyła nawigację satelitarną i schowała urządzenie pod fotel. Założyła czapkę i rękawiczki, wzięła leżącą na siedzeniu pasażera torbę i ruszyła ścieżką w stronę mieszkania Edmunda.

Nacisnęła dzwonek i stojąc przed drzwiami, zauważyła wiszący na ścianie sznur lampek choinkowych, który ktoś przeciął na pół. W głębi ulicy rozległ się brzęk tłuczonej butelki i głośny śmiech, który odbił się echem od ścian domów. Usłyszała płacz Leili i po chwili zapaliło się światło w przedpokoju. Minęło trochę czasu, zanim Tia uporała się z zamkiem jedną ręką.

– Wesołych świąt. – Baxter się uśmiechnęła, co kosztowało ją wiele wysiłku, i uniosła torbę z prezentami, które zabrała po drodze ze swojego mieszkania. – Wesołych świąt, Leila – zaćwierkała tym samym głupkowskim tonem, jakiego używała, wołając Echo na kolację, i wyciągnęła rękę, żeby pogłaskać dziewczynkę.

Ku jej zdumieniu Tia cmoknęła z irytacją, po czym obróciła się na pięcie i znikła w korytarzu, pozostawiając ją osłupiałą na progu. Przez zawodzenie Leili przebił się jej podniesiony głos:



– Alex!

– Co?

– Przyszła twoja przyjaciółka. Jestem na górze.

Płacz dziecka ucichł gdzieś w głębi domu, a po chwili do przedsiionka wbiegł Edmunds, strzepując z włosów śnieg.

– Czemu tu jeszcze stoisz? – zapytał z uśmiechem. – Wchodź.

Czekając na niego, Baxter wybrała najlepsze w swoim mniemaniu wyjście z sytuacji i postanowiła udawać, że nic się nie stało, a potem wtrącić jakąś uszczypliwą uwagę na temat zachowania Tii, gdy tylko nadarzy się okazja.

– O co jej, do cholery, chodzi? – wypaliła, nie mogąc się powstrzymać.

Edmunds machnął lekceważąco ręką.

– Och, uważa, że masz na mnie zły wpływ... a ja opuściłem dziś rano przyjęcie z okazji pierwszych urodzin Leili... no i było coś jeszcze – powiedział zagadkowo, kierując ją do kuchni, gdzie przez otwarte drzwi prowadzące do ogrodu wdzierał się wieczorny chłód.

Baxter podała mu torbę z prezentami i w zamian otrzymała jeszcze większą.

– Napijesz się czegoś?

– Nie... Nie powinnam tu długo siedzieć – odparła i spojrzała wymownie na sufit, decydując się jednak na taktykę biernej agresji. – Wstąpiłam do ciebie, bo... Chciałam tylko...

Edmunds rozpoznał to znamienne skrępowanie, które w jej przypadku zawsze poprzedzało słowa uznania albo pochwały.

– ...po prostu... chciałam ci podziękować.

– Drobiazg.

– Czuwałeś nade mną... jak zwykle... i spisałeś się dzisiaj na medal... jak zwykle.

– Naprawdę? – Edmunds był zaskoczony jej wylewnością. – Myślę, że to ja powinienem ci podziękować. Dzisiaj... w ciągu tych ostatnich dwóch tygodni dotarło do mnie, jak bardzo mi tego brakuje. Brakuje mi ryzyka, dreszczu emocji, tego poczucia, że robię coś ważnego. Tia jest na mnie wściekła, cóż, właściwie na nas oboje, bo dziś po południu złożyłem wypowiedzenie.

Baxter uśmiechnęła się promiennie.

– Wracasz do wydziału?

– Nie mogę – odparł, a jej zrzęda mina. – Potrzebuję więcej wolnego czasu. Muszę myśleć o mojej rodzinie, ale nie mogę dłużej marnować się za biurkiem w gospodarczym.

– No więc...?

– Coś ci pokażę.

Zdezorientowana Baxter poszła za nim do ogrodu przez zaśnieżoną smugę światła padającego z kuchni.

– Tadam! – Edmunds z dumą wskazał na zdezelowaną szopę, która bynajmniej nie wyglądała jak powód do dumy. Obojętna mina byłej przełożonej ostudziła jego entuzjazm. – O kurde – mruknął, uświadomiwszy sobie, dlaczego uroczysta odsłona nie wzbudziła oczekiwanej reakcji. Schylił się, żeby podnieść własnoręcznie wykonany szyld, który zawiesił z powrotem na drewnianej ścianie. – Cholerstwo nie chce się trzymać. Tadam!

#### ALEX EDMUNDS – PRYWATNY DETEKTYW

Otworzył mizerne drzwi, które ledwie się trzymały na zawiasach, i odsłonił urządzone w środku biuro. Przytulne światło lampy padało na laptop spoczywający na środku niewielkiego stołu obok drukarki i telefonu bezprzewodowego. Nie zabrakło tam również ekspresu do kawy, w kącie stał grzejnik olejowy, a wiadro, nad którym wisiała końcówka węża ogrodowego, pełniło funkcję prowizorycznej umywalki. Ciasne biuro było wyposażone nawet w „poczekalnię dla klientów”, czyli drugi taboret.

– No i co o tym myślisz? – zapytał.

Baxter nie odpowiedziała od razu, tylko jeszcze raz omiotła wzrokiem wnętrze szopy.

– Oczywiście to jest tylko tymczasowe – dodał, nie doczekawszy się żadnej reakcji. – Potem, kiedy już stanę na nogi... Ty płaczesz?

– Nie! Ja tylko... Myślę, że to idealne posunięcie.

– O Boże! Ty płaczesz!

– Cieszę się razem z tobą... a te ostatnie dwa tygodnie były naprawdę ciężkie. – Baxter się roześmiała, a potem wybuchła płaczem, wtulona w ramię Edmundsa, który przyciągnął ją do siebie. – Rany boskie! – odezwała się po chwili, ocierając łzy i rozmazując sobie tusz po policzkach. – Osmarkałam cię. Przepraszam, jestem

okropna.

– Wcale nie – zaprzeczył Edmunds. – Leila zdążyła już opluć tę bluzę, kiedy ją karmiłem.

Wskazał palcem jedną z plam, choć tak naprawdę podejrzewał, że nie był to ślad papki dla niemowląt.

– „To znaczy dla niego coś więcej”. – Baxter odczytała jedno ze zdań nagryzmołonych na karteluszkach, które wisiały na drewnianej ścianie.

– Tak. – Edmunds zerwał kawałek papieru i wyteńczył wzrok, próbując odszyfrować własne pismo. – Marionetka... Przynęta. Dlaczego wycinali akurat te konkretne słowa sobie i swoim ofiarom?

– Dowód lojalności? Jakiś sprawdzian?

– Na pewno jego uczniowie tak to postrzegają, jako oznakę jedności, przynależności do grupy, ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że dla naszego... Azazela ma to zupełnie inne znaczenie. Że to coś osobistego. – Zawiesił głos i wahał się przez chwilę, zanim znów się odezwał. – Obawiam się, że nie zdołasz powstrzymać tego, co się szykuje.

– Dzięki za słowa otuchy.

– Ja tylko... Pomyśl, jak bardzo musiał się starać ktoś, kto nakłonił Glenna Arnoldsa, żeby przyszył sobie do pleców swoją ofiarę, kto doprowadził go stopniowo do takiego poziomu psychozy, kto systematycznie podmieniał mu leki. A wszystko było dostosowane do tej jednej osoby. To coś więcej niż obsesja. Ktoś obrał sobie taki życiowy cel... i to mnie przeraża.

Dziesięć minut później Baxter stała na progu frontowych drzwi.

– Och, prawie zapomniałem – powiedział Edmunds i pobiegł korytarzem w głąb domu. Po chwili wrócił z białą kopertą, którą wetknął do torby z prezentami. – Obawiam się, że to ostatni raz. Posłuchaj...

– Mam wyświadczyć sobie uprzejmość i jej nie otwierać? – przerwała mu Baxter, spodziewając się jego kolejnej opinii na temat szpiegowania Thomasa.

Pokiwał głową.

– Wesołych świąt – dodała na pożegnanie, po czym cmoknęła go w policzek i ruszyła z powrotem do samochodu.

Po powrocie do domu Baxter nie zastała Thomasa. Całkiem wyleciało jej z głowy, że miał na ten wieczór zaplanowane jedno z wielu spotkań służbowych, które

czekały go w okresie świątecznym. Położyła torbę z prezentami pod choinką i powoli dotarły do niej dwa fakty. Po pierwsze, Thomas kupił choinkę. Po drugie, przez to wszystko, co działo się ostatnio, jeszcze nic dla niego nie kupiła.

Echo spał w kuchni, Rouche spędzał noc w szpitalu, a Thomas z pewnością wpadł w szpony swojej współpracownicy Lindy i Baxter pożałowała, że mimo wszystko nie wstąpiła po drodze do Finlaya. Nie chciała go nachodzić tego wieczoru, który spędzał z wnukami, więc podziękowała mu za pomoc przez telefon i umówiła się z nim na spotkanie po świętach.

Nagle poczuła się bardzo samotna, ale postanowiła nie myśleć o ludziach, którzy zniknęli z jej życia w ciągu ostatniego półtora roku. Zdjęła buty i poszła na górę, żeby zrobić sobie kąpiel.

Krótko po wpół do dziewiątej rano Baxter zabrała Rouche'a sprzed szpitala. Wciąż oszołomiony lekami przeciwbólowymi agent był irytująco wesołym towarzyszem podróży przez korki w porannych godzinach szczytu. Udało im się ominąć sznur samochodów przed jednym skrzyżowaniem, ale kiedy utknęli przed kolejnym, Baxter straciła nadzieję, że zdążą na zaplanowane na wpół do dziesiątej spotkanie z przedstawicielami sekcji antyterrorystycznej MI5, którzy nagle zaczęli bardzo poważnie traktować kwestię zagrożenia zamachem.

Rouche włączył radio.

– ...dziś rano w Wielkiej Brytanii ogłoszono krytyczny stopień zagrożenia terrorystycznego, co oznacza, że zdaniem organów bezpieczeństwa atak jest nieuchronny.

– W samą porę – odezwała się Baxter i zerknęła na swojego pasażera, który uśmiechał się do siebie. – Co cię tak bawi?

– To, że nie będzie żadnego zamachu. Powstrzymamy ich.

Baxter przejechała przez skrzyżowanie na czerwonym świetle. Spiker w radiu przeszedł do kolejnego tematu, oznajmił, że bukmacherzy przestali przyjmować zakłady o to, czy w święta spadnie śnieg.

– Podoba mi się twój optymizm, pozytywne nastawienie i w ogóle, ale...

– Tu nie chodzi o optymizm, tylko o determinację – przerwał jej Rouche. – Przez całe lata dryfowałem bez celu, zastanawiając się, dlaczego ja przeżyłem, a moja rodzina nie... Teraz już wiem... Tylko pomyśl, ile potrzeba było decyzji i przypadkowych wydarzeń w ciągu ostatnich dziesięciu lat, odkąd wyszedłem na

powierzchnię jako ofiara zamachu terrorystycznego, żebym teraz miał możliwość zapobiec kolejnej takiej tragedii. Tak jakby historia się powtarzała, dając mi jeszcze jedną szansę. Nareszcie zrozumiałem, dlaczego wciąż żyję, i w końcu mam jakiś cel.

– Posłuchaj, cieszę się, że wstąpiło w ciebie życie, ale przede wszystkim skupmy się na tym, co ci skurwiele planują zrobić na tej stacji. Musimy zapanować nad sytuacją. Nie możemy dopuścić, żeby wywiedli nas w pole jak w Nowym Jorku. Nie możemy ściągnąć ludzi z innych części miasta, cokolwiek by się działo, nawet gdyby nam coś groziło. Zajmiemy się tym, co zamierzają zrobić dla zmyłki. Bomby to sprawa MI5 i nie będziemy wchodzić im w paradę... Przykro mi – dodała, czując się winna, że sprowadziła go na ziemię.

– Nie rób sobie wyrzutów. Masz rację, ale ja po prostu wiem, że wypełniając swoje zadanie, zdołamy ich powstrzymać.

Baxter zmusiła się do uśmiechu, żeby nie psuć mu humoru.

– Wybiegamy za daleko naprzód – zauważyła. – Niewykluczone, że przedtem dojdzie do jeszcze jednego morderstwa i jeśli tamtych pozszywanych bliźniaków można uznać za punkt odniesienia, czeka nas coś naprawdę potwornego.

– Chyba że zaaresztowaliśmy już tę konkretną Marionetkę.

– Bo jesteśmy takimi szczęściarzami – zadrwiła Baxter.

Korzystając z tego, że ruch stał się bardziej płynny, zmieniła pas i wyprzedziła kolumnę autobusów. Pracujące na najniższym biegu wycieraczki zebrały na obrzeżach szyby tyle śniegu, że można by zacząć lepić bałwana.

– Moglibyśmy... – Rouche zawahał się, próbując sformułować bardziej przekonujący argument. – Moglibyśmy zaczekać do ostatniej chwili i za pięć piąta ewakuować wszystkich ludzi ze stacji.

– Niestety nie możemy.

– Ale gdybyśmy...

– Odpada. Gdybyśmy tak zrobili, mogliby się wymknąć, a potem uderzyć w innej części miasta. A tak przynajmniej wiemy, gdzie się pojawią, i będziemy przygotowani.

– Wykorzystujemy niewinnych ludzi jako przynętę... Dlaczego to brzmi tak znajomo? – zapytał Rouche. Nie mówił tego z wyrzutem, ale w jego głosie dało się wyczuć ubolewanie.

– Owszem, ale nie widzę innego wyjścia.

– Zastanawiam się, czy w dwa tysiące piątym ktoś powiedział coś podobnego o mnie i mojej rodzinie.

– Być może – odparła Baxter ze smutkiem.

Czuła lekki wstręt do samej siebie za swoją bezduszną ocenę sytuacji. Podejrzewała, że Rouche będzie się męczył tego dnia, biorąc udział w strategicznych naradach, podczas których sprowadza się istnienia ludzkie do liczb w tabelkach.

Obawiała się, że jej też nie będzie łatwo to znieść.

Kiedy minęła osiemnasta, Baxter czuła się wyczerpana. Zgodnie z przewidywaniami cały dzień wypełniły narady i spotkania. Podwojono środki ostrożności w londyńskim metrze i we wszystkich innych miejscach, które przyciągały tłumy ludzi. Postawiono w stan pełnej gotowości pięć największych szpitali w mieście, które w każdej chwili mogły wdrożyć procedury kryzysowe, a londyńskie pogotowie ratunkowe zaangażowało prywatnych podwykonawców, żeby zapewnić sobie dodatkowe zaplecze.

Trwające od rana do wieczora przesłuchania Marionetek nie przyniosły większych postępów. Fanatycznym zwolennikom Greena wcale nie zależało na ratowaniu własnej skóry, więc jakiegokolwiek próby zastraszenia lub obietnice złagodzenia kary nie miały sensu. Sam Green znajdował się w rękach MI5. Zastosowano wobec niego wszystkie możliwe zaawansowane techniki wydobywania informacji, ale brak kontaktu ze strony służby bezpieczeństwa oznaczał, że nie udało się jeszcze złamać psychiatry.

Detektywi wydziału kryminalnego siedzieli cały dzień jak na szpilkach, nie doczekali się jednak meldunku o ostatnim z serii makabrycznych morderstw. Po tylu godzinach nieprzerwanej pracy Baxter czuła się dosyć dobrze przygotowana na ostateczny popis Marionetek.

Miała dziwne wrażenie, że dopuszcza się zdrady wobec każdego człowieka, którego mija na ulicy, nie ostrzegając go przed tym, o czym wiedziała. Pragnęłaby zadzwonić do wszystkich, których numery miała na liście kontaktów, wspiąć się na dach i krzyczeć do ludzi, żeby trzymali się z dala od centrum miasta, ale w ten sposób odwlekłaby tylko to, co nieuchronne, niwecząc dotychczasowe postępy śledztwa.

Zajęta papierkową robotą zauważyła, że Rouche czeka, żeby powiedzieć jej dobranoc. Uznała, że nie może zrobić już nic, żeby lepiej się przygotować, więc spakowała się i podeszła do niego.

– Chodź – powiedziała, tłumiąc ziewnięcie. – Podwiozę cię. I tak muszę zabrać parę rzeczy z mieszkania.

Zdążyli dojechać do Vincent Square, gdy ich komórki rozdzwoniły się jednocześnie. Wymienili znużone spojrzenia, spodziewając się, co zaraz nastąpi. Rouche odebrał połączenie i włączył tryb głośnomówiący.

– Agent Rouche – powiedział. – Jest ze mną inspektor Baxter.

Drugi telefon natychmiast umilkł.

– Proszę wybaczyć, że przeszkadzam – odezwał się kobiecy głos. – Wiem, że obydwoje skończyliście już pracę.

– Nie szkodzi. Proszę mówić.

– Jeden z pacjentów doktora Hoffmana, niejaki Isaac Johns, właśnie zapłacił swoją kartą kredytową za taksówkę.

– Rozumiem – potwierdził Rouche, zakładając, że to nie koniec.

– Zadzwoiłam do firmy taksówkarskiej i skontaktowałam się z kierowcą, który wszystko mi opowiedział. Pasażer był bardzo pobudzony, mówił, że i tak już nie żyje i zamierza odejść, dopóki ma jeszcze godność, i to w taki sposób, żeby ludzie go zapamiętali. Od Hoffmana wiemy, że u Johnsa wykryto ostatnio nieoperacyjnego guza mózgu. Taksówkarz już to zgłosił i na miejsce wysłano patrol z Southwark.

– Dokąd? – zapytała Baxter, po czym włączyła syrenę i zaczęła kluczyć między samochodami.

– Sky Garden.

– Ten taras widokowy?

– Tak – potwierdziła kobieta. – Podobno wybierał się do baru na trzydziestym piątym piętrze.

Koła audi buksowały na pokrytej śniegową breją jezdni, kiedy Baxter przyspieszyła, jadąc na północ Rochester Road.

– Wycofaj ten patrol! – zawołała, przekrzykując ryk silnika. – I przyslij nam uzbrojone wsparcie. Będziemy tam za siedem minut.

– Zrozumiałam.

– Mamy jakiś rysopis? – zapytał Rouche.

– Biały, słusznej postury, krótkie włosy, czarny garnitur.

Rouche rozłączył się, po czym wyjął pistolet i wprowadził nabój do komory.

– No i znów się zaczyna.

Baxter ziewnęła.

– Na odpoczynek trzeba sobie zasłużyć.



# Rozdział 34

PONIEDZIAŁEK, 21 GRUDNIA 2015 ROKU

18.29

– Szybciej, szybciej – mruzczał Rouche pod nosem, patrząc, jak zmieniają się cyfry na wyświetlaczu windy.

Trzymał w ręku broń, którą wyjął już z kabury, ale wątpił, aby podejrzanemu udało się przemyścić coś zakazanego przez bramki kontroli bezpieczeństwa na parterze.

31... 32... 33... 34...

Winda zwolniła i zatrzymała się łagodnie.

– Gotowa? – zapytał.

Kiedy rozsunęły się drzwi, powitały ich dźwięki muzyki i szum ściszonych rozmów. Mile zaskoczeni wzruszyli ramionami, a Rouche szybko schował pistolet, po czym wyszli z kabiny do przestronnej hali, żeby stanąć na końcu kolejki oczekujących na miejsca przy stolikach. Ogromną stalową klatkę wypełniała stonowana różowa poświata i sączący się przez szyby blask nocnego miasta, a nad ich głowami wznosił się wysoki na piętnaście metrów przeszklony łuk, który odsłaniał jeszcze niewielki skrawek nieba.

Czekając na swoją kolej, omiatali wzrokiem zatłoczoną salę w poszukiwaniu kogoś, kto pasowałby do podanego rysopisu, ale okazało się, że co najmniej jedna trzecia gości nosi czarne garnitury, a budowę ciała trudno jest ocenić, kiedy ktoś siedzi.

Elegancko ubrany recepcjonista przywołał ich gestem. Niezbyt subtelnie zlustrował zimową kurtkę Baxter, potem spojrzął na wygnieciony garnitur Rouche'a i uśmiechnął się protekcjonalnie.

– Dobry wieczór? Czy mają państwo rezerwację? – zapytał nieufnie.

Rouche pokazał mu swoją odznakę, a Baxter zrobiła pół kroku naprzód i przedstawiła się szeptem.

– Spokojnie – dodała, kiedy mężczyzna ją rozpoznał i zaczął się rozglądać, wypatrując swojego przełożonego. – Proszę sprawdzić listę rezerwacji. Czy figuruje na niej Isaac Johns?

Recepcjonista zaczął wodzić palcem po kartce przypiętej do podkładki.

– Johns... Johns... Johns...

– Myślisz, że użył prawdziwego nazwiska? – wtrącił Rouche.

– Zapłacił swoją kartą kredytową – odparła Baxter. – Teraz nie ma już nic do stracenia. Myślę, że wszystko mu jedno.

– Johns! Znalazłem! – zawołał mężczyzna.

Kilka osób siedzących w pobliżu spojrzało w ich stronę.

– Powtarzam, spokojnie.

– Przepraszam.

– Który stolik? Tylko proszę się nie odwracać i nie pokazywać palcem!

– Ten przy oknie po prawej. Najbliżej wyjścia, tak jak sobie zażyczył.

Rouche dyskretnie zerknął w tamtą stronę.

– Nikogo tam nie ma – oznajmił.

– Zwrócił pan uwagę na jego wygląd? – zapytała Baxter.

– Był... wysoki... i szeroki, znaczy przypakowany – odparł recepcjonista. – Miał czarny garnitur i krawat... jakby się wybierał na pogrzeb.

– Proszę się zachowywać, jakby nic się nie stało. Jeżeli pan go zauważy, proszę do nas podejść, ale bardzo powoli, i poinformować mnie o tym szeptem. Jasne?

Recepcjonista przytaknął.

Baxter ujęła Rouche'a pod rękę.

– Zaczynamy od tarasu? – zasugerowała.

Udając parę zakochanych, swobodnym krokiem przemierzili salę i wyszli na taras, skąd roztaczał się widok na połyskującą białymi refleksami ostrą bryłę wieżowca Shard London Bridge, który wyglądał jak oblodzony szczyt. Kiedy zbliżali się do metalowej balustrady, niesione wiatrem płatki śniegu opadły ich ze wszystkich stron, by poszybować dalej w stronę rozświetlonej metropolii na dole.

Oprócz nich tylko nieliczni mieli dosyć odwagi, by zmagać się z zimnem – dwoje młodych ludzi, szczękając zębami, wznosiło toast kieliszkami szampana, a para uległych rodziców dała się wyciągnąć na zewnątrz swoim małym córeczkom. Panujący na tarasie mrok zapewniał względną dyskrecję, pozwalając na dokładną

obserwację oświetlonego różowymi neonami wnętrza bez zwracania na siebie uwagi.

– Może wrócił do domu – odezwał się Rouche z nadzieją, ale w tej samej chwili zauważył eleganckiego recepcjonistę, który szedł przez salę i rozglądał się za nimi.  
– A może nie...

Pospiesznie wrócili do środka i podążając za wskazówkami swojego pomocnika, minęli windy i dotarli do łazienki. Ich oczom ukazał się rząd identycznych boksów, a lśniące czarne drzwi dawały nadzieję na bardziej gustownie urządzone wnętrza niż to, z którego korzystali wspólnie poprzednim razem.

– Wchodzę – powiedział Rouche, wyciągając broń. – A ty obserwuj salę.

Baxter spojrzała na niego, jakby miała ochotę go uderzyć.

– Nie mamy pewności, czy on tam jest – wyjaśnił. – A poza tym może nie być sam. Ktoś musi osłaniać mi tyły.

– Dobra. – Baxter westchnęła i oparła się o ścianę, żeby zejść z drogi kelnerom, którzy uwijali się jak w ukropie, obsługując kilka imprez świątecznych.

W pierwszych dwóch kabinach nikogo nie było.

– Zajęte! – odezwał się w środku kobiecy głos, kiedy Rouche szarpnął za gałkę kolejnych drzwi.

– Przepraszam! – zawołał, przekrzykując szum suszarki do rąk.

Ścisnął mocniej ukryty w kieszeni pistolet, słysząc szcęk zasuwki, ale rozluźnił się, gdy z sąsiedniej ubikacji wyszedł starszy jegomość i uśmiechnął się do niego.

Rouche minął kolejny pusty boks i zatrzymał się przed ostatnimi drzwiami. Były zamknięte, ale nie zablokowane od środka. Uniósł broń i kopnął polakierowaną na czarno płytę, która odskoczyła, z hukiem uderzając o ścianę. Tu również nie znalazł nikogo, ale na podłodze zauważył zdjętą pokrywę zbiornika spłuczki, a obok niej ociekającą wodą foliową torebkę. Na haczyku po wewnętrznej stronie drzwi wisiały sporych rozmiarów czarna marynarka i krawat.

Rouche obrócił się w stronę wyjścia, trącając czubkiem buta jakiś przedmiot, który z metalicznym brzękiem potoczył się po podłodze. Schylił się i podniósł dziewięćmilimetrowy nabój z mosiężną łuską. Zakławszy pod nosem, ruszył pośpiesznie w stronę sali.

– Tu go nie... – zaczął i zderzył się z kelnerem, który upuścił tacę zastawioną kieliszkami. – Przepraszam – powiedział, wypatrując Baxter.

– Nie szkodzi, to moja wina – odparł uprzejmie młody mężczyzna, chociaż wcale nie on zawinił.

– Widział pan kobietę, która tu stała?

W tym momencie zazgrzytały przesuwane po podłodze krzesła i goście zaczęli pospiesznie wstawać od stolików. Rouche pobiegł tam, skąd dobiegał hałas, przeciskając się przez tłum, który oddalał się od widokowych okien. Nagle przystanął. W półmroku panującym na tarasie zobaczył Baxter, która stała przy balustradzie z rozwianymi włosami. Kilka metrów od niej pod przeszkloną ścianą kulili się młodzi rodzice z dwiema dziewczynkami, które ojciec osłaniał własnym ciałem.

Trzymając uniesioną broń, Rouche powoli wyszedł na zewnątrz. Dopiero teraz, kiedy nie patrzył przez szybę, która zniekształcała obraz refleksami światła, zrozumiał, co się dzieje. Na tarasie znajdowała się jeszcze jedna osoba.

Zza pleców Baxter wystawała muskularna ręka, która otaczała ją ciasnym uściskiem, przykładając mały pistolet do jej podbródka. W drugiej ręce napastnik również trzymał broń i mierzył do przerażonej rodziny pod ścianą.

– Rouche, jak przypuszczam – odezwał się nienaturalnie wysokim głosem, wychylając nieznacznie głowę zza żywej tarczy.

Baxter musiała mu podać jego nazwisko albo, co bardziej prawdopodobne, usłyszał je, kiedy wzywała pomocy.

– Mógłbyś to odłożyć? – zapytał uprzejmie i odwiódł kurek pistoletu, który trzymał pod brodą Baxter.

Rouche zauważył, że jego partnerka nieznacznie kręci głową, ale wolnym ruchem opuścił broń.

– Isaac Johns, jak przypuszczam – zagadnął, mając nadzieję, że spokój emanujący z jego głosu udzieli się rozmówcy. – Baxter, wszystko z tobą w porządku?

– Nic jej nie jest – odpowiedział Johns w imieniu swojej zakładniczki.

– Zostawiam cię samą na chwilę... – Rouche roześmiał się i swobodnie zrobił krok przed siebie.

– Hej! Hej! Hej! – krzyknął Johns i cofnął się, wyrównując dystans.

Rzeczywiście był potężnie zbudowany, jak opisywali go świadkowie. Chociaż Baxter miała zbyt szczupłą sylwetkę, aby mógł się za nią ukryć ktoś o takiej

posturze, osłaniała wszystkie jego newralgiczne organy, co uniemożliwiało oddanie zabójczego strzału.

– A więc jaki masz plan? – zapytał Rouche.

Postanowił wciągnąć Johnsa w rozmowę. Zauważył jego spokój i opanowanie, które odróżniały go od innych Marionetek. Ten człowiek wyraźnie rozkoszował się swoją chwilą sławy.

– Publiczność miała zdecydować, które z nich umrze. – Johns wskazał na skuloną rodzinę. – Ale potem zobaczyłem panią inspektor i po prostu nie mogłem się oprzeć. Dlatego odpowiedzialność spada niestety na ciebie.

Jego uwagę na chwilę odwrócili ludzie za szybą. Rouche powoli uniósł rękę z pistoletem, na wypadek, gdyby nadarzyła się okazja.

– Nie! – wrzasnął zwalisty mężczyzna, zasłaniając się policjantką. – Powiedz tym ludziom, że jeśli ktoś stamtąd wyjdzie, zacznę strzelać. Dobrze kombinujecie, wyciągajcie komórki. Proszę bardzo. Chcę, żebyście to sfilmowali. Niech cały świat zobaczy, jak Rouche podejmuje decyzję.

Zadowolony, że dostatecznie dużo kamer rejestruje jego triumf, zwrócił się znów do Rouche'a.

– No to jak będzie? Wolisz, żebym zabił twoją koleżankę, czy tych niewinnych ludzi?

Agent z niepokojem spojrział na Baxter. Nie dała mu żadnego sygnału. Lufa przyciśnięta do podbródka uniemożliwiła jej jakikolwiek ruch, nie mówiąc o wykonaniu uniku, który stworzyłby dogodną okazję do strzału. Przeniósł wzrok na skuloną w kącie rodzinę i dostrzegł nazbyt dobrze znany wyraz skrajnej rozpaczalności malujący się na twarzy ojca.

W głębi sali rozległy się krzyki i pojawili się policjanci z jednostki taktycznej.

– Stać! – krzyknął Rouche w ich stronę. – Ani kroku dalej!

Kiedy jeden z funkcjonariuszy nie posłuchał, Johns oddał strzał ostrzegawczy, a pocisk odbił się rykoszetem od ściany kilka centymetrów od głowy młodszej z dziewczynek i roztrzaskał szklaną barierę, która oddzielała ich od przepaści. Uzbrojeni policjanci zatrzymali się w miejscu, dołączając do tłumu gapiów. W ciszy, jaka zapadła, słychać było szczęknięcie zębów wystraszonej dziewczynki. Miała zaledwie pięć albo sześć lat i dygotała z zimna, podczas gdy Johns przedłużał jej udrękę pod pozorem złudnej nadziei.

Rouche zdawał sobie sprawę, że nie chodzi o dokonanie wyboru. To nie była gra. Wszyscy mieli zginąć, i Baxter również to wiedziała.

Zwieńczeniem tej makabrycznej serii morderstw, które przyciągały uwagę mediów coraz bardziej widowiskową i wymyślną formą, miało być coś o wiele gorszego niż wszystkie okaleczone ciała ofiar razem wzięte – potworna w swojej prostocie publiczna egzekucja niewinnego dziecka. Ci ludzie już dowiedli, że są do tego zdolni, zabijając całą rodzinę Banthamów. Rouche nie miał wątpliwości, że Johns nie zawaha się pociągnąć za spust.

Płatki śniegu przysłaniały mu widok. Starał się cały czas poruszać palcem wskazującym, żeby nie zeszywniał od zimna.

– Pora na decyzję! – zawołał Johns. – Niech cały świat usłyszy, kogo wybrałeś. Powiedz albo zabiję ich wszystkich.

Rouche milczał.

Johns wydał pomruk frustracji.

– No dobra... Niech będzie po twojemu. Pięć sekund!

Rouche napotkał spojrzenie swojej partnerki. Nie miała szans na najmniejszy ruch.

– Cztery!

Zerknął na czwórkę przerażonych ludzi. Ojciec zasłaniał dłońmi oczy młodszej dziewczynki.

– Trzy!

Czuł na plecach spojrzenia ludzi, którzy wymierzali w niego obiektywy kamer.

Potrzebował więcej czasu.

– Dwa!

– Rouche... – odezwała się Baxter.

Spojrzał na nią z desperacją w oczach.

– Jeden!

– ...ufam ci – dodała, zamykając oczy.

Jego ruch, huk wystrzału, świst powietrza tuż przy uchu, brzęk tłuczonego szkła i głuchy odgłos uderzenia zlały się w jeden dźwięk. Poczowała, jak ucisk lufy pod jej brodą słabnie, jak zsuwa się obejmująca ją ręka... a za jej plecami nie ma już nikogo.

Kiedy uniosła powieki, wstrząśnięty Rouche wciąż trzymał pistolet wymierzony

w jej głowę. Zobaczyła zakrwawiony płatek śniegu, który zawirował między nimi i uleciał nad krawędzią tarasu, żeby opaść na ciało Isaaca Johnsa leżące sto pięćdziesiąt metrów niżej.

Poczuła pulsujący ból skroni, w miejscu, gdzie pocisk otarł się o jej skórę. Na taras wybiegli funkcjonariusze jednostki taktycznej, a zszokowani rodzice dziewczynek zanosili się szlochem i chociaż przepełniała ich ulga, rozpaczliwie pragnęli, żeby ktoś ich zapewnił, że są bezpieczni.

Rouche powoli opuścił broń.

Baxter bez słowa wróciła do środka, zabrała stojącą na jednym z opuszczonych stolików butelkę wina, po czym usiadła przy wyludnionym barze i nalała sobie pełny kieliszek.

# Rozdział 35

PONIEDZIAŁEK, 21 GRUDNIA 2015 ROKU

23.20

Rouche zaparkował audi przed domem jednorodzinny o pastelowych niebieskich ścianach, stojącym w bocznej uliczce dzielnicy willowej. Ekstrawaganckie wianki na drzwiach budynków przypominały bardziej elementy modnej stylizacji niż świąteczne ozdoby, sznury lampek choinkowych pulsowały białym i złotym światłem, a plastikowych świętych mikołajów na próżno było wypatrywać w całej okolicy. Wzdłuż ulicy ciągnął się rząd staromodnych lamp, których czarne sylwetki odcinały się na tle zimowego krajobrazu i niczym latarnie morskie ostrzegały przed niebezpieczeństwami ukrytymi pod śniegiem. Ich ciepła pomarańczowa poświata była urzekająca, ale przypominała również, dlaczego w innych częściach miasta zastąpiono je nowszymi i brzydszymi odpowiednikami, które rzeczywiście dawały trochę światła.

Wysiadając z samochodu, Rouche wdepnął w błotnistą kałużę i podszedł do drzwi po stronie pasażera. Kiedy je otworzył, Baxter wypadła prosto w jego objęcia. Przeciągnął ją po chodniku w stronę schodów i poczuł piekący ból pod opatrunkiem na piersi, kiedy brał ją na ręce. Starannie wycelował jej obcasem w przycisk dzwonka i po czterdziestu sekundach wyczerpującego czekania usłyszał, jak ktoś zbiega po schodach. Szczęknął zamek i jakiś mężczyzna w pizamie, który najwyraźniej grał właśnie w badminton, wyjrzał przez szczelinę w drzwiach, a potem otworzył je na oścież.

– O mój Boże, ona nie żyje! – jęknął na widok bezwładnego ciała Baxter.

– Co? Nie! Nie, na Boga! Jest tylko pijana – wyjaśnił Rouche i na potwierdzenie swoich słów obrócił Baxter tak, żeby Thomas zobaczył jej głowę, która przechyliła się do przodu. Nie mając wątpliwości co do jej stanu, potrząsnął nią, a wtedy rozchyliła usta i jęknęła. – Bardzo pijana – dodał.

– Ach... rozumiem. Boże, przepraszam, ale jestem nieuprzejmy. Proszę wejść.



Hmmm... To może zaniesiemy ją do sypialni?

– Do łazienki – zasugerował Rouche, dysząc z wysiłku.

Z liczby mnogiej wywnioskował, że Thomas mimo wszystko nie zamierza wyręczać go w dźwiganiu.

– Do łazienki, oczywiście. W takim razie proszę na górę.

– Fantastycznie – wysapał Rouche i chwiejnym krokiem ruszył w głąb domu.

Nieco zaskoczył go wygląd Thomasa, którego z pewnością można by uznać za przystojnego w kategorii modeli reklamujących rozpinane swetry, ale spodziewał się zobaczyć kogoś... Po namyśle doszedł do wniosku, że właściwie nie ma pojęcia, kogo spodziewał się zobaczyć.

Idąc za Thomasem, przeszedł przez sypialnię do łazienki, gdzie wreszcie mógł się pozbyć balastu. Kiedy Baxter znalazła się na podłodze, niemal natychmiast ożyła i pochyliła się nad muszlą. Rouche trzymał jej włosy, kiedy wymiotowała, a Thomas kucnął po drugiej stronie ze szklanką wody w rękę.

– Swoją drogą, jestem Thomas – przedstawił się i wiedziony siłą przyzwyczajenia wyciągnął rękę, ale cofnął ją, kiedy zauważył, że jego gość nie może uścisnąć mu dłoni.

– Rouche.

– Aha, to ty jesteś Rouche. – Gospodarz się uśmiechnął i spojrzał zatroskany na Baxter, która osunęła się na posadzkę między nimi. – Nigdy nie widziałem jej w takim stanie – przyznał, naciskając spłuczkę.

Rouche zdołał ukryć swoje zaskoczenie faktem, że to jego Baxter wybrała na towarzysza swoich wewnętrznych zmagania, a nie mężczyznę, z którym była od ośmiu miesięcy. Dziwiło go również to, że jej życiowy partner był tak mało spostrzegawczy.

Kiedy Baxter ogarnęła kolejna fala mdłości, tym razem to Thomas przytrzymał jej włosy.

– Co się stało? – zapytał.

Rouche nie czuł się upoważniony do poruszania tej kwestii. To do Baxter należała decyzja, jak wiele zamierza mu wyznać. Przepraszająco wzruszył ramionami.

– Śledztwo w toku i w ogóle...

Thomas skinął głową, dając do zrozumienia, że słyszał już kiedyś tę wymówkę.

Postanowił zmienić temat.

– Ty i Emily jesteście pewnie bardzo blisko.

– Kto? Ach, Baxter! Sądzę, że... tak – odparł Rouche, uświadamiając sobie, jak wiele razem przeżyli w tak krótkim okresie. – Tak, ona jest wyjątkowa.

Baxter wydała kolejny zdławiony odgłos, więc znów odgarnął jej włosy do tyłu. Kiedy skończyła wymiotować, podniósł się z klęczek.

– Widzę, że masz tu wszystko pod kontrolą, więc mogę się ulotnić – zwrócił się do Thomasa, a po chwili coś sobie przypomniał. – Zostawiłem w samochodzie... trochę zwariowany prezent dla niej.

– Jak najbardziej możesz go położyć pod choinką obok innych. Ach, i weź samochód. Jutro rano odwiozę ją do pracy.

Rouche z wdzięcznością pokiwał głową i skierował się w stronę wyjścia.

– Jeszcze jedno... – odezwał się gospodarz.

Rouche przystanął i obrócił się ku niemu.

– Ona tak naprawdę nie mówi o wszystkim, co się dzieje – zaczął Thomas, zgłaszając swoją propozycję do konkursu na eufemizm roku. – Po prostu... no wiesz... gdybyś mógł... uważaj na nią.

Rouche się zawahał. Nie chciał składać obietnicy, której mógłby nie dotrzymać.

– Jeszcze jeden dzień – odpowiedział wymijająco i wyszedł.

Baxter obudziła się w ramionach Thomasa. Na gołych nogach czuła chłód łazienkowych kafelków, a rana na skroni natychmiast przypomniła o sobie bez konieczności spoglądania w lustro. Jej zmięte spodnie leżały w kącie, ale wciąż miała na sobie mokrą od potu bluzkę. Obydwoje byli okryci ręcznikiem kąpielowym, a Thomas siedział w niewygodnej pozycji, wciśnięty między ścianę i muszlę.

– Cholera – szepnęła, czując złość na samą siebie, i uwolniła się z jego objęć.

Wstała powoli i przez chwilę balansowała niepewnie, przyzwyczajając się do nowej pozycji, a potem zeszła na dół.

Baxter przeszła przez salon i usiadła ze skrzyżowanymi nogami przed migocącą choinką, która była jedynym źródłem światła w ciemnym domu. Przez kilka minut patrzyła zahipnotyzowana, jak kolorowe lampki zapalają się i gasną na przemian, a w pewnym momencie zauważyła zatkniętą na szczycie drzewka figurkę anioła. Niezbyt pokrzepiający komentarz, jaki wygłosiła Lennox na temat śmierci swojej

podwładnej, wrócił do niej jak niechciane wspomnienie. „Chyba Bóg potrzebował jeszcze jednego anioła”.

Zdjęła delikatną ozdobę i rzuciła ją na sofę. Od razu poczuła się lepiej i zaczęła przeglądać stertę prezentów, do których nie dołożyła nic od siebie.

Kiedy była dzieckiem, uwielbiała Gwiazdkę. Jednak ostatnimi czasy jej świętowanie ograniczało się jedynie do obejrzenia tego samego co w poprzednich latach repertuaru filmów i ewentualnie uroczystej kolacji w czyimś domu, na którą dawała się zaprosić, o ile w tym czasie akurat nie pracowała.

Włączyła telewizor i ściszyła dźwięk do ledwie słyszalnego szmeru. Ogarnęła ją absurdalna radość, kiedy natrafiła na powtórkę świątecznego odcinka *Frasiera*, a potem, nie mogąc powstrzymać uśmiechu, zaczęła rozdzielać prezenty na trzy kupki. Oczywiście najwięcej było tych przeznaczonych dla niej. Echo też niezgorzej się obłowił, za to Thomas nie za bardzo miał się czym nacieszyć.

Wzięła do ręki obco wyglądającą paczkę o dziwnym kształcie i spojrzała na przyczepioną do niej karteczkę.

„Wesołych świąt, Baxter. Ma na imię Frankie. Rouche”.

Nie mogła powstrzymać ciekawości, podekscytowana atmosferą swojej osobistej, potajemnej Gwiazdki, a poza tym musiała wiedzieć, jak bardzo wykosztował się Rouche, żeby nie wyszła na zbyt skąpą albo zbyt rozrzutną, odwzajemniając jego gest. Kiedy rozdarła papier, jej oczom ukazał się pluszowy pingwin w pomarańczowej czapce, ta sama maskotka, którą podziwiała w domu Rouche’a... która należała do jego córki.

Wpatrywała się w zabawkę, nie mogąc uwierzyć, że Rouche podarował jej coś, co tak wiele dla niego znaczyło, ale potem ogarnął ją niepokój. A jeżeli uznał, że już nie potrzebuje tej pamiątki i nie spodziewa się wyjść cało z ostatecznej konfrontacji, jaka go czekała?

Posadziła Frankiego na swoich skrzyżowanych nogach i przyciągnęła do siebie dużą torbę z prezentami od Edmunda i Tii. Sięgnęła do środka i znalazła leżącą na wierzchu białą kopertę.

Całkiem o niej zapomniała.

Trzymając ją w dłoniach tuż nad głową pluszowego pingwina, przypomniawszy sobie o swoich nieuzasadnionych podejrzeniach wobec Rouche’a i o rozdrażnieniu,

jakie początkowo budził w niej Edmunds, teraz jej najbliższy przyjaciel, który za każdym razem błagał ją, żeby nie zaglądała w jego nielegalny raport. Wyobraziła sobie Thomasa, owiniętego ręcznikiem i śpiącego w łazience na piętrze, gdzie czuwał przy niej przez całą noc. Uświadomiła sobie, że uśmiecha się na samą myśl o swoim nieporadnym partnerze. Przedała kopertę na kilka kawałków, które rzuciła na zmięty arkusz papieru do pakowania, a potem znów zajęła się prezentami.

# Rozdział 36

WTOREK, 22 GRUDNIA 2015 ROKU

9.34

Idąc korytarzami stacji Piccadilly Circus za znakami prowadzącymi do linii Bakerloo, Baxter zapuszczała się coraz głębiej pod powierzchnię ziemi. Spięła włosy w koński ogon i zrobiła sobie krzykliwy makijaż, używając kilku kosmetyków nagromadzonych przez lata – przeważnie prezentów od matki, która w ten sposób niezbyt subtelnie dawała jej do zrozumienia, żeby „przestała wyglądać jak wampir”. Kamuflaż okazał się jednak na tyle skuteczny, że prawie nie poznała własnego odbicia w lustrze.

W połowie peronu zauważyła cel swojej wędrówki i przystanęła przed szarymi drzwiami, na których wisiała opatrzona emblematem londyńskiego metra tabliczka z napisem: „Wstęp tylko dla personelu”.

Zapukała, mając nadzieję, że trafiła we właściwe miejsce i nie próbuje się dostać do schowka na środki czystości.

– Kto tam? – rozległ się w środku kobiecy głos.

Kilka osób stało dosyć blisko i nie zamierzała wykrzykiwać swojego nazwiska, skoro już zadała sobie trud, żeby wypacykować się jak klaun.

Zapukała jeszcze raz.

Drzwi uchyliły się nieznacznie, ale wtedy Baxter wśliznęła się do ciemnego pomieszczenia. W środku dwóch techników policyjnych ustawiało regały z monitorami, radiostacjami bazowymi, wzmacniaczami sygnału, komputerami i przekaźnikami szyfrującymi, zamieniając skromne biuro w doskonale wyposażone taktyczne centrum dowodzenia.

Rouche był już na miejscu i właśnie przyczepiał do ściany jakąś mapę obok listy sygnałów radiowych.

– Cześć – odezwał się do niej.

Sięgnął do kieszeni i wręczył jej kluczyki, nie wspominając o wydarzeniach,

które zmusiły go do skorzystania z jej samochodu, ani nie zwracając uwagi na jej kolorową twarz.

– Dzięki – rzuciła oschle Baxter. – Kiedy będziemy gotowi?

– Za dziesięć... piętnaście minut – odparł jeden z techników znad płataniny kabli pod stolikiem.

– No to akurat wtedy wrócimy.

Rouche pojął aluzję i wyszedł za nią na peron, żeby porozmawiać na osobności.

Gdy poprzedniego wieczoru wrócił do jej mieszkania, wszystkie serwisy informacyjne wałkowały już temat strzelaniny, emitując słabej jakości nagrania przedstawiające dramatyczny moment, w którym ocalił życie Baxter. W efekcie rano zapomniał się ogolić i cień zarostu na policzkach wyraźnie zmienił jego wygląd. Poza tym zaczesał włosy do tyłu, odsłaniając posiwiałe pasemka, co o wiele bardziej do niego pasowało.

– Zrobiłeś się dzisiaj na atrakcyjnego pana w średnim wieku, co? – Baxter uśmiechnęła się, kiedy szli spacerowym krokiem na koniec peronu, mijając po drodze plakat reklamujący książkę Andrei.

– Dzięki. A ty... no cóż...

– Ja wyglądam jak niunia z prowincji – odparła poważnym tonem. – FBI postanowiło zaszczyścić nas dzisiaj swoją obecnością. Zamierzają „wspierać nas w każdy możliwy sposób, żeby położyć kres tym potwornym aktom barbarzyństwa”. Co w wolnym przekładzie oznacza, że bez Greena nie mają po co wracać, ale MI5 jeszcze nie skończył go podtapiać, więc równie dobrze mogą się tu pokręcić i jeszcze kogoś zastrzelić.

– Tak, sam do tego doszedłem – potwierdził Rouche i dyskretnie wskazał głową potężnego mężczyznę z kucykiem, który stał kawałek dalej. – Tamten Steven Seagal od godziny nie może się zdecydować na batonik z automatu.

– Litości – westchnęła Baxter. – Nocna zmiana donosi, że od wczoraj udało się schwytać kolejne dwie Marionetki.

– A więc... jeszcze dziesięć.

– Jeszcze dziesięć.

– No i nasz Azazel, kimkolwiek jest – dodał Rouche.

Przez chwilę stali w milczeniu, kiedy na stację wjeżdżał pociąg. Baxter wykorzystała ten moment przerwy, żeby ułożyć sobie w myślach to, co chciała

powiedzieć. Wcale nie miała ochoty się przyznawać do przedwczesnego otwarcia prezentu i najchętniej uniknęłyby tej rozmowy, w której prędzej czy później musiały dojść do głosu emocje.

– Obydwoje z tego wyjdziemy – odezwała się i powiodła wzrokiem za odjeżdżającym pociągiem, żeby nie patrzeć Rouche’owi w oczy. – Jesteśmy już tak blisko. Wiem, że uważasz ten dzień za pewnego rodzaju próbę, ale możemy zrobić tylko tyle, na ile nas stać. Nie próbuj ryzykować w głupi sposób ani...

– Wiesz, o czym myślałem tej nocy? – przerwał jej. – Że nie odpowiedziałem na twoje pytanie.

Spojrzała na niego zdezorientowana.

– Jak ktoś, kto powinien być inteligentny, kto zajmuje się szukaniem dowodów, może w ogóle wierzyć w coś tak nedorzecznego jak... wróżki, prawda? – powiedział z uśmiechem.

– Naprawdę nie chcę w tej chwili do tego wracać – odparła, wzdrygając się na wspomnienie swojej wybuchowej reakcji podczas podróży samolotem.

– To jest idealna okazja, żeby do tego wrócić.

Na stację wjechał kolejny pociąg, wywołując wśród podróżnych poruszenie, które przywodziło na myśl chaotyczną odmianę gry w gorące krzesła.

– Byłem taki jak ty – ciągnął Rouche. – Wiesz, przed tym wszystkim. Uważałem, że wiara jest dla słabeuszy, że to takie urojenie, które pomaga im radzić sobie z przytłaczającym życiem...

Słowa, jakich użył, przypomniały Baxter, co sama myślała o psychoterapii, zanim dzięki niej stanęła na nogi.

– ...ale potem, kiedy to się stało... nie potrafiłem nawet dopuścić do siebie myśli, że straciłem je na zawsze, że już nigdy nie będziemy razem, że już ich nie przytulę, że po prostu już ich nie ma. Były dla mnie zbyt ważne, zbyt wyjątkowe, żeby ot tak przestały istnieć, rozumiesz?

Baxter z trudem zachowywała zimną krew, za to Rouche wydawał się całkiem spokojny i tylko próbował wyrazić swoje myśli.

– W chwili, gdy o tym pomyślałem, wszystko jakby stało się jasne. One tak naprawdę nie odeszły. Czuję to, a dzisiaj wróciłem do punktu wyjścia i... Czy to w ogóle trzyma się kupy?

– Modliłam się dziś rano – wypaliła Baxter bez namysłu i natychmiast zasłoniła

usta dłonią, jakby właśnie wymknął jej się jakiś krępujący sekret.

Rouche spojrział na nią podejrzliwie.

– No co? Nawet nie wiem, czy zrobiłam to właściwie, ale pomyślałam sobie, że mogłam nie mieć racji. A jeśli rzeczywiście jest tam, na górze, ktoś albo coś? Dzisiaj stawka jest zbyt wysoka, żeby nie poprosić o pomoc, prawda? – Baxter poczuła, że jej policzki płoną, ale na szczęście mocny makijaż zamaskował jej rumieńce. – Ech, odwal się! – krzyknęła, kiedy uśmiechnął się do niej, i szybko przeszła do rzeczy. – Skoro już robię z siebie idiotkę, równie dobrze mogę ci powiedzieć, o co się modliłam.

– Żebyśmy powstrzymali tych chorych skurwieli od...

– Tak, oczywiście. Ale modliłam się też za ciebie.

– Za mnie?

– Tak, za ciebie. Wykorzystałam tę jedną jedyną modlitwę w moim życiu w twojej intencji. Modliłam się, żebyś wyszedł z tego cało.

Wydawało jej się, że to nieoczekiwane wyznanie odniosło pożądaný skutek. Nie mieli wpływu na to, czy Bóg Rouche'a zechce tego popołudnia zabrać go do siebie, ale miała nadzieję, że Rouche przynajmniej zastanowi się przez chwilę, zanim go do tego sprowokuje.

– Która godzina? – wychrypiąła Baxter i ukryła twarz w dłoniach, skąpana w błękitnej poświacie monitorów w prowizorycznym centrum dowodzenia.

– Dziesięć po – odparł Rouche, nie odrywając wzroku od obrazów z kamer monitoringu zainstalowanych w różnych punktach stacji.

– Po której?

– Po trzeciej.

Westchnęła ciężko.

– Gdzie, do cholery, podziewają się ci popaprańcy?

Wprowadzenie najwyższego stopnia zagrożenia terrorystycznego sprawiło, że dzień w stolicy zaczął się ciekawie. Zaaresztowano mężczyznę, który próbował przemycić nóż do Tower, jednak wszystko wskazywało na to, że kierowała nim zwykła głupota, a nie mordercze zapędy. Na targach w hali Olympia ogłoszono alarm bombowy, który również skończył się niegroźnie, i tylko pewien zapominalski wystawca dowiedział się, że jego zaginiony laptop uległ zniszczeniu w kontrolowanej eksplozji.



Baxter i jej dwunastoosobowy zespół zatrzymali w ciągu dnia pięć osób, które zachowywały się podejrzanie. Chociaż żadna z nich nie była powiązana z Greenem i jego współnikami, dawało to wyobrażenie, jak wiele dziwnych osób snuje się codziennie po mieście.

– Gdzie są ludzie z MI5? – zapytała Baxter, nie unosząc głowy znad biurka.

– Nadal patrolują peron linii Piccadilly razem z agentami FBI.

Skwitowała tę odpowiedź bliżej nieokreślonym pomrukiem.

– Uwaga, podejrzany! – zawołał Rouche.

Baxter z ożywieniem spojrzała na monitor. Przed jedną z kamer przeszedł mężczyzna w czapce Świętego Mikołaja, który trzymał pod kurtką jakieś zwierzę.

– Sprawdźmy go – powiedziała, zadowolona z nowego zajęcia.

Zadanie posterunkowej Bethan Roth polegało na przeglądaniu związanych ze śledztwem nagrań, których niska jakość nie pozwalała na zastosowanie systemu rozpoznawania twarzy. W ciągu tygodnia Roth zgromadziła cały album zamazanych kadrów, które po wyostrzeniu za pomocą programu graficznego pozwoliły na identyfikację i aresztowanie dwóch kolejnych Marionetek.

Tego dnia od rana studiowała nagrania z monitoringu w Sky Garden, obserwując dramatyczne wydarzenia sfilmowane pod różnymi kątami. Dwugodzinny czarno-biały materiał, który właśnie oglądała, działał na nią oślepiająco, gdyż na ekranie przesuwały się tylko tam i z powrotem sylwetki osób korzystających z toalety.

Przeszła do innego nagrania. Kamera nad barem nie obejmowała tarasu i jedynie z reakcji ludzi dało się wywnioskować, w którym momencie Rouche oddał strzał. Kilkoro gości odwróciło wzrok, inni wciąż trzymali komórki w wyciągniętych rękach i filmowali zajście, a jakaś starsza kobieta zemdląła, pociągając za sobą wątlego męża.

Roth zbliżyła głowę do monitora, żeby wybrać kolejny film, gdy jej uwagę przyciągnęła jedna z ciemnych sylwetek w tle. Cofnęła nagranie i przed jej oczami jeszcze raz przewinęły się różne zachowania świadków dramatycznej sceny. Skupiła wzrok na ciemnej postaci. W chwili gdy omdlała staruszka znikła z kadru, osuwając się na podłogę, mężczyzna w głębi sali odwrócił się i spokojnie ruszył w stronę wyjścia. Wszystko w jego postawie, nawet sposób, w jaki szedł, zdradzało jego całkowitą obojętność na to, co właśnie zobaczył.

Bethan zrobiła zbliżenie, ale w miejscu, gdzie powinna znajdować się twarz

mężczyzny, pojawił się krąg jaśniejszych pikseli. Wpadła na pewien pomysł. Wróciła do nagrania z korytarza prowadzącego do toalet i zaczęła je odtwarzać od miejsca, w którym przerwała oglądanie. Po chwili zza rogu wyłonił się tajemniczy mężczyzna i przeszedł pod kamerą. Cały czas trzymał opuszczoną głowę, żeby nie było widać jego twarzy.

– A to skurwiel – szepnęła posterunkowa, teraz już całkiem pewna, że natrafiła na jakiś trop.

Kiedy odtworzyła jeszcze raz ostatni fragment w zwolnionym tempie, zaintrygował ją połyskliwy okrągły kształt na podłodze. Przybliżyła go i zobaczyła metalową tacę leżącą wśród odłamków stłuczonego szkła. Powiększyła obraz do takich rozmiarów, że lustrzana powierzchnia wypełniła cały monitor, a potem zaczęła przesuwać kolejne kadry, obserwując je z pełnym napięciem skupieniem.

Na tacę padł cień, a chwilę później kadr wypełnił czubek męskiego buta. Roth nie przestawała klikać.

– No dalej... dalej... – szepnęła i nagle jej twarz rozjaśnił uśmiech. – Mam cię!

W srebrnym kręgu pojawiło się wyraźne odbicie twarzy mężczyzny w średnim wieku.

# Rozdział 37

WTOREK, 22 GRUDNIA 2015 ROKU

15.43

Blake dotarł do rezydencji w tym samym momencie co funkcjonariusze z jednostki taktycznej. W drodze otrzymał informacje, które udało się zgromadzić naprędce, kiedy pojawił się nowy główny podejrzany.

Lucas Theodor Keaton był multimilionerem i właścicielem spółki telekomunikacyjnej, którą kupił w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku i która przyniosła mu krociowe zyski oraz stanowisko w radzie nadzorczej. Od tamtego czasu skoncentrował się na działalności dobroczynnej i wspieraniu firm, które dopiero wkraczały na rynek.

Intrygujący okazał się fakt, że spółka S-S Mobile, na której serwerach znalazły się ukryte wiadomości, była filią należącej do Keatona Smoke Signal Technologies. Co więcej, z tą mało znaną spółką macierzystą był związany sklep, z którego pochodziły telefony komórkowe wszystkich Marionetek.

Keaton miał kiedyś żonę i dwójkę dzieci, ale wszyscy nie żyli. Wraz z dwoma synami jechał londyńskim metrem, kiedy doszło do zamachów bombowych. On sam wyszedł z tego prawie bez szwanku, ale jeden z chłopców zginął na miejscu. Drugi zmarł półtora roku później z powodu odniesionych ran. Wkrótce potem milioner stracił również żonę, która odebrała sobie życie, przedawkowując leki.

Blake podziękował koledze na drugim końcu linii i poczuł, że ogarnia go przygnębienie.

– To dopiero początek.

– A co gorszego mogło go spotkać oprócz straty rodziny?

– Jego brat – posterunkowy w siedzibie Scotland Yardu postukał w klawiaturę – polecał za niego do Stanów na jakąś imprezę charytatywną w dwa tysiące pierwszym...

– No nie mów!

– ...jedenastego września.

– Jezu Chryste! – Blake zaczął niemal współczuć podejrzanemu. – Ile nieszczęść może spaść na jednego człowieka?

– Ten jego brat nawet nie był służbowo w World Trade Center. Po prostu tamtędy przechodził w nieodpowiednim momencie.

– Nie sądzisz, że nad tą rodziną wisi jakaś klątwa?

– Może faktycznie pieniądze szczęścia nie dają – odparł z zadumą posterunkowy i na tym zakończyli rozmowę.

Ponieważ Saunders brał udział w operacji na Piccadilly Circus, Vanita wysłała tylko Blake'a razem z jednostką taktyczną do ogromnej posiadłości Keatona w Chelsea.

Kiedy uzbrojeni funkcjonariusze wbiegli po schodach, żeby wyważyć frontowe drzwi, Blake schronił się przed wiatrem za skrzynką na listy i zapalił papierosa. Chociaż dzielnica była ekskluzywna, okolona drzewami ulica nie należała do najprzyjemniejszych miejsc na ziemi. Średnio na co trzeciej posesji trwały roboty budowlane i na podjazdach między sportowymi samochodami właścicieli stały ciężarówki, furgonetki, a nawet niewielki dźwig. Zewsząd dochodził nieznośny hałas.

– Hej! – zawołał Blake do przechodzącego robotnika i pokazał mu swoją odznakę. – Co tu się dzieje? Ulica się zapada, czy co?

– Że niby to? – zapytał korpulentny mężczyzna, wskazując na panujący wokół nieład. – Kiedy ceny nieruchomości są tak wyśrubowane, trzeba wykorzystać każdy skrawek terenu. Jakiś miliarder zaczął świrować od ciasnoty w swoich dziesięciu sypialniach i nagle go olśniło, że wszystko pod jego piwnicą aż do jądra Ziemi to niewykorzystana przestrzeń, którą można zagospodarować... No i teraz każdemu się tego zachciało.

Blake był trochę zaskoczony tą elokwentną odpowiedzią.

– Gdybym ja zaczął tak u siebie przebijać się przez podłogę, trafiłbym jedynie do baru z kebabem na parterze – dodał jego rozmówca i westchnął.

– Sprawdzone! – zawołał stojący w drzwiach domu policjant. – Wszędzie czysto!

Blake podziękował dobrze zorientowanemu i przesiąkniętemu wonią kebabu robotnikowi i ruszył biegiem w stronę wejścia. Sam hol był większy niż całe jego

mieszkanie w Twickenham, a siedmiu pozostałych funkcjonariuszy zdążyło się już zgubić w potężnej rezydencji. Nad mozaikową posadzką wznosiły się szerokie drewniane schody, w kosztownych wazonach tkwiły bukiety świeżych kwiatów, a na ścianie wisiał wielki portret przedstawiający rodzinę Keatona.

– Jeżeli się spieszysz, radzę zacząć od trzeciej kondygnacji – poradził mu dowódca jednostki taktycznej.

Blake ruszył w kierunku schodów.

– Przepraszam, miałem na myśli piwnicę – dodał policjant, wskazując drzwi w kącie. – Trzecia kondygnacja pod ziemią.

Kiedy Blake schodził na dół, jego telefon zapiszczał cicho, sygnalizując utratę zasięgu. Tuż pod podłogą zaczynały się ujawniać pierwsze oznaki skażonego umysłu, które przysłaniała zdrowa fasada rezydencji. Kiedyś w tym pomieszczeniu prawdopodobnie znajdowało się biuro, ale teraz ściany były szczelnie pokryte wizerunkami szczęśliwej rodziny – obok kolejnego portretu wykonanego przez zawodowego artystę wisiały wakacyjne zdjęcia i ołówkowe szkice oraz ich fotograficzne odpowiedniki, a wszystko było oprawione w ramki i starannie rozmieszczone.

– Komputer w kącie – rzucił Blake do jednego z policjantów, spodziewając się, że zanim wróci na powierzchnię, urządzenie będzie już w furgonetce. – Ten telefon też... i to zdjęcie.

Wybrał fotografię, która wyglądała na jedną z najnowszych, jak się domyślał, oceniając na oko wiek chłopców o jednakowych fryzurach i szczerbatych uśmiechach.

Kiedy schodzili niżej po skrzypiących schodach, miał wrażenie, jakby zapuszczali się w głąb podświadomości Keatona. Zrobiło się chłodniej, a zatęchłe powietrze gęstniało w płucach.

Dotarli do sypialni gospodarza.

Pod ścianą stało niezaścielone łóżko polowe, a otaczało je coś, co można by określić jedynie mianem relikwii. Starannie złożone ubranka, biżuteria, dziecięce rysunki i zabawki tworzyły krąg na drewnianej podłodze, w którą wtopił się wosk z wypalonych świec.

– Chryste! – Blake aż podskoczył, zauważywszy wiszący na ścianie wizerunek ukrzyżowanego Jezusa.

Przebite gwoździami nadgarstki i stopy, zwieszane bezwładnie dłonie, rozdzierająca skórę na głowie korona cierniowa; wszystko to stanowiło brutalną inspirację potworności, do których doszło w ciągu ostatnich kilku tygodni.

Marszcząc czoło, Blake niepewnie podszedł bliżej, żeby odczytać słowa napisane palcem po obu stronach postaci Syna Bożego.

„Gdzie, kurwa, byłeś?”.

Omiał nie potknął się na poduszce, która leżała na podłodze, kiedy robił zdjęcia ściany, żeby załączyć je do raportu.

– Idziemy dalej? – zaproponował skwapliwie funkcjonariuszowi, który mu towarzyszył.

Temperatura spadła o kolejnych parę stopni, kiedy zeszli po wąskich schodach na najniższy poziom. Gdy tylko przestąpili próg, serce Blake’a zamarło.

Każdy wolny skrawek powierzchni zajmowały wysokie na ponad metr sterty książek, czasopism i skoroszytów, a podłogę pokrywała warstwa rozrzuconych kartek – owoc wieloletniej pracy obsesyjnego umysłu.

Została im niecała godzina.

Znaleziony w pomieszczeniu laptop czekał w torbie gotowy do transportu, a dwaj policjanci już zaczęli porządkować ten bałagan.

– W tej stercie są chyba wszystkie artykuły prasowe o serii „Szmacianej Lalki”! – zawołał jeden z nich. – Na biurku jest wszystko, co znaleźliśmy do tej pory na temat Alexeia Greena. Wygląda na to, że ten Keaton miał świra na jego punkcie.

Blake zaczął przeglądać plik wycinków z gazet. Wywiady z psychiatrą i streszczenia jego odczytów były opatrzone odręcznymi notatkami. Sięgnął po gruby zeszyt i otworzył go na pierwszej stronie. Pod nagłówkiem *Sesja pierwsza* znajdował się szczegółowy zapis spotkania z Greenem.

Dowódca jednostki zajrzał mu przez ramię.

– A więc wygląda na to, że tego Keatona też zwerbowali.

– Ale to niemożliwe – szepnął Blake i znów spojrzał na otaczające ich stosy zapisków.

Rozległ się łoskot, gdy jeden z policjantów potrącił chybotliwą stertę książek, które rozsypały się po podłodze. Pochylił się bardzo wolno, żeby obejrzeć z bliska coś, co właśnie odkrył.

– Szefie?

– Tak?

– Chcesz tu ściągnąć saperów?

Dowódca zrobił zaniepokojoną minę.

– Nie wiem. A powinienem?

– Nie wygląda na uzbrojoną... to samoróbka, ale mimo wszystko... tak, myślę, że powinienes.

– Kurwa... Wszyscy na zewnątrz!

– Ja zostaję – oświadczył Blake.

– Uzbrojony czy nie, mamy tu ładunek wybuchowy. Muszę wszystkich stąd wyprowadzić.

– Jeśli Keaton jest naszym podejrzanym...

– Nie, to nie on!

– Ale jeśli jest, musimy przekopać to wszystko. Zabierz swoich ludzi, przekaz komputery technikom i sprowadź tu saperów... proszę.

Policjant spojrział na niego z wahaniem, po czym zabrał laptopa i ruszył po schodach na górę za swoimi podwładnymi.

Blake został sam na sam z zapiskami Keatona. Ponownie otworzył zeszyt i przebiegł wzrokiem liniiki tekstu na pierwszej stronie. Świadomy, że zostało mu niewiele czasu, przerzucił kilka kartek, przechodząc do opisu dziewiątej sesji i nagle przestał się łudzić, że znaleźli Azazela.

# SESJA DZIEWIĄTA

WTOREK, 1 LIPCA 2014 ROKU

14.22

– ...a świat nadal trwał, jak gdyby nic się nie wydarzyło – powiedział Lucas, pogrążony w zadumie. – Wszystko straciłem. Co wieczór wracam do pustego domu, do mauzoleum mojego dawnego życia. Zresztą nie potrafię się pozbyć żadnej z pamiątek. To wszystko, co mi po nich zostało, ale mam wrażenie, że zanurzam się we wspomnieniach, ilekroć przestępuję próg. W powietrzu wciąż unosi się zapach perfum mojej żony... Dobrze się czujesz?

Green szybko podniósł się z fotela i nalał sobie szklankę wody.

– Tak... nic się nie stało – odparł, ale wykrzywił twarz, jakby miał się rozpłakać.  
– Bardzo cię przepraszam. To takie nieprofesjonalne. Zaraz się ogarnę.

– Czy powiedziałem coś niestosownego? – zapytał Lucas, przyglądając się z troską, jak Green dochodzi do siebie. Krople deszczu zaczęły mocniej uderzać o parapet. Padało przez cały dzień. – To chyba nie jest najlepszy pomysł – dodał. – Potrafię tylko wszystkich wytrącać z równowagi.

– To nie twoja wina – odparł szybko psychiatra. – Mam własne problemy.

– Czy... ty też kogoś straciłeś?

– Skupmy się na tobie, dobrze?

– Możesz mi powiedzieć.

– Nie, nie mogę – odparł stanowczo Green.

Milioner wstał i ruszył w stronę drzwi.

– Lucasie!

– Wszystko, co mówisz, to bzdura! Dwa razy w tygodniu otwieram przed tobą serce, ale między nami nie ma zaufania.

– Zaczekaj! Dobra... Tak! Masz rację. Przepraszam cię. Powinniśmy sobie ufać, i owszem, straciłem kogoś, kto był mi bardzo, bardzo bliski.

Lucas zamknął oczy i westchnął z ulgą. Czuł, że postawił na swoim i po jego



twarzą przemknął triumfalny uśmiech. Wolno ruszył z powrotem w kierunku sofy, ale przystanął obok Greena i podał mu garść chusteczek z pudełka na jego biurku. Patrzył, jak chłodny i opanowany psychiatra w końcu się załamuje.

– Proszę... opowiedz mi o niej.

Blake pospiesznie przerzucił kartki i dotarł do ostatniego wpisu – jedenastego spotkania Alexeia Greena i Lucasa Keatona.

# SESJA JEDENASTA

CZWARTEK, 10 LIPCA 2014 ROKU

18.10

– Czemu to nas spotkała kara? – zapytał Keaton, przechadzając się tam i z powrotem po gabinecie. – Życie wciąż nas karze. A przecież jesteśmy dobrymi ludźmi... tak samo jak moja rodzina i twoja Abby.

Westchnął ciężko i stanął przy oknie, przez które wpadały ciepłe promienie wieczornego słońca.

– Przypuszczam, że śledzisz tę sprawę „Szmacianej Lalki”, prawda? – zapytał jakby od niechcienia.

– Tak jak wszyscy – odparł Green, wyczerpany rozmową.

Od przeszło tygodnia nie przespał spokojnie ani jednej nocy.

– Pamiętasz nazwiska ofiar? Zróbmy sobie mały sprawdzian. Potrafisz je wymienić po kolei?

– Ale po co?

– Ot tak... dla rozrywki.

Psychiatra westchnął ze zniecierpliwieniem.

– No dobra. A więc oczywiście burmistrz Turnble, a po nim brat Khalida... Rana? Vijay Rana. Jarred Garland, a parę dni po nim Andrew Ford... Ale po co?

– Zyskali nieśmiertelność. Nieudolny polityk, brat seryjnego mordercy, pazerny dziennikarzyna i ta odrażająca, zapijaczona zakała ludzkości. Ich bezwartościowe nazwiska przeszły do historii tylko dlatego, że zginęli w widowiskowy sposób.

– Jestem zmęczony. Powiedz, do czego zmierzasz.

– Muszę ci się do czegoś przyznać – oznajmił Lucas, nie odwracając się od okna. – Poczytałem trochę o zamachach w Oslo i na wyspie Utøya.

– Dlaczego? – zapytał Green. – Nie rozumiem, co cię...

– Głównie artykuły w prasie – przerwał mu Keaton, który całkowicie kontrolował rozmowę. – „Siedemdziesiąt siedem ofiar śmiertelnych”, „zginęło

wiele osób”, „mnóstwo zabitych”. Chcesz wiedzieć, ile razy pojawia się w nich nazwisko Abby?

Green milczał.

– Ani razu. Żaden z tych dziennikarzy nawet nie napomknął, że straciłeś narzeczoną.

Kiedy psychiatra zaczął płakać, Keaton podszedł do niego i usiadł obok.

– Wszyscy dookoła wrócili do swoich spraw, a nam pozostały tylko zgliszcza... i nikt nawet nie zadał sobie trudu, żeby wymienić imiona tych, których straciliśmy! – krzyknął w przypływie uniesienia, a po jego policzkach spłynęły łzy. – Żaden z nich nie cierpiał tak jak my... Żaden z nich.

Przerwał na moment i spojrział badawczo na Greena.

– Brakuje mi charyzmy, i dobrze o tym wiem. Odnoszę sukcesy, ale tak naprawdę ludzie nie słuchają tego, co mówię. Żadnym podstępem nie zdołam ich nakłonić do tego, czego od nich chcę. A chcę, żeby byli mi posłuszni... całkowicie oddani naszej sprawie.

– Jak marionetki? – zapytał Green i przypomniał sobie, jak wcześniej rozmawiali o tym, że przedmiotów martwych nie można pociągnąć do odpowiedzialności za ich działanie.

– Właśnie. – Keaton zachęcająco pokiwał głową. – Potrzebuję kogoś, kto potrafi ich natchnąć, w kogo będą zapatrzeni, kto nimi pokieruje... Potrzebuję ciebie.

– O czym ty mówisz?

– O tym, że być może da się to wszystko naprawić. Spowodować, żeby ten zapatrzony w siebie tłum zrozumiał, co nas spotkało. Żeby każdy na tej pieprzonej planecie poznał imiona moich bliskich, zobaczył twarz twojej Abby i pojął, jak wiele dla ciebie znaczyła.

Green przez długą chwilę przyswajał w milczeniu słowa milionera. Wreszcie powoli obrócił ku niemu twarz.

– Powiedz mi coś więcej.

# Rozdział 38

WTOREK, 22 GRUDNIA 2015 ROKU

16.14

Baxter dostała przez radio pilne wezwanie i wróciła do zaimprovizowanego centrum dowodzenia. Gdy tylko weszła do środka, jeden z funkcjonariuszy wręczył jej telefon. W słuchawce rozległ się głos Vanity.

– Dzwonię grzecznościowo, żeby ci przekazać najnowsze informacje. Jaką godzinę temu technicy znaleźli na nagraniach ze Sky Garden zdjęcie twarzy, które pasuje do jednego ze zdjęć z Nowego Jorku.

– Czemu dowiaduję się o tym dopiero teraz?

– Bo w tej chwili nie powinno cię obchodzić nic, co się dzieje poza murami tej stacji. MI5 i sekcja antyterrorystyczna znają wszystkie szczegóły. Jak już powiedziałam, informuję cię tylko z grzeczności. No więc wysłałam Blake’a...

– Po co wysłałaś Blake’a? – przerwała jej Baxter, a w tej samej chwili do pomieszczenia wszedł Rouche. – Zaczekaj, przełączę cię na głośnik.

– Wysłałam go do domu podejrzanego, a on znalazł potwierdzenie – ciągnęła Vanita. – Szukamy Lucasa Theodora Keatona, lat czterdzieści osiem. Właśnie przesyłam wam szczegóły, ale przygotujcie się na rozczarowanie... Panie i panowie, przedstawiam wam naszego Azazela.

Wszyscy stłoczyli się za plecami jednego z techników, który pobrał załącznik z mejla. Na monitorze pojawiła się nieciekawa twarz z głębokimi zakolami typowymi dla mężczyzny w tym wieku.

– To on? – zapytała Baxter.

– Tak, to on. Jest właścicielem spółki, która przekazywała znikające wiadomości i dostarczyła komórki. W ciągu ostatniego roku wiele razy latał do Nowego Jorku, ostatnimi czasy coraz częściej. Właśnie stamtąd wrócił w zeszły wtorek.

Zadzwoił drugi telefon. Rouche pospiesznie odebrał połączenie i zaczął rozmowę, ścisząc głos.

– Za radą Blake’a organy bezpieczeństwa skupiają się przede wszystkim na obiektach związanych z religią. Wygląda na to, że Keatonem kierowały jakieś motywy o podłożu duchowym, co z pewnością wyjaśnia, dlaczego wziął na cel kościół w Nowym Jorku – wyjaśniła Vanita i dodała na pożegnanie: – Wracajcie do pracy.

Rouche zerwał ze ściany plan miasta i zaczął wodzić po nim palcem.

– Czego szukasz? – zapytała Baxter.

– Trzy z naszych brakujących Marionetek właśnie się ujawniły w odległości kilkuset metrów od siebie.

– A więc rozlokowują siły, tak?

– Na to wygląda. – Rouche postukał palcem w miejsce, które znajdowało się prawie idealnie pomiędzy trzema namierzonymi punktami. – Kierują się w stronę stacji Baker Street. Idę tam.

– Nie – zaprotestowała Baxter. – Nasi ludzie panują nad sytuacją, a ty jesteś mi potrzebny tutaj.

– Mogę tam dotrzeć przed nimi.

– Musimy trzymać się razem.

Rouche westchnął i sięgnął po kurtkę.

– Zaufaj mi. Właśnie tam powinienem być – powiedział. – To tylko trzy przystanki stąd, zdążę wrócić przed piątą.

Baxter złapała go za rękaw.

– Nigdzie nie idziesz.

– Nie jestem twoim podwładnym – przypomniał jej i wyszedł.

Pobiegła za nim po schodach prowadzących na sąsiedni peron. Drzwi wagonu, do którego wskoczył, zasunęły się, kiedy dzieliło ją od nich już tylko parę kroków. Pociąg ruszył i zobaczyła Rouche’a, jak macha do niej zza szyby z przeproszającą miną.

– Cholera jasna! – krzyknęła i sfrustrowana rzuciła jego kurtkę na podłogę.

Baxter poleciła technikom rozesłać do wszystkich zespołów rysopis i zdjęcie Keatona, a sama zapoznała się z jego tragiczną historią i dokumentami, które przesłał Blake. Na załączonej do mejla fotografii szczęśliwa rodzina uśmiechała się bez troski, nieświadoma tragedii, która miała nadejść.

– On jest jak Rouche – mruknęła do siebie i pokręciła głową, uświadamiając

sobie, że był raczej tym, kim Rouche mógł się stać.

Ich koleje losu były zaskakująco podobne, nawet w kwestii religijności, ale podczas gdy Keaton pozwolił, aby trawiły go nienawiść i żal, Rouche zaangażował całą tę negatywną energię w pomaganie ludziom.

Uśmiechnęła się na myśl, że może jednak coś więcej niż zbieg okoliczności sprowadziło go z powrotem w to miejsce.

Rouche wyszedł na peron na stacji Baker Street. W drodze odebrał wiadomość ze zdjęciami trzech podejrzanych. Trzymając telefon w pogotowiu, ruszył za czarno-żółtymi strzałkami, które wskazywały drogę na powierzchnię.

– Baxter, słyszysz mnie?

– Słyszę.

Wyczuł niezadowolenie w jej głosie.

– Właśnie dotarłem na Baker Street i idę do wejścia, żeby przechwycić podejrzanych. Skontaktuję się bezpośrednio z technikami od namiarów, ale będę cię na bieżąco informował.

– Świetnie.

Wbiegł na górę po ruchomych schodach, przemknął przez bramkę i dał się porwać fali podróżnych, która wyniosła go na ulicę. Przy drzwiach panował chaos, a bezdomny sprzedawca gazet, uliczny muzyk śpiewający przeboje Wham! i smutny żebrak z jeszcze smutniejszym psem rywalizowali o miejsce w zatłoczonym przejściu.

Rouche przeszedł na drugą stronę ulicy, stanął pod ścianą i zmienił kanał krótkofalówki, która wychwyciła końcówkę dyspozycji dla agentów FBI.

– Rouche, zgłaszam się. Stoję przy wejściu na stację. Przegapiłem coś?

– Zatrzymaliśmy jednego podejrzanego – poinformował go kobiecy głos. – Nazywa się Brookes.

– Jeszcze dziewięciu – szepnął do siebie.

Przewinął zdjęcia w komórce w poszukiwaniu tego, o którym mógł już zapomnieć. Potem spojrział na napływający ulicą z obu stron niewyczerpany strumień ludzi o twarzach przysłoniętych czapkami, kapturami i parasolami.

– Wsparcie dotrze tam za minutę – ciągnęła kobieta. – Pozostali podejrzani idą w twoim kierunku.

Rouche przez chwilę omiatał wzrokiem przesuające się przed nim w plamach

światła twarzy. Nagle rozpoznał jedną z nich.

– Widzę tego grubego – zameldował.

– To Richard Oldham.

Zacisnął dłoń na rękojeści pistoletu.

– Wchodzę i zgarniam go.

Zatrzymał się na ułamek sekundy, czekając na wolną przestrzeń w sunącej ciżbie, gdy zauważył drugą znajomą twarz, która zbliżała się z przeciwnej strony.

– Psiakrew! Teraz widzę też drugiego – powiedział i ocenił odległość między dwoma mężczyznami, którzy szli prosto na siebie. – Za ile będzie wsparcie?

– Czterdzieści pięć sekund.

– Jeśli zatrzymam jednego z nich, drugi ucieknie – wyjaśnił.

Teraz nie musiał nawet obracać głowy, żeby mieć obu podejrzanych w zasięgu wzroku.

– Czterdzieści sekund.

Nie ulegało wątpliwości, że obaj mężczyźni się nie znali. Kiedy dzieliło ich zaledwie parę metrów, nie zwracając na siebie uwagi, skręcili do wejścia na stację.

– Wchodzę za nimi – szepnął do mikrofonu, przeciskając się przez tłum, który rozdeptywał błotnistą breję na poźółkłej podłodze. Cały czas starał się nie stracić z oczu podejrzanych, którzy skręcili w lewo. – Idą na peron linii Bakerloo w kierunku Piccadilly – dodał, zbiegając po ruchomych schodach. – Nadjeżdża pociąg!

Ludzie dookoła również usłyszeli dobiegający z głębi tunelu stukot. Po chwili otoczył go odgłos pospiesznych kroków, rozsunęły się drzwi wagonu i wysiadający pasażerowie zaczęli brnąć pod prąd. Rouche wciąż przeciskał się przez tłum, kiedy drzwi się zamknęły, ale z ulgą zauważył, że obaj mężczyźni wciąż stoją na peronie.

– Podejrzani nie wsiedli do pociągu – zameldował półgłosem, kiedy kolejna fala ludzi zaczęła wypełniać każdą wolną przestrzeń. – Uwaga, jeden z nich ma duży plecak.

Zaintrygowało go, dlaczego podejrzani celowo opóźniają swój odjazd. W tym momencie zauważył siedzącą na ławce zaniedbaną kobietę, która również nie próbowała dostać się do pociągu.

– Niech wsparcie czeka w ukryciu – powiedział, przyciągając uwagę japońskiego turysty, który stał obok niego. – Masz w zasięgu kamer kobietę po

czterdzieście w niebieskiej kurtce i czarnych dżinsach? Siedzi na końcu peronu.

– Zaczekaj.

Kiedy czekał, kobieta wzięła plastikową reklamówkę i podeszła do krawędzi peronu. Obejrzał się i zauważył, że obaj podejrzani zachowują się podobnie.

– Ci dwaj zamierzają wsiąść do pociągu. Można ich zdjąć.

Zanim Rouche dokończył zdanie, grupa uzbrojonych policjantów otoczyła dwóch mężczyzn, powalając ich na posadzkę. Kiedy spojrzał w drugą stronę, kobieta w niebieskiej kurtce szła w stronę końca peronu. W tunelu narastał łoskot nadjeżdżającego pociągu.

Jeden z funkcjonariuszy delikatnie rozsunął zamek błyskawiczny i zajrzał do wnętrza plecaka, który miał przy sobie jeden z podejrzanych. Rouche wyteżył wzrok, próbując coś zobaczyć nad głowami stłoczonych pasażerów.

Spojrzał na zegarek: 16.54. Musiał wracać do Baxter.

Nie zdążyłby przejść na koniec składu, więc wcisnął się w ścianę ludzkich ciał falującą za otwartymi drzwiami, które odskoczyły dwa razy, zanim w końcu zasunęły się za jego plecami. Nie zważając na typowo brytyjskie nerwowe cmokanie i wywracanie oczami, przepchnął się w głąb wagonu, gdzie panował mniejszy ścisk.

– Co było w plecaku? – szepnął do mikrofonu krótkofalówki.

– Jakiś ładunek wybuchowy – odpowiedziała kobieta po krótkiej chwili. – Jest zabezpieczony, a saperzy dotrą na miejsce za dwie minuty.

Natychmiast zmienił częstotliwość.

– Już do ciebie wracam.

– Jak chcesz – odparła Baxter.

– Jeszcze siedem... a właśnie przechwyciliśmy jedną z czterech – powiedział, ostrożnie dobierając słowa ze względu na otaczających go ludzi.

– Zaraz możemy mieć drugą. Przed chwilą ludzie z MI5 gdzieś popędzili. Wracaj szybko.

Rouche przełączył z powrotem kanał krótkofalówki i usłyszał końcówkę komunikatu:

– ...z naszych podejrzanych. – Przez chwilę trwała cisza, a potem odezwała się dyspozytorka: – Rouche, słyszałeś?

– Nie. Powtórz, proszę.



– Mamy potwierdzenie, że kobieta w niebieskiej kurtce jest jedną z naszych podejrzanych.

– Przyjąłem – odparł Rouche i zaczął się przeciskać przez tłum.

Dotarł do końca wagonu i zajrzał do sąsiedniego w nadziei, że zdoła wypatrzeć podejrzaną, ale niczego nie zobaczył nad głowami pasażerów przyciśniętych do szyby w drzwiach.

Z głośników popłynął automatyczny komunikat:

– Następną stacją... Regent's Park. Możliwość przesiadki...

Wszyscy pochylili się do przodu, kiedy pociąg zaczął zwalniać, a za oknami przesunęła się zbita ciżba. Rouche wyskoczył na peron.

– Przepraszam... przepraszam... – powtarzał półgłosem, torując sobie drogę w stronę ostatniego wagonu.

Zerknął na wiszącą na ścianie planszę z planem metra – od Piccadilly Circus dzielił go tylko jeszcze jeden przystanek.

Znów spojrzął na zegarek: 16.57.

Zbliżał się do końca składu, kiedy dostrzegł znajomą niebieską kurtkę. Niechlujna kobieta siedziała z reklamówką na kolanach i troskliwie obejmowała ją rękami.

– Widzę podejrzaną.

– Gdzie jesteś, Rouche? – szepnęła Baxter, obserwując chmarę ludzi, która wylewała się na i tak już zatłoczony peron.

Pomarańczowe cyfry na wyświetlaczu zmieniały się nieubłaganie, gdy zegar odliczał ostatnie sekundy przed siedemnastą.

– Zespół trzeci, jak mnie słyszycie? – rzuciła do mikrofonu pewnym siebie tonem, chociaż serce kołatało jej w piersi.

– Głośno i wyraźnie. Bez odbioru.

Nagle wśród tłumu rozległ się głośny huk.

– Zespół trzeci, do mnie! – rozkazała Baxter i pospiesznie ruszyła w kierunku, z którego dobiegł niepokojący odgłos.

Zirytowana kobieta w eleganckim płaszczu trzymała rozdartą reklamówkę, próbując uchronić resztę swoich świątecznych zakupów przed upadkiem na posadzkę, gdzie niechybnie groziło im rozdeptanie.

Baxter westchnęła z ulgą, chociaż nerwy miała napięte jak postronki.

– Falszywy alarm. Zostańcie na pozycjach.

Wracając na swój posterunek, odebrała wiadomość od jednego z podwładnych. W schronisku dla bezdomnych w Clapham znaleziono ładunek wybuchowy podobny do tych, których użyto na Times Square. Był ukryty w bagażu należącym do jednej z aresztowanych niedawno Marionetek.

Druga z czterech bomb.

Rouche'a dzieliło zaledwie kilka kroków od podejrzanej w niebieskiej kurtce, gdy w jego słuchawce rozległ się trzask, a po nim głos dyspozytorki:

– Uwaga, prawdopodobnie na poprzedniej stacji jeszcze jeden podejrzany wsiadł do twojego pociągu. Wsparcie w drodze.

– Prześlij szczegóły.

Pokonał ostatni metr dzielący go od celu. Zrzucił kobietę z siedzenia i przycisnął twarzą do podłogi, wykręcając jej ręce do tyłu. Kilkoro zbulwersowanych pasażerów próbowało interweniować.

– Spokojnie! Wszystko w porządku! Jestem z CIA! – Rouche pokazał im swoją legitymację.

Obrońcy uciśnionych przypuszczalnie doszli do wniosku, że najlepiej odsunąć się tak daleko, jak pozwala panujący wokół ścisk, i wrócili na swoje miejsca. Rouche zatrzaskał jedną obręcz kajdanek na nadgarstku szamoczącej się kobiety, kiedy pociąg wjechał na stację Oxford Circus. Obserwując kątem oka aresztowaną, rozejrzał się po peronie w poszukiwaniu wsparcia. Kilkanaście osób wysiadło, ale ich miejsce natychmiast zapełniło się jeszcze ciaśniej.

Gdy wreszcie udało mu się skuć kobietę, położył dłoń na jej plecach i wyciągnął spod niej reklamówkę. Wciąż nie zwalniając chwytu, zajrzał do środka i zobaczył pokryty rdzawymi plamami tasak rzeźniczy. Wyjął go i zamierzał położyć obok siebie, kiedy uświadomił sobie, jak wiele dzieci jest wśród pasażerów, którzy przyglądają mu się z przerażeniem.

– Wszystko w porządku, jestem z CIA – powtórzył, żeby uspokoić nowo przybyłych.

Zastanawiał się przez chwilę, a potem skinął na muskularnego mężczyznę, który właśnie usiadł za jego plecami.

– Pomoże mi pan?

– Ja? – spytał mężczyzna niepewnym tonem.

Podrapał się po brodzie, jakby jeszcze się przyzwyczajał do pokrywającego ją zarostu, i podniósł się z siedzenia.

Rouche położył pistolet na podłodze, po czym owinął z powrotem tasak w reklamówkę i wręczył go swojemu pomocnikowi.

– Niech pan to potrzyma – powiedział. – Tylko proszę nie dotykać tego, co jest w środku.

Brodacz z wahaniem spełnił jego życzenie, po czym wrócił na swoje miejsce i przycisnął do siebie foliową torbę takim samym gestem jak jej właścicielka.

Kiedy znów zasunęły się drzwi wagonu, Rouche zauważył dwóch spóźnionych policjantów, którzy właśnie wbiegali na peron.

Pociąg ruszył.

– Agencie Rouche! Agencie Rouche!

Głos w słuchawce tym razem brzmiał donośniej i dało się w nim wyczuć panikę.

– Właśnie zatrzymałem tę kobietę. Zaraz zacznę szukać...

– Trzech kolejnych podejrzanych właśnie wsiadło do twojego pociągu – przerwała mu dyspozytorka. – Powtarzam, trzech kolejnych podejrzanych.

– Przyjąłem – odparł Rouche wolno i potoczył wzrokiem po wagonie pełnym ludzi. – Natychmiast przekaz wiadomość inspektor Baxter, że to pociąg jest celem, a nie stacja.

Poczuł, jak w kieszeni jego marynarki wibruje gorączkowo telefon, sygnalizując nadejście wiadomości.

– Celem jest pociąg – powtórzył i sięgnął po broń.

Nie wiedział, że jednym z załączników, które właśnie otrzymał, jest zdjęcie muskularnego mężczyzny o gładko ogolonej twarzy.

Nie wiedział, że jego brodaty pomocnik właśnie podnosi się z miejsca i staje nad nim.

Nie wiedział, że pierwszą bronią użytą w zamachu okaże się poplamiony tasak, który spadł na jego plecy z potężną siłą.

# Rozdział 39

WTOREK, 22 GRUDNIA 2015

17.00

– Zabrać stąd tych ludzi! – rozkazała Baxter, przekrzykując automatyczny komunikat alarmowy, który dobiegał z głośników.

Zareagowała niezwłocznie na wiadomość od Rouche'a, ale tłum kłębiący się na schodach całkowicie uniemożliwił ewakuację. Uniosła wzrok w stronę zegara, na którym wciąż pulsowały pomarańczowe cyfry sekundnika:

17:00:34

W jej uchu zabręczała słuchawka.

– Wciąż nie mogę nawiązać kontaktu z agentem Rouche'em.

– Próbuj dalej – odparła i złapała za rękę jednego ze swoich podwładnych, który przechodził obok niej. – Musimy zamknąć stację! Nie powinniśmy wpuszczać tu więcej ludzi.

Policjant kiwnął głową i pobiegł w stronę wyjścia z peronu, tymczasem jej radio znów ożyło.

– Czego? – krzyknęła sfrustrowana.

– Przepraszam. Łączę cię z inspektorem Lewisem z sekcji namierzającej.

– Teraz?

Na peronie rozległ się nagrany męski głos zapowiadający przybycie pociągu.

– Właśnie zauważyliśmy Lucasa Keatona na nagraniu z monitoringu – oznajmił Lewis. – Chciałbym, żebyś była na bieżąco.

– To dobra wiadomość... Gdzie on jest?

– Tam... na tej stacji... Jest tam, gdzie wy.

Baxter omiotła niespokojnym wzrokiem morze ludzkich twarzy, próbując sobie przypomnieć zdjęcie, które rozesłała swoim ludziom.

– Jak wygląda? – zapytała.

– Ma ciemną kurtkę i ciemny sweter.

Wszyscy dookoła mieli na sobie ciemne kurtki i ciemne swetry.

Baxter sięgnęła do przycisku krótkofalówki, żeby przekazać dalej tę informację, ale nagle w jej uchu rozległ się przeszywający pisk sprzężenia zwrotnego. Odruchowo wyrwała słuchawkę i zauważyła, że jej podwładni reagują tak samo. Na linii dało się słyszeć urywane krzyki, stłumiony i zniekształcony chór głosów.

– Rouche – szepnęła do mikrofonu, ale odpowiedziały jej tylko trzaski zakłóceń.  
– Rouche, słyszysz mnie?

Od strony torów dobiegł łoskot.

Baxter odwróciła się plecami do tłumu i wbiła wzrok w czarny wylot tunelu. Ze słuchawki, którą trzymała w palcach, wciąż dochodziły mrozące krew w żyłach odgłosy niczym straszliwe preludium nadciągającej grozy. Wolno podeszła do krawędzi peronu i zauważyła, że wąta pajęczyna nad jej głową zaczyna drżeć.

Wibracje pod jej stopami wzmagają się wraz z rytmicznym dudnieniem, które wydobywało się ciemnej czeluści niczym tętent galopującego monstrum. Poczowała na twarzy ciepły powiew, zatechły i metaliczny jak przesiąknięty krwią oddech, a potem z mroku wyłoniła się para rozjarzonych oczu.

Podmuch powietrza rozwał jej długie włosy, kiedy obok niej przemknęło pierwsze okno pokryte krwawymi smugami, które zasłaniały wnętrze jak czerwona firanka.

Rozległy się krzyki, gdy ogarnięci paniką ludzie rzucili się do desperackiej ucieczki, tratując się nawzajem i blokując również schody prowadzące na inne perony.

Przed oczami Baxter przesuwają się coraz wolniej sceny rodem z nocnych koszmarów rozgrywające się w zalanych jaskrawym światłem wagonach – ludzie napierający na drzwi, ciała rozplaszczone na szybach, usta rozdarte wołaniem o pomoc i zakrwawione dłonie wznoszące się na próżno ku Bogu, który obojętnie patrzył na to wszystko.

Baxter uświadomiła sobie, że ze słuchawki, którą wciąż trzymała w dłoni, nie dobiegają już żadne dźwięki, i z wahaniem włożyła ją z powrotem do ucha. Na wprost niej zatrzymały się drzwi wagonu. Przez zamazaną krwią szybę zobaczyła migocące światło uszkodzonej jarzeniówki. Nie słyszała już panicznego zgiełku za plecami, a jedynie świergot elektronicznego sygnału, który zdawał się zapewniać, że to tylko kurs jak każdy inny.

Drzwi rozsunęły się z cichym szumem...

Patrzyła, jak setki przerażonych ludzi wydostają się na wolność, by od razu wpaść w kolejną pułapkę, a na posadzkę tuż przed nią osunęło się bezwładne ciało mężczyzny. Martwe spojrzenie jego szklistych oczu nie pozostawiało wątpliwości, że nie da się go uratować.

Baxter weszła do wagonu i rozejrzała się dokoła, próbując ogarnąć skalę spustoszenia. Świetlówka nad jej głową zapalała się i gasła przy akompaniamencie elektrycznych trzasków, a z głębi peronu dobiegł huk wystrzałów. Nagle usłyszała za plecami głucho dudnienie bosych stóp.

Obróciła się, odruchowo unosząc ręce. Miała dużo szczęścia, że zablokowała cios kobiety, która zaatakowała ją nożem, i tylko czubek zakrwawionego ostrza siłą rozpędu dosięgnął jej wargi. Upadły i napastniczka usiadła na niej, przyciskając ją do podłogi. Pod rozchełstaną bluzką widać było zabliźnione litery na jej piersi. Oburącz ścisnęła nóż i całym swoim ciężarem napierała na drżące z wysiłku ręce swojej ofiary, która próbowała ją odepchnąć jak najdalej od siebie. Baxter obróciła głowę, kiedy ostrze zazgrzytało o jej zęby. Przypomniawszy sobie radę Rouche'a, sięgnęła na oślep i wbiła palce w oko napastniczki, która wrzasnąwszy z bólu, odskoczyła. Baxter kopniakiem zrzuciła ją z siebie i odpełzła do tyłu. Kobieta miotła się przez chwilę niczym ranne zwierzę, a potem znów ruszyła na nią.

Huknęły dwa strzały, tym razem znacznie bliżej, i wycięty na piersi kobiety napis zniszczyły dwie ziejące rany. Nóż wypadł z jej dłoni, zanim gładko osunęła się na kolana i runęła martwa na podłogę.

– Wszystko w porządku, szefowo?

Baxter pokiwała głową i wstała, przyciskając dłoń do rozciętej wargi.

– Rouche! – zawołała.

Zaczęła stąpać wśród leżących w wagonie ciał i przyglądać się ich twarzom.

– Inspektor Baxter – odezwał się głos w jej słuchawce.

Przyłożyła palec do ucha.

– Mów – powiedziała, nie przerywając poszukiwań.

W pobliżu rozległy się dwa kolejne strzały, które zagłuszyły komunikat.

– Powtórz.

– Straciliśmy z oczu Lucasa Keatona.

Rouche z wysiłkiem wciągnął haust powietrza. Przyciśnięty do podłogi ostatniego

wagonu, czuł na szyi stróżkę własnej krwi, która ciekła z głębokiej rany na jego ramieniu. Leżał przygnieciony martwym ciałem muskularnego napastnika, do którego strzelił pięć razy, żeby powstrzymać masową rzeź. Ludzie, którym ocalił życie, stratowali go, uciekając w panice. Przy każdym oddechu coś chrobotąło w jego piersi, wywołując paraliżujący ból.

Poczuł, jak podłoga wibruje pod ciężkimi krokami.

– Czysto! – zawołał ktoś.

Kroki dudniły coraz bliżej. Rouche chciał zawołać, ale wydobył z siebie jedynie cichy charkot. Spróbował jeszcze raz.

Usłyszał, jak ktoś przechodzi obok niego i zaczyna się oddalać.

– Proszę...

Ilekoć robił wydech, musiał wysilać się jeszcze bardziej, żeby nabrać powietrza w płuca.

– Hej... Cześć. Nie bój się. Podaj mi rękę – odezwał się ktoś inny. – A teraz zamknij oczy, dobrze?

– Ktoś tu leży przygnieciony – rozległ się czyjś głos. – Potrzebuje pomocy.

Rouche poczuł przyływ nadziei i nie potrafił zrozumieć, co się stało, gdy po chwili ten sam głos oznajmił:

– Dobra, wydostałem ją. Mam ją. Chodźmy stąd.

Usłyszał, jak kroki oddalają się na betonowej posadzce peronu. Znowu został sam.

– Baxter...

Próbował wzywać pomocy, ale sam ledwie słyszał własny szept. Jego oddech stawał się coraz płytszy, a mięśnie zaczynały omdlewać pod ciężarem, który go przygniatał. Pogodził się z myślą, że się wykrwawi, leżąc na tej brudnej podłodze, zanim ktokolwiek go znajdzie.

Stracił przytomność.

Baxter wybiegła z wagonu i spojrzała na tłum, który przedzierał się do wyjścia. Panika rozprzestrzeniała się wśród ludzi niczym pożar, a wszyscy byli tak zaślepieni wolą przetrwania, że nie zdawali sobie sprawy, ile szkody przynosi ich beładna szamotanina. Wszyscy oprócz jednego...

Na końcu peronu Baxter dostrzegła mężczyznę, który w przeciwieństwie do innych nie patrzył w górę, w stronę schodów prowadzących ku wolności, ale obserwował pociąg, przyglądając się, jak policjanci szukają w środku ocalałych.

Ich spojrzenia spotkały się na chwilę.

To był Keaton.

Nie przypominał człowieka ze zdjęcia, ale rozpoznała go po świeżej bliźnie na prawym policzku, w który ugodziła go kluczem przed drzwiami kryjówki Phillipa Easta na Brooklynie.

Otworzyła usta, żeby podać swoim ludziom jego pozycję, ale wtedy znikł jej z pola widzenia, wchłonięty przez falujący tłum.

– Zespół trzeci, szukajcie dalej. – W słuchawce Rouche’a rozległ się głos Baxter, przywracając go do świadomości. – Zespoły pierwszy i drugi, waszym celem jest Lucas Keaton. Obstawić wyjścia. Nie możemy pozwolić, żeby opuścił stację.

Nazwisko podejrzanego było dla jego wycieńczonego ciała jak zastrzyk adrenaliny i na tyle stłumiło ból, że zdołał uwolnić rękę spod przygniatającego ją ciężaru i zacisnąć dłoń na brązowym słupku przytwierdzonym do podłogi wagonu. Miał wrażenie, że jego klatka piersiowa trzeszczy i pęka na kawałki, kiedy zaciskając zęby, przesunął się po winylowej wykładzinie i zrzucił z siebie zwłoki muskularnego brodacza. Chociaż ból był potworny, ogarnęła go euforia, kiedy nabrał w płuca powietrza.

Zauważył skutą kajdankami kobietę w niebieskiej kurtce, którą uciekający w popłochu tłum zdeptał na śmierć. Schował pistolet do kabury i dysząc z wysiłku, chwiejnie podniósł się z podłogi.

Zadarł głowę, jakby chciał popatrzeć w niebo. Nie zawiódł. Był dokładnie tam, gdzie powinien być.



# Rozdział 40

WTOREK, 22 GRUDNIA 2015 ROKU

17.04

– Policja! Z drogi! – krzyczała Baxter, przedzierając się przez zbitą ciżbę w stronę zatłoczonych schodów.

Wypatrywała Keatona wśród morza ludzkich twarzy i dostrzegła go po chwili. Stał już u podnóża schodów i co chwilę niespokojnie zerkał za siebie. Wiedziała, że to za nią się rozgląda. Kiedy zaczął się wdrapywać pod górę, zobaczyła w jego dłoni jakiś przedmiot.

– Widzę Keatona! – krzyknęła do mikrofonu krótkofalówki. – Na schodach od strony linii Bakerloo. Idzie do góry. Uwaga, podejrzany trzyma coś w ręku. Zakładam, że ma broń.

Wykorzystała wyrwę w tłumie, który rozstąpił się przed nią na chwilę, i przecisnęła się do przodu, pokonując kilka metrów w ciągu zaledwie dwóch sekund.

– Zastosujcie wszystkie konieczne środki, żeby go rozbroić – dodała.

– Baxter, słyszysz mnie? – wychrypiął Rouche, wspinając się po schodach awaryjnych na końcu peronu.

Miał uszkodzony mikrofon i kiedy zaczął mówić, w słuchawce rozległ się pisk sprzężenia. Mógł jedynie pozostać na nasłuchu i śledzić wymianę zdań między członkami zespołu. Dołączył do tłumy, który przedzierał się w stronę wyjścia na powierzchnię. Podtrzymując zranioną rękę, brnął pod prąd w poszukiwaniu miejsca, z którego wydobywał się ten nieprzerwany strumień ludzi.

Usłyszał głośnie trzaski zakłóceń na linii i po chwili zauważył przed sobą ciemny kształt u szczytu ruchomych schodów. Rozpoznał sylwetkę policjanta w kamizelce kuloodpornej, który leżał nieruchomo twarzą do posadzki, ledwie widoczny wśród poruszających się pospiesznie nóg.

– Psiakrew!

Obejrzał się w stronę wyjść ewakuacyjnych. Ludzie przesuwali się w ich stronę w spacerowym tempie, korzystając z nieco większej przestrzeni.

Z każdą chwilą było coraz mniej czasu.

Rouche rzucił się na oślep w tłum i zaczął desperacko torować sobie drogę pod prąd, wciąż rozglądając się za Keatonem.

– Ranny policjant! Ranny policjant! Schody od strony linii Bakerloo – ogłosiła Baxter przez radio i zorientowała się, że leży przed nią agent specjalny Chase.

Chwyliła go za nadgarstek, ale nie wyczuła pulsu.

Rozstawieni przy wyjściach agenci FBI usiłowali sprostać niewykonalnemu zadaniu, wypatrując jednej twarzy wśród setek ludzi. W tym samym czasie pracownicy londyńskiego metra starali się rozproszyć zbiegowisko na ulicy przed stacją.

Wśród morza oddalających się głów Baxter zauważyła tylko jedną, która obróciła się do tyłu.

– Keaton dziesięć metrów od wyjścia numer trzy – poinformowała swoich ludzi.

– Nie wypuszczajcie go!

Poczuła ulgę, kiedy zaczęła się przedzierać przez tłum, i nagle za otwartymi bramkami zobaczyła Rouche'a, który szedł prosto w kierunku podejrzanego.

– Rouche! – zawołała, ale był zbyt daleko, żeby ją usłyszeć.

Rouche zobaczył mężczyznę z blizną, który oglądał się za siebie co kilka sekund. Był zaledwie kilka metrów za nim, kiedy zaczęła ich wciągać kotłowanina ciał w wąskim przesmyku prowadzącym na Regent Street.

– Keaton! – Rouche próbował krzyknąć, pokazując na niego, ale jego chrapliwy szept znikł wśród zgiełku. – To jest Keaton!

Stojący przy wyjściu agent FBI nie zwrócił na niego uwagi, w przeciwieństwie do Keatona, który zerknąwszy po raz kolejny przez ramię, zorientował się, jak blisko jest pościg. Ze spuszczoną głową przeszedł tuż obok agenta i gdy tylko znalazł się na ulicy, zaczął biec. Rouche zdążył zauważyć jakiś ciemny przedmiot w jego ręce. Pokonał ostatnie stopnie i wypadł prosto w objęcia mroźnego wieczoru.

Skrzydłata sylwetka Anterosa odcinała się na tle reklam świetlnych nad

ogarniętym chaosem Piccadilly Circus. Ewakuacja sparaliżowała ruch w centrum miasta, gdy uciekający ze stacji tłum wyległ na jezdnię, i wszędzie jak okiem sięgnąć błyszczały reflektory uwieczonych w korkach samochodów. Koguty radiowozów i karettek odbijały się niebieskimi refleksami w płatkach śniegu, który sypał niezmiernie z bezgwiezdnego nieba.

Nagły spadek temperatury sprawił, że Rouche poczuł w płucach piekący ból. Zaniósł się gwałtownym kaszlem i na dłoni, którą zasłonił sobie usta, zobaczył rozwodnioną krew. Uniósł wzrok i przed oczami mignęła mu sylwetka Keatona, który uciekał wzdłuż Regent Street na południowy wschód. Ruszył za nim, klucząc wśród obładowanych zakupami przechodniów, a krew ściekająca z jego rękawa pozostawiała na chodniku kręty ślad, jakby oznaczał drogę dla Baxter.

Baxter czekała na przerwę w potoku gorączkowych komunikatów. Miała wrażenie, że wszystkie syreny w mieście zaczęły wyć, a w jej słuchawce rozbrzmiewały meldunki funkcjonariuszy z sekcji antyterrorystycznej, którzy aresztowali kolejną Marionetkę z ładunkiem wybuchowym.

– Proszę o wsparcie z powietrza – wysapała do mikrofonu. – Inspektor Baxter, prowadzę pościg za... Lucasem Keatonem... jestem na Regent Street... kieruję się w stronę parku.

Przecinając skrzyżowanie z Pall Mall, omal nie zderzyła się ze skuterem, który wyjechał spomiędzy stojących w korku samochodów. Pobiegnęła dalej przez Waterloo Place między majaczącymi złowrogo wśród zamieci pomnikami z brązu. Zatrzymała się u szczytu schodów opadających w stronę ciemnej czeluści, która skrywała St James's Park. Meldunki w jej słuchawce z trudem przebijały się przez zawrodozenie wiatru.

– Straciłem podejrzanego z oczu – odezwał się jeden z głosów na nasłuchu. – Czy ktoś go widzi? Ktoś widzi podejrzanego?

– Potwierdzam, północno-wschodni narożnik placu... Cel poza zasięgiem.

Rouche nie mógł złapać tchu i ziemia usuwała mu się spod nóg. Widmowa sylwetka Keatona majaczyła na granicy jego pola widzenia. Nagle powietrze rozdarł warkot wirników helikoptera i oślepił go snop światła, który powędrował w stronę wejścia do parku, oświetlając jeden z posągów – anioła z poczerńiałego brązu. Azazela.

Potem anioł rozpląnął się w mroku, kiedy krąg światła powędrował w ślad za Keatonem, a Rouche pobiegł dalej, odciskając ciemne ślady w dziewiczym śniegu. Zobaczył przed sobą wierzby pochylone nad zamarzniętym stawem, który zdawał się przywabiać je do siebie, żeby wraz z nim zastygły skute lodem.

Zapuszczając się w głąb parku, stracił z oczu miasto i ze wszystkich stron otaczała go szalejąca zamieć. Kiedy wybiegli na otwartą przestrzeń, Rouche zmienił magazynek i przeładował pistolet.

Zatrzymał się i wycelował. Widział tylko zarys uciekającej sylwetki, która malała z każdą sekundą. Starając się zignorować ból w piersi, wyciągnął rękę przed siebie i wymierzył w sam środek pleców Keatona. Wystawił twarz do wiatru, żeby ocenić jego siłę i kierunek, wziął poprawkę i odczekał, aż szperacz helikoptera oświetli mu cel. Zrobił wydech, żeby opanować drżenie rąk, a potem bardzo delikatnie nacisnął spust.

– Strzelaj!

– Cywil dostał! Podejrzany jest ranny... Nie widzę go. Powtarzam, podejrzany poza zasięgiem wzroku.

Baxter słuchała wymiany zdań między funkcjonariuszami z sekcji antyterrorystycznej, którzy ścigali ostatnie Marionetki, i szła za ciągnącym się po śniegu śladem jaskrawoczerwonej krwi, gdy wśród zamieci rozległ się huk wystrzału. Zobaczyła Rouche'a, który stał przed nią, ale Keaton zniknął za ścianą bieli. Paliło ją w gardle, kiedy zziajana wciągnęła haust mroźnego powietrza i pobiegła dalej.

Keaton natychmiast upadł na ziemię otoczony drgającym kręgiem światła. Rouche podszedł do rannego, który próbował dosięgnąć leżącego na śniegu przedmiotu i łapczywie chwycił powietrze, wypuszczając z ust kłęby pary. Do jego uszu dobiegło ledwie słyszalne wołanie Baxter. Obrócił się i zobaczył ją biegnącą w ich stronę.

Kiedy Keaton podczołgał się do małego czarnego pudełeczka, Rouche pochylił się, żeby je podnieść. Trzymał w ręku telefon komórkowy. Nieco zbity z tropu obrócił go i spojrział na wyświetlacz, ale po chwili cisnął urządzenie na ziemię i obrócił się do leżącego z furią w oczach.

Dwa metry dalej film przeznaczony dla milionów ludzi na całym świecie odtwarzał się sam, podczas gdy na ekranie osiadało coraz więcej płatków śniegu. W trwającym czterdzieści sześć sekund nagraniu Keaton, wzruszony do łez, ale bez najmniejszych oznak wyrzutów sumienia, przyznawał się do wszystkiego, trzymając cały czas zdjęcia swoich synów i żony z wypisanymi koślawo datami ich śmierci... Ani razu nie wspomniał o Alexeiu Greenie ani jego ukochanej narzeczonej.

– Rouche! On jest nam potrzebny! Potrzebujemy go! – krzyknęła Baxter, widząc, jak jej partner przyciska lufę pistoletu do skroni aresztowanego.

W blasku wiszącego nad nimi reflektora obaj wyglądali jak oświetleni punktowcem aktorzy na ciemnej scenie.

– Gdzie ona jest?

Usłyszała jego krzyk przebijający się przez warkot helikoptera i domyśliła się, że przedmiot, który miał przy sobie Keaton, nie był tym, na co liczyli. Dzieliło ją od nich ostatnie kilka metrów.

– Padły strzały! – rozległ się głos w jej słuchawce. – Podejrzany dostał.

Rouche uderzył rękojeścią pistoletu leżącego mężczyznę, ale ten uśmiechnął się tylko do niego, odsłaniając zakrwawione zęby.

Baxter podbiegła do nich, opadła na kolana i rozchyliła kurtkę Keatona, rozpaczliwie szukając źródła krwawienia. Poczowała wilgoć pod palcami, zanim jeszcze zobaczyła wielką ranę wylotową pod obojczykiem. Wcisnęła w nią dłoń, którą owinęła zsuniętym rękawem, próbując zatamować krwotok.

– Co jest celem? – dopytywał się Rouche.

Baxter dostrzegła na jego twarzy wyraz całkowitej desperacji, która ogarnęła go wraz ze świadomością, że jedyna szansa na odzyskanie wewnętrznego spokoju wymyka mu się z rąk.

– Nic nam nie powie, jeśli będzie martwy – odezwała się do niego. – Pomóż mi!

Nieustający warkot krążącego nad miastem helikoptera odbijał się od brudnych ścian podziemnej toalety. Siedzący na mokrej podłodze mężczyzna zaniósł się szlochem.

Nigdy nie czuł się tak samotny.

Słyszał, jak biegają nad jego głową, a tupot ich ciężkich butów był niczym

ujądanie sfory, która dogania zwierzynę. Płacząc z bezsilności, szarpnął grubą kamizelkę, której twarde elementy połączone przewodami ugniatały go w plecy. Wbrew temu wszystkiemu, co mówił mu doktor Green, pozwolił się zagnać do wyludnionego zaułka i schronił się w jedynym miejscu, jakie udało mu się znaleźć. Był w potrzasku.

– Aidenie Fallon! – zahuczał megafon zniekształconym, złowrogim głosem. – Jesteś otoczony!

Aiden przycisnął dłonie do uszu, ale nie zdołał stłumić wołania.

– Zdejmij kamizelkę i wyjdź z podniesionymi rękami, w przeciwnym razie będziemy zmuszeni zdetonować twój ładunek! Masz trzydzieści sekund!

Mężczyzna rozejrzał się po zapuszczonym wnętrzu, które miało się stać jego grobem, jak najbardziej odpowiednim dla kogoś, kto zawiódł tak bardzo jak on. Żałował tylko, że nie może po raz ostatni zobaczyć się z doktorem Greenem. Chciałby mu wyznać, że był jedynym przyjacielem, jakiego spotkał w całym swoim życiu, i przeprosić go za zawód, który mu sprawił.

– Piętnaście sekund!

Aiden wolno podniósł się z podłogi i wytarł dłonie o spodnie.

– Dziesięć sekund!

Zobaczył swoje odbicie w brudnym lustrze. Naprawdę był żalosną karykaturą mężczyzny. Nie odrywając wzroku od własnych oczu, uśmiechnął się, po czym szarpnął za krótki sznurek, który zwisał z jego piersi... i poczuł, jak otacza go kula ognia.

– Rouche, pomóż mi! – Baxter jeszcze niżej zsunęła rękaw kurtki, próbując zatkać głęboką ranę.

Gdzieś w oddali zagrzemiał wybuch. Jasny krąg reflektora oderwał się od nich, kiedy helikopter odleciał w kierunku pomarańczowej łuny, która zabarwiła niebo nad miastem. Rouche chwiejnym krokiem oddalił się od niej i wyteżył wzrok, patrząc ponad koronami drzew. Na jego twarzy malował się wyraz dezorientacji i niedowierzania, jakby jeszcze do niego nie dotarło, że poniósł klęskę, że nigdy do niczego nie dążył... że tak naprawdę nie istniał żaden plan.

Teraz mógł jedynie patrzeć, jak zapada się niebo, i chwycić płatki śniegu.

– Rouche! – krzyknęła Baxter. Oburącz uciskała ranę na piersi Keatona, a słuchawka w jej uchu brzęczała od chaotycznego potoku meldunków, które

nakładały się na siebie. – Jeszcze nie wiadomo, co się tam stało.

– Co jeszcze mogliśmy zrobić? – zapytał Rouche.

Wciąż stał odwrócony tyłem i nie była pewna, czy mówi do niej, czy do kogoś innego. Z niepokojem patrzyła, jak unosi i opuszcza rękę z pistoletem.

– Chciałabym, żebyś stąd poszedł – odezwała się najspokojniej, jak potrafiła. – Zrób to dla mnie... proszę...

Zobaczyła łzy w jego oczach, kiedy się do niej odwrócił.

– Po prostu sobie idź... Odejdź stąd...

Zerknęła nerwowo na broń w jego ręku. Nie mogła go stracić. Nie mogła dopuścić, żeby kolejny jej przyjaciel uległ nieodpartej pokusie wymierzenia sprawiedliwości.

– Zabijesz mnie, Rouche? – wychrypiał słabym głosem Keaton.

– Nic nie mów – syknęła Baxter.

Wiedziała, że powinna wezwać ambulans, ale nie mogła oderwać rąk od krwawiącej rany i wątpiła, czy uda jej się nawiązać łączność wśród natłoku komunikatów w eterze.

– Naprawdę myślisz, że się tym przejmuję? – ciągnął Keaton, bełkocąc lekko, osłabiony utratą krwi. – Osiągnąłem to, czego chciałem. Na tym świecie już nic mi nie zostało.

– Powiedziałam, zamknij się! – krzyknęła Baxter.

Rouche podszedł do nich z powrotem i ukląkł obok rannego, który uniósł ku niemu wyczekujące spojrzenie.

– Moja rodzina jest u Boga, a dokądkolwiek ja trafię, na pewno będzie mi tam lepiej niż tu.

Czując, że sytuacja się pogarsza, Baxter postanowiła zaryzykować i cofnęła rękę, żeby sięgnąć do przycisku krótkofalówki.

– Tu inspektor Baxter, pilnie wzywam karetkę do St James's Park. Odbiór.

Z powrotem przycisnęła dłoń do rany i spojrzała błagalnie na swojego partnera.

– Zastanawiam się, czy On tu jest... – odezwał się Keaton, zauważywszy srebrny krzyżyk na piersi Rouche'a. – ...w tej chwili... czy nas słucha... Zastanawiam się, czy w końcu poświęcił nam trochę uwagi!

Skierował wzrok ku niebu, jakby wypatrywał jakiegoś znaku.

Rouche mimowolnie przypomniał sobie, co dosłownie oznacza imię „Azazel” –

silniejszy od Boga. Odpędził od siebie tę myśl.

– Półtora roku... – wykrztusił Keaton, na wpół się śmiejąc, a na wpół płacząc. – Półtora roku temu przyszedłem do szpitala, usiadłem przy łóżku mojego syna i cicho modliłem się o pomoc... ale pomoc nie nadeszła. Bo On nie słyszy, kiedy mówimy szeptem, ale teraz na pewno mnie usłyszał.

Rouche przyglądał mu się beznamiętnym wzrokiem. Byli na kompletnym odludziu, a panującą w parku ciszę mącił jedynie szum wiatru, chrapliwy oddech Keatona i ledwie dosłyszalne brzęczenie słuchawki w uchu Baxter.

Powoli sięgnął za głowę i rozpiął łańcuszek, na którym nosił srebrny krucyfiks.

– Rouche! – odezwała się Baxter, zaniepokojona jego miną, której znaczenia nie potrafiła odgadnąć. – Jeszcze nie znamy szczegółów, ale cokolwiek się tam stało, niczemu nie jesteś winien – powiedziała, kiedy na nią spojrział. – Wiesz o tym, prawda?

Ku jej zaskoczeniu uśmiechnął się, jakby nareszcie uwolnił się od ciężaru, który go przytłaczał.

– Wiem.

Rozłożył dłoń, pozwalając, żeby łańcuszek z krzyżykiem zsunął się między jego palcami i upadł na zakrwawiony śnieg.

– Z tym też wszystko w porządku? – Baxter zerknęła wymownie na Keatona.

Westchnęła z ulgą, kiedy jej przyjaciel skinął głową. Po raz kolejny udowodnił, ile tak naprawdę ma w sobie siły.

– Wezwij pomoc.

Rouche po raz ostatni spojrział na leżącego mężczyznę, po czym wyjął komórkę z kieszeni i wstał z wysiłkiem. Kiedy odchodził, Baxter usłyszała urywki rozmów między agentami MI5.

– Chyba wszystko jest w porządku! – zawołała za nim. – Mówią, że go dostali! Sytuacja opanowana... Jedna ofiara śmiertelna... zamachowiec się wysadził!

Nie mogła powstrzymać triumfalnego uśmiechu.

– Słyszałeś to, sukinsynu? – szepnęła do Keatona. – Dopadli go. Nie żyje.

Keaton odchylił głowę do tyłu i zrezygnowany zamknął oczy. Wiedziony siłą nawyku wypowiedział słowa, które inni kierowali do niego aż nazbyt często, kiedy przeżywał udrękę:

– Chyba Bóg potrzebował jeszcze jednego anioła.



Rouche zatrzymał się w pół kroku.

Baxter nawet nie zdawała sobie sprawy, że odrywa zakrwawione dłonie od piersi rannego. Jej oczy wypełniły się łzami i nieskazitelna twarz Curtis stała się wszystkim, o czym była zdolna myśleć.

Nie słyszała, jak śnieg skrzypi pod zbliżającymi się krokami. Nie czuła, jak krew obryzguje jej twarz przy akompaniamencie stłumionych wystrzałów. Nie rozumiała, czemu leżące ciało miota się tak gwałtownie... kiedy przeszyły je trzy kolejne pociski.

Rouche stał nad Keatonem, a po twarzy ciekły mu łzy.

Baxter patrzyła na niego tępo, gdy naciskał spust jeszcze raz... i jeszcze raz... i jeszcze raz... dopóki nie zamienił zwłok w krwawą miazgę, dopóki nie wystrzelił ostatniego naboju.

– Nie ma Boga – wyszeptał.

Baxter patrzyła z otwartymi ustami, jak jej przyjaciel stawia kilka niepewnych kroków, a potem osuwa się na ziemię. Zerwała się i podbiegła do niego.

Z obolałych płuc Rouche'a wyrwało się westchnienie ulgi. Na jego twarzy pojawił się smutny uśmiech, kiedy uniósł głowę ku zapadającemu się niebu... i wystawił język.

# Epilog

ŚRODA, 6 STYCZNIA 2016 ROKU

9.56

– Nie... ma... Boga.

Agent Sinclair przeszedł energicznym krokiem obok lustrzanej szyby i wypadł na korytarz.

– Świetna robota. Dziękuję za współpracę, pani inspektor. Koniec przesłuchania.

Atkins westchnął, otarł spocone czoło i zaczął zbierać swoje rzeczy. Baxter pomachała mu z ironiczną miną, kiedy wybiegał za rozwścieczonym Amerykaninem, bez wątplenia świadomy, że przez najbliższą godzinę będzie musiał bezwstydnie włożyć mu w tyłek.

– Szefowa jak zwykle taktowna – mruknął Saunders po drugiej stronie lustrzanej szyby.

Vanita jęknęła z rezygnacją.

– Czemu ona nie może dać sobie na wstrzymanie? Choćby przez dwadzieścia minut? Czy naprawdę wymagam tak wiele?

– Widocznie tak. – Saunders wzruszył ramionami.

Stojący w kącie mężczyzna przyznał mu rację skinieniem głowy.

– Tylko nie zaczynaj. Ciebie w ogóle nie powinno tu być – zwróciła się do niego Vanita i zaczęła masować sobie czoło, żeby powstrzymać narastający ból głowy.

Baxter szorstko odprawiła swoją terapeutkę, zapewniając ją, że czuje się doskonale i nie ma zamiaru roztrząsać żadnych problemów. Kiedy została sama, nie zważając na to, że ktoś może ją obserwować, ukryła twarz w dłoniach i oparła czoło na blacie stolika.

– A ty dokąd się wybierasz? – zapytał Saunders, kiedy mężczyzna, który stał w kącie, ruszył w stronę drzwi.

– Chcę się z nią zobaczyć.

– Chyba nie do końca ogarniasz całą tę kwestię „aresztowania”.

Mężczyzna spojrział na Vanitę, która wydawała się prawie tak samo zmęczona i zrezygnowana jak Baxter.

– Umawialiśmy się – przypomniał jej.

– Dobra – odparła i machnęła lekceważąco ręką. – I tak już gorzej być nie może.

Mężczyzna uśmiechnął się wesoło i wyszedł na korytarz.

– Wszyscy za to wylecimy – odezwał się Saunders, odprowadzając go wzrokiem.

– Tak. – Vanita pokiwała głową. – Niechybnie.

Baxter usłyszała kroki, ale nie rozpoznała w nich ani rytmicznego marszu Sinclaira, ani leniwego człapania Atkinsa. Jej dłonie stłumiły głośny jęk rezygnacji. Zgrzytnęło odsuwane krzesło i blat wąskiego stolika zakołysał się lekko, gdy kolejny intruz usiadł naprzeciwko niej. Westchnęła z irytacją, uniosła głowę i nagle zaparło jej dech, jakby ktoś kopnął ją w brzuch.

Postawny mężczyzna uśmiechał się do niej z zakłopotaną miną i siedział lekko odchylony do tyłu, na wypadek, gdyby chciała go uderzyć. Jego ciemne włosy były dłuższe, niż je zapamiętała, ale jasne niebieskie oczy nie zmieniły się ani trochę – przenikały ją na wylot tak samo jak wtedy, kiedy zniknął z jej życia.

Patrzyła na niego oszołomiona i nawet nie zdawała sobie sprawy z kolejnego wyniszczającego wstrząsu, którego właśnie doświadczały jej emocje.

– No to... jestem – zagadnął swobodnie Wolf, jakby rozstali się poprzedniego dnia.

Oparł na stoliku skute kajdankami ręce, próbując wymyślić coś mądrego, coś, przy czym półtora roku jego milczenia wydałoby się trywialne, co pozwoliłoby mu odzyskać jej zaufanie.

W końcu się zdecydował.

– Niespodzianka! – zawołał.

# Podziękowania

Wciąż nie do końca wiem, co robię, ale mam to szczęście, że otacza mnie liczne grono bardzo życzliwych osób, które nie szczędzą mi troski i wsparcia. A są to:

Moja rodzina – Ma, Ossie, Melo, B, Bob, KP, Sarah i Belles.

Personel agencji literackiej Conville & Walsh – moja wspaniała agentka Susan Armstrong, a także Emma, Jake, Alexander, Dorcas, Tracy i Alexandra, za którą bardzo tęsknię.

Collins oraz Claire Keep, Katie Espiner, Sarah Benton, Laura Swainbank, Lauren Woosey i reszta personelu Hachette w Wielkiej Brytanii i na całym świecie.

Dziękuję serdecznie również Wam wszystkim, moi Czytelnicy, za to, że mam dla kogo pracować, i za Wasz niewyczerpany entuzjazm dla moich bohaterów oraz ich pokręconych losów, które z taką przyjemnością komplikuję. Nie korzystam z mediów społecznościowych i nie trzymam ręki na pulsie, ale podobno gdzieś tam istniejecie, więc dzięki!

# Wywiad z autorem

## **1. W tej powieści Baxter wysuwa się na pierwszy plan. Jak bardzo się zmieniła od czasu wydarzeń opisanych w *Szmacianej lalce*?**

Akcja *Przynęty* zaczyna się prawie półtora roku po zakończeniu sprawy „Szmacianej Lalki”. W tym okresie Baxter dzielnie stawiała czoła problemom zarówno w życiu osobistym, jak i zawodowym, jednak staje się jasne, że zniknięcie Wolfa pozostawiło pustkę w jej życiu i tak naprawdę z tego powodu usiłowała wymazać go z pamięci. Jak zawsze jest wybuchowa i bezpośrednia, mimo to jej relacje z Edmundsem przeradzają się w serdeczną przyjaźń.

## **2. Opowiedz nam o Rouche’u. Czy trudno jest wprowadzić nowego bohatera pierwszoplanowego? Jak powstała ta postać?**

Pracując nad *Przynętą*, zdałem sobie sprawę, że w zasadzie akcja moich powieści kręci się wokół Baxter. Tak naprawdę to ona jest główną bohaterką. W *Szmacianej lalce* na pierwszy plan wysuwa się Wolf, a fabułę *Przynęty* napędza Rouche i jego tajemnice, ale to Baxter spaja wszystkie wątki. Jest osobą, która wplątuje się w burzliwe perypetie obu tych bohaterów.

Sam Rouche bardzo się różni od Wolfa. Jest uprzejmy i wyluzowany, uduchowiony i bezinteresowny... i chyba odrobinę dziwaczny.

## **3. Znaczna część akcji rozgrywa się w Nowym Jorku. Jak się do tego przygotowałeś? Wybrałeś się tam?**

Byłem w Nowym Jorku dawno temu, ale zależało mi na tym, żeby Baxter czuła się tam jak turystka w obcym mieście. Prawdę mówiąc, kiedy zacząłem myśleć o kontynuacji *Szmacianej lalki*, już na samym początku postanowiłem utrudnić sobie życie najbardziej, jak się da. Chciałem się przekonać, czy przerzucając główną bohaterkę na drugą stronę oceanu, zdołam napisać powieść lepszą od poprzedniej.

#### **4. Czy trudno było stworzyć historię, która wiąże się ze *Szmacianą lalką*, ale również wciąga nowych czytelników?**

Bardzo trudno. W planach mam napisanie trylogii, i niektóre wątki tych powieści przeplatają się ze sobą. Nie ulega wątpliwości, że czytelnicy zrozumieją dużo więcej, jeśli znają *Szmacianą lalkę*, jednak można potraktować *Przynętę* również jako odrębną i samodzielną historię. Nie jest łatwo zachować równowagę i wprowadzając nowych czytelników w pewne zagadnienia, nie zrazić wiernych fanów, którzy znają już moich bohaterów na wylot. Oczywiście jest to dylemat, z którym musi się zmierzyć twórca każdego sequela, nie tylko w literaturze.

#### **5. Humor odgrywa w *Szmacianej lalce* znaczącą rolę. Czy w twojej nowej powieści też przewijają się podobne motywy?**

Chyba jest ich nawet więcej, ale sądzę, że coś powinno równoważyć mroczną i przygnębiającą atmosferę. W tej powieści naprawdę dałem moim bohaterom wycisk, lecz dzięki temu każdy przeblýsk serdeczności i przyjaźni staje się jeszcze jaśniejszy.

#### **6. Tworzysz w filmowym stylu. Czy inspirujesz się kinem i telewizją?**

Owszem, i sądzę, że moje książki sprawiają właśnie takie wrażenie. Nie lubię ograniczać się zbyt wymogami realizmu i choć czasem bywa to makabryczne, pozwalam sobie na ukłon w stronę konwencji filmu gore. Celem mojej twórczości nie jest szokowanie czytelników, a jedynie zapewnianie im rozrywki.

#### **7. Jak zmieniło się twoje życie po sukcesie *Szmacianej lalce*? Jakie są dobre strony pisarskiej sławy? Czy są też jakieś minusy?**

Dziękuję, powodzi mi się świetnie. Stereotypowa odpowiedź, ale odkąd to wszystko się zaczęło, poznałem mnóstwo wspaniałych ludzi i spośród wszystkich tych osób tylko jedna zrobiła na mnie wrażenie trochę zarozumiałej... No, może dwie. W każdym razie na pewno nie więcej niż trzy. Ale to całkiem niezłe, jak na półtora roku pisarskiej kariery. Sporo podróżowałem, a to jest fantastyczne. Co do minusów, to kiedy przylatywałem w jakieś miejsce, meldowałem się w hotelu i wrzucałem coś

na ząb, ludzie zazwyczaj oczekiwali ode mnie, że jeszcze wystąpię przed publicznością na koniec dnia, czego nigdy nie uważałem za rozsądne.

**8. Zacząłeś pracę nad trzecią częścią? Czy już wiesz, jak skończy się ten cykl?**

Zacząłem pisać trzecią powieść. Jak już wspomniałem, zaplanowałem stworzenie trylogii, zatem mam całkiem konkretne wyobrażenie, jak chciałbym ją zakończyć. A co będzie potem, kto wie?